

Moore Christopher

Wyspa wypacykowanej kapłanki



calibre 0.9.43

CZEŚĆ PIERWSZA

FENIKS

Rozdział 1. Drzewo ludożerców

Gdy Tucker Case się obudził, zwieszał się z gałęzi drzewa chlebowego na linie z włókna kokosowego. Wisiał twarzą w dół mniej więcej dwa metry nad piaskiem, zapięty w jakiś rodzaj uprząży, a dłonie i stopy miał związane razem. Uniósł głowę i z wysiłkiem rozejrzał się dookoła. Zobaczył białą piaszczystą plażę, okoloną palmami kokosowymi, ognisko z łupin kokosa, chatę z palmowych liści i ścieżkę z białego koralowego żwiru, prowadzącą do dżungli. Panoramę uzupełniała uśmiechnięta brązowa twarz starego tubylca.

Tubylec wyciągnął rękę o paznokciach niczym szpony i uszczypnął Tuckera w policzek. Tucker krzyknął.

- Mniam - powiedział tubylec.

- Coś za jeden? - spytał Tucker. - Gdzie jestem? Gdzie nawigator?

Tamten tylko się uśmiechnął. Miał żółte oczy, jego włosy stanowiły dziką płataninę loków i ptasich piór, zęby zaś były czarne i spiłowane. Wyglądał jak szkielet z wydatnym brzuchem, obciążony zniszczoną skórą. Skórę tę znaczyły krzywe różowe blizny. Niewielkie szramy na piersi układały się w kształt rekina. Za jedyne odzienie służyła mu przepaska biodrowa, utkana z jakichś roślinnych włókien. Za sznurem, którym był przepasany, tkwiła maczeta o bardzo groźnym wyglądzie. Tubylec poklepał Tuckera po policzku popielatą, stwardniałą dłonią, a potem odwrócił się i odszedł, zostawiając go wiszącego.

- Czekaaj! - krzyknął Tucker. - Zdejmij mnie. Mam pieniądze. Mogę ci zapłacić.

Tamten człapał ścieżką i się nie oglądał. Tucker naprężył uprząż, ale zdołał tylko wprowadzić się w powolny ruch obrotowy. Gdy się tak kręcił, zobaczył nawigatora, wiszącego bez zmysłów tuż obok.

- Ej, żyjesz?

Nawigator ani drgnął, ale Tucker widział, że oddycha.

- Ej, Kimi, ocknij się!
Wciąż żadnej reakcji.

Spróbował naprężyć sznur na nadgarstkach, ale więzy tylko się zacieśniły. Po kilku minutach

poddał się, wyczerpany. Rozluźnił się i zaczął rozglądać za czymś, co nadałoby tej dziwacznej scenarii jakiś sens. Dlaczego tubylec powiesił ich na drzewie?

Kątem oka dostrzegł ruch i odwrócił się, by zobaczyć brązowego kraba, szamoczącego się na końcu sznurka przywiązanego do pobliskiej gałęzi. Oto była odpowiedź: powiesili ich na drzewie, jak kraba, żeby zachowali świeżość, aż będzie można ich zjeść.

Zadrzał, widząc oczyma wyobraźni zęby tubylca zaciskające się na jego goleni. Próbował się skupić na tym, jak uciec, zanim tubylec wróci, ale jego umysł wciąż podążał na morze żalu i domysłów, szukając miejsca, w którym świat zwrócił się przeciwko niemu i umieścił go na drzewie ludożerców.

Jak w wypadku większości poważnych błędów, które popełnił w życiu, także tym razem wszystko zaczęło się w barze.

W lobby hotelu Holiday Inn na lotnisku w Seattle dominowała myśliwska zieleń, do spółki z mosiężnymi relingami i dębowym fornirem. Gdyby usunąć bar, pomieszczenie wyglądałoby jak dział męski w Macys. Była pierwsza w nocy i barmanka, korpulentna kobieta w średnim wieku i o hiszpańskich rysach polerowała już szklanki, czekając, aż troje ostatnich klientów wyjdzie, żeby mogła iść do domu. Przy końcu kontuaru siedziała samotna młoda kobieta w krótkiej spódniczce i z przesadnym makijażem. Tucker Case siedział parę stołków dalej, obok jakiegoś biznesmena.

- Lemingi - powiedział biznesmen.

- Lemingi? - powtórzył Tucker.

■

Byli pijani. Tamten, przysadzisty i po pięćdziesiątce, miał na sobie grafitowy garnitur. Na jego nosie i policzkach widniały popękane naczynia krwionośne.

- Większość ludzi to lemingi - ciągnął. - Dlatego im się nie udaje. Zachowują się jak samobójcze gryzonie.

- Ale pan jest gryzoniem wyższego poziomu? - spytał Tucker z uśmiechem cwaniaka.

Miał trzydzieści lat, mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu, schludnie przystryżone jasne włosy i niebieskie oczy. Był ubrany w marynarskie spodnie, trampki i białą koszulę z niebiesko-złotymi wyłogami. Kapitańska czapka spoczywała na kontuarze, obok dzinu z tonikiem. Bardziej interesowała go dziewczyna przy końcu baru niż rozmowa z biznesmenem, ale nie wiedział, jak się przenieść, żeby to nie było zbyt oczywiste.

- Nie, ale ograniczyłem zachowania leminga do związków osobistych. Trzy żony. - Zamachał mu przed nosem pałeczką do mieszania drinków. - Sukces w Ameryce nie wymaga szczególnego talentu ani wielkiego wysiłku. Wystarczy postępować konsekwentnie i nie spieprzyć sprawy. Właśnie na tym wyklada się większość ludzi. Nie mogą znieść presji uzyskania tego, czego chcą, więc gdy są już

blisko, aranżują jakąś klapę, by nie odnieść sukcesu.

Słuchając tej litanii o lemingach, Tucker Case czuł się nieswojo. Od czterech lat miał dobrą passę i z barmana stał się pilotem korporacyjnych odrzutowców.

- Może niektórzy po prostu nie wiedzą, czego chcą – powiedział. - Może tylko wyglądają jak lemingi.
- Każdy wie, czego chce. Pan wie, czego pan chce, prawda?

- Jasne, że wiem - odparł Tucker. W tej chwili chciał przede wszystkim skończyć tę rozmowę i poznać dziewczynę na końcu baru, zanim zamkna. Gapiła się na niego od pięciu minut.

- Czego? - Biznesmen chciał odpowiedzi. Czekał.

- Chcę dalej robić to, co robię. Jestem szczęśliwy.

Biznesmen pokręcił głową.

- Przykro mi, synu, ale nie kupuję tego. Polecisz z urwiska z resztą lemingów.

- Powinien pan wygłaszać mowy motywacyjne - stwierdził Tucker, skupiony na dziewczynie, która właśnie wstała, położyła na barze pieniądze, wzięła swoje papierosy i wsunęła je do torebki.

- Ja wiem, czego chcę - powiedziała.

Biznesmen odwrócił się, posyłając jej uśmiech dobrodusznego satyra.

- A czego, skarbie?

Podeszła do Tuckera i przycisnęła biust do jego pleców. Miała kasztanowe loki, spływające na ramiona, niebieskie oczy i nos, który był lekko skrzywiony, ale nie jakoś strasznie. Z bliska wydawała się wręcz zbyt młoda, by pić alkohol. Z większej odległości postarzał ją makijaż. Patrząc biznesmenowi w oczy, jakby w ogóle nie zauważyła Tuckera, powiedziała:

- Chcę dołączyć do klubu podniebnych kochanków, i to jeszcze tej nocy. Pomożesz mi?

Biznesmen spojrzał na kapitańską czapkę Tuckera na kontuarze, a potem znowu na dziewczynę. Zrezygnowany, powoli pokręcił głową.

Naparła mocniej na plecy Tuckera.

- A ty?

Uśmiechnął się do biznesmena, po czym przeprasząco wzruszył ramionami.

- Chcę tylko dalej robić to, co robię.

Dziewczyna włożyła jego czapkę i ściągnęła go ze stołka. Zaczął szukać w kieszeni pieniędzy, gdy wlokła go w stronę drzwi.

Biznesmen uniósł rękę.

- Nie, ja zapłacę za drinki, synu. Pamiętaj tylko, co powiedziałem.

- Dzięki - odrzekł Tuck.

Na zewnątrz, w lobby, dziewczyna powiedziała:

- Nazywam się Meadow. - Patrzyła w przód, stawiając krótkie, marszowe kroki, jakby wcale go nie uwodziła, tylko prowadziła na misję antyterrorystyczną.

- Ładne imię - stwierdził. - Ja się nazywam Tucker Case. Ludzie mówią mi Tuck.

Nadal na niego nie patrzyła.

- Masz samolot, Tuck?

- Mam dostęp do samolotu. - Uśmiechnął się. To była rewelacja. Rewelacja!

- Dobra. Wprowadź mnie do klubu podniebnych kochanków, a ja nie wezmę pieniędzy. Zawsze chciałam zrobić to w samolocie.

Tucker przystanął. - Jesteś... To znaczy robisz to dla... Zatrzymała się i odwróciła, by pierwszy raz spojrzeć mu w oczy.

- Masz lekkiego świra, nie?

- Dziękuję. Też bardzo mi się podobasz. - Naprawdę tak było.

- Nie, no... podobasz mi się. Ale myślałam, że pilot szybciej łapie pewne rzeczy.

- Czy to element zabawy z poniżaniem i kajdankami?

- Nie, za to płaci się ekstra. Po prostu prowadzę rozmowę.

- A, rozumiem.

Zaczynał mieć wątpliwości. Rano musiał lecieć do Houston i naprawdę powinien się przespać. Mimo wszystko, kroila się niezła historia do opowiadania chłopakom w hangarze, o ile pominie dwa detale: że on jest samobójczym gryzoniem, a ona to prostytutka. Z drugiej strony nie musiał tego zrobić, żeby potem o tym opowiadać, prawda?

- Chyba nie powinienem lecieć - stwierdził. - Trochę się upiłem.

- To nie masz nic przeciwko temu, żebym wróciła do baru i złapała twojego kumpla? Nie

zaszkodzi trochę zarobić.

-To może być niebezpieczne.

-O to chodzi, nie? - Uśmiechnęła się.

-Nie, naprawdę niebezpieczne.

-Mam kondomy.

Wzruszył ramionami.

- Złapię taksówkę.

Dziesięć minut później szli po mokrym asfalcie w stronę kilku korporacyjnych odrzutowców.

-Jest różowy!

-Tak, no i co?

- Latasz różowym samolotem?

Gdy Tuck otworzył włącznik i opuścił schodki, doznał smutnego wrażenia, że biznesmen w barze mógł mieć rację.

4*

2

MYŚLAŁEM, ŻE TO LOT DLA NIEPALĄCYCH

W większości odrzutowce (zwłaszcza te nieobciążone pasażerami ani paliwem) mają wystarczającą zdolność szybowania, by wylądować bez napędu. Tucker jednak popełnił błąd w ocenie, skutek siedmiu ginów z tonikiem i skupienia na Meadow, która siadała na nim okrakiem na fotelu pilota.

Myśli, że może powinien był coś powiedzieć, gdy lampka paliwa zapala się pierwszy raz, ale Meadow rozsiada się już wtedy w siodle i Tuck nie chce sprawiać wrażenia, że na nią nie zważa. Trajektoria szybowania jest zbyt stroma, a pas startowy znajduje się trochę za daleko. Używa trochę siły, by pociągnąć za drążek sterowy, co Meadow bierze za przejaw entuzjazmu.

Tucker pilotuje różowego gulfstreama nad SeaTac, trochę za nisko, i tylne podwozie zaczepia o antenę radaru i odrywa się na sekundę przed uderzeniem w pas, Meadow zaś przelatuje nad drążkiem sterowym, odbija się od szyby i pada nieprzytomna na deskę przyrządów. Skrzydła odrzutowca wykonują pojedynczy ruch - niczym u zdychającego flaminga, próbującego się wydostać ze smoły - i odpadają pośród huku, iskier, płomieni i czarnego dymu, po czym, wirując, wylatują w powietrze i

zostają rozrzucone na powierzchni pasa.

Przypięty do fotela Tucker wydaje z siebie przeciągły krzyk, który zagłusza w jego głowie odgłos dartej metalu.

Bezskrzydły gulfstream sunie po powierzchni pasa niczym osobisty bobslej samego diabła, pozostawiając smugę gęstego dymu i aluminiowe konfetti. Strażacy i sanitariusze wskakują do samochodów i ruszają za nim po pasie. W przyływie analitycznego dystansu jeden ze strażaków odwraca się do towarzysza ze słowami:

- Za mało ognia. Musiał lecieć na oparach.

Tucker widzi zbliżający się koniec pasa, las anten, jakieś efektowne niebieskie światła, siatkę ogrodzeniową i porośniętą trawą, otwarty teren, gdzie resztki gulfstreama rozpadną się na różowe szrapnele. Zdaje sobie sprawę, że patrzy na własną śmierć i krzyczy „o, kurwa!”, zgodnie z oficjalnymi wymogami FAA, by z czarnej skrzynki dało się wydobyć jakieś ostatnie słowa.

Nagle, zupełnie jakby ktoś nacisnął kosmiczny przycisk pauzy, w kokpicie zapada cisza. Ustaje wszelki ruch.

- To tak chcesz odejść? - rozlega się męski głos.

Tucker odwraca się w stronę, z której dobiega głos. Ciemnowłosa mężczyzna w szarym mundurze lotniczym siedzi w fotelu drugiego pilota i czeka na odpowiedź. Choć siedzi przodem do niego, Tuck nie widzi jego twarzy.

- No?

-Nie - odpowiada Tuck.

-To będzie kosztowało - mówi tamten. A potem znika. Fotel drugiego pilota pozostaje pusty, a kabinę wypełnia ryk udreżonego metalu.

Zanim Tucker jest w stanie ułożyć w głowie słowa „co, do diabła?”, bezskrzydły odrzutowiec przebija się przez anteny, efektowne niebieskie światła i siatkę ogrodzeniową, po czym wypada na pole, nasiąknięte wodą od deszczu, który padał w Seattle przez trzydzieści dni z rzędu. Błoto pieści kadłub, gasi iskry i płomienie, przylepia się do metalu i stopniowo zatrzymuje dymiący samolot. Tuck słyszy trzask metalu, syreny, miły uchu dzwonek wyłączającej się lampki ZAPIĄĆ PASY.

„Witamy na międzynarodowym lotnisku Seattle-Taco-ma. Jest godzina czternasta czasu lokalnego, temperatura na zewnątrz wynosi siedemnaście stopni, a u twoich stóp bulgocze półprzytomna dziwka”.

Kabinę wypełnia czarny dym ze spalonych przewodów i parującego płynu hydraulicznego. Pierwszy oddech pali tchawicę niczym środek do czyszczenia rur i Tucker wie, że drugi wdech może go zabić. Rozpina uprząż, sięga w ciemność po Meadow i natrafia na koronkową kamizelkę, która rozpada mu się w rękach. Wstaje, pochyla się, obejmuje ją w talii i podnosi. Jest lekka, waży może ze

czterdzieści pięć kilo, ale Tucker zapomniał podciągnąć spodnie i bokserki, które unieruchamiają mu nogi w kostkach. Chwieje się i pada w tył, na tablicę przyrządów między fotelami. Z konsoli sterczy dźwignia siłownika klap - trzydziesto-centymetrowy, stalowy pręt, zwieńczony plastikowym czubkiem o kształcie strzały. Czubek trafia Tuckera w tył moszny. Połączony ciężar jego samego i Meadow pcha go w dół, a dźwignia rozrywa mu skórę, przebija od wewnątrz całą długość członka i wylania się w fontannie krwi.

Żadne słowa nie opiszą tego bólu. Brak oddechu, brak myśli. Tylko ogłuszający biały i czerwony szum. Tucker czuje, że traci przytomność, i przyjmuje to z ulgą. Upuszcza Meadow, która jednak jest na tyle przytomna, że trzyma go za szyję i upadając, ściąga go z dźwigni.

Nie zdając sobie z tego sprawy, mężczyzna wstaje i oddycha. Jego płuca płoną. Musi wyjść. Obejmuje Meadow i wlecze ją metr do wjazdu. Zwalnia zamek i wjazd otwiera się do połowy. Zaprojektowano go tak, by pełnił funkcję schodów, wiodących na ziemię, w samolocie, który stoi na podwoziu. Ręce w rękawicach sięgają do otworu.

- Wyciągniemy was stamtąd - mówi strażak.

Wjazd otwiera się ze skrzypnięciem. Tuck widzi migotanie niebieskich i zielonych świateł, rozświetlających krople deszczu na tle nocnego nieba, co wywołuje takie wrażenie, jakby padał deszcz ognia. Wciąga haust świeżego powietrza.

- Urwałem sobie fiuta - mówi i pada naprzód.

STRACIŁŚ SWOJE MILE W PROGRAMIE CZĘSTYCH LOTÓW

Jak w wypadku większości spraw w życiu, Tucker Case mylił się co do skali swoich obrażeń. Gdy wieźli go przez izbę przyjęć, nie przestawał jęczeć: - Urwałem sobie fiuta! Urwałem sobie fiuta!
- Zawodził prosto w maskę tlenową, aż w końcu u jego boku pojawił się zamaskowany lekarz.

- Panie Case, nie urwał pan sobie fiuta. Uszkodził pan trochę ważnych naczyń krwionośnych i ciała jamiste. Zerwał pan też nerw, który przebiega od czubka penisa do podstawy mózgu. - Lekarz okazał się kobietą, która zsunęła maskę na tyle, by zobaczyć jej uśmiech. - Wyjdzie pan z tego. Wieziemy pana teraz na chirurgię.

-Co z dziewczyną?

- Lekkie wstrząśnienie mózgu i parę siniaków, ale nic jej nie będzie. Pewnie za kilka godzin wróci do domu.

-To dobrze. Pani doktor, czy ja będę mógł... Znaczy, czy jeszcze kiedyś...

-Spokojnie, panie Case. Chcę, żeby zaczął pan odliczać od stu.

- Jest jakiś powód tego... odliczania?

-Może pan wygłosić Przysięgę Wierności Sztandarowi, jeśli pan woli.

-Przecież nie mogę wstać.

- To po prostu odliczaj, cwaniaku.

Gdy Tucker się ocknął, przez mgiełkę znieczulenia ujrzał obraz samego siebie, nałożony na płonący, różowy odrzutowiec. Z góry patrzyła na tę scenę przerażona twarz władczyni piramidy sprzedaży kosmetyków do makijażu, Mary Jean Dobbins, znanej w świecie jako Mary Jean. Potem obraz zniknął, zastąpiony przez pobrużdżoną męską twarz i doskonały uśmiech.

- Tuck, jesteś sławny. Napisał o tobie „Enquirer”. - Głos należał do Jake’a Skye’a, jedyne przyjaciela Tucka płci męskiej i naczelnego mechanika lotniczego u Mary Jean. - Rozbiłeś się w samą porę, żeby trafić do ostatniego wydania.

- Mój fiut? - spytał Tuck, próbując usiąść. Na jego pod brzuszku widniało coś, co wyglądało jak gipsowe jajo strusia. Wychodziła z niego rurka.

Jake Skye, wysoki, ciemny i rozczochrany - w połowie Apacz, a w połowie kelnerka z baru dla kierowców ciężarówek - powiedział:

- To będzie bolało. Ale lekarz mówi, że jeszcze zagrasz na skrzypcach.

Jake usiadł na krześle przy łóżku Tucka i otworzył brukową gazetę.

- Popatrz na to. Oprah znowu jest szczupła. Marchew, grejpfruty i amfetaminy.

Tucker Case jęknął.

- Co z dziewczyną? Jak ona się nazywała?

- Meadow Malackovitch - odparł Jake, zerkając do gazety. - O kurde, Oprah bzyka się z Elvisem. Szacunek dla tej kobiety. Nie próżnuje. Przy okazji, przenoszą cię do Houston. Mary Jean chce mieć cię na oku.

- Dziewczyna, Jake?

Tamten podniósł wzrok znad gazety.

-Nie chcesz wiedzieć.

-Powiedzieli, że nic jej nie będzie. Nie żyje?

-Gorzej. Jest wkurzona. Skoro o wkurzeniu mowa, na zewnątrz jest paru gości z FAA, którzy chcą z tobą pogadać. A ja mam zadzwonić do Mary Jean, kiedy zaczniesz gadać do rzeczy. Radzę tego nie robić... znaczy gadać do rzeczy. Jest też cała masa dziennikarzy. Pielęgniarki ich nie wpuszczają.

-A ty jak wszedłeś?

-Jestem twoim jedynym żyjącym krewnym.

-Moja matka się ucieszy.

-Bracie, matka nie chce się nawet do ciebie przyznać. Tym razem naprawdę spierdoliłeś sprawę.

- Czyli jestem zwolniony?

-Możesz na to liczyć. Właściwie będziesz miał szczęście, jeśli dadzą ci licencję na obsługę kosiarki.

- Nie umiem nic poza lataniem. Jedno złe lądowanie?

- Nie, Tuck, złe lądowanie jest wtedy, kiedy otwierają się luki i ludziom wypadają torby. Ty rozbiłeś samolot. Jeśli przez to poczujesz się lepiej, to bez gulfstreama nie będę miał żadnej roboty przynajmniej przez pół roku. Może nawet nie kupią następnego odrzutowca.

- Czy FAA wniesie oskarżenie?

Jake Skye spojrział w gazetę, by uniknąć jego wzroku.

- Słuchaj, stary, chcesz, żebym cię okłamywał? Przyszedłem tutaj, bo pomyślałem, że wolisz to usłyszeć ode mnie. Wypiłeś. Oprócz samolotu rozwaliłeś należący do SeaTac sprzęt, wart milion dolarów. Masz szczęście, że żyjesz.

- Jake, popatrz na mnie.

Tamten opuścił gazetę na kolana i westchnął. - Co?

- Pójdę do więzienia?

- Muszę iść, stary. - Jake wstał. - Wyliziesz się. - Odwrócił się, by wyjść z sali.

- Jake!

Jake Skye przystanął i obejrzał się przez ramię. Tucker widział zawód w oczach przyjaciela.

- Co ci przyszło do głowy? - spytał mechanik.

- Namówiła mnie. Wiedziałem, że *to* zły pomysł, ale za bardzo nalegała.

Jake podszedł do łóżka i się nachylił.

- Tucker, ile cię to kosztowało? Słuchaj uważnie, stary, bo to twoja ostatnia lekcja, dobra? Przez ciebie wyleciałem z pracy. Sam musisz podejmować decyzje. Nie możesz pozwolić, żeby ktoś inny zawsze mówił ci, co masz robić. Musisz przyjąć na siebie jakąś odpowiedzialność.

- Nie do wiary, że słyszę to od ciebie. To ty wciągnąłeś mnie w ten biznes.

- Właśnie. Masz trzydzieści lat, facet. Musisz zacząć myśleć samodzielnie. I to głową, a nie fiutem.

Tucker spojrzał na bandaż na swoim podbrzuszu.

- Przepraszam. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Wiesz, leciałem na autopilocie. Nie chciałem...

- - ora przejąć stery, chłopie.

- Jake, podczas katastrofy stało się coś dziwnego. Nie wiem, czy to było złudzenie, czy jak. W kabinie był ktoś jeszcze.

- Znaczy, oprócz tej dziwki?

- Tak, tylko przez chwilę. W fotelu drugiego pilota siedział facet. Gadał ze mną. A potem zniknął.

Jake westchnął.

- Po rozwaleniu samolotu żółte papiery w niczym nie pomogą, Tuck. Straciłeś wiele krwi.

- To było, zanim się zraniłem. Kiedy samolot jeszcze spadał.

- Masz. - Jake wsunął mu pod poduszkę srebrną piersiówkę i szturchnął go w ramię. - Zadzwoń, stary. - Odwrócił się i wyszedł.

- A co, jeśli to był anioł czy coś?! - zawołał za nim Tuck.

- Wtedy w przyszłym tygodniu też będziesz w „Enquirerze” - odparł Jake, stojąc już w drzwiach.
 - Prześpij się.

Rozdział 4

WIERZCHOŁEK RÓŻOWEJ PIRAMIDY

Szmer wyczekiwania poniósł się po szpitalnych korytarzach. Reporterzy sprawdzali baterie w dyktafonach i komórkach. Sanitariusze i pielęgniarki snuli się po korytarzach w nadziei, że uda im się zobaczyć gwiazdę. Ludzie z FAA poprawiali krawaty i mankiety. Jedna z recepcjonistek, której brakowało tylko dwóch kanałów dystrybucji do własnego różowego oldsmobile'a, skryła się w sali badań i wciągała w płuca tlen, by pozbyć się zawrotów głowy, jakie towarzyszą spotkaniu z Mesjaszem. Przyjeżdżała Mary Jean.

Mary Jean Dobbins nie podróżowała ze świtą, ochroniarzami ani żadnymi innymi dekoracyjnymi pijawkami, kojarzonymi zwykle z potężnymi bogaczami.

- Bóg jest moim ochroniarzem - mawiała.

W torebce nosiła poślacanego Lady Smitha kaliber 9 mm - model poświęcony pamięci Clary Barton, który dostała od Córek Konfederacji podczas dorocznego pieczenia ciasta orzechowego, organizowanego pod hasłem „Zlinczujmy Leroya” w każdy Dzień Martina Ludiera Kinga. (Nie zgadzała się z ich polityką, ale ślicznotki z Południa wiedziały, jak sprzedawać kosmetyki. Choć Południe nie ogłaszało już secesji, to na pewno nie z uwagi na brak podkładu).

Dzisiaj, gdy Mary Jean weszła do głównego holu, towarzyszyła jej wysoka, drapieżna kobieta w czarnym, biznesowym kostiumie, który ostro kontrastował z pastelowym strojem Mary Jean oraz dopasowanymi do niego pantoflami i torebką. „Siła i kobiecość nie wykluczają się, moje panie”. Miała sześćdziesiąt pięć lat i była przy kości, lecz elegancka. Jej makijaż był doskonały, lecz nieprzesadny. Miała szafirowo-brylantową szpilkę, której wartość dorównywała rocznemu produktowi krajowemu brutto Zairu.

Z uśmiechem witała każdego sanitariusza i pielęgniarkę, pytała o rodzinę, dziękowała za pełną poświęceń pracę, flirtowała, z kim wypadało, i rzucała przez ramię komplementy, nawet nie zwalniając kroku. Zostawiła za sobą tłum oczarowanych fanów, których miała wszędzie, nawet wśród uparciuchów i cyników.

Przed salą Tuckera drapieżna kobieta - prawniczka - złamała szyk i stanęła przed rojem dziennikarzy, pozwalając Mary Jean prześliznąć się bokiem.

Kobieta wsunęła głowę do środka.

- Nie spisz, koleżko?

Jej głos zaskoczył Tucka, wyrwał z niepotrzebnych rozmyślań o bezrobociu, więzieniu i impotencji. Pilot chciał naciągnąć sobie kołdrę na głowę i umrzeć w spokoju.

- Mary Jean.

Królowa makijażu podeszła do łóżka i wzięła go za rękę, pełna współczucia i troski.

- Jak się czujesz? Tuck odwrócił wzrok.

- W porządku.

- Potrzebujesz czegoś? Sprowadzę to tutaj raz-dwa.

- Nie trzeba - odparł. Przy niej zawsze czuł się tak, jakby właśnie zdjęli go z boiska w pierwszym meczu ligi juniorów, a ona pocieszała go mlekiem i ciastkami. Fakt, że kiedyś próbował ją uwieść, tylko wzmagił upokorzenie. - Jake powiedział mi, że przenosisz mnie do Houston. Dziękuję.

- Muszę mieć cię na oku, nieprawdaz? - Poklepała jego dłoń. - Na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby pogadać?

Tucker skinął głową. Nie kupował tego potoku ckliwych bzdur. Widział już, jak załatwiała interesy w samolocie.

- To dobrze, skarbie - powiedziała Mary Jean, wstając i pierwszy raz rozglądając się po sali. - Przyślę tu jakieś kwiaty. Trochę koloru i od razu zrobi się przyjemniej, prawda? No i żeby coś pachniało. Ten ciągły odór dezynfekcji musi ci przeszkadzać.

-Trochę - przyznał.

Obróciła się na pięcie i popatrzyła na niego. Jej uśmiech nabrał wyrazu zaciętości. Tuck pierwszy raz dostrzegł zmarszczki wokół jej ust.

-Pewnie ci przypomina, jakim jesteś totalnym gnojem? Przełknął ślinę. Dał się zmylić jak cholera.

-Przepraszam, Mary Jean. Ja... Uniosła dłoń, więc się zamknął.

-Wiesz, że nie lubię używać wulgaryzmów ani broni palnej, więc mnie nie zmuszaj. Dama panuje nad gniewem.

-Broni palnej?

Mary Jean wyciągnęła z torebki Lady Smitha i wymierzyła w jego zabandażowane krocze. Zauważył, że przy wyciąganiu broni złamała sobie paznokieć, a za to naprawdę mogła go zabić.

- Nie posłuchałeś mnie, kiedy mówiłam, żebyś przestał pić. Nie posłuchałeś, kiedy kazałam ci się trzymać z dala od moich przedstawicielek. Nie posłuchałeś, kiedy powiedziałam, że jeśli chcesz do czegoś dojść, musisz powierzyć życie Bogu. Więc teraz lepiej posłuchaj, do cholery. - Odciągnęła zamek pistoletu. - Słuchasz?

Skinął głową. Nie oddychał, ale skinął głową.

- Dobrze. Prowadzę tę firmę od czterdziestu lat. Bez cienia skandalu, aż do teraz. Obudziłam się wczoraj i zobaczyłam swoją twarz obok twojej we wszystkich porannych wiadomościach. Dzisiaj moje zdjęcie zdobi pierwszą stronę każdej gazety i brukowca w kraju. Złe zdjęcie, Tucker. Miałam niemodne ubranie. A w każdym artykule

raz za razem powtarzają się słowa „penis” i „prostytutka”.

Nie mogę na to pozwolić. Za ciężko na to wszystko pracowałam.

Wyciągnęła rękę i szarpnęła za cewnik. Ból przeszył jego ciało. Tucker sięgnął do przycisku dzwonnka wzywającego pielęgniarkę.

-Nawet o tym nie myśl, chłoptasiu. Chciałam się tylko upewnić, że będziesz uważał.

-Pistolet już to załatwił - jęknął. Kurwa, i tak już nie żył.

-Nie odzywaj się do mnie, tylko słuchaj. To wszystko zniknie. Ty znikniesz. Wyniesiesz się stąd jutro, a potem pojedziesz do domku, który mam w Górach Skalistych. Nie wrócisz do domu, nie będziesz gadał z żadnymi dziennikarzami, nie puścisz pary z gęby. Moi prawnicy zajmą się aspektami prawnymi i dlatego nie pójdziesz siedzieć, ale już nigdy się tu nie pojawisz. Kiedy sprawa przycichnie, będziesz mógł dalej wieść swoje żałosne życie. Ale pod nowym nazwiskiem. A jeśli twoja noga kiedykolwiek postanie w stanie Teksas albo zbliżysz się na sto metrów do jakiejś osoby zatrudnionej w mojej firmie, osobiście cię zastrzelę. Rozumiesz?

-Mogę jeszcze latać?

Mary Jean roześmiała się i opuściła broń.

- Słodziutki, w teksańskim systemie wartości mógłbyś nawarzyć większego piwa tylko wtedy, gdybyś wrzucił dzieciaka do studni, a wcześniej deptał żółte róże na trawiastym wzgórzu między zamachami na prezydenta. Nie będziesz latał, jeździł, chodził, pełzał ani pluł, jeśli mam w tej kwestii coś do powiedzenia. - Schowała pistolet do torebki i poszła do małej łazienki, by sprawdzić makijaż. Po szybkich poprawkach ruszyła do drzwi. - Przyślę kwiaty. Szybko wyzdrowiejesz, skarbie.

A jednak nie zamierzała go zabić. Może zdoła jeszcze wkraść się w jej łaski.

-Mary Jean, chyba doznałem przeżycia duchowego.

-Nie chcę słyszeć o twoich degenerackich wyczynach.

-Nie, prawdziwego przeżycia duchowego. Takiej... jak to się nazywa... epifanii.

-Synku, może nie wiesz, ale jesteś bliżej spotkania z Panem niż kiedykolwiek w życiu. A teraz milcz, zanim poślę cię na wieczne potępienie.

Wykrzywiła się w swoim najlepszym, błogim uśmiechu i wyszła z pomieszczenia, rozsiewając moc pozytywnego myślenia.

Tucker naciągnął kołdrę na głowę i sięgnął po piersiówkę, którą zostawił mu Jake. Wieczne potępienie, tak? Brzmiało fatalnie. To na pewno gdzieś w Oklahomie.

Rodział 5.

NAJŚWIĘTSZA PANIENKA OD SIATKOWYCH POŃCZOCH

Najwyższa Kapłanka ludu Rekinów jadła cheetos i oglądała popołudniowe talk-show z satelity. Siedziała na wiklinowym tronie. Na jednym palcu u nogi dyndał pantofel z czerwonej lakierowanej skóry. Czerwona szminka, czerwone paznokcie, duża czerwona kokarda we włosach. Ale, nie licząc pary porwanych, jedwabnych pończoch, była naga.

Na ekranie: Meadow Malackovitch w kołnierzu ortopedycznym szlochała na ramieniu prawnika - zdjęcie pilota, który spowodował tę traumę, widniało w prawym górnym rogu. Prowadzący, niespełniony prezenter pogody, który teraz zarabiał siedmiocyfrową sumę, wyszukując potworne historie w slumsach, odczytywał niepochlebną charakterystykę Tuckera Case'a. Zdjęcia różowego odrzutowca, przed i po. Sekwencje z Mary Jean na asfalcie lotniska w towarzystwie Case'a w skórzanej kurtce.

Najwyższa Kapłanka dotknęła się delikatnie, pozostawiając ledwie widoczny, pomarańczowy pasek cheetos na swoich włosach łonowych (była naturalną blondynką), po czym nacisnęła guzik interkomu, który łączył ją z Czarownikiem.

-Co? - rozległ się męski głos, zmęczony, ale przytomny. Była druga nad ranem. Czarownik pracował całą noc.

-Chyba znaleźliśmy naszego pilota - powiedziała.

+

KTO PILOTUJE TO ŻYCIE?

W ostatniej chwili Mary Jean zmieniła zdanie w kwestii wysłania Tuckera Case'a do swojego domku w górach. - Wsadźcie go do pokoju w motelu za miastem i nie wypuszczajcie, dopóki nie powiem.

Przez dwa tygodnie Tucker widywał tylko pielęgniarkę, która przychodziła zmienić mu opatrunki, oraz strażnika. Strażnik był obrońcą w drużynie Uniwersytetu Metodystów, niemal dwumetrowym, studwudziestokilowym przykładem chodzącej chrześcijańskiej naiwności i nazywał się Dusty Lemon.

Tucker leżał na łóżku i oglądał telewizję. Dusty siedział zgarbiony nad stołem z płyty pilśniowej i czytał Pismo.

Tucker zagadnął:

- Dusty, może skołujesz nam sześciopak i pizzę?

Strażnik nie podniósł wzroku. Przez jego obcięte na jeża włosy Tuck dostrzegł lśnienie skóry na głowie.

-Nie, proszę pana - zabrzmiał ciężki teksański akcent. - Ja nie piję, a pani Jean powiedziała, że nie wolno dawać panu żadnego alkoholu.

-To nie jest pani Jean, głupku, tylko pani Dobbins. - Po dwóch tygodniach Dusty zaczynał działać Tuckowi na nerwy.

-Na jedno wychodzi - odparł Dusty. - Mogę zamówić panu pizzę, ale o piwie nie ma mowy.

Przez krótkie włosy Tuck zauważył rumieniec.

-Dusty?

-Tak, proszę pana. - Tamten uniósł wzrok znad Biblii i czekał.

-Wymyśl sobie jakieś normalne imię.

-Dobrze, proszę pana - odparł Dusty, a jego księżycową twarz przepołowił szeroki uśmiech. - Tuck.

Tucker chciał zeskoczyć z łóżka i trzepnąć go tą jego Biblią, ale o skakaniu nie było w jego wypadku mowy. Zamiast tego popatrzył przez chwilę w sufit (w ostrzegawczym pomarańczowym kolorze - podobnie jak ściany, drzwi i kafelki w łazience), a potem podparł się na łokciu i przyjrzał Biblii strażnika.

-Ta czerwona czcionka to ostre momenty?

-Słowa Jezusa - odparł Dusty.

-Serio?

Dusty skinął głową i tym razem podniósł wzrok.

- Mam je panu przeczytać? Kiedy moja babcia była w szpitalu, lubiła, jak czytałem jej Pismo Święte.

Tucker opadł z powrotem na łóżko z westchnieniem rozpaczy. Nie rozumiał religii. Była jak heroina albo golf. Wiedział, że wielu ludzi to kręci, ale nie miał pojęcia dlaczego. Jego ojciec w każdą niedzielę oglądał sport, a matka pracowała w agencji nieruchomości. Dorastał w przekonaniu, że Kościół to coś, co przeszkadza w meczach i weekendowym oglądaniu domów. Jego pierwszym doświadczeniem z religią - nie licząc rozbieranych rozkładówek z kobietami, które posuwali telewizyjni kaznodzieje - była praca dla Mary Jean. Wydawało się, że dla niej to po prostu dobry

biznes. Czasami stał z tyłu i słuchał jej mowy do tysiąca kobiet, o tym, że Bóg jest obecny w zespole, a wtedy one krzyczały „Alleluja!”, on zaś miał wrażenie, że coś mu umknęło - coś, co wykraczało poza pozorny idiotyzm tego wszystkiego. Może Dusty też miał w sobie coś więcej.

- Dusty, czemu nie pójdziesz gdzieś dziś wieczorem? Od dwóch tygodni nie wychodzisz. Ja muszę tu być, ale ty... Pewnie cała masa lasek płacze, żeby cię odzyskać. Takiego wielkiego futbolistę, co?

Tamten znowu się zarumienił, oblewając się głęboką czerwienią od kołnierzyka swetra po czubek głowy. Złożył dłonie na kolanach i wlepił w nie wzrok.

- No, właściwie czekam na odpowiednią dziewczynę. A te dziewczyny, które uganiają się za nami, futbolistami, są często, wie pan, łatwe.

Tuck uniósł brwi.

- No i?

Dusty skulił się, aż zaskrzypiało krzesło.

- No, wie pan, to trochę...

I nagle Tucker zrozumiał. Chłopak był prawiczką. Uniósł dłoń, by go uciszyć.

- Nieważne, Dusty.

Potężny obrońca opadł na krzesło, wyczerpany i zmieszany.

Tucker zaczął się nad tym zastanawiać. On, który rozumiał wagę zdrowego życia seksualnego, który wiedział, czego potrzebują kobiety i jak im to dać, być może nigdy już tego nie zrobi. A Dusty Lemon, zdolny zapewne do erekcji, na której kobiety mogłyby ćwiczyć podciąganie, wcale z tego nie korzystał. Pilot rozważał tę kwestię z różnych punktów widzenia i niewiele brakowało, by doznał przeżycia religijnego - bo kto, jeśli nie złośliwy i mściwy Bóg mógł pozwolić na taką niesprawiedliwość na świecie? Myślał o tym. Biedny Tucker. Biedny Dusty. Biedny, biedny Tucker.

Poczuł ucisk w gardle. Chciał coś powiedzieć, żeby podnieść chłopaka na duchu.

-Ile masz lat, Dusty?

-W marcu skończę dwadzieścia dwa, proszę pana.

-No, to jeszcze nie tak źle. Znaczący, może jesteś trochę opóźniony. Albo jesteś gejem - powiedział wesoło Tuck.

Dusty zaczął się zwijać do pozycji embrionalnej.

- Proszę pana, wolałbym o tym nie rozmawiać, jeśli można - wyskamlął.

Rozległo się pukanie do drzwi i chłopak się wyprostował, czujny i gotów do akcji. Popatrzył na Tuckera, czekając na instrukcje.

- No, otwórz.

Dusty podszedł do drzwi i lekko je uchylił. - Tak?

- Przyszedłem spotkać się z Tuckerem Casem. Wszystko w porządku, pracuję dla Mary Jean.

Tuck rozpoznał głos Jake'a Skye'a.

-Chwileczkę. - Dusty odwrócił się i zmieszany popatrzył na Tuckera.

-Kto wie, że tu jesteśmy, Dusty?

-Tylko my i Mary Jean.

-No to dlaczego go nie wpuścisz?

-Tak, proszę pana.

Otworzył drzwi i Jake Skye wmaszerował do środka z torbą zakupów i pudełkiem z pizzą.

- Witaj. - Rzucił pizzę na łóżko. - Pepperoni z grzybami. - Zerknął na Dusty'ego i urwał, przez chwilę taksując futbolistę wzrokiem. - Jak dostałeś tę robotę? Zjadłeś swoją rodzinę?

- Nie, proszę pana - odparł Dusty.

Jake poklepał go po potężnym ramieniu.

-Chyba lepiej uważać. Mama zawsze mówiła: „Uważaj na świrów, którzy przynoszą prezenty”.
Kim jesteś?

-Jake - odezwał się Tuck - poznaj Dusty'ego Lemona. Dusty, to jest Jake Skye, mechanik lotniczy Mary Jean. Bądź miły dla Dusty'ego, Jake. To prawiczek.

Dusty posłał Tuckerowi jadowite spojrzenie i wyciągnął do Jake'a dłoń wielkości rękawicy bokserskiej. Jake ją uściśnął.

-Prawiczek, tak? Jake opuścił rękę.

-Ale nie liczymy zwierząt gospodarskich, prawda? Dusty skrzywił się i podszedł do drzwi, by je zamknąć.

- Nie może pan zostać długo. Pan Case ma się z nikim nie spotykać.

Jake położył torbę z zakupami na stole, wyciągnął dziesięciocentymetrowej grubości plik korespondencji i rzucił go na łóżko obok Tuckera.

-Listy od fanów. Tucker podniósł je.

-Wszystkie otwarte.

-Nudziłem się - stwierdził Jake, otwierając pudełko i wyciągając kawałek pizzy. - Mnóstwo pogrózek, parę ofert matrymonialnych, w obu przypadkach część naprawdę ciekawych. A, i jeszcze bilet lotniczy w jakieś miejsce, o którym w życiu nie słyszałem, plus czek na wydatki.

-Od Mary Jean?

-Nie. Od jakiegoś lekarza-misjonarza na Pacyfiku. Chce, żebyś dla niego latał. Zaopatrzenie medyczne czy coś. Przyszło wczoraj FedEksem. Już chciałem wziąć tę robotę, zwłaszcza że mam jeszcze licencję pilota, a ty nie. Potem doszedłem do wniosku, że znajdę posadę i tutaj.

Tucker przejrzał plik listów, aż znalazł czek i bilet. Rozłożył załączony list.

Jake wyciągnął rękę z pudełkiem do ochroniarza.

-Durny, chcesz pizzy?

-Dusty - poprawił Dusty.

- Wszystko jedno. - Zwrócił się do Tucka: - Chce, żebyś wyruszył jak najszybciej.

- Nie może się stąd ruszyć - zauważył Dusty.

Jake cofnął pudełko.

- Widzę, Dupky. Ciągłe jest przywiązany. - Wskazał cewnik wysuwający się spod pizamy Tuckera. - Za ile będziesz mógł podróżować?

Tucker studiował list. Bez wątpienia wyglądał na prawdziwy. Lekarz mieszkał na wyspie na północ od Nowej Gwinei i potrzebował kogoś do transportowania zaopatrzenia medycznego dla tubylców. Wyraźnie zaznaczył, że „nie interesuje” go brak licencji pilota. Potrzeba była „pilna” i chodziło o doświadczonego pilota odrzutowców, który potrafi pilotować leara 45.

- No - ciągnął Jake - kiedy zaczniesz łązić?

- Doktor mówi, że jeszcze z tydzień muszę poleżeć - odparł Tucker. - Nie rozumiem. Facet proponuje mi więcej pieniędzy, niż dostaję u Mary Jean. Dlaczego ja?

Z torby z zakupami Jake wyciągnął butelkę lone stara i odkręcił kapsel. Tuck skupił wzrok na piwie. Dusty wyrwał je z ręki przybysza.

- Pytanie brzmi - powiedział Jake, gromiąc strażnika wzrokiem - co jakiś jebany doktorek z wyspy Bongo Bongo robi z learem czterdzieści pięć?

- Spełnia wolę bożą? - powiedział niewinnie Dusty.

Jake odebrał mu piwo.

-Nie pierdziel, Hyziu.

-Dusty - poprawił Dusty.

-Nie wiem, czy to dobry pomysł - odezwał się Tucker. - Może powinienem tu zostać i sprawdzić, jak pójdą sprawy z FAA? Ten facet chce mnie natychmiast. Potrzebuję więcej czasu.

- Tak jakby czas sprawiał jakąś różnicę. Cholera, Tucker, nie musisz wpadać w gówno aż po gały, żeby wiedzieć, że warto się wygrzebać. Czasami trzeba podjąć decyzję.

Tucker znowu spojrzął na list.

- Ale ja...

Zanim pilot zdołał skończyć, Jake zamachnął się, butelka lone stara zatoczyła szeroki łuk i przejechała po skroni Dusty'ego Lemona. Ochroniarz padł niczym ścięte drzewo i odbił się od pomarańczowego dywanu niczym zdechły kot.

-Jezu - jęknął Tucker. - Co to, kurwa, było?

-Decyzja - odparł Jake. Podniósł wzrok znad leżącego rutbolisty i pociągnął łyk spienionego lone stara. - Czasami ten stechnicyzowany świat doprasza się o prymitywne rozwiązania. Idziemy.

RADY PRZED PODRÓŻĄ

Nie wierzę, że mu przyłożyłeś – powiedział Tucker. Siedział w fotelu pasażera należącego do Jake'a Skye'a land-rovera w maskującym malowaniu. Ten samochód znacznie przekraczał wymagania drogi szybkiego ruchu w Houston, ale Jake miał skłonność do przesadzania ze sprzętem. Wszystko, co posiadał, było z kevlaru, goreteksu, polaru, stopu tytanowego, kompozytu grafitowo-polimerowego i „profesjonalnej jakości”. Lubił maszyny, rozumiał, jak działają, gdy zaś nie działały, potrafił je naprawić. Czasami wypowiadał niezrozumiałe zbitki liter, takie jak DRAM, FORTRAN, LORAN, SIMM, SAMS i ROM. Z drugiej strony Tuck znał większość słów „Mom-mas, Dont Let Your Babies Grow Up to Be Cowboys” i potrafił przeprowadzić renowację starego tosterka metodą zeszkrobania czarnego osadu.

Z tej dwójki to Jake był fajniejszy. Tuckerowi bycie fajnym zawsze jakoś umykało. Jak to ujął Jake: „Wygląd masz, ale nie umiesz chodzić ani nawijać jak trzeba. Tucker, jesteś beznadziejnym lamusem, uwięzionym w ciele fajnego faceta, ale z dobrego serca udzielę ci nauk”. Od czterech lat byli najlepszymi przyjaciółmi. Jake nauczył Tuckera latać.

-Nic mu nie będzie. To sportowiec! - Jake próbował przekrzyczeć uderzający w plandekę wiatr. Nie kupił zabudowy do land-rovera, wybierając zestaw wyprawowy z „platformą odporną na uderzenia nosorożca”.

-To tylko dzieciak. Czytał Biblię.

-Wyrwałby mi ręce, gdybym mu pozwolił. Tuck pokiwał głową. To była zapewne prawda.

-Dokąd jedziemy?

- Na lotnisko. Wszystko, czego potrzebujesz, jest w plecaku z tyłu.

Tucker spojrział na tył pojazdu. Leżał tam duży plecak.

-Po co?

-Bo jeśli teraz nie wyprawię cię z kraju, to pójdziesz do więzienia.

-Mary Jean powiedziała, że to załatwi. Że prawnicy się tym zajmują.

-Jasne, a ja dla rekreacji walę dzieciaki butelkami z piwem. Dziwka złożyła dziś rano pozew cywilny. Dwadzieścia milionów. Mary Jean musi rzucić cię wilkom, żeby ratować własny tyłek. Musi pozwolić, by sąd dowiódł, że sam z siebie spieprzyłeś sprawę. Kiedy brałem twoją pocztę, wziąłem twój paszport i trochę ciuchów.

-Jake, nie mogę tak po prostu polecieć. Jutro miał mnie zbadać lekarz.

-Po co?

Tuck wskazał na bryłę bandażu na swoim podbrzuszu. - A jak myślisz? Ma ze mnie wyciągnąć tę cholerną rurkę.

- Zrobimy to w łazience na lotnisku. W apteczce w plecaku są antybiotyki. Potwierdziłem ci lot do Honolulu, samolot startuje za godzinę. Stamtąd polecisz na Guam, a dalej w jakieś miejsce o nazwie Truk. Tam ma czekać ten lekarz. Wszystko zapisałem. Na dole listu podałem e-mail. Wysłałem mu wiadomość, żeby spodziewał się ciebie jutro.

- Ale mój samochód, moje mieszkanie, moje rzeczy...

- Twoje mieszkanie to nora, a rzeczy, które warto było zachować, przeniosłem do wynajętego magazynku. Wziąłem kartę pojazdu twojego camaro. Podpiszesz, a ja go sprzedam i prześlę ci pieniądze.

-Byłeś cholernie pewien, że będę chciał to zrobić.

A masz jakiś wybór?

Jake zaparkował land-rovera na parkingu godzinowym, przewiesił sobie plecak przez ramię i poprowadził kumpla do terminalu międzynarodowego. Sprawdzili plecak i znaleźli toaletę w pobliżu bramki Tuckera.

- Sam to zrobię - stwierdził Tuck.

Jake zaglądał przez drzwi do kabiny, gdzie Tucker szykował się do usunięcia opatrunków, a potem cewnika. Grupa biznesmenów myła ręce przy rządzie umywalek, starając się nie zauważać, co dzieje się w kabinie za nimi.

-Po prostu szarpnij - poradził Jake.

-Daj mi chwilę. Zdaje się, że w środku zawiązali na supeł.

-Nie bądź cieniasem. Szarpnij i już.

Biznesmeni przy kranach wymienili spojrzenia spod uniesionych brwi i po kolei ruszyli do drzwi.

- Liczę do pięciu - oznajmił Jake - a potem wejdę do kabiny i zrobię to za ciebie. Raz, dwa...

Kowboj przy pisuarach zapiął wranglery, zsunął kapelusz na czoło i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi, by wsiąść do samolotu i polecieć w miejsce, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają.

- Pięć!

Ochroniarze puścili się biegiem przez terminal w kierunku, z którego dobiegł krzyk. W męskiej toalecie kogoś mordowano, a oni byli za to odpowiedzialni. Wpadli do środka z pistoletami w rękach. Jake Skye stał przy umywalkach i zwijał jakąś rurkę.

-Wszystko w porządku, panowie - zapewnił. - Kolega trochę się zdenerwował. Właśnie się dowiedział, że zmarła mu matka.

-Moja matka żyje! - odezwał się Tucker z kabiny.

-To faza zaprzeczenia - szepnął Jake do ochroniarzy. - Lepiej to weźcie. - Podał rurkę jednemu z nich. - Nie chcemy, żeby się z żalu powiesił.

Dziesięć minut później, po kondolencjach od pracowników ochrony, siedzieli w hali odlotów i pili gin z tonikiem, czekając na wezwanie do odprawy. Wokół nich mężczyźni i kobiety w strojach biznesowych dzwonili z komórek, a około dwadzieścioro z nich tłoczyło się przy barze, próbując zająć małą strefę dla palących. Jake Skye wyliczał zawartość plecaka, który dał Tuckowi, lecz ten nie słuchał. Był przytłoczony prędkością, z jaką jego życie zmieniło się w szajs, i rozpaczliwie próbował się w tym wszystkim rozeznąć. Głos Jake'a rozpływał się niczym dźwięk mirlitonu w tunelu aerodynamicznym.

- Palnik działa na wszystko - ciągnął Jake - ropę, paliwo lotnicze, benzynę, nawet na wódkę. Masz też maskę, płetwy i rurkę plus dwie wodoodporne latarki.

Praca dla Mary Jean była doskonała. Co parę dni inne miasto, ładne hotele, konto na wydatki i dosłownie tysiące pełnych zapału pań od Mary Jean, gotowych spełniać jego zachcianki. I spełniały -

jedna albo dwie na każdym zjeździe. Zainspirowane przemowami Mary Jean o determinacji, motywacji i o tym, że każdy może być zwycięzcą, podchodziły do Tuckera w poszukiwaniu przygodnego romansu z pilotem. Niezależnie od tego, ile razy następowała taka sytuacja, Tucker zawsze czuł się nieco zaskoczony ich awansami i dobrze grał swoją rolę. Zachowywał się jak mężczyzna zerwany z okładki jakiegoś romansidła: uroczy łobuziak, pełen pasji korsarz, który z nadejściem poranka wraca na statek i wypływa w morze, za Boga, królową i ojczyznę. Ma się rozumieć, zazwyczaj, jeszcze przed nadejściem poranka, kobiety orientowały się, że pod tą gładką, pachnącą ginem powierzchownością kryje się facet, który wacha swoje bokserki, by sprawdzić, czy nadają się do noszenia. Lecz przynajmniej przez chwilę był fajny, dla nich i dla siebie. Obłeśny, ale fajny.

Kiedy dopadał go kac moralny, musiał tylko wciągnąć kilka haustów tlenu w kabinie, a potem wzbić się różowym odrzutowcem ku niebu, by przekonać siebie, że był profesjonalny, kompetentny i kontrolował sytuację. Po nabraniu wysokości przełączał na autopilota.

Ale teraz nie mógł już uwodzić ani pozwalać się uwieść, w dodatku nie był pewien, czy może latać. Kraksa odebrała mu pewność siebie. Nie chodziło o uderzenie w ziemię ani nawet o obrażenia. Liczyła się ta ostatnia chwila, gdy ten facet, czy też anioł, czy kto to tam był, pojawił się fotelu drugiego pilota.

- Myślisz czasem o Bogu? - zwrócił się Tucker *do* Jake'a. Oblicze Jake'a Skye'a zamarło w wyrazie całkowitego niezrozumienia.

- Musisz wiedzieć to, co ci mówię, jeśli wpadniesz w tarapaty. To jak kontrola wskaźnika paliwa, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Tucker się skrzywił.

- Słuchaj, słyszałem każde słowo. Nagle wydało mi się to ważne, wiesz?

-No, w takim razie tak, czasem myślę o Bogu. Kiedy jestem z jakąś gorącą laską i jedziemy z tym jak spocone małpy, wtedy o tym myślę. Myślę o wkurzonym starcu z wyciągniętym palcem z Kaplicy Sykstyńskiej. I wiesz co? To działa. Nie spuścisz się, kiedy myślisz o czymś takim. Spróbuj kiedyś. O, przepraszam.

-Nieważne - odrzekł Tucker.

-Nie przejmuj się tym dzieciakiem z Biblią. Jest za młody, żeby odpuścić religię... ma za mało grzechów na koncie. Ale dla takich jak my to najlepsza opcja: wszystko to brednie i zjedzą nas robaki. Lepiej o tym nie myśleć.

- Racja - odrzekł Tucker, absolutnie niezadowolony.

Jeśli się miało pytanie o dowolny gadżet świata, należało iść prosto do Jake'a Skye'a. Ale pod względem duchowym kumpel prezentował poziom chomika. Właściwie była to jedna z cech, które Tucker w nim lubił. Postarał się o tym nie myśleć i zmienił temat.

- No to co muszę wiedzieć o lataniu learem czterdzieści pięć?

Jake'owi najwyraźniej ulżyło, że wrócili do królestwa techniki.

-Jeszcze żadnego nie widziałem, ale mówią, że lata tak samo, jak stary lear dwadzieścia pięć Mary Jean, tyle że jest szybszy i ma większy zasięg. No i lepszą awionikę. Przeczytaj instrukcję, jak już będziesz na miejscu.

-A co z przyrządami nawigacyjnymi? - Tucker kiepsko sobie radził z nawigacją. Odkąd uzyskał licencję, całkowicie polegał na systemach automatycznych.

- Dasz sobie radę. Nikt nie kupuje samolotu za cztery miliony dolarów, żeby oszczędzać na nawigacji i radiu. Ten doktor ma adres e-mailowy, a to oznacza, że ma i komputer. Będziesz miał dostęp do map i prognoz pogody i wykorzystasz je przy planowaniu lotów. Sprawdzaj infrastrukturę w punktach docelowych, żeby wiedzieć, czego się spodziewać. Niektóre pasy startowe w Trzecim Świecie mają do nocnych lądowań tylko tubylca ze świecą. I sprawdź dostępność paliwa. Inaczej sprzedadzą ci ścieki zamiast benzyny. Miałeś kiedyś do czynienia z policją lotniskową w Trzecim Świecie?

Tucker wzruszył ramionami. Jake doskonale wiedział, że nie miał. Wymagane godziny wylatał jako drugi pilot odrzutowca Mary Jean i nigdy nie wypuszczali się poza kontynentalne Stany Zjednoczone, nie licząc jednej wycieczki na Hawaje.

-Wiesz - ciągnął mechanik - słowo klucz brzmi „łapówka, łapówka i jeszcze raz łapówka”. Dawaj największą sumę, jaką możesz, na jak najniższym szczeblu władzy. Zawsze miej przy sobie gruby zwitek dolarów i nie wyciągaj go na stół, jeśli nie chcesz go stracić. Miej coś schowane w bucie, na wypadek gdybyś się splukał.

-Myślisz, że ten lekarz każe mi wozić dragi?

-Spora szansa, nie sądzisz? Zresztą to bez znaczenia. Oni są tam brutalni. Na ogół pół rządu nosi to samo nazwisko, więc pokonując kolejne szczeble, gadasz po prostu z wujkiem tego, który oskubał cię poprzednio. Duma nakaże mu wziąć jeszcze więcej.

Tucker złapał się za głowę i wbił spojrzenie w swój gin z tonikiem.

- Mam przejebane.

Jake poklepał go po ramieniu, po czym cofnął rękę z uwagi na intymność tego gestu.

- Wywołują twój lot. Dasz sobie radę.

Wstali i Jake rzucił na stolik parę banknotów. Przy bramce Tucker odwrócił się do przyjaciela.

-Stary, nie wiem co powiedzieć. Jake wyciągnął rękę.

-Nie ma sprawy, stary. Też byś to dla mnie zrobił.

-Nie cierpię lecieć z tyłu. Sprawdź, co u tego chłopaka z motelu, dobra?

-Zrobi się. Słuchaj, wszystko, czego ci potrzeba, masz w plecaku. Nie zgub go.

-Dobra - odrzekł Tucker. - Cóż... - Odwrócił się i ruszył po pomocy do samolotu.

Jake Skye chwilę za nim patrzył, potem zawrócił, podszedł do automatu telefonicznego, wybrał jakiś numer i czekał.

- Tak, mówi Jake. Już jest w drodze. Tak, na pewno poleciał. Kiedy mogę odebrać czek?

+

8

UPOKORZENIE PILOTA JAKO PASAŻERA

W samolocie Tucker rozłożył list od tajemniczego lekarza i przeczytał go jeszcze raz.

Drogi Panie Case,

dowiedziałem się o Pańskich niedawnych kłopotach i mam propozycję, która może przynieść duże korzyści nam obu. Moja żona i ja jesteśmy misjonarzami na Alua-lu, odległym atolu na północno-zachodnim krańcu Mikronezji. Jako że znajdujemy się z dala od normalnych szlaków transportowych, a przy tym jako jedyni świadczymy usługi medyczne dla ludności wyspy, potrzebujemy własnego samolotu do transportu zaopatrzenia. Ostatnio nabyliśmy do tego celu leara 45, ale nasz poprzedni pilot został z przyczyn osobistych wezwany na stały ląd na czas nieokreślony.

Krótko mówiąc, Panie Case, biorąc pod uwagę Pańskie doświadczenie w pilotowaniu małych odrzutowców, a także nasze szczególne potrzeby, uważamy, że może to być doskonała okazja dla obu stron. Nie interesuje nas status Pańskiej licencji, a jedynie zdolność pilotowania samolotu i zaspokojenia potrzeby, którą trzeba określić jako pilną.

Jeśli zechce Pan związać się długoterminowym kontraktem, zapewnimy Panu zakwaterowanie i wyżywienie na wyspie, zapłacimy 2000 \$ tygodniowo oraz wysoką premię po wypełnieniu umowy. W dowód szczerości naszych intencji, załączam otwarty bilet lotniczy i czek na 3000 \$ na Pańskie wydatki podczas podróży. Proszę powiadomić nas e-mailem o terminie Pańskiego przybycia na Truk. Moja żona spotka się tam z Panem, by omówić warunki zatrudnienia i przetransportować Pana na Alualu. W hotelu Paradise Inn czeka pokój, zarezerwowany na Pańskie nazwisko.

Z poważaniem,

dr Sebastian Curtis

Dlaczego ja? - zastanawiał się Tuck. Rozbił samolot, stracił pracę, a zapewne także życie seksualne, został oskarżony o wiele przestępstw, a potem znikąd przyszedł list i czek, by go wyciągnąć, ale tylko pod warunkiem, że zgodzi się rzucić wszystko i przenieść na wyspę na Pacyfiku. Praca mogła się okazać dobra, ale gdyby to on miał o tym decydować, nadal by się zastanawiał w pokoju motelowym, w towarzystwie Dusty'ego Lemona. Miał wrażenie, że ktoś nasłał połączenie ironii losu i Jake'a Skye'a, by podjąć decyzję za niego. Nic dziwnego, pomyślał. Wcześniej przez to samo połączenie w ogóle usiadł w fotelu pilota.

Tuck wychował się w Elsinore w Kalifornii, na północny wschód od San Diego. Był jedynym synem właściciela Denmark Silverware Corporation. Miał zwyczajne dzieciństwo, był przeciętnym sportowcem, a większa część lat młodzieńczych upłynęła mu na surfowaniu w San Diego i uganianiu się za dziewczynami, z których jedną w końcu zdołał złapać.

Zoophilia Gold była córką prawnika jego ojca, uroczą dziewczyną, nieśmiałą z powodu okrutnego imienia. Tuck i Zoo przeżyli krótki romans, który znalazł się w stanie zawieszenia, gdy ojciec posłał Tucka do koledżu w Teksasie, by syn nauczył się podejmować decyzje i kiedyś przejął rodzinny interes. Gwarancja pracy odbierała motywację, więc Tuck otrzymywał ledwie dopuszczające oceny, dopóki jego studenckiej kariery nie zakończył pilny telefon od matki.

- Wracaj do domu. Twój ojciec nie żyje.

Tuck pokonał drogę do domu w dwa dni, zatrzymując się tylko po to, by zatankować, skorzystać z łazienki i zadzwonić do Zoophilii, która powiadomiła go, że jego matka wyszła za brata ojca i wuj przejął Denmark Silverware.

Oślepy z wściekłości Tuck wjechał z piskiem opon Do El-sinore i potracił ojca Zoophilii, gdy ten wychodził z domu jego matki.

Śmierć uznano za wypadek, ale podczas śledztwa policjant poinformował Tucka, że choć nie ma dowodów, to podejrzewa, że wypadek na koniu, w którym zginął jego ojciec, wcale nie był wypadkiem. Zwłaszcza że ojciec Tucka miał alergię na konie. Tuck był pewien, że wszystko uknuł jego wuj, ale nie umiał zebrać się w sobie, by stawić czoło matce albo jej nowemu mężowi.

Tymczasem Zoophilia, w żałobie po zmarłym tacie, przedawkowała prozac i utopiła się w wannie, a jej brat, który także wyjechał do koledżu, wrócił, przysięgając, że zabije Tuckera, a przynajmniej doprowadzi do skazania go przed sądem za śmierć ojca i siostry. Zastanawiając się nad dalszymi działaniami, Tucker poznał w barze Pacific Beach duet brunetek z Teksasu, które nalegały, by pojechał wraz z nimi do ich stanu. Wydziedziczony, załamany i otumaniony Tucker dotarł z nimi do małego, podmiejskiego lotniska pod Houston, gdzie dziewczyny spytały, czy skakał kiedykolwiek nago ze spadochronem. Wtedy, tak naprawdę nie dbając o to, czy przeżyje, czy zginie, wsiadł z nimi do beechcrafta.

Zostawiły go podrapanego i poobijanego na asfalcie, w ochraniaczu na krocze i w uprzęży

spadochronu, drżącego od fali adrenaliny. Jake Skye napotkał go, snującego się przy hangarach ze spadochronem w roli togi. To był ciężki rok.

-Niech zgadnę - odezwał się Jake. - Margie i Randy Sue?

-Tak - potwierdził Tucker. - Skąd wiesz?

-Ciągłe to robią. Tatusiowie z pieniędzmi, kompania naftowa Rosencrantz i Guildenstern. Mam nadzieję, że nie rozciąłeś tego spadochronu. Możesz dostać za niego tysiąka.

-Czyli pojechały?

-Godzinę temu. Mówiły coś o wyjeździe do Londynu. Gdzie masz ubranie?

-W ich samochodzie.

-Chodź ze mną.

Jake dał Tuckerowi robotę przy myciu samolotów, a potem nauczył go latać cessną 172 i zapisał na kurs pilotażu. Tucker w pół roku wylatał samolotem dwusilnikowym tyle godzin, ile trzeba, pomagając Jake'owi transportować teksańskich biznesmenów po całym stanie wyleasingowaną maszyną Beech Duke. Jake przekazał latanie Tuckowi, gdy tylko ten uzyskał certyfikat 135.

- Mogę latać wszystkim - powiedział wtedy Jake - ale jeśli to nie śmigłowce, wolę machać kluczami. Jedyna pewna robota w śmigłowcu to latanie nad pola naftowe w Zatoce. Zbyt wielu kumpli skończyło w wodzie. Ty lataj, ja zajmę się techniką, podzielimy się kasą.

Minęło jeszcze pół roku i Jake dostał propozycję pracy w Mary Jean Cosmetics Corporation. Jake przyjął ją pod warunkiem, że Tucker będzie jego drugim pilotem, dopóki nie wylata wymaganej liczby godzin learem (opisał Tucka jako „zagubioną owieczkę” i królowa makijażu ustąpiła). Mary Jean sama pilotowała, ale gdy Tucker zdobył kwalifikacje, oddała mu stery na pełny etat.

- Niektórzy członkowie zarządu twierdzą, że lepiej wykorzystam czas, zajmując się interesami, a nie pilotowaniem. Poza tym to niezbyt kobiece. Jak ci się podoba praca?

Szczęście. Takie szkolenie kosztowałoby setki tysięcy dolarów, a on w większości otrzymał je bezpłatnie. Stał się nowym człowiekiem, a wszystko zaczęło się od dziwnego ciągu pechowych zdarzeń, po którym nadarzyła się okazja i do akcji wkroczył Jake Skye. Może i tym razem wyjdzie mu to na dobre. Tym razem przynajmniej nikt nie zginął.

KULT AUTOPILOTA: LEKCJA HISTORII

Odezwał się pilot: - Jest godzina dziewiąta czasu miejscowego. Temperatura wynosi trzydzieści dwa stopnie. Dziękujemy za wybór linii Continental i życzymy miłego pobytu na Truk. - A potem roześmiał się złowieszczo.

Tuck wysiadł z samolotu i poczuł w płucach ciężkie powietrze. Pachniało zielenią i urodzajem, jakby roślinność wciąż wzrastała, ginęła i gniła, wydzielając gaz zbyt gęsty, by można było nim oddychać. Ruszył za szeregiem pasażerów do terminalu, długiego i niskiego budynku z pustaków - w zasadzie nie był niczym więcej jak tylko blaszanym dachem na słupach - w którym roilo się od brązowoskórych ludzi. Niskich, korpulentnych mężczyzn w dżinsach albo starych dresach i koszulkach, kobiet w kwaciastych, bawełnianych sukienkach z bufiastymi rękawami, o włosach ułożonych w koki upięte za pomocą szylkretowych grzebieni.

Tuck czekał, pocąc się, na krańcu terminalu, podczas gdy młodzi mężczyźni przepychali bagaże przez kurtynę na platformę ze sklejki. Tubylcy zabierali swoje bagaże, głównie chłodziarki, owinięte taśmą pakową i bez zatrzymywania się mijali stanowisko celnika. Szukał wzrokiem jakiegoś turysty, by się przekonać, jak oni są traktowani, ale żadnego nie zobaczył. Celnik wbił w niego wzrok. Tuck miał nadzieję, że nie ma w plecaku nic zakazanego. Lotnisko wyglądało jak peron przy obozie śmierci. Aresztu wolał nie oglądać. Palcami wymacał zwitek banknotów w swojej kieszeni i pomyślał: łapówka.

Plecak wyjechał zza kurtyny. Tucker przeszedł przez tłum wyspiarzy i zarzucił bagaż na plecy, po czym podszedł do stanowiska celnika i położył plecak na ladzie przed funkcjonariuszem.

- Paszport - powiedział tamten. Był gruby i do munduru z mosiężnymi guzikami nosił na nogach tanie klapki.

Tuck podał mu dokument.

-Jak długo pan zostanie?

-Niedługo. Nie jestem pewien. Może dzień, może dwa.

-Następny samolot za trzy dni. - Oficer podstemplował paszport i mu go oddał. - Pobieramy dziesięć dolarów opłaty wyjazdowej.

-To wszystko? - Tucker był zdumiony. Bez kontroli, bez łapówki. Znowu szczęście.

-Proszę zabrać bagaż.

-Dobrze. - Złapał plecak i ruszył w stronę tablicy oznaczającej wyjście, ręcznie namalowanej na sklejce. Wyszedł z lotniska i oślepiło go słońce.

-Ej, nurkuje? - rozległ się męski głos.

Tuck zmrużył oczy i ujrzał stojącego przed sobą chudego mieszkańca wyspy w hokejowej bluzie

Bruins. Miał sześć zębów, w tym dwa złote.

-Nie - odparł Tuck.

-Po co przyjeżdża, jak nie nurkuje?

- Jestem tu w interesach. - Opuścił plecak i próbował oddychać. Ubranie przesiąkło mu potem. Dziesięć sekund na tym słońcu i już chciał uciekać w cień niczym karaluch pod piec.

- Gdzie mieszka?

Facet kojarzył się z przestępcą - wystarczyłaby przepaska na oko, by wyglądał jak pirat.

- Jak się dostać do Paradise Inn?

Pirat zawołał nastolatka, który siedział w cieniu i obserwował masę poobijanych japońskich samochodów z przyciemnianymi szybami, walczących o pierwsze miejsce na pylistej ulicy.

- Rindi! Paradise.

Młodzieniec, ubrany niczym raper z Compton - za duże szorty, futbolowa bluza, przekręcona bejsbolówka na niebieskiej bandanie - podszedł i złapał plecak Tuckera. Ten trzymał bagaż i nie chciał go puścić.

- Pójdzie z nim - rzekł pirat. - On zabierze do Paradise.

- Chodź, ziom - powiedział chłopak. - W moim wozie klima.

Tucker puścił plecak i chłopak poniósł go między samochodami do starej hondy civic z celofanem zamiast tylnej szyby i drutem utrzymującym drzwi pasażera w zamkniętej pozycji. Tuck szedł za nim, szybko mijając samochody, z których każdy szarpał w przód, jakby zamierzał go uderzyć. Chciał zobaczyć miny kierowców, ale wszystkie przednie szyby były przyciemnione folią.

Chłopak wrzucił plecak do samochodu, po czym odwinął drut z drzwi i je otworzył. Tuck wsiadł do środka i znowu poczuł się zdany całkowicie na łaskę szczęścia. Teraz zobaczę miejsce, w którym rabują i zabijają białych, pomyślał.

Gdy jechali, Tuck wyglądał przez okno na lagunę. Nawet przez przyciemnioną szybę błękit wody jaśniał, jakby podświetlono ją od spodu. Miejscowe kobiety w maskach do nurkowania brodziły w wodzie do ramion. Kwieciste sukienki unosiły się wokół nich, nadając im wygląd wielobarwnych meduz. Każda miała krótką plastikową włócznię, zawieszoną na kawałku rurki chirurgicznej. Na powierzchni pływały duże plastikowe wiadra, do których kobiety wkładały zdobycz.

-Co łowią? - zwrócił się Tuck do kierowcy.

-Ośmiornice, jeżowce, małe ryby. Głównie ośmiornice. Hej, skąd pan w Stanach?

-Wychowałem się w Kalifornii. Chłopak się rozpromienił.

-Kalifornia! Macie tam Cripsów, nie?

- Tak, są gangi.

- Ja jestem Cripsem - oznajmił młodzieniec, z dumą wskazując swoją niebieską bandanę. - Jeśli z kumplami znajdziemy jakichś Bloodsów, damy im wycisk.

Tucker był zdumiony. Przy drodze śliczna dziewczyna w sukience w kwiaty piła z zielonego kokosa. A tu, w samochodzie, toczyła się wojna gangów.

- Gdzie oni są? - spytał.

Rindi ze smutkiem pokręcił głową.

- Nikt nie chce być Bloodsem. Na Truk tylko Cripsi. Ale jeśli jakiegoś zobaczymy, to dostanie kulkę. - Odsunął ręcznik na tylnym siedzeniu, odsłaniając odrapaną wiatrówkę.

Tuck zanotował w pamięci, by nie nosić czerwonej bandany i przypadkiem nie uzupełnić braku Bloodsów. Nie miał najmniejszej ochoty zginąć ani zostać rannym podczas zabawy w kowbojów i Indian.

- Jak daleko do hotelu?

- To tu - odrzekł Rindi, zawracając hondą na pylisty parking.

Paradise Inn był dwupiętrowym budynkiem, z którego sypał się tynk, z koroną zardzewiałych, stalowych prętów, sterczących w niebo i czekających na trzecie piętro, którego nigdy nie zbudowano. Tuck pozwolił, by Rindi zaniósł jego plecak do pokoju na piętrze: zielone ściany z pustaków nad brązowym linoleum, sfatygowane metalowe biurko, poplamione od dymu zasłony w kwiaty, podwójne łóżko z podartą narzutą z lat pięćdziesiątych, zapach pleśni i środka owadobójczego. Rindi włożył plecak do szafy bez drzwi i przełączył mały okienny klimatyzator na maksymalną wydajność.

- Za późno na prysznic. Woda znowu włączona od czwartej do szóstej.

Tuck zerknął do łazienki. Błąd. Na zasłonie prysznicowej rosło coś egzotycznego i pomarańczowego.

- Gdzie mogę napić się piwa? - spytał. Rindi się uśmiechnął.

-Mamy bar. Budweiser, „król piw”. MTV z satelity. - Wykrzywił nadgarstki i zaczął wykonywać raperskie ruchy, które wyglądały tak, jakby doznał rytmicznego porażenia mózgowego. - Yo, luzik przy najlepszych ziomalach? Snoop, Ice, Public Enemy.

-O, to dobrze - powiedział Tuck. - Potem możemy postrzelać z samochodu. Jak się dostać do baru?

-Po schodach na dół, na zewnątrz i w prawo. - Urwał, najwyraźniej zatroskany. - Trzeba strzelać od strony kierowcy. Druga szyba się nie opuszcza.

-Damy sobie radę. - Tuck dał chłopakowi dolara i wyszedł z pokoju, dumny, że jest Amerykaninem.

Wejście do baru zdołał nieprzytomny mężczyzna. Tuck przeszedł nad nim i pchnął drzwi z czarnego szkła, po czym znalazł się w chłodnym, ciemnym i zadymionym pomieszczeniu, rozświetlonym przez bezgłośny śnieżący telewizor, i migotliwy neon BUDWEISER. Za barem stał jakiś cień, dwa inne siedziały przed nim. Tuck widział w ciemności oczy - może ludzi siedzących przy stolikach, a może jakichś nocnych szkodników.

Rozległ się głos:

- Amerykanin postawi piwo swojemu rodakowi.

Był to głos jednego z cieni przy barze. Tuck zmrużył oczy w mroku i ujrzał potężnego białego mężczyznę około pięćdziesiątki, w eleganckiej koszuli z plamami potu. Uśmiechał się jowialnie pod otępiałymi oczami pijaka. Tuck odpowiedział uśmiechem. Każdy, kto nie mówił łamaną angielszczyzną, był w tym momencie jego przyjacielem.

-Co pijesz, stary? - Tuck zawsze, gdy się zaprzyjaźniał, mówił z teksańskim akcentem.

-To co się tu pije. - Tamten uniósł dwa palce w stronę barmana, po czym wyciągnął dłoń. - Jefferson Pardee, redaktor naczelny „Truk Star”.

- Tucker Case. - Tuck usiadł na stołku obok. Barman postawił przed nimi dwie mokre puszkę budweisera i czekał.

-Otwórz rachunek - powiedział Pardee. Potem zwrócił się do Tucka: - Pewnie jesteś nurkiem?

-Skąd to przypuszczenie?

- To jedyny powód, dla którego Amerykanie tu przyjeżdżają, nie licząc członków sił pokojowych i marynarki. A, jeśli wolno mi to powiedzieć, nie wyglądasz na takiego idealistę, żeby służyć w siłach pokojowych ani na takiego głupka, żeby iść do marynarki.

- Jestem pilotem. - Miło było to powiedzieć. Zawsze to lubił. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się bał, że już nigdy nie będzie mógł tego powiedzieć. - Mam się spotkać z kimś z innej wyspy w sprawie pracy.

-Mam nadzieję, że nie w misjonarskiej ekipie lotniczej.

-Dla lekarza z misji. A co?

-Synu, ci ludzie wykonują świetną pracę, ale niewiele wyciśniesz z tych ich starych maszyn. Pięćdziesięcioletnie beeches osiemnastki i DC-3. Prędzej czy później spadniesz do wody. Ale

pewnie latasz dla Boga.

-Będę pilotował nowego learjeta. Pardee omal nie upuścił piwa.

-Pieprzysz.

Tuck miał ochotę wyciągnąć list i pacnąć nim o bar, ale zmienił zdanie.

- Tak mi powiedzieli.

Tamten oparł na kontuarze wielkie włochate przedramię i nachylił się do Tucka. Zionęło od niego kaczem.

-Jaka wyspa i jaki Kościół?

-Alualu - odparł pilot. - Niejaki doktor Curtis. Pardee skinął głową i z powrotem usiadł na stołku.

-Wyspa niczyja.

-Co to znaczy?

-Nie należy do nikogo. Wiesz cokolwiek o Mikronezji?

-Tylko tyle, że macie gangi, ale nie macie stałych dostaw bieżącej wody.

-Zależy, jak na to patrzeć, Truk to może być piekło. Tak się dzieje, kiedy dajesz puszki coli kulturze kokosowej. Ale to nie do końca tak. Mikronezja składa się z dwóch tysięcy wysp i sięga niemal od Hawajów po Nową Gwineę. Pierwszy wylądował tu Magellan, podczas swojej pierwszej podróży dookoła świata. Wyspy były w rękach Hiszpanów, potem Niemców, potem Japończyków. My odebraliśmy je Japończykom podczas wojny. Tylko w lagunie wokół Truk leży na dnie siedemdziesiąt japońskich okrętów. Dlatego przyjeżdżają tu nurkowie.

-A co to ma wspólnego z miejscem, do którego jadę?

-Zaraz do tego dojdę. Jeszcze piętnaście lat temu Mikronezja stanowiła protektorat USA, z wyjątkiem Alualu. Ponieważ znajduje się na zachodnim krańcu, wyłączyliśmy ją z traktatu z Japończykami. Przecoczono ją w tym zamieszaniu. Dlatego Alualu nigdy nie stanowiła terytorium Stanów Zjednoczonych, a kiedy Sfederowane Stany Mikronezji ogłosiły niepodległość, nie objęły Alualu.

-I co to znaczy? - Tuck zaczynał się niecierpliwić. Był to najdłuższy wykład, jakiego wysłuchiwał od czasu kursu pilotażu.

-Krótko mówiąc, zero zwierzchniego rządu, zero pomocy z zewnątrz, zero wszystkiego. Alualu należy do tych, którzy tam mieszkają. Leży z dala od szlaków transportowych. To atol, tylko jedna wyspa, a nie archipelag wokół laguny, więc za mało tam kopry, żeby zbieraczom opłacało

się pływać. Od czasów wojny, kiedy był tam pas startowy, nikt w to miejsce nie zagląda.

-Może dlatego potrzebują odrzutowca?

-Synu, przybyłem tu w sześćdziesiątym szóstym z Korpusem Pokoju i już zostałem. Widziałem wielu misjonarzy, wyrzucających masę pieniędzy na różne rzeczy, ale nigdy nie widziałem Kościoła, który chciałby się szarpnąć na lear-jeta.

Tuck chciał walnąć głową o bar, żeby tylko usłyszeć grzechotanie swojego małego mózdzku. Oczywiście, to było zbyt piękne, żeby się okazało prawdziwe. Instynktownie to przeczuwał. Powinien był się domyślić, gdy tylko zobaczył, ile pieniędzy mu proponują. Jemu, Tuckerowi Case'owi, największemu frajerowi świata.

Tuck dopił piwo i gestem zamówił dwa kolejne.

-To co wiesz o tym Curtisie?

-Słyszałem o nim. Tutaj dzieje się niewiele ciekawego, ale dzięki niemu ze dwadzieścia lat temu było o czym mówić. Odwaliło mu na lotnisku w Yap, kiedy nie znalazł nikogo, kto zabrałby z wyspy chore dziecko. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze tu jest. Doszły mnie słuchy, że Kościół go wycofał. Kultury cargo przyprawiają chrześcijan o dreszcze.

Tuck wiedział, że to podpucha. Spotykał takich gości jak Pardee w barach lotniskowych hoteli w całych Stanach: samotnych biznesmenów, zwykle akwizytorów, gotowych pogadać z każdym o czymkolwiek, tylko dla towarzystwa. Nauczyli się skłaniać do zadawania pytań, które wymagały długich i pokrętnych odpowiedzi. Współczuł im, odkąd w trzeciej klasie zagrał Williego Lomana w szkolnym przedstawieniu panny Patterson „Śmierć komiwojażera”. Pardee chciał po prostu pogadać.

- Co to jest kult cargo? - spytał Tuck.
Pardee się uśmiechnął.

- Te kultury istnieją na wyspach, odkąd Hiszpanie wylądowali w szesnastym wieku i wymienili z tubylcami stalowe *narzędzia* i paciorki na żywność i wodę. Przetrwały do dzisiaj. - Pardee pociągnął długi łyk piwa, odstawił je, po czym mówił dalej: - Wszystkie te wyspy zamieszkiwali ludzie skądinąd. Opowieści o bohaterskich przodkach pokonujących morze czółnami to część ich religii. Przodkowie przywieźli z za morza wszystko, czego im potrzeba. I nagle pojawiają się kolesie z nowymi, fajnymi rzeczami. Niespodziewani przodkowie, niespodziewani bogowie z za morza, przywożący dary. Włączyli więc przybyszy do swoich wierzeń. Czasami mijało pięćdziesiąt lat, zanim pojawił się następny statek, ale za każdym razem, gdy używali maczety, myśleli o powrocie bogów i ich ładunku.

- Czyli ci ludzie ciągle czekają, aż wrócą Hiszpanie ze swoimi stalowymi narzędziami.

Pardee parsknął śmiechem.

- Nie. Jeśli nie liczyć misjonarzy, świat niemal nie interesował się tymi wyspami aż do drugiej wojny światowej. I nagle pojawiają się alianci, budują pasy startowe i przekupują wyspiarzy

różnymi rzeczami, żeby ci stawiali opór Japończykom. Manna z nieba. Amerykańscy lotnicy przywozili najróżniejsze cuda. Potem wojna się skończyła i cuda przestały napływać.

- Wiele lat później antropologowie i misjonarze znajdują małe ołtarzyki wzniesione samolotom. Tubylcy ciągle czekają, aż statki z nieba wrócą i ich uratują. Rodzą się mity o pojedynczych lotnikach, którzy sprowadzą na wyspy wielkie armie i wypędzą Francuzów, Brytyjczyków czy inny obcy rząd. Brytyjczycy zakazali kultów cargo na niektórych melanezyjskich wyspach i aresztowali przywódców. Zły pomysł, ma *siq* rozumieć. Ci uwięzieni natychmiast zostali męczennikami. Misjonarze wyszydzały nowe kultury, próbując zabić wiarę za pomocą rozsądnych argumentów, więc niektórzy wyspiarze zaczęli twierdzić, że ich pilot to Jezus. Doprowadzali misjonarzy do szału. Tubylcy umieszczali na krucyfikach małe śmigielka i rysowali Chrystusa w lotniczym hełmie. Rzecz w tym, że kultury cargo ciągle się tu trzymają, a jeden z najsilniejszych istnieje na Alualu.

-Czy tubylcy są niebezpieczni? - spytał Tuck.

-Nie z powodu swojej religii.

-Co to znaczy?

-Ci ludzie to wojownicy, panie Case. Na ogół o tym nie pamiętają, ale czasami, jak wypiją, tysiącletnia tradycja walki może unieść głowę, nawet na najnowocześniejszych wyspach, takich jak Truk. Na tych wyspach mieszkają i tacy, którzy jeszcze pamiętają smak ludzkiego mięsa, jeśli wiesz, co mam na myśli. Podobno smakuje jak mielonka. Miejscowi uwielbiają mielonkę.

-Mielonkę? Żartujesz.

-Nie. Zresztą stąd się wzięła nazwa. To skrót od „mieszanka losowo naśladowująca człowieka”.

Tucker zrozumiał, że dał się wkręcić, i uśmiechnął się. Pardee wybuchnął śmiechem i klepnął go w ramię.

-Słuchaj, przyjacielu, muszę iść do biura. Trzeba wydać gazetę, sam rozumiesz. Ale uważaj na siebie. I nie zdziw się, jeśli twój learjet okaże się poobijaną cesseną.

-Dzięki - odrzekł Tucker, ściskając rękę olbrzyma.

-Będziesz tu jeszcze parę dni? - spytał Pardee.

-Nie mam pewności.

-No to mam *jedną* radę. - Pardee s'ciszył głos i nachylił się do niego konspiracyjnie. - Nie *wychodź* nocą sam. Nic, co tu zobaczysz, nie jest warte twojego życia.

-Umiem o sobie zadbać, ale dzięki.

-Nie ma za co - odrzekł tamten. Odwrócił się i wytoczył z baru.

Tuck zapłacił barmanowi, po czym wyszedł na skwar i ruszył do swojego pokoju, gdzie rozebrał się do naga i położył na wystrzępionym materacu, pozwalając, by klimatyzator dmuchał na niego przyjemnym chłodem. Może nie będzie tak źle, pomyślał. W końcu miał trafić na wyspę, gdzie Bóg był pilotem. Co za świetny sposób na rwanie lasek!

A potem spojrzął na swojego zwiędłego członka, całego w szwach i bliznach, jakby pochodził od potwora Frankenstein. Przeszła go fala niepokoju w elektrycznym dreszczu, pot wystąpił mu na skórę. Zdał sobie sprawę, że przez całe dorosłe życie nie zrobił nic - nawet na poziomie podświadomym - co nie byłoby elementem strategii mającej na celu zaimponowanie kobietom. Nigdy nie starałby się tak bardzo zostać pilotem, gdyby nie stwierdzenie Jacka, że „panienki lecą na pilotów”. Po co latać? Po co wstawać rano z łóżka? Po co w ogóle coś robić?

Przekreślił się na brzuch, by ukryć twarz w poduszce, i policzkiem przygwoździł do materaca żywego karalucha.

KOKOSOWY TELEGRAF

Jefferson Pardee zadzwonił do wyspowej centrali i poprosił o połączenie ze swoim przyjacielem w urzędzie gubernatora w Yap. Gdy czekał na połączenie, spojrzął w dół ze swojego biura nad składem żywności przy targu. Na zbitych ze sklejki straganach kobiety sprzedawały banany, kokosy i pęki bananowych liści. Dzieci naciągały bandany na twarze dla osłony przed podrywającym się z ulicy pyłem. Pijani mężczyźni o czerwonych oczach wylegiwali się w cieniu. Po drugiej stronie ulicy widniała kępa palm kokosowych i żywy zielonkawy błękit wód laguny, upstrzony łodziami i unoszącymi się na powierzchni kawałkami styropianowych chłodziarek. Kolejny dzień w raj, pomyślał Pardee.

Przebywał tu już trzydzieści lat. Świeżo po ukończeniu Północno-Zachodniej Szkoły Dziennikarskiej był pełen pasji i chęci, by zbawiać świat, pomagać tym, którzy mieli mniej szczęścia, i unikać poboru. Gdy dwa lata w Korpusie Pokoju dobiegły końca - jego największym osiągnięciem było nauczenie tubylców, jak gotować wodę - postanowił zostać. Najpierw pracował dla pączkujących wyspowych rządów, pomagał pisać statuty, konstytucje i żądania pomocy od Stanów Zjednoczonych. Gdy ta praca się skończyła, stwierdził, że boi się wracać do domu. Utuczył się na owocach drzewa chlebowego i piwie, a poza tym przywykł do dziwek za dolara, taksówek za pięćdziesiąt centów i dwugodzinnego dnia pracy. Przeraziła go idea powrotu do Stanów, gdzie albo wykorzystałby swój potencjał, albo został uznany za nieudacznika. Napisał podanie i otrzymał dotację na uruchomienie gazety „Truk Star”. Była to ostatnia znacząca rzecz, jakiej dokonał przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Opisywanie wydarzeń w Truk przypominało obliczanie populacji

pingwinów na pustyni Mojave. W głębi duszy wciąż liczył, że wydarzy się coś, co zmusi go do naprężenia będących w zaniku dziennikarskich mięśni. Coś, co obudzi w nim pasję. Dlaczego Stany Zjednoczone nie mogły przeprowadzić próby atomowej na pobliskiej wyspie? Francuzi bez przerwy robili to na Polinezji. Ale nie, Stany wysadziły jeden mały atol w Mikronezji (Bikini), a potem sobie poszły, mówiąc: „Dobra, będzie tego na jakieś dwadzieścia pięć tysięcy lat”. Cioty.

Z drugiej strony, może coś się działo na Alualu. Coś tajemniczego i mrocznego. Jefferson Pardee zatracił swoją ambicję, ale nie nadzieję.

-Proszę mówić - rzucił operator.

-Ignatho, jak się masz, chłopie?

Ignatho Malongo, doradca gubernatora do spraw innych wysp, nie miał nastroju do pogaduszek. Była pora lunchu, a jemu skończyły się papierosy i orzeszki betelowe, a nikt nie przyszedł, żeby złuzować go przy radiu, więc nie mógł wyjść. Jego gabinet znajdował się w jasnoniebieskim baraku z blachy falistej, przycupniętym za biurami gubernatora. Znajdowało się w nim stalowe biurko w wojskowym stylu, radio krótkofalowe, nowy komputer IBM i kosz na śmieci, pełen perforowanego papieru, poplamionego czerwoną od orzeszków betelowych śliną i stojący pod tabliczką ze stanowczym napisem: NIE PLUĆ. Był pulchny, brązowoskóry i nosił tylko przepaskę biodrową, zegarek Casio oraz długopis Bic, wiszący na sznurku u szyi. Jego pot spływał do kałuży, która ciemną plamą znaczyła betonową podłogę wokół biurka.

-Pardee, czego chcesz?

- Byłem ciekaw, czy słyszałeś, żeby coś się działo na Alualu.

-Ciągłe to samo. Co jakiś czas doktor prosi przez radio o przysłanie zaopatrzenia Micro Traderem. Oficjalnie nie należą do stanu Yap, więc nie przechodzą przez moje biuro. A co?

-Słyszałeś jakieś plotki? Może od załogi Micro Tradera?

- Na przykład jakie? Odkąd pamiętam, plemię Rekinów nie utrzymuje z nikim kontaktów. Tylko ten doktor Curtis.

Pardee nie chciał stać się źródłem plotek. Nieraz wszczywał śledztwo w sprawie jakiejś historii, by odkryć, że wszystko zaczęło się od pijackiego kłamstwa, które wcisnął komuś w barze, a potem krążyło ono po wyspach, zmieniało się na tyle, by nabrać pozoru wiarygodności, a w końcu z powrotem lądowało na jego biurku. Z drugiej strony Malongo nie puszczał dziś pary z gęby.

-Słyszałem, że mają tam nowy samolot. Learjeta. Malongo się roześmiał.

-Gdzie to słyszałeś?

-Słyszałem już dwa razy. Parę miesięcy temu od faceta, który powiedział, że będzie nim latał. I teraz znowu, od innego pilota.

-Może uruchamiają linię lotniczą? Bądź poważny, Jeff. Aż tak rozpaczliwie poszukujesz materiału na tekst? Mam parę podań o dotacje, które możesz napisać, jeśli potrzebujesz roboty.

Pardee poczuł się lekko zmieszany. A jednak nie miał wątpliwości, że doktor Curtis skontaktował się z Tuckerem Casem. Coś się kroilo.

- Może poprosz chłopaków z Tradera, żeby mieli oczy otwarte. Popytaj i zadzwoń, jeśli czegoś się dowiesz. - Nagle poczuł przyływ motywacyjnego natchnienia. - Jeśli ktoś kupuje odrzutowce, może tam iść jakaś lewa kasa od rządu, o której nic nie wiecie. - Niemal słyszał, jak rozmówca wzmaga czujność.

Malongo myślał o klimatyzacji, drukarce laserowej, nowym krześle.

-Słuchaj, zapytam na lotnisku. Jeśli ktoś wystartuje odrzutowcem z Alualu, to musi użyć radia, prawda?

-Chyba tak - przyznał Pardee.

- Zadzwonię. - Malongo odłożył słuchawkę.
Pardee westchnął.

-I znowu - powiedział do siebie - na pierwszą stronę damy tekst „Złodziej świń ciągle na wolności”.

Pół godziny później zadzwonił telefon. Tutaj telefon nigdy nie dzwonił. Pardee odebrał i po trzasku poznał, że to połączenie spoza wyspy. W słuchawce rozległ się głos Igna-tho Malongo. Wydawał się w lepszym nastroju. Pardee rozpoznał stan podniecenia, wywołany pomocą z zagranicy.

- Jeff, Trader jest w porcie. Część załogi jadła lunch w przystani i spytałem ich o tego twojego learjeta. - Malongo palił papierosa Benson & Hedges i żuł dużą garść orzeszków betelowych.

- No i?

-Nikt go nie widział, widzieli za to paru Japończyków, kiedy ostatnim razem byli na wyspie.

-Japończyków? Turystów?

-Mieli karabiny maszynowe.

-Bez jaj.

-Myślisz, że ślą tutaj jakieś wojskowe pieniądze? - Malongo myślał o klimatyzacji, o skrzynce mielonki, o bilecie na Hawaje, żeby zrobić zakupy.

Pardee podrapał się po dwudniowym zaroście.

- Pewnie załoga kutra do połowu tuńczyków. Już kiedyś' grozili tubylcom przy Ulithi, że ich

wystrzelają, jeśli dalej będą kradli boje. Spytam marynarki australijskiej, sprawdzę, czy coś wiedzą o japońskim kutrze łowiącym na tych wodach. A na razie wiszę ci torebkę orzeszków betelowych.

Malongo się roześmiał.

-Wisisz mi już z dziesięć torebek. Jak chcesz mi je oddać, skoro nigdy nie ruszasz się z tej swojej gównianej wysepki?

-Niedługo mnie zobaczysz. - Pardee odłożył słuchawkę.

PAGER DO BOGINI

Mężczyźni z plemienia Rekinów od świtu bili w bębny i maszerowali z bambusowymi karabinami, podczas gdy kobiety szykowały ucztę z okazji przyjscia Najwyższej Kapłanki.

W swojej sypialni Najwyższa Kapłanka malowała paznokcie. Czarownik przeszedł przez zasłonę z paciorków, podszedł do niej z tyłu i złapał ją za nagie piersi. Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Wiesz, dostawałam niezłego kopa, kiedy robiłam to w swojej kawalerce. Zamknij okno, żeby opary nie uciekały. Chcesz macha? - Wyciągnęła za siebie rękę z flakonikiem z lakierem.

Pokręcił głową. Był po pięćdziesiątce, wysoki i szczupły. Miał krótkie siwe włosy i lodowate błękitne oczy. Nosił zielony kitel laboratoryjny, a pod spodem bermudy.

- Misja właśnie połączyła się ze mną przez radio. Zepsuł im się beech. Czekają na część ze Stanów i przez miesiąc go nie naprawią. Nasz pilot utknął na Truk.

Najwyższa Kapłanka rzuciła spojrzenie przez ramię, a on poczuł, że zapada się w szlam, że zmienia się w najniższą formę morskiego robaka. Potrafiła zrobić mu coś takiego. Jej piersi w jego dłoniach wydawały się wychłodzonymi rzecznyymi kamieniami. Cofnął się.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Wysłałem mu wiadomość, żeby poleciał do Yap. Jutro może tam złapać Micro Tradera i po dwóch dniach będzie tutaj.

Nie była zachwycona.

- Nie uważasz, że to dobry pomysł, żebym się z nim spotkała, zanim się tu zjawi? Znalezienie go trwało wystarczająco długo.

Czarownik cofnął się aż do zasłony z paciorków.

-To ty nie chciałaś już żadnych wojskowych.

-Bo poprzednim razem poszło *p o* prostu świetnie. Wystarczy, że otaczają mnie ninja. Nie podoba mi się to.

Czarownik nie mógł uwierzyć, że ktoś mówi tak wolno, a przy tym tak wiele wyraża. Była to istna symfonia.

- To nie są ninja - powiedział. - To po prostu strażnicy. Niedługo będzie po wszystkim, a ty możesz się przenieść do pałacu we Francji, jeśli zechcesz.

Wyciągnął ręce, pragnąc, by go przytuliła. Obróciła się na wysokim, czerwonym obcasie i pomaszzerowała z powrotem do swojej toaletki.

- Porozmawiamy o tym później. Za godzinę muszę zaczynać.

Poczuł się głupio, opuścił ręce i cofnął się przez zasłonę z paciorków. W oddali plemię Rekinów wzniosło śpiew, by przywołać Kapłankę Nieba.

PRZYJACIELSKA RADA

Tuck pocił się, jeszcze raz we śnie oglądając kraksę w zwolnionym tempie. Koniec pasa zbliżał się o wiele za szybko. Meadow Malackovitch odbijała się od różnych konsol w kokpicie. Ktoś krzyczał na niego z fotela drugiego pilota, nazywając go „jebanym dupkiem”. Odwrócił się, by zobaczyć, kto to, i obudziło go stukanie do drzwi.

-Panie Case. Wiadomość do pana.

-Chwileczkę.

Zaczął miotać się w ciemności, aż znalazł na podłodze swoje spodnie khaki, potrząsnął nimi, by zrzucić ewentualne nieproszone owady, po czym wciągnął je i zataczając się ruszył do drzwi. Rindi, kierowca-raper, stał na zewnątrz ze świstkiem papieru w ręce.

- Właśnie przyszło z centrali telekomunikacyjnej. - Wyciągnął rękę obok Tucka i pstryknął włącznikiem światła. Nad biurkiem zapaliła się goła żarówka.

Tuck wziął kartkę i zaczął grzebać w kieszeni spodni w poszukiwaniu napiwku, po czym w końcu wyciągnął dolara, ale Rindi już się oddalił.

Śliski papier z faksu był pokryty tłustymi śladami palców. Tucker domyślił się, że wiadomość przeszła przez tuzin rąk, zanim dotarła do niego. Rozwinął ją i przeczytał.

Do: Tucker Case, adres hotelu Paradise Od: Dr Sebastian Curtis

Panie Case,

bardzo żałuję, że moja żona nie mogła zgodnie z planem spotkać się z Panem na Truk. Zarezerwowaliśmy Panu miejsce w jutrzejszym samolocie Air Micronesia do Yap, skąd ma Pan załatwiony transport na Alualu na pokładzie statku zaopatrzeniowego Micro Trader. Samolot wylądjuje o 11:00, a Micro Trader ma wypłynąć w południe, dlatego powinien Pan pojechać do portu taksówką, kiedy tylko dokona Pan odprawy.

Przepraszam za kłopot i proszę o powstrzymanie się od rozmów na temat celu Pańskiej wizyty z załogą Micro Tradera i z innymi osobami. Byłoby niewskazane, by FAA dowiedziała się o tym programie badawczym, zanim zostanie on ukończony. Na wyspach plotki rozchodzą się bardzo szybko.

Czekam, aż będę mógł z Panem omówić pewne ciekawostki związane ze szczególnym szczepem gronkowców.

Z poważaniem, dr Sebastian Curtis

Gronkowce? Zarazki? Chce rozmawiać o zarazkach? Tuck zrozumiałby z tej wiadomości więcej, gdyby napisano ją po eskimosku. Złożył kartkę i jeszcze raz popatrzył na odciski palców.

To było to. Facet wiedział, że inni będą to czytać. Tekst z gronkowcami to była podpucha dla zmylenia tubylców. Fragment o FAA bez wątplenia odnosił się do cofniętej licencji pilota. W pewnym sensie stanowił groźbę. Może Tuck powinien się dowiedzieć nieco więcej o tym lekarzu, zanim ruszy na tę daleką wyspę. Może ten dziennikarz Pardee coś wiedział.

Tuck szybko się ubrał i zszedł do recepcji, gdzie Rindi słuchał radia tranzystorowego z głośnikiem, który wyglądał tak, jakby zrobiono go na poczekaniu z woskowego papieru. Ktoś śpiewał piosenkę Gartha Brooksa w nosowym języku trukańskim przy akompaniamencie akordeonu.

- Brzmi, jakby ktoś krzywdził zwierzęta. - Tuck wyszczerzył się w uśmiechu.

Rindi nie odpowiedział uśmiechem.

- Wychodzi pan?

Nie mógł się doczekać, by iść do pokoju Tucka i przegrzebać jego bagaż.

- Muszę znaleźć tego dziennikarza, Jeffersona Pardee.

Chłopak zrobił taką minę, jakby chciał splunąć.

-On ciągle w barze Yumi. Tam. - Wskazał w stronę miasta. - Może podwieźć?

-Daleko to?

-Z półtora kilometra. Długo pana nie będzie? - Rindi nie chciał się śpieszyć, by nie przeoczyć nic cennego.

-Nie jestem pewien. Zamykacie drzwi o północy albo coś?

-Przyjadę, jeśli pan pijany.

-Nie trzeba. Rano się wymelduję. Mogę prosić o pobudkę telefoniczną o ósmej?

-Nie. W pokoju nie ma telefonu.

-To może zapukacie?

- Nie ma sprawy. i... - Dzięki.

Tucker wyszedł przed hotel i ciężkie powietrze niemal zważyło go z nóg. Temperatura spadła poniżej trzydziestu stopni, ale miał wrażenie, że wzrosła wilgotność. Wszystko ociekało. Powietrze niesło zapach gnijących kwiatów.

Tuck ruszył drogą i gdy dotarł do porzewiałego blaszanego baraku z ręcznie wymalowanym szyldem YUMI BAR, cały służywał potem. Pylisty parking zapełniały japońskie rżęchy, zaparkowane bez ładu i składu. Chudy jak szkielet pies z ciekącymi wrzodami, mieszanka dingo i szczura kanałowego, kulił się w słabym świetle, które sączyło się z drzwi, i patrzył na niego tak, jakby błagał, by go rozdeptać. Tucka ścisnęło w żołądku. Szerokim łukiem ominął kundla, który spuścił wzrok i z powrotem skupił się na swoim cierpieniu.

- Ej, koleś, chyba tam nie wejdiesz, co?

Tuck podniósł wzrok. W ciemności na rogu budynku świecił papieros. Tuck ledwie dostrzegał sylwetkę stojącego tam mężczyzny. Facet miał na sobie jakiś mundur - Tuck widział zarys okrągłej wojskowej czapki. Wszędzie indziej zignorowałyby zapewne głos z ciemności, ale ten miał amerykański akcent i brzmiał znajomo. Już go gdzieś słyszał.

- Pomyślałem, że napiję się piwa - powiedział. - Szukam Amerykanina o nazwisku Pardee.

Facet w mroku wydmuchnął długi strumień papierosowego dymu.

- Jest w środku. Ale radzę teraz tam nie wchodzić. Niech pan poczeka parę minut.

Tuck już miał spytać, dlaczego, gdy przez drzwi z łoskotem wylecieli dwaj mężczyźni i wylądowali w kurzu u jego stóp. Byli tubylcami i obaj krzyczeli coś niezrozumiale, gdy okładali się nawzajem. Ten na górze trzymał krótką maczetę. Zamachnął się nią i przyłożył temu drugiemu w głowę, odcinając ucho. Krew trysnęła na pylistą ulicę.

Z baru wylała się rzeka rozwrzeszczanych tubylców. Wymachiwali butelkami z piwem i kopali walczących. Ten bez ucha skoczył na nogi i cofnął się, by z rozpędu zaatakować tego z maczetą, który też właśnie wstawał. Bezuchy wpakował się na niego, a ten chlasnął go po żebrach. Na parking podjechał pickup pełen policjantów i tłum się rozpierzchnął, kryjąc się w ciemnościach albo z powrotem w barze i pozostawiając tarzającą się w kurzu dwójkę. Sześciu policjantów stanęło nad walczącymi, okładając ich pałkami, aż obaj znieruchomieli. Następnie wrzucili ich na pickupa, wsiedli za nimi i odjechali.

Tuck stał oszołomiony. Nigdy w życiu nie widział tak gwałtownej i brutalnej przemocy. Jeszcze dziesięć sekund i znalazłby się w samym środku zamieszania, zamiast pośpiesznie oddalić się przez parking.

- Teraz można już chyba spokojnie wejść - dobiegł z ciemności głos.

Tucker podniósł wzrok, ale teraz nie widział już nawet żaru papierosa.

-Dzięki - powiedział. - Na pewno można?

-Uważaj na swój tyłek, koleś. - Tym razem głos dobiegał jakby znad niego.

Tuck obrócił się, omal nie doznając skrętu szyi, ale nikogo nie zobaczył. Otrząsnął się z oszołomienia i skierował do baru.

Kościsty pies wyczołgał się spod ciężarówki, złapał leżące w pyłe ucho i zniknął wśród cieni.

- Dobry piesek - pochwalił głos z ciemności.

Pies warknął, gotów bronić zdobyczy. Młody mężczyzna, na oko dwudziestoczteroletni, o ciemnej cerze i ostrych rysach, ubrany w szary lotniczy mundur, wyszedł z cienia i nachylił się do psa, który w geście poddaństwa opuścił głowę. Mężczyzna wyciągnął rękę, jakby chciał go pogłaskać, po czym złapał go za głowę i szybko skręcił mu kark.

- No, teraz lepiej, co, mały dupku?

Bar wyglądał w środku równie obskurnie, jak na zewnątrz. Żółte żarówki dawały akurat tyle światła, by dało się ominąć pijanych wyspiarzy i poobijany stół bilardowy. Ze starej szafy grającej Wurlitzer dobiegały amerykańskie piosenki country, odbijające się pogłosem od metalowych ścian. Olbrzym, ubrany w strój barwy khaki - Jefferson Pardee - pocił się nad budweiserem przy barze. Tucker zajął miejsce obok niego.

Pardee spojrział na niego zaczerwienionymi oczyma.

-Ominęły cię wszystkie atrakcje.

-Nie. Widziałem. Stałem na zewnątrz. Pardee zamówił gestem jeszcze dwa piwa.

-Chyba ci mówiłem, żebyś nie włączył się po nocy.

- Rano ruszam do Yap i muszę zadać ci parę pytań.

Pardee uśmiechnął się jak dzieciak, który dostał niespodziankę.

- Jestem do usług, panie Tucker.

Tuck zważył swoje zapotrzebowanie na informację wobec upokorzenia, którego dozna, opowiadając o kraksie. Z kieszeni spodni wyciągnął zmiętą kartkę z faksu i położył ją na barze przed

dziennikarzem.

Czytając, Pardee zapalił papierosa. Skończył i oddał faks Tuckerowi.

- Tutaj zmiany w planie podróży to nic niezwykłego. Ale o co chodzi z tymi bakteriami? Myślałem, że jesteś pilotem.

Tucker opowiedział mu o kraksie i tajemniczym zaproszeniu od lekarza, włącznie z teoriami Jakea o przemyśle narkotyków.

-Myślę, że tekst o bakteriach miał zmylić tych, którzy przeczytają faks.

-Tu masz rację. Ale nie chodzi o dragi. Na tych wyspach nie wytwarza się żadnych narkotyków oprócz pieprzu metystynowego i orzeszków betelowych, a ich nie chce nikt z wyjątkiem miejscowych. O, tu i tam uprawia się trochę trawki, ale niedoszli gangsterzy zużywają ją na miejscu.

-Niedoszli gangsterzy? - powtórzył Tuck.

-Niektórzy wyspiarze mają telewizję satelitarną. W telewizji ludzie, którzy wyglądają jak oni, to gangsta raperzy. Stare odrapane budynki, które widzą w tle, wyglądają jak tutejsze. Tyle że te są nowe i odrapane. To cola, uśmiechy i odżywki dla dzieci, których tutejsze dzieci nie mogą strawić. To paczkowane śmieciowe żarcie, przysyłane tutaj bez terminu przydatności do spożycia.

-O czym ty, do cholery, mówisz, Pardee?

-Kupują bzdurne reklamy, na które Amerykanie już się uodpornili. Tak jakby cały mikronezyjski półksiężyc był jednym wielkim kultem cargo. Kupują to co najgorsze w amerykańskiej kulturze.

- Chcesz powiedzieć, że jestem tym czymś najgorszym, co Ameryka ma do zaproponowania?

Pardee poklepał go po ramieniu i nachylił się bliżej. Tuck czuł bijący od niego kwaśny, piwny odór potu.

- Nie to chciałem powiedzieć. Nie wiem, co się dzieje na Alualu, ale to na pewno nic takiego. Zło rośnie zwykle proporcjonalnie do potencjalnych zysków, a tutaj wszystko jest gównem warte. Płyn na tę wyspę, chłopcze. I skontaktuj się ze mną, kiedy się rozeznasz, co i jak. A tymczasem ja posprawdzam, co się da.

Tuck uściskał dłoń dziennikarza.

- Dobra.

Rzucił na bar pieniądze i zbierał się do wyjścia. Gdy doszedł do drzwi, zawołał go Pardee.

- Jeszcze jedno. Trochę popytałem i wiem, że na Alualu są jacyś uzbrojeni ludzie. Był też inny

pilot, który pojawił się tu parę miesięcy temu. Nikt go już więcej nie widział. Uważaj, Tucker.

-1 zamierzałeś mi tego nie mówić?

- Musiałem mieć pewność, że nie jesteś częścią tego wszystkiego.

UCIECZKA Z PATELNI

Następnego ranka pierwsza myśl Tucka brzmiała: muszę złapać samolot. A druga: mam rozwalonego fiuta. Tak to już jest. Ktoś ma swój „prywatny” problem - hemoroidy, skurcze menstruacyjne, nabrzmiałą prostatę, jęczmień, chorobę weneryczną, zapalenie pęcherza - i nieważne, jak bardzo umysł próbuje uciec od siły przyciągania tej przypadłości, nieodmiennie wraca na przeklętą orbitę myśli krążących wokół tematu. Wszystko, co odciąga od problemu, to problem. Życie to problem.

W głowie Tucka brzmiało to następująco: „Muszę złapać samolot. Szczam ogniem. Potrzebuję prysznic. Sprawdzić szwy. Nie ma wody. Wygląda mi to na zakażenie. Pewnie trąd. Nie cierpię tego miejsca. To na pewno zakażenie. Kiedy włączą wodę? Szernieje mi i odpadnie. Kto słyszał o hotelu z telewizją satelitarną, ale bez bieżącej wody? Już nigdy nie będę latał. Mam trzydzieści lat i jestem bez pracy. I bez fiuta. No i kim, do diabła, był ten facet na parkingu wczoraj wieczorem? Śmierdę jak zgniłe kozie mięso. To pewnie przez zakażenie. Gangrena. Nie do wiary, że nie ma bieżącej wody. Umrę. Umrę, umrę, umrę”.

To nie było najmiłsze miejsce: wewnątrz głowy Tucka.

Na zewnątrz głowy Tucka włączył się prysznic. Brązowa letnia woda spływała po nim nierównymi strugami, rury trzęsły się i trąbiły, jakby próbowały wyrzucić z siebie wibrującego łosia. Mydło - brązowa kosteczka, wytworzona z miejscowej kopry - pieniało się nie lepiej od kamienia i pachniało hibiskusem oraz cierpiącym psem.

Tuck wytarł się niemal przezroczystą płachtą wyłysiałego frotte i włożył ubranie, od trzech dni nasączone radością tropikalnych podróży. Wziął plecak, zauważając, że ktoś majstrował przy suwakach i nie kłopotał się, by to ukryć, po czym poczłapał na dół, do recepcji.

Rindi spał na kontuarze. Tuck obudził go, upewnił się, że doktor zgodnie z obietnicą zapłacił za pokój, a potem stanął na słońcu i czekał, aż chłopak przyprowadzi samochód.

Jazda na lotnisko wydawała się nadzwyczaj długa. Rindi przejechał kurę, a potem wysiadł i walczył ze staruszką, która domagała się kury. Każde szarpało za jedną nogę, testując odporność drobiu na rozciąganie, aż w końcu chłopak zadał cios kung-fu, który zagwarantował mu obiad, i zostawił staruszkę, siedzącą na piasku i trzymającą kurzą stopę niczym relikwią. (Staruszka pochodziła z

wyspy Tonoas, gdzie czarownik przyzywał kiedyś magiczne kury, by zrównały z ziemią górę pod budowę świątyni, Pałacu Magicznych Kur).

Na lotnisku Tuck dał chłopakowi dolara za podwiezienie, co stanowiło dwukrotność obowiązującej stawki, po czym pomachał, rezygnując z uścisku zakrwawionej ręki niedoszłego gangstera.

- Pokój z tobą, ziom – powiedział.

SZPIEDZY I INTRYGI

Yap okazało się czystsze niż Truk, a także gorętsze, o ile to w ogóle możliwe. Tutaj, zdezelowane taksówki miały nawet anteny radiowe, umożliwiające identyfikację. Drogi były utwardzone. Lotnisko, kolejny blaszany dach na kolumnach z pustaków, pełne było tubylców: mężczyzn w przepaskach biodrowych i kobiet topless, odzianych jedynie w ręcznie tkane spódniczki. Tuck złapał taksówkę i powiedział kierowcy, by wiozł go do portu. Kierowca splunął przez okno i powiedział:

-Statek wypłynął.

-Niemożliwe. - To, co przed chwilą było przyjemnym rauszem po czterech martini w samolocie, nagle zmieniło się w ból głowy. - Może to jakiś inny statek.

Kierowca uśmiechnął się. Jego zęby były czarne, a usta jasnoczerwone.

-Statek wypłynął. Chce jechać do miasta?

-Ile? - spytał, jakby miał wybór.

-Czternaście dolara.

-Czternaście dolarów? Na Truk płaci się tylko pięćdziesiąt centów.

- Dobra, pięćdziesiąt centów - powiedział taksówkarz.

-To pańska kontroferta? - spytał Tuck. Myślał o tym, co mówił Pardee na temat tubylców, czerpiących z amerykańskiej kultury to co najgorsze. Teraz miał szansę pomóc, choćby w niewielkim stopniu. - Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś się gorzej targował. Jak ten kraj ma się wydobyć z Trzeciego Świata z takim badziewiem?

-Przepraszam - powiedział taksówkarz. - Jeden dolar.

-Siedemdziesiąt pięć centów - rzucił Tuck.

-Niech szuka innej taksówki - odparł kierowca, rzucając na szalę wszystkie swoje fiskalne zdolności.

-Teraz lepiej - pochwalił Tuck. - Niech będzie jeden dolar. Dorzucę jeszcze jednego, jeśli nie przejedzie pan żadnej kury.

Taksówkarz wrzucił jedynekę i ruszył. Przejechali kilka kilometrów dżungli, zanim znaleźli się w jasno oświetlonym, zaskakująco nowoczesnym mieście z betonowymi ulicami. Co jakiś czas mijali blaszany dom z kamiennymi kołami opartymi o ściany. Koła miały różną wielkość - niektóre przypominały małe opony, inne osiągały dwa metry średnicy - i były w różnym stopniu pokryte zielonym mchem.

-Co to? Koła młyńskie? - zapytał Tuck.

-*Fet* - wyjaśnił kierowca. - Kamienne pieniądze. Bardzo cenne.

-Bez jaj, pieniądze? - Tuck zerknął na *fet* stojące na mijanym podwórku. Miało półtora metra wysokości i pół metra grubości. - A jak wyglądają wasze automaty telefoniczne? - spytał z uśmiechem.

Kierowca nie uznał pytania za zabawne. Wysadził Tuckera w porcie, podejrzanie pozbawionym statków.

Tuck ujrzał brodatego białego mężczyznę o poczerwieniałej twarzy, siedzącego w cieniu podnośnika widłowego. Mężczyzna palił papierosa.

-Dzień dobry - powiedział. Miał około trzydziestki. Nieźle się trzymał. - *Impela moje plemię?*

-He? - mruknął Tuck.

-Czyli Amerykanin? Tuck skinął głową.

-Pan z Australii?

- Marynarka Królewska-odparł tamten. Naciągnął czapkę na czoło i stuknął w nią palcami. - Dołączysz do mnie? - Dał Tuckowi znak, by ten usiadł obok niego na betonie.

Tuck przesunął swój plecak w cień, postawił go i wyciągnął rękę do Australijczyka.

- Tucker Case.

Tamten przyjął dłoń i omal jej nie zmiażdżył.

- Kapitan Brion Frick. Siadaj, kolego. Wygląda na to, że od dwóch tygodni masz ciężko, jeśli wolno mi coś powiedzieć.

Podał mu wizytówkę. Widniała na niej pieczęć Królewskiej Marynarki Australijskiej, nazwisko i ranga, a poniżej napis WYWIAD MARYNARKI. Tuck jeszcze raz spojrział na niechlujnego Australijczyka, a potem znowu na wizytówkę.

- Wywiad marynarki, tak? Co robisz?

- Jestem szpiegiem, kolego. Wiesz, tajne sprawy. Ani mru-mru i w ogóle.

Tuck zastanawiał się, jak to możliwe, że tajny szpieg ma swoją funkcję wydrukowaną na wizytówce.

-Szpiegostwo, co?

-No, w tej chwili pilnujemy, żeby yapska marynarka się nie ruszyła.

-To Yap ma marynarkę?

- Tylko jeden kuter patrolowy, w tej chwili niesprawny. Yapczycy nalali benzyny do diesla. Ale ostrożności nigdy za wiele, bo jeszcze przyjdzie konusom do głowy, żeby zaatakować z zaskoczenia. To tamten. - Kiwnął głową, wskazując kierunek wzdłuż wybrzeża.

Tuck dostrzegł porzewiały kuter o wyglądzie chińskiego badziewia, z napisem YAP na burcie, wykonanym jaskrawą pomarańczową farbą nierdzewną. Kilku Yapczyków, szczupłych brązowoskórych mężczyzn o wydatnych kościach policzkowych i brzuchach, snuło się po pokładzie w przepaskach biodrowych i popijało piwo.

-Myślę, że atak faktycznie byłby zaskoczeniem - powiedział Tuck.

-To nie takie proste, jak się wydaje. Yapczycy potrafią wywołać w tobie fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Mogę tu siedzieć bez ruchu przez dwa, trzy tygodnie, zaczynam się odprężyć i bach, wkraczają do akcji.

- Jasne - powiedział Tucker. Jedyłą szkodą, jaką na oko mógł wywołać kuter, był teżec u załogi.

Milę dalej fale yapskiej marynarki rozbijały się o rafę - linia bieli na tle turkusowego morza. Skłębione chmury wznosiły się nad morze w lśniących kolumnach. Tuck obserwował widnokrąg w poszukiwaniu statku.

-Czy Micro Trader już przyplłynął?

-Był i odpłynął - odparł Frick. - Wróci mniej więcej za sześć tygodni.

-Cholera - powiedział Tuck. - Kurwa, nie wierzę. Muszę się dostać na Alualu.

-A po co?

- Jestem pilotem. Mam latać dla tamtejszego misjonarza.

- W zeszłym tygodniu popłynąłem tam z chłopakami kutrem patrolowym. Miejsce zapomniane przez Boga.

Tuck rozpromienił się na wzmiankę o kutrze. Może mógł liczyć na podwózkę.

-Macie kuter patrolowy?

-Dwudziestometrową balię. Część chłopców właśnie na niej pływa. Łowią tuńczyki z CIA. Ale nie rozpowiadaj. Wiesz, to tajne.

-Co tu robią goście z CIA? Frick uniósł jasne brwi.

-Mają oko na yapską marynarkę.

Myślałem, że ty to robisz.

— No przecież robię, nie? A kiedy wrócą, moja kolej na rybki. Fajnie, że jesteśmy sojusznikami i w ogóle. O połowę mniej roboty. Pociągniesz trochę sików?

-Słucham? - Tuck nie był gotowy na dziwaczne miejscowe zwyczaje.

-Pytam, czy napijesz się piwka, kolego. Jeśli będziesz miał Yapczyków na oku, skoczę do sklepu i kupię parę browarów.

-Brzmi nieźle. - Tuck był już gotów zabić ból głowy klinem. Poza tym rysowała się szansa na transport z wyspy.

Frick włożył swoją czapkę na głowę Tucka.

- W porządku. Zgodnie z uprawnieniami, nadanymi mi przez Królewską Marynarkę Australijską, itede, itepe, niniejszym nadaję ci tymczasowo uprawnienia oficera wywiadu, dopóki nie wrócę. Przysięgasz?

-Na co?

-Po prostu przysięgnij.

-Jasne.

-Załatwione. - Frick zaczął się oddalać.

-Co mam zrobić, jeśli wykonają jakiś ruch?

-A skąd mam wiedzieć, do ciężkiej cholery?

Tuck przez godzinę patrzył na yapską marynarkę, aż w końcu wszyscy wstali i opuścili kuter.

Był niemal pewien, że nie stanowi to zagrożenia dla obronności, ale na wszelki wypadek postanowił przejść kawałek ulicą i sprawdzić, co się stało z Frickiem. Plecak wydawał się teraz jeszcze cięższy i pilot podejrzewał, że jest to ciężar odpowiedzialności za naród australijski. (Kiedyś pewna kobieta chciała mu podarować złotą rybkę, a on odmówił, motywując to zbyt dużą odpowiedzialnością i faktem, że rybka i tak najpewniej zdechnie. Do Australijczyków miał podobne podejście).

Betonowe ulice Coionii były zupełnie zbielełe i oznaczone po obu stronach metrowymi pasami czerwonej od orzeszków betelowych śliny. Po bokach rosła gęsta roślinność. Wzdłuż drogi widział blaszane chałupy, dzieci bawiące się w błocie i kobiety, spędzające najgorętszą część dnia na wyczesywaniu sobie nawzajem wszy w cieniu ganków z blaszanymi dachami. Kobiety nosiły czarne spódniczki w jaskrawe pasy i były topless. Wszystkie, z wyjątkiem najmłodszych, były nadzwyczaj grube według zachodnich standardów, i Tuck poczuł, że jego idealistyczna wizja pięknych wyspowych dziewcząt upada w obliczu zawszonej pulchnej rzeczywistości. A jednak w tym ich delikatnym, wzajemnym iskaniu i w milczącym skupieniu dzieci było coś, co sprawiało, że czuł się smutny i trochę samotny. Gdyby tylko natknął się na kobietę, z którą mógłby porozmawiać. Na kobietę z Zachodu. Nie musiałyby wiedzieć, że jest eunuchem.

Wyszedł z dżungli na główną ulicę „dzielnicy biznesowej” Coionii. Po jednej stronie znajdowała się przystań z restauracją i barem (tak przynajmniej głosił szyld), a po drugiej dwupiętrowe, tynkowane minicentrum handlowe ze sklepami i barami szybkiej obsługi. Dookoła, w cieniu nowoczesnego portyku, stało około setki Yapczyków, głównie kobiet, ale także młodych mężczyzn w jasnyniebieskich przepaskach biodrowych - wszyscy bez koszul. Wyspiarze, co do jednego, mieli jasnoczerwone usta i zęby od żucia orzeszków betelowych. Nawet najmłodsze dzieci żuły tę narkotyczną karmę i co jakiś czas słuwały na ulicę. Tuck maszerował pomiędzy nimi, licząc na to, że spotka kogoś, kto pomoże mu znaleźć Fricka, ale nikt nie nawiązał z nim kontaktu wzrokowego. Kobiety i dziewczyny odwracały się do niego plecami. Mężczyźni po prostu odwracali spojrzenia albo udawali, że skupiają się na posypywaniu zielonych orzeszków betelowych sproszkowanym koralem.

Wszedł do nadspodziewanie nowoczesnego sklepu spożywczego i z ulgą stwierdził, że ceny wywieszono w dolarach amerykańskich, a informacje po angielsku. Wziął butelkę wody i ruszył do kasy, gdzie kobieta, odziana w la-va-lavę i niebieską, poliestrową bluzkę wstukała jego zakup w kasę i wyciągnęła rękę po pieniądze.

- Nie wie pani, gdzie mogę znaleźć kapitana Briona Fricka? - spytał.

Wzięła pieniądze, odwróciła się do kasowej szuflady, po czym oddała mu resztę, nie wypowiadając ani słowa. Wyszedł, myśląc: widocznie nie mówi po angielsku.

Wychodząc ze sklepu, wpadł na Fricka. Szpieg niósł pod pachą sześciopak piwa.

-Szukałem cię - oznajmił Tuck. - Yapska marynarka wypłynęła.

-Trzeba było spytać w środku. Wiedzieli, gdzie jestem.

-Pytałem. Ta babka nie chciała ze mną gadać.

- Nie wolno jej - wyjaśnił Frick. - Kontakt wzrokowy świadczy o złym wychowaniu. Yapskim kobietom nie wolno rozmawiać z mężczyznami, chyba że są z rodziny. Jeśli kobieta i mężczyzna rozmawiają w miejscu publicznym, z miejsca są uznawani za małżeństwo. Szkoda. Widziałeś kiedyś tyle gołych cycków? Ciężka sprawa, jeśli nie można z nimi pogadać.

Tucker nie chciał o tym rozmawiać.

- Miałaś wrócić na nabrzeże.

Frick wydawał się dotknięty.

- Właśnie tam szedłem. Nie sądziłem, że opuścisz posterunek. Mam nadzieję, że lepszy z ciebie pilot niż szpieg. Żeby tak pozwolić im się wymknąć.

-Słuchaj, Frick, muszę szybko płynąć na Alualu. Zabierzesz mnie tam swoim kutrem patrolowym?

-Chciałbym, kolego, ale mamy zadanie do wykonania, jak tylko chłopcy wrócą z połowu. Musimy odholować yapski kuter do Darwin, żeby go naprawili. Wrócimy najwcześniej za dwa tygodnie.

-A nie lepiej zostawić ich z zepsutym kutrem? Znaczy, łatwiej by było ich obserwować.

Szpieg uniósł brwi.

-A jakie zagrożenie stanowią z zepsutym kutrem?

-Właśnie - powiedział Tuck.

-Najwyraźniej nie masz pojęcia o utrzymywaniu pewności zatrudnienia. Samolot misyjny może cię stąd zabrać, ale słyszałem, że chwilowo jest uziemiony. Wszystkie kutry rybackie są chińskie. Gnoje nie raczyliby na ciebie nasikać, gdybyś się palił. Możesz wynająć ponton, ale wątpię, żeby ktoś zechciał pokonać z tobą w czymś takim czterysta kilometrów przez otwarte morze. Są goście w Perth, którzy to robią, ale na Zachodnim Wybrzeżu i tak roi się od świrów. Wynajmij pokój i czekaj. Zawieziemy cię, jak wrócimy.

- Nie wiem, czy mogę czekać tak długo. - Tucker wstał. - Gdzie mam iść, żeby wynająć łódź?

Frick wskazał duży zbiornik ropy Mobil na skraju portu.

- Spróbuj na stacji. Powinieneś znaleźć tam kogoś, kto potrzebuje kasy na benzynę.

- Dzięki, Frick. Doceniam twoją pomoc. - Tucker uściśnął dłoń szpiega.

- Nie ma sprawy, kolego. Uważaj na siebie. Podobno ten doktor to menda.

- Dobrze wiedzieć. - Tuck pomachał mu przez ramię, odchodząc wzdłuż nabrzeża. Gromadka kobiet, żujących orzeszki betelowe w cieniu hibiskusa, odwróciła się od niego, gdy przechodził.

Maszerował wzdłuż brzegu, wpatrując się w mętną, zieloną wodę. Maleńkie, wielobarwne rybki pojawiały się i znikwały, pożywiając się krewetkami. Brązowe skoczki murowe z oczami na czubku głowy - jak u żab - wędrowały, podpierając się płetwami piersiowymi, po płaskim spłachetku błota, który utworzył się wokół namorzynu. Tucker przystanął i zaczął je obserwować. Były rybami, a jednak Większość życia spędzały na lądzie. Zupełnie jakby ewoluowały do pewnego momentu, a potem nie mogły się zdecydować na definitywne porzucenie wody, rozwój w ssaki i w końcu wynalezienie osobistych radioodtwarzaczy. Przez sześćdziesiąt milionów lat snuły się po błocie, patrząc na siebie nawzajem peryskopowymi oczami i z głupim, żabim uśmiechem, mówiąc: „Co chcesz robić?”. „Nie wiem. A co ty chcesz robić?”. „Nie wiem. Idziemy na ląd czy zostajemy w wodzie?”. „Nie wiem. Zostańmy jeszcze trochę w tym szlamie”.

Tuck doskonale je rozumiał. Chociaż gdyby był skoczkiem mułowym, to po paru milionach lat łożenia po błocie straciłby cierpliwość i wrzasnął: „Ej! Przydałyby mi się nogi!”. I tym samym pchnąłby ewolucję do przodu.

Napawał się swoją wyższością w ten poniedziałkowy poranek (a jeśli świat został stworzony w sześć dni, czyż mógł być to inny dzień niż poniedziałek?). Poczul się trochę mądrzejszy i trochę bardziej światowy od skoczków mułowych, lecz wtedy dotarło do niego, że nie ma pojęcia, co dalej robić. Mógł znaleźć centralę telekomunikacyjną, o ile taka tutaj istniała, i skontaktować się z doktorem, ale co dalej? Siedzieć dwa tygodnie w Yap, dopóki nie wrócą Australijczycy? Może nie mieli racji. Może na wyspie był prywatny samolot. A co tym z pontonem? Nie mogło być tak źle. Morze wydawało się spokojne. Tak jest, wyruszy w morze.

Czy lepiej zostać na Yap i znaleźć miłą kobietę, która pozwoli mu zapomnieć o problemie? Dotąd zawsze to działało, niekoniecznie z pozytywnym skutkiem, ale działało, do *jasnej* cholery. Kobiety poprawiały mu samopoczucie. Do bólu tęsknił za jakąś konsultantką od Mary Jean. Fajną, szczupłą, zamężną kobietą, wyposażoną w rajstopy i kuloodporną fryzurę. Słodką, oszołomioną, wycofaną kobietą, która przeżyła odrodzenie i szuka jednorazowego grzechu, by sobie przypomnieć o zaletach odkupienia. Myślenie godne skoczka mułowego.

Zmagał się ze skwarem i brakiem możliwości, gdy nagle zobaczył ją przed sobą, idącą wzdłuż nabrzeża, odwróconą do niego plecami: szczupłą blondynkę w sukience w kwiaty, kołyszącą biodrami jak na powitalnej paradzie.

NAWIGATOR

Na krańcu świata, bez dachu nad głową, bez szansy na dalszą podróż, bez pracy, życia, przyjaciół. Zraniony, oszołomiony, przegrzany, spragniony i zdenerwowany Tuck był zdesperowany. Desperacko pragnął chwilowej satysfakcji, którą mogłoby przynieść poderwanie atrakcyjnej kobiety. Nieważne, że nie mógłby nic z tym zrobić.

Co ona tu robiła? A kogo to obchodzi? Co za chód! Przyspieszył kroku - nogi i ramiona protestowały przeciwko ciężarowi plecaka - i zbliżył się do blondynki. - Przepraszam! - zawołał.

Odwróciła się. Tuck zatrzymał się i cofnął o krok. Coś było nie tak. Bardzo, bardzo nie tak.

_ Oj, złotko - powiedziała z ręką na piersi, próbując złapać oddech - - Przestraszył małą Kimi. Dlaczego tak się podkrada?

Tuck stał jak oniemiały. To nie była naturalna blondynka. Miała ciemną skórę, wydatne kości policzkowe i kanciaste rysy Filipinki. Długie sztuczne rzęsy, jasno-czerwona szminka, ale nieco zbyt surowo ciosana twarz, nieco zbyt kwadratowa szczęka. Sukienka ciasno opinała jej klatkę piersiową, która składała się tylko z mięśni. Na szyi nosiła wielki, czarny medalion, wyglądający tak, jakby wykonano go ze zwierzęcego futra. No i powinna się ogolić.

- Przepraszam - bąknął Tuck. - Wziąłem cię za coś... ee, kogoś innego.

Wtedy medalion odwrócił głowę i na niego spojrzał. Tuck wydał z siebie mimowolny okrzyk i odskoczył. Medalion nosił małe okulary z kryształu górskiego. Pisnął na Tuckera. Był to największy nietoperz, jakiego w życiu widział. Wisiał głową w dół ze złożonymi skrzydłami.

- To nietoperz!

- Nietoperz owocożerny, skarbie. Nie bój się. To Roberto. Nie lubi światła. Ale ciebie lubi. - Roberto znowu pisnął. Miało pysk jak lis albo moje małe pies, ogolony szpic miniaturowy Łe skrzydłami. - Ja Kimi. Jak się nazywasz, złotko? - Kimi sztywno wyciągnął rękę do uścisku, a moje do pocałunku.

Tuck ujął dwa palce, nie spuszczać wzroku z nietoperza.

- Tucker Case. Miło cię poznać, Kimi. - Był przerażony. Pół minuty temu patrzył pożądlawie na faceta! Faceta z nietoperzem owocożernym!

- Wygląda, jakby potrzebował towarzystwa. Kimi może kochać długo, dwadzieścia dółców. Co potrzebuje, Kimi robi.

- Nie, dziękuję. Nie potrzebuję towarzystwa. Potrzebuję łodzi.

- Kimi znajdzie łódź. Lubi w łodzi? Kimi zabierze w łodzi dookoła świata? - Zachichotał i poklepał małą, odwróconą do góry nogami główkę Roberta. - Śmieszne, co?

Tucker zmusił się do uśmiechu.

- Nie, potrzebuję łodzi i kogoś, kto wypłynie nią z wyspy.

- Potrzebuje łodzi, Kimi znajdzie łódź. Kimi może też wypłynąć.

- Dzięki, ale naprawdę...

Roberto zaskrzeczał. Tucker odskoczył. Kimi powiedział:

- Roberto mówi, że chce z tobą na łódź. Jak daleko wyspa?

Tucker nie wierzył, że prowadzi tę rozmowę. Tak naprawdę jeszcze nie zdecydował, że popłynie łodzią.

- Nazywa się Alualu. Jakies dwieście pięćdziesiąt mil na północ stąd.

- Nie ma sprawy - odrzekł Kimi bez chwili wahania. - Mój ojciec był świetny nawigator. Wszystkiego mnie nauczył. Zabiorę cię na wyspę i może się też zabawimy. Pieniądze ma?

Tuck pokiwał głową.

- Poczekaj tutaj w cieniu. Zaraz wrócimy.

Kimi odwrócił się i odmaszerował. Tucker starał się za nim nie patrzeć. Było mu niedobrze. Poszedł do palmowego zagajnika przy porcie i usiadł, żeby poczekać.

Kimi wyprowadził pięcioipółmetrową lekką łódź z włókna szklanego z dzielnicy slumsów nad wodą, przepłynął zatokę i przybił do brzegu przed restauracją w przystani. Roberto rozwinął skrzydła i pełzał po jego głowie niczym pająk, szukając dogodnego miejsca, by oddalić się od światła.

Tucker wszedł do portu i popatrzył na łódź, a potem jego wzrok podążył poza zatokę, gdzie fale rozbijały się o rafę, by po chwili znów spojrzeć na łódź. Nie był pewien, czego się spodziewał, ale z pewnością nie tego. Myślał o czymś większym, może o motorówce z kabiną, dwoma dieslami i wielką sterówką, z jakimś radarem kręcącym się na dachu i skromnym, lecz dobrze zaopatrzonym barkiem.

- Mam łódź! - oznajmił Kimi. - Teraz daj pieniądze, ja popłynę po paliwo i mapę.

Tucker ani drgnął. Napęd łódki stanowił zewnętrzny, czterdziestokonny silnik Yamahy. Gumowa rurka biegła od silnika do zbiornika z paliwem, zajmującego niemal całe miejsce między dwoma siedzeniami. Tuck zgadywał, że mieści przynajmniej trzysta pięćdziesiąt litrów, może więcej.

- Na pewno ma wystarczający zasięg, żeby tam dopłynąć?

- Bez problemu. Daj pieniądze na benzynę. Pięćset dolara.

- Zwariowałeś!

- Benzyna tu bardzo droga.

- Zwariowałeś, a twój nietoperz ma krzywe okulary.

- Muszę zapłacić człowiekowi za łódź. Reszta dla pilota. Kupi wodę, latarkę, dwa mango i dwie papaje dla Roberta i dwie paczki ciastek dla Kimi. Truskawkowych.

Tucker czuł, że go naciągają.

- Za pięćset dolców sam możesz sobie kupić mango i ciastka.

- Dobra, pa, pa - odrzekł Kimi. - Roberto, powiedz „pa, pa” skąpemu, spoconemu Amerykaninowi. - Kimi położył Roberta na ramieniu i pociągnął za sznurek, by uruchomić silnik. Tuck wyobraził sobie, że tkwi tutaj jeszcze przez dwa tygodnie.

- Nie, czekaj! - Odpiął klapę plecaka i zaczął grzebać w środku.

Kimi zgasił silnik, odwrócił się i uśmiechnął. Miał szminkę na zębach.

- Pieniądze proszę.

Tuck podał mu plik banknotów. Nie podobało mu się to, ale nie miał wyboru. Właściwie brak wyboru nawet ułatwiał sprawę.

- Wypłyniemy od razu?

- Miniemy rafę przed zmrokiem, to się nie rozbijemy i nie utoniemy. Potem lepiej płynąć po ciemku. Według gwiazd.

Rozbić się?

- Nie powinniśmy sprawdzić pogody? Kimi parsknął śmiechem.

- Czuje sztorm? Widzi sztorm na niebie?

Tuck rozejrzał się. Oprócz kilku grzybkowatych chmur za rafą, niebo było czyste. Czuł tylko zapach tropikalnych kwiatów, niesiony bryzą, i odorek dobywający się spod jego pach.

- Nie.

- Spotkamy się tu za pół godziny. - Kimi uruchomił silnik i popłynął przez zatokę w stronę wielkiego zbiornika z wymalowanym z boku logo firmy Mobil.

Tuck poszedł do sklepu i kupił zapasy, potem znalazł centralę telekomunikacyjną kilka domów dalej i wysłał odręcznie napisany faks do doktora z Alualu, by go powiadomić, że nowy pilot jest w drodze.

Czekał w porcie, gdy Kimi wrócił łodzią. Perukę miał przewiazaną czerwoną szyfonową chustą. Roberto nosił mniejszą chustę, z wyciętymi otworami na uszy. O dziwo, w połączeniu z okularami chusta nadawała nietoperzowi wygląd nieco przypominający Dianę Ross. Mówią, że liczba twarzy na świecie jest skończona...

Tucker rzucił ciężki plecak na dziób, potem wsiadł do środka i usiadł przed ogromnym zbiornikiem. Kimi przesunął dźwignię przekładni na silniku, złapał rączkę i wyprowadził łódź z zatoki w kierunku

rafy.

Wypłynęli poza głęboką zielenią zatoki na turkusowe Wody kanału. Tuck widział rafę, jasnobrązowy i czerwony koral, bardzo płytko pod powierzchnią na krawędzi kanału.

Dostrzegał małe rybki, przemykające wokół wielkich koralów, przypominających kształtem mózgi. Przypominały bardziej smugi koloru niż zwierzęta i gdy jedno zniknęło, zaraz na linii wzroku pojawiały się inne. Kilka długich, smukłych rurecznic, które wyglądały jak wykute ze srebra, płynęło chwilę równoległe do łodzi, po czym zawróciło na rafę.

Minęli krawędź rafy i wypłynęli na pełne morze, kołysząc się lekko na kilku pierwszych falach. Kimi podkręcił silnik i łódź pomknęła po grzbiecie fal, łagodnie unosząc się i opadając o piętnaście centymetrów, a przy tym wybijała rytm, kontrastujący ze skamleniem wiatru. Tucker odprężył się i oparł, gdy Kimi mijał rafę, kierując się ku zachodzącemu słońcu, aż okrążył wyspę i mógł skręcić na północ, w stronę Alualu.

Pierwszy raz od kraksy Tucker czuł się dobrze, miał wrażenie, że zmierza ku czemuś lepszemu. Podjął decyzję i działał, by ją wypełnić, a za osiemnaście godzin będzie gotów, by rozpocząć nową pracę. Znowu będzie pilotem, będzie dobrze zarabiał i latał wspaniałym samolotem. A po odpowiednim leczeniu znowu będzie także mężczyzną.

Ćwierć mili od Yap Kimi zatoczył powolne koło, po którym mieli słońce za lewym ramieniem. Tuck patrzył, jak *sionce* zanurza się w oceanie. Słupy pionowych cumulusów zmieniły się w różową watę cukrową, a potem, gdy słońce stało się czerwonym waflem na horyzoncie, nabrały czerwonej barwy jabłek na patyku i dobywały się z nich fioletowe promienie niczym snopy światła ze szperaczy. Woda wyglądała jak mokry asfalt odbijający blask neonów albo zachlapana krwią stal broni - barwy z okładki powieści detektywistycznej, w której bohaterowie ostro piją, a piękność jest zawsze zdradziecka.

Tucker patrzył na niebo w poszukiwaniu cumulusów, które miałyby ambicję zostać chmurami burzowymi. Jak, do cholery, człowiek miał określić pogodę z poziomu morza?

W tym momencie przed nimi podniosła się fala i uderzyła w łódź. Tuck poczuł, że jego kość ogonowa uderza o skraj siedzenia i chciał zmienić pozycję, gdy kolejna fala rzuciła go na dno łodzi, a nagły poryw wiatru obryzgał go kroplami wody.

Rozdział 16.

A TERAZ PROGNOZA POGODY

Najwyższa Kapłanka siedziała na ganku i oglądała zachód słońca, pociągając ze szklanki małe łyki zmrożonej wódki i przegryzając bananem. W domu zapiszczał interkom, więc zwróciła ucho w stronę otwartego okna.

- Beth, możesz zejść do mojego biura? To ważne. - Czarownik najwyraźniej wpadł w panikę.

Zawsze wpada w panikę, pomyślała. Odstawiła wódkę na bambusowy stolik i cisnęła banana w piasek. Przeszła po tekowych deskach do drzwi balkonowych, minęła je i zbliżyła się do interkomu, po czym eleganckim ruchem nacisnęła guzik.

- Już idę - oznajmiła.

Ruszyła w stronę tylnych drzwi domu, dwupokojowego bungalowu z bambusa, drewna tekowego i trzciny. Po drodze dostrzegła swoje odbicie w pełnowymiarowym lustrze.

- Szlag.

Była naga, ma się rozumieć, a będzie musiała wyjść na zewnątrz, by dostać się do biura Czarownika. Życie stało się o wiele bardziej skomplikowane, odkąd zatrudnili ochroniarzy.

Wpadła do sypialni i wyciągnęła z szafy za dużą bluzę 49ers z obciętymi rękawami, a potem nasunęła jakieś sandały i znowu ruszyła do tylnych drzwi. Tak naprawdę nie była ubrana, ale dzięki temu będzie miała spokój z Czarownikiem i ninja.

Cały teren składał się z sześciu budynków, rozrzuconych na obszarze półtora hektara, pokrytym białym, koralowym żwirem oraz betonem i ogrodzonym czterometrową siatką z drutem kolczastym na górze. Z przodu znajdował się pomost i mała plaża, z której można się było wydostać do wąskiego kanału przez rafę. Z tyłu, na betonowej platformie tuż pod siatką, stał nowy learjet. Na zewnątrz ogrodzenia wyspę przedzielał na pół betonowy pas startowy. Dalej znajdowała się dżungla, a także poletka taro, wioski i plaże plemienia Rekinów.

Biuro było niskim betonowym budynkiem ze stalowymi drzwiami i dachem pokrytym panelami słonecznymi, które połyskiwały czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. Skinęła głową strażnikowi przy drzwiach, który ani drgnął, dopóki go nie minęła, a wtedy próbował zerknąć za jej bluzę. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Co jest? Skończyłeś już z tą anteną satelitarną? Niedługo zaczynają się moje programy.

Odwrócił się od komputerowego monitora z kawałkiem zmiętego faksowego papieru w dłoni.

- Zatrudniłszy idiotę.

- Zechcesz mówić konkretnie czy mam przyjąć, że jeden z ninja szczególnie się wyróżnił?

- Pilota, Beth. Spóźnił się na Micro Tradera.

- Kurde.

jo-

- To jeszcze nie wszystko. - Podał jej faks. - To on. Wynajął małą łódź. Pisze, że będzie tu jutro.

- Czyli szybciej niż miał się pojawić. W czym problem.

- W tym. - Czarownik odsunął swoje krzesło i pokazał monitor. Wyświetlany obraz wyglądał jak pęcherz z zieloną i czarną farbą.

- Wygląda jak pęcherz z zieloną farbą - stwierdziła. - Co to jest?

- To, moja droga, jest Marie.

- Sebastianie, za długo już tu siedzisz. Wiem, że lubisz sztukę abstrakcyjną i w ogóle...

- To obraz satelitarny huraganu Marie. Jest bardzo duży. - Wskazał kropkę z boku ekranu. - To jest Alualu.

- Czyli nas ominie.

- Załapiemy się na sam skraj. Musimy wstawić samolot do hangaru i wszystko przywiązać, ale nie powinno być tak źle. Kłopot w tym, że oko cyklonu przejdzie dokładnie tam, gdzie będzie nasz pilot. Nie do wiary, że wypłynął w morze bez sprawdzenia pogody.

Wzruszyła ramionami.

- Więc musimy ściągnąć nowego pilota. Tuckerze Case, poznaj Marie.

Uśmiechnęła się, a jej oczy zaśniły jak odległe gwiazdy. Szkoda, pomyślała. Z pilotem byłoby fajnie.

POGODA POD PSEM

Tuck był zdumiony, do czego zdolne jest ludzkie ciało w warunkach ekstremalnych. Ludzie podnosili ciągniki, pokonywali sto pięćdziesiąt kilometrów przez tundrę, częściowo wypatroszeni przez niedźwiedzia kodiaka, przeżywali całe miesiące, żywiąc się tylko larwami i wysysaną z zagłębień wodą, albo - w tym wypadku - wymiotowali przez dwie godziny bez przerwy, choć od dwóch dni nie trawili nic z wyjątkiem alkoholu i orzeszków w samolocie. Z Tuckera wydobywała się czysta żółć, ostra i kwaśna, a że łódź wierzgała niczym byk na rodeo, połowa wymiotów lądowała na nim. Między falami torsji nie było chwili wytchnienia, a tylko bezustanny ruch i bryzgająca woda. Mięśnie jego żołądka zwinęły się w supły.

Zaczął się od coraz większych fal, które w końcu osiągnęły wysokość trzech metrów. Kimi prowadził na nie łódź, jakby wspinał się na wzgórze. Rzuciło nimi na białym grzbiecie fali, po czym zjeżdżali jak na sankach i zaraz pojawiała się przed nimi kolejna czarna ściana wody. Roberto schował się pod sukienkę Kimiego i tkwił tam niczym włochaty guz. Nawigator krzyczał za każdym razem, gdy przyskała na niego woda, bo pazury na skrzydłach Roberta wbijały mu się w żebra.

- Przywiąż plecak. Przywiąż pas do łodzi! – zawołał Kimi.

Tuck znalazł w plecaku zwój nylonowego sznurka i składany nóż, po czym przywiązał siebie i plecak do przedniego siedzenia. Zauważył, że przestrzeń pod ławką wypełnia gęsty styropian. Teoretycznie łódź była niezatapiałna. To dobrze - ktoś znajdzie ich zmaltretowane, nadgryzione przez rekiny ciała. Rzucił kawałek sznurka Kimiemu, który przewiązał się nim w pasie.

Jakby ktoś uruchomił silnik odrzutowy, wiatr w jednej chwili przyśpieszył z dziesięciu do sześćdziesięciu węzłów, z każdą falą wlewając do łodzi masy wody i zagłuszając dźwięk silnika.

Kimi wykrzyknął jakieś polecenie, ale słowa porwał wiatr. Do Tucka dotarło tylko jedno:

- Wybierać!

Gdy zjeżdżali w dół fali, skorzystał z okazji, by się rozejrzeć po łodzi w poszukiwaniu naczynia, ale znalazł tylko baniak z pitną wodą. Wyjął z kieszeni składany nóż i odciął górną część baniaka. Wylał słodką wodę, potem, opierając się nogami o wewnętrzną stronę rufy, a plecami o siedzenie, zaczął wybierać wodę pomiędzy swoich nóg, za każdym razem zagarniając całe cztery litry i wylewając je na wiatr. Robił to w takim tempie, jakby walczył o życie, i już po minucie wszystko go bolało, ale i tak nie był w stanie wyprzedzić sztormu. Łódź stale nabierała wody.

Ośmielił się zerknąć na Kimiego i zobaczył, że nawigator znalazł puszkę po kawie, zaparł się między siedzenie a zbiornik paliwa i jedną ręką wybierał wodę, a drugą sterował. Chusta opadła mu na szyję i powiewała za nim razem z blond peruką. Silnik był ustawiony na pełną moc i Kimi starał się sterować w poprzek fal. Gdyby któraś uderzyła ich z boku, zaczęliby się obracać, aż w końcu sztorm by ich pochłoniął.

Tuck zwolnił tempo i nabrał spokojnego, stałego rytmu. Zaczął padać, krople deszczu siekły niemal poziomo, a gdy znaleźli się na grzbiecie kolejnej fali, Tuck zauważył, że połowa nieba zniknęła. Byli dopiero na skraju sztormu. Nawigator na niego krzyczał. Morze, niebo i łódź roztapiały się w czerni. W jednej chwili mrużył oczy przed słoną wodą i patrzył na obsydianową ścianę przed dziobem, by w następnej wszystko stało się czarne. Najpierw totalne przeciążenie sensoryczne, a potem sensoryczna deprywacja. Rozejrzał się, szukając gwiazd, księżycy, światła albo cienia, ale wokół nie było nic z wyjątkiem wiatru, wody, zimna i bólu. Zadrzał i miał ochotę zwinąć się na dziobie w pozycji embrionalnej, by czekać na śmierć. Krzyk nawigatora pozwolił mu zorientować się w rzeczywistości.

- Potrzebujemy światła!

Tuck wziął się w garść, po czym pogrzebał w przemoczonym plecaku i wyłowił dwie wodoodporne latarki. Bądź błogosławiony Jake'u Skye'u.

Nacisnął uszczelnione włączniki.

Światło. Wystarczające, by zobaczyć, że Kimi kieruje ich równolegle do złowieszczej ściany wody. Zaleje ich. Nawigator przekręcił silnik na bok i zwiększył moc. Łódź skręciła w ostatniej chwili, napotkała nadciągającą falę i ją pokonała. Tucker złapał się łodzi tak, jak nowo narodzona małpka chwyta się matki.

Tuck przywiązał latarki do kabestanu na dziobie, jedną kierując w przód, a drugą na łódź, po czym znowu zaczął wybierać wodę.

Monstrualna fala urosła na wysokość dziesięciu metrów i przewaliła się nad nimi. Tuck zamrugał, by się pozbyć soli i oczu, i zobaczył, że w łodzi jest trzydziestocentymetrowa warstwa wody. Kolejna fala tej wielkości zdławi silnik. A bez silnika będą zgubieni. Wybieranie wody nie wystarczało.

Zginiemy, pomyślał.

Potem hałas sztormu umilkł.

- Nie, nie zginiesz - rozległ się głos - jebany dupku. - Huk wichru i krzyki nawigatora zniknęły. Był *tylko ten* głos. - W plecaku masz brezent. Nakryj nim łódź, żeby nie obierała już wody. A potem idź na rufę i wylewaj.

Teraz Tuck miał w umyśle jakiś obraz tego, co ma robić. Od zewnątrz nadburcia znajdowały się otworki, pozwalające zamocować sznur przy krawędzi brezentu.

- Zrozumiałeś, asie?

Tuck widział brezent i wiedział, że da radę.

- Dzięki - powiedział. Nie zastanawiał się, skąd dochodził głos. Skinął głową. Znowu otoczył go ryk sztormu.

Pięć minut później łódź była przykryta i, co za tym szło, nie tak mocno zanurzona. Tuck usiadł obok nawigatora i wybierał wodę.

- Steruj! - wrzasnął Kimi.

Tucker chwycił rumpel, a nawigator go puścił i próbował rozmasować dłoń, która zmieniła się w odrętwiałą pięść.

Pilot poprowadził łódź pod olbrzymią falę i nagle kadłub znalazł się w powietrzu. Bez oporu na śrubie silnik zawył i Tuck zdusił gaz, by nie eksplodował. Dziób skierował się ku niebu i Kimi złapał się burty w ostatniej chwili, by za nią nie wypaść. Opadli z hukiem i silnik omal nie poszedł pod wodę. Motor zakaszłał. Tuck otworzył przepustnicę, by przywrócić mu życie.

Już wspinali się na kolejną falę, bardziej stromą od poprzedniej. Jeśli podmuch wiatru złapie ich na górze, to wywróci łódź. Tuck przypomniał sobie nagle pewną surferską sztuczkę z młodości. Nie

było możliwości, by dalej zmagali się z wiatrem i z falami. W połowie wodnej ściany podkręcił gaz i przesunął motor w bok. Silnik zakrzuszył się, jakby wypluwał kulkę sierści, a potem ryknął, pchając ich naprzód po fali.

- Co robi?! - krzyknął Kimi.

Tuck nie odpowiedział. Szukał odpowiedniego miejsca, takiego gdzie fala pozostawałaby w jednakowym stanie. Gdyby tylko silnik mógł utrzymać prędkość.

Fala skradała się, górowała im nad plecami, potem jednak znaleźli się na tyle wysoko, że pochwycił ich wiatr. Mieli odpowiedni impet. Odpowiednią prędkość. Łódź rozplaszczyła się na fali. Surfowali, podczas gdy dziesięciometrowa ściana wody czaiła się, by ich zmiażdżyć, jeśli tylko Tuck popełni błąd.

O dziwo, Tuck odczuwał radość. Odniósł drobne zwycięstwo, może nawet jedynie tymczasowe. Ale ścigali się ze sztormem, a on miał sytuację pod kontrolą pierwszy raz od kraksy samolotu. Pilnował nachylenia łodzi na fali, oceniał prędkość i stromiznę, po czym dostosowywał parametry tak, by przeżyli. Czarna woda pożerała promienie światła z latarek, widział jednak, że fala wznosi się wyżej i pod większym kątem, gdy wspinała się na szelf oceaniczny, kierując się na wygłodniałą rafę.

ZIEMIA NA HORYZONCIE

Wyspa wyglądała jak małe koralowe ciastko z lukrem z guana. W najszerszym miejscu miała najwyżej sto metrów, w najwyższym zaś sięgała tylko półtora metra nad poziom morza. Służyła za miejsce odpoczynku dla morskich ptaków i gniazdownisko dla żółwi, a także za bazę dla czterdziestu ośmiu palm kokosowych. Liście i kokosy zostały co do jednego zerwane z palm, a gnane sztormem spienione fale, złamane na pobliskiej rafie, uderzały o pnie i zmywały cenną warstewkę gleby. Niektóre palmy zostały podmyte i lada moment mogły spłynąć do morza.

Z trzech podróżnych tylko Roberto wiedział o istnieniu wysepki. Jako młody nietoperz zatrzymał się tutaj na odpoczynek podczas lotu z Guam (gdzie przyszedł na świat) do jakiegoś miejsca, gdzie mango są słodkie, a tubylcy nie uważają nietoperzy owocożernych za przysmak. W tej jednak chwili był zbyt zajęty ukrywaniem się pod sukienką Kimiego, krzyczeniem, drapaniem i ogólnie utrzymywaniem ciepła, więc nie wspomniał nawigatorowi, że jeśli nagle zaczęli sunąć po coraz bardziej stromej piętnastometrowej fali, to zaraz rozbiją się o rafę.

Zanim Tucker Case zorientował się, co się święci, znaleźli się w ogromnej, wodnej rurze, surfując wewnątrz fali. Blask latarek załamywał się na zielonej wodzie, rozświetlając tubę, i można było odnieść wrażenie, że płyną przez wielką butelkę wrzącej coca-coli. Tuck starał się kierować łódź na

wąskie koło czerni, gdzie powinien znajdować się kapsel, bo tam mieli szanse na ucieczkę. Widział filmy o surferach, wydostających się z fali u północnych wybrzeży Hawajów. To było wykonalne. Trzymał się tej wizji, nawet wtedy, gdy fala przewaliła się przez rafę i opadła prosto na nich.

Łódź przekreśliła się, raz, drugi, trzeci, a potem przekościółkowała i obróciła tuż pod powierzchnią, kiedy spieniona fala obmyła wysepkę. Kimi i Tuck, przywiązani do łodzi, obijali się o palmowe pnie i o kadłub. Dla Tuckera nie istniała już góra ani dół, nie miał pojęcia, czy za chwilę wciągnie haust życiodajnego powietrza, czy też zachłyśnie się morską wodą i umrze. Wstrzymywał oddech, aż poczuł, że lada chwila go rozsadzi, a potem łódź przytrzasnęła go do drzewa i wtedy odpuścił.

Pazury na skrzydłach Roberta wycinały głębokie bruzdy w żebrach Kimiego, gdy nietoperz wspinał się, by zaczerpnąć powietrza. Nawigator mocno oberwał w czoło, gdy łódź przetoczyła się nad nim, i teraz leżał nieprzytomny.

Tuck poczuł, że coś odciąga go od łodzi, przez chwilę się obracał, a potem sznurek wbił mu się w talię. Widział przywiązane do łodzi latarki - wciąż świeciły, jedyny przekaz wizualny w tym sensorycznym chaosie. Łódź ciągnęła go za sobą. Coś uderzyło go w żebra i instynktownie po to sięgnął, chwytając w garść sukienkę Kimiego. Roberto uczepił się głowy nawigatora i powarkiwiał na wiatr.

Przejechali przez wyspę i znaleźli się po drugiej stronie. Łódź zaczepiła się o ostatnią palmę, zanim znowu wyrzuciło ich na morze.

Tuck chwycił jedną ręką swój sznurek, po czym drugą objął klatkę piersiową Kimiego. Powoli, walcząc z rwącym nurtem, który teraz przypominał raczej rzekę, jako że rafa i wyspa przełamały fale, ciągnął towarzysza z powrotem do łodzi.

Łódź unosiła się na wodzie, ale ledwo-ledwo, utrzymywana na powierzchni jedynie dzięki styropianowi pod siedzeniami i powietrzu uwięzionemu w zbiorniku paliwa. Ponad wodę wystawało tylko kilka centymetrów burty. Tuck wpełzł do środka, zaczerpnął tchu, po czym wciągnął za sobą nieprzytomnego nawigatora. Roberto wdrapał się na czubek głowy Kimiego, by uciec jak najdalej od powierzchni morza, i omal nie porwał go wiatr. Tucker złapał wielkiego nietoperza i przeniósł go z głowy Kimiego na własne plecy, krzywiąc się, gdy wpiły mu się w nie pazury. Następnie przewiesił nawigatora przez burty i zaczął wypompowywać wodę z jego płuc.

Po kilku sekundach odwrócił go z powrotem i rozpoczął sztuczne oddychanie metodą usta-usta, aż Kimi odkaslnął i zwymiotował strumieniem morskiej wody. Tuck trzymał jego głowę.

- W porządku?

Kimi skinął głową i zrobił kilka bolesnych wdechów. Gdy już odzyskał oddech, spytał:

- Roberto?

Tuck wskazał mały psi pysk, wyglądający zza jego ramienia.

Kimi zdobył się na uśmiech.

- Roberto! Chodź. - Zdjął nietoperza z pleców towarzysza i przycisnął go do piersi.

Byli stosunkowo bezpieczni. Wyspa osłaniała ich przed potwornymi falami, więc musieli sobie radzić tylko z deszczem i wiatrem. Brezent zniknął. Łódź była zupełnie zalana, ale unosiła się na wodzie. O dziwo, latarki nie odpadły. Tucker widział drzewo, o które się zaczepili. Padł z powrotem na dziób, opierając się pachami o burty, po czym zapadł w stan przemęczonej nieświadomości, który od biedy można by nazwać snem.

19

WODA, WODA

W pierwszych promieniach dnia palma kokosowa, która ich ocaliła, w końcu się poddała i przewróciła, wypuszczając łódź na morze. Fala odpływu poniosła łódź i śpiących pasażerów przez wyrwę w rafie na otwarty ocean.

Tuck, siedząc w sięgającej mu do piersi wodzie na dziobie, śnił, że zabłądził na pustyni, gdy wtem latająca ryba plasnęła go w głowę. W oszołomieniu sięgnął instynktownie w górę, jakby chciał pacnąć natrętnego komara, i złapał rybę w prawą dłoń. Otworzył oczy. W wyobraźni wciąż znajdował się na pustyni i umierał z pragnienia, więc fakt, że trzymał teraz w ręce *coś*, *co* wyglądało jak uskrzydłony pstrąg, zakrawał na okrutny, surrealistyczny żart. Rozejrzał się dookoła, zobaczył łódź, skulonego na rufie Kimiego, ocean, niebo i nic poza tym. Jak okiem sięgnąć, nie było widać lądu.

Rzucił rybą w Kimiego. Odbiła się od jego czoła i wpadła do morza. Nawigator wrzasnął i gwałtownie usiadł. Roberto, w przekrzywionych okularach, wychylił głowę z dekoltu sukienki Kimiego i pisnął na Tuckera.

- Po co to zrobił? - spytał Kimi.

- Brawo za nawigację - odparł Tuck. A potem dodał, przedrzeźniając łamaną angielszczyznę Kimiego: - Czuje sztorm? Widzi sztorm na niebie?

- O, jaki wielki pilot. Dlaczego nie sprawdził pogody? Co za głupi Amerykanin płynie dwieście mil małą łódką?

- Powiedziałaś, że to nie kłopot.

- Płaci Kimiemu duży pieniądz. To nie kłopot.

- Ale teraz mamy już pieprzony kłopot, nie?

Kimi pogłaskał nietoperza po łebku, by go uspokoić.

- Przestań krzyczeć. Straszy Roberta.

- Mam gdzieś Roberta. Omal nie utonęliśmy pośrodku Pacyfiku i nie mamy napędu. Moim zdaniem mamy kłopot.

Kimi przestał zajmować się Robertem i podniósł wzrok.

- Nie mamy napędu? - Odwrócił się i popatrzył na puste miejsce po silniku. Zaczepy wyłobily głębokie bruzdy, gdy motor zsunął się z łodzi. Odwrócił się do Tucka i uśmiechnął głupawo. - Ojoj.

- Już nie żyjemy - stwierdził Tuck.

Kimi jeszcze raz spojrział w miejsce, gdzie powinien być silnik, upewniając się, że nadal go nie ma.

- Pytam tego człowieka: „Motor dobrze przymocowany?”. A on mówi: „O tak, siedzi bardzo mocno”. Płacę mu dobry pieniądz, a on kłamie. Oj, Kimi jest wściekły.

Roberto szczerknął na znak zgody.

- Przestań! - krzyknął Tucker. Roberto zanurkował z powrotem pod sukienkę. - Musimy jakoś wybrać część tej wody. Nie mamy silnika. Nie możemy donikąd popłynąć. Dryfujemy, zagubieni na morzu...

- Żyjemy - przerwał mu Kimi. - Wyciągam cię żywego z cyklonu, a teraz tylko krzyczy i mówi złe rzeczy. Rezygnuję. Znajdź nowego nawigatora. Roberto mówi, że jesteś zły, brzydki, jeżdżący chevroletem amerykański mlekopijca i psojebca.

- Nie piję mleka - odparł Tuck. Ha! Wygrał tę rundę.

- Ale on tak mówi.

- Roberto nie mówi!

- Nie do ciebie, psojebco. Ty nie... - Kimi urwał w pół zdania, odnalazłszy puszkę po kawie, przywiązaną sznurkiem do łodzi. Zaczął zawzięcie wylewać wodę z kadłuba. - Ma rację. Teraz wybieramy wodę.

- Co? - Tuck uniósł wzrok i zobaczył, że tamten patrzy na morze, wybałuszając oczy. Podążył za jego wzrokiem i dwadzieścia metrów przed łodzią zobaczył trójkątną płetwę, zataczającą łagodne łuki wśród fal.

- Szybciej! - zawołał nawigator. - Zbliża się.

Tucker sięgnął po plecak, powodując, że dziób zanurzył się pod wodę. Zanim przesunął ciężar ciała na drugą nogę, by zbalansować łódź, rekin znalazł się nad burtą, kłapiąc szczękami niczym ludożercza pacynka. Tuck wstał, by uchylić się przed zębami, i dziób wszedł jeszcze głębiej pod powierzchnię. Rekin wślizgnął się do łodzi, gdy Tuck się cofnął, przekraczając burtę.

Strach przeszył jego ciało, jakby woda była naelektryzowana. Chciał uciekać we wszystkie strony naraz. Odplłynął kawałek od łodzi, by zobaczyć, że rekin ześlizguje się z powrotem do morza.

- Wsiadaj do łodzi! - wrzasnął Kimi. Stał na szeroko rozstawionych nogach, starając się powstrzymać łódź przed wywrotką.

Tuck poruszał nogami tak mocno, że po pas wzniosł się nad wodę. Zaciśnął dłoń na burcie. Kimi przesunął się, by zrównoważyć jego ciężar i Tuck podciągnął się dokładnie w chwili, gdy coś uderzyło go w stopę. Wyrwał ją tak szybko, że omal nie wypadł z łodzi po drugiej stronie, a potem odwrócił się, by zobaczyć, że rekin zsuwa się do wody z jego butem w zębach.

- Za tobą! - krzyknął Kimi.

Inny rekin wyłonił się za plecami Tucka, który obrócił się i walnął go w nos najmocniej, jak potrafił, kalecząc sobie kłykcie o szorstką niczym papier ścierny skórę rekina. Drapieżnik odplłynął.

Impet ciosu sprawił, że tym razem rufa zanurzyła się pod wodę i kolejny atak był wymierzony w Kimiego. Na widok wsuwającego się do łodzi rekina, nawigator wyrzucił Roberta w górę. Nietoperz rozłożył skrzydła i pofrunął ku niebu. Kimi sięgnął w dół i złapał gumowy przewód paliwowy.

Tucker rozglądał się za czymś, czego mogliby użyć jako broni, a potem przypomniał sobie składany nóż, który wsunął do kieszeni poprzedniej nocy. Ciągle go miał.

Kimi okładał rekina gumowym węzem. Cofając się, wszedł na wielki zbiornik paliwa, umieszczony pośrodku kadłuba. Tuck rozłożył nóż, po czym przysunął się do nawigatora.

- Kimi!

Tamten wyciągnął dłoń w tył i Tuck wsunął w nią rękojeść noża. Połowa trzymetrowego cielska rekina znalazła się już w łodzi. Jego ogon tłukł o wodę, gdy drapieżnik próbował dostać się na zbiornik. W górze krążył rozwrzeszczany Roberto. Stopa Kimiego znalazła podparcie na korku wlewu paliwa i nawigator usiadł. Tuck myślał, że Kimi dźgnie rekina nożem, ale on przeciął przewód paliwowy i skierował strumień paliwa w otwartą paszczę ryby. Rekin zaczął się miotać i po chwili zsunął się po burcie.

Kimi uniósł nóż.

- Tak, paskudo, uciekaj. Ten smak nie taki słodki, jak Kimi, co? - Opadł na zbiornik i wziął głęboki wdech. - Pokazaliśmy rekinowi, kto tu rządzi.

- Kimi, ich jest więcej - zauważył Tuck. Wskazał płetwy, przybliżające się od strony rufy.

20

CHOLERNE PRZYWÓDZTWO

Sztorm łagodnie potraktował plemię Rekinów. Tu i tam zerwał strzechę, zniszczył kuchnię, zabrał trochę owoców z drzew chlebowych i palm kokosowych, ale nie tyle, by wywołać głód. Trochę morskiej wody wlało się na poletko taro, ale dopiero czas mógł dać odpowiedź na pytanie, czy oznaczało to utratę plonów. Plemię Rekinów powoli zabrało się do sprzątania. Większość prac wykonywały kobiety, podczas gdy mężczyźni siedzieli w cieniu męskiego domu, pijąc alkoholową *tubę* i udając, że omawiają ważne sprawy religijne. W istocie byli tam głównie po to, by przeczekać największy skwar i upić się przed obiadem.

Malink, wódz plemienia, wstał późno. Zbudził się rozdygotany i przestraszony, zastanawiając się, jak powinien interpretować swój dziwny sen. Sturlał się ze swojej maty do spania, utkanej z trawy, po czym podniósł się niepewnie i wytoczył z chaty, by sobie ulżyć pod wielkim drzewem chlebowym.

Był niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną około sześćdziesiątki. Włosy miał potargane i zupełnie siwe. Jego skóra, niegdyś barwy jasnego toffi, z biegiem lat ogorzała i nabrała ciemnego koloru zmatowiałej centówki. Jak większość Rekinów, miał na sobie tylko bawełnianą przepaskę biodrową i wieniec świeżych kwiatów (wplecionych tam przez jego córkę, kiedy spał). Na prawym mięśniu piersiowym miał tatuaż, przedstawiający rekina, na lewym zaś pysznił się bombowiec B-26.

Wrócił do chaty i wyciągnął stalową skrzynkę z amunicją. W środku znajdował się nylonowy pas z pokrowcem na przenośny telefon - jego szarfa przywódcy, bezpośrednie połączenie z Czarownikiem. Użył go tylko raz, kiedy jedną z jego córek złożyła nocą gorączka. Nacisnął guzik, a Czarownik

przybył do wioski i dał jej lekarstwo. Bał się teraz skorzystać z telefonu, ale sen powiedział mu, że musi przekazać wiadomość.

Malink chciał pójść do męskiego domu i przez kilka godzin dyskutować o swojej decyzji z innymi, wiedział jednak, że nie może. Musiał przekazać wiadomość ze snu. Tak powiedział Vincent, a Vincent wiedział wszystko.

Gdy naciskał guzik, żałował, że urodził się wodzem.

3! ^®

Najwyższa Kapłanka także spała, jak zwykle do późna. Czarownik szturchnął ją, a ona naciągnęła kołdrę na głowę.

- Co?

- Właśnie dzwonił Malink. Mówi, że dostał wiadomość od Vincenta.

Najwyższa Kapłanka przebudziła się, i to na dobre. Usiadła gwałtownie na łóżku i wzrok Czarownika natychmiast spoczął na jej nagich piersiach.

- Jak to wiadomość od Vincenta? Nie przekazywałam mu żadnych wiadomości.

Czarownik spojrzał jej w końcu w oczy.

- Był przerażony. Powiedział, że Vincent przyszedł do niego we śnie i kazał, posłuchaj, kazał mi przekazać, że pilot żyje, zmierza do nas i że mamy na niego czekać.

Przetarła zaspane oczy i pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Skąd wiedział, że czekamy na pilota? Mówiłeś coś?

- Nie, a ty?

- Żartujesz? Nie jestem głupia, Sebastianie, wbrew temu, co być może myślisz.

- No to jak się dowiedział? Ochroniarze nie mają o niczym pojęcia. A ja nic nie powiedziałem.

- Może to zbieg okoliczności - odrzekła. - Może po prostu miał złe sny od tego sztormu. Nie myśli o niczym innym, tylko o Vincencie. Zresztą jak oni wszyscy.

Czarownik wstał i cofnął się od łóżka, patrząc na nią podejrzliwie.

- Zbieg okoliczności czy nie, nie podoba mi się to. Myślę, że powinnaś odbyć spotkanie z plemieniem i przekazać im wiadomość od Vincenta. Powodzenie całej operacji zależy od tego,

czy to my będziemy głosem Vincenta. Niech nie myślą, że mogą sami się z nim kontaktować. - Odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Sebastianie... - zaczęła. Czarownik przystanął i spojrzał na nią przez ramię. - Co z pilotem? Co, jeśli Malink ma rację i facet naprawdę się tu zjawi?

- Nie bądź głupia, Beth. Jedyne sposoby, by kontrolować wiernych, to nie stać się jednym z nich. - Znowu skierował się do wyjścia i w tym momencie oberwał w potylicę szybko lecącą szklanekę do whisky. Odwrócił się, gdy padał na podłogę, trzymając się za głowę.

Najwyższa kapłanka stała przy łóżku, nie mając na sobie nic z wyjątkiem złotego łańcuszka na biodrach i krzywiąc się niczym dzikie zwierzę.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie głupią, to urwę ci te cholerne jaja.

JAK NAWIGATOR TRAFIŁ STAMTĄD TUTAJ

Patrząc na krążące wokół łodzi rekiny, Tuck czuł się tak, jakby wir wciągał go do odpływu wielkiej wanny. - Potrzebujemy lepszej broni - stwierdził. Przypomniawszy sobie film, w którym kiedyś Spencer Trący walczył z rekinami za pomocą noża przymocowanego do wiosła. - Mamy może wiosła? Przydałaby się dzida. Kimi wydawał się dotknięty.

- A co ze mną jest nie tak?

- Nie dziwka, tylko dzida! Pytam o wiosła! - Tucker zaczął naśladować ruchy wiosłarza. - Do wiosłowania.

- Skąd mam wiedzieć, o czym mówisz? Malcolm zawsze mówi: „Cholerne wiosła”. Nie, nie mamy wiosła.

- Wybieraj wodę - odrzekł Tuck.

Nawigator wylewał wodę za pomocą puszek po kawie, podczas gdy Tuck ze wszystkich sił starał się to robić rękami.

Pół godziny później łódź była tylko częściowo zalana, a rekiny ruszyły na poszukiwanie łatwiejszej zdobyczy. Tucker opadł na dziób, by złapać oddech. Słońce wisiało nisko na porannym niebie, ale już paliło mu skórę. Te części jego ciała, których nie dosięgła woda, były mokre od potu. Wsunął rękę do plecaka i wyciągnął litrową butelkę wody, którą kupił poprzedniego dnia. Była pełna tylko w połowie, a więcej nie mieli.

Popatrzył na nawigatora, który zawzięcie wylewał wodę z łodzi. Nigdy się nie dowie, jeśli Tuck

teraz wszystko wypije. Pilot odkręcił zakrętkę i pociągnął mały łyk. Nektar bogów. Nie odrywając oczu od Kimiego, wlał w siebie większy haust. Niemal czuł, jak jego odwodnione komórki cieszą się i oddychają z ulgą.

Wybierając wodę, Kimi śpiewał coś cicho po hiszpańsku do Roberta, który uczeplił się jego pleców. Kiedy tylko próbował zaśpiewać wyższą nutę, jego głos chrobotał niczym gnieciony pergamin. W kącikach jego ust widniały kryształki soli.

- Kimi, chcesz się napić? - Tucker podpełznął do zbiornika i podał butelkę nawigatorowi.

Tamten ją wziął.

- Dziękuję - powiedział. Otarł szyjkę butelki o sukienkę i pociągnął długi łyk, po czym wylał odrobinę wody na dłoń i podał Robertowi do zlizania. Po chwili oddał butelkę Tuckerowi.

- Wypij resztę. Jesteś większy. Tucker skinął głową i opróżnił butelkę.

- Kto to jest Malcolm?

_ Malcolm kupił mnie od matki. On z Sydney. Alfons.

- Kupił cię?

- Tak. Moja matka bardzo biedna w Manili. Nie może mnie karmić, więc sprzedaje Malcolmowi, jak mam dwanaście lat.

- A co z twoim ojcem?

- On nie z nami. Jest nawigatorem na Satawan. Poznał moją matkę w Manili, kiedy pracuje na kutrze i łowi tuńczyka. Żeni się z nią i zabiera na Satawan. Ona zostaje dziesięć lat, ale jej się nie podoba. Mówi, że dla Mikronezyjczyków kobiety jak śmiecie. Więc zabiera mnie i wraca do Manili, jak mam dziewięć lat. A potem sprzedaje mnie Malcolmowi. On ładnie mnie ubiera i zarabiam dla niego duże pieniądze. Ale on dla mnie niedobry. Mówi, że muszę się pozbyć Roberta, więc uciekam, żeby znaleźć ojca, niech mnie skończy uczyć być nawigatorem, słyszą o nim na Yap. Mówią, że zaginął na morzu pięć lat temu.

- To on nauczył cię nawigować? - Tucker wiedział, że to kiepskie pytanie, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć komuś, kogo matka sprzedała alfonsowi.

Kimi nie wychwycił sarkazmu.

~ Trochę mnie uczy. Trzeba długo, żeby zostać nawigatorem. Czasem dwadzieścia, trzydzieści lat. Chcesz się nauczyć- ja pomogę.

Tucker przypomniał sobie, jak trudno było mu nauczyć się zachodniej nawigacji, by dostać licencję pilota. A wtedy używał nowoczesnych map i instrumentów. Wyobrażał sobie, że nauka

nawigacji po gwiazdach - na pamięć, bez map - potrwa całe lata.

- Nie, w porządku - powiedział. - Z samolotami jest inaczej. Mamy teraz maszyny do nawigacji.

Wybierali wodę, aż słońce zawisło wysoko na niebie. Tuck czuł, że piecze go skóra. W plecaku znalazł krem z filtrem i podzielił się nim z Kimim, nie zapewniało to jednak ulgi od skwaru.

- Potrzebujemy cienia.

Brezentu już nie było. Opróżnił plecak, szukając czegoś, czym mogliby się osłonić, ale tym razem magiczna torba Jake'a Skye'a ich zawiodła.

W południe Tuck przeklinał się w duchu, że podczas sztormu wylał cztery litry słodkiej wody. Kimi siedział na dnie łodzi, głaszcząc Roberta po głowie i mówiąc coś cicho do dyszącego nietoperza.

Tuck próbował zabijać czas, przemywając skaleczenia i smarując je maścią z antybiotykiem, którą Jake spakował mu do apteczki. Odwrócił się i przyklęknął, zapewniając sobie akurat tyle prywatności, by sprawdzić uszkodzonego członka. Widział zakażenie wokół szwów. Wyobraził sobie gangrenę, amputację i w konsekwencji samobójstwo. A potem, szukając pozytywów, uświadomił sobie, że umrze z pragnienia znacznie wcześniej niż infekcja osiągnie taki etap.

ZNALEZIONA MIELONKA

Ośmiornica przemknęła przez morskie dno, ponad wielką głową przypominającego mózg koralą, po czym wcisnęła się w wąską szczelinę w rafie. Sara-pul widział jasnioletową skórę, pulsującą w szczelinie trzy sążnie poniżej. Zaczerpnął tchu i zanurkował z włócznią w dłoni.

Ośmiornica, wyczuwszy zagrożenie, zmieniła barwę na rdzawy brąz otaczających ją koralu i dopasowała swój kształt do kryjówki. Sarapul złapał się lewą ręką krawędzi szczeliny, prawą zaś machnął włócznią. Broń ledwie drasnęła jedną z macek ośmiornicy, która rozbłysła czerwienią w chromatycznym krzyku, a potem wypuściła atrament, który rozniósł się po wodzie w postaci ciemnej chmury.

Sarapul opuścił włócznię, by odegnąć atrament, nim zada kolejny cios. Zabrakło mu jednak powietrza. Zostawił broń w szczelinie i pomknął ku powierzchni. Ośmiornica zwiertżyła szansę i wystrzeliła na zewnątrz, by znaleźć nową kryjówkę, zanim napastnik się zorientuje, że zniknęła.

Sarapul wypłynął na powierzchnię, miotając przekleństwa. Tylko trzy sążnie, pięć i pół metra, a on nie zdołał wytrzymać pod wodą wystarczająco długo, by wywabić ośmiornicę z dziury. W młodości potrafił zanurkować na dwanaście sążni i zostać pod wodą dłużej niż jakikolwiek inny mężczyzna z plemienia Rekinów. Cieszył się, że nikt go nie widział, starca, który nie umie się nawet wyżywić.

Ściągnął maskę i napluł do środka, po czym opłukał ją morską wodą. Popatrzył na morze, wypatrując rekinów, które masowo zamieszkiwały rafę. Jakiś pół mili od rafy dostrzegł dryfującą łódź. Włożył maskę i spojrzał w dół, chcąc zlokalizować swoją włócznię, by później ją wydobyć. Potem powolnym kraulem popłynął w stronę łodzi.

Był zdyszany, gdy w końcu do niej dotarł, i przez kilka minut wisiał na burcie, kołysząc się na falach. Przesunął się na dziób, podciągnął się i wszedł do środka. Wielki czarny nietoperz przeleciał mu przed twarzą, po czym pofrunął w kierunku wyspy. Sarapul zaklął i wypowiedział kilka magicznych słów, by się chronić, a potem zaczerpnął tchu i przyjrzał się ciałom.

Mężczyzna i kobieta. Nie żyli dopiero od niedawna. Jeszcze nie cuchnęli i nie mieli wzdętych brzuchów. Mięso ciągle było świeże. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatnio kosztował długiej świni. Uszczypnął nogę mężczyzny, by sprawdzić tłuszcz. Mężczyzna jęknął. Jeszcze żył. Tym lepiej, pomyślał Sarapul. Zjem trupa, a ten drugi będzie ciągle świeży!

DEUS EX MACHINA

Kapłanka Nieba pojawiła się pierwszy raz w 1944 roku na dziobie bombowca B-26. Wyczarowana z farby przez młodego lotnika, Jacka Mosesa, leżała wyluzowana i naga na aluminiowym poszyciu, z czerwonym czółenkiem dyndającym na drobnej stopce i uśmiechem obiecującym przyjemności, jakich nie dostarczyłaby żadna śmiertelniczka. Gdy Moses ostatnim pociągnięciem pędzla dokończył pończochę z czarnymi szwami, wiedział, że ta kobieta ma w sobie coś szczególnego, coś elektrycznego i żywego, i że pęknie mu serce, kiedy odlecą z nią nad Pacyfik. Pocałował swoją dłoń, którą następnie przyłożył delikatnie do jej tyłka, po czym zszedł po drabinie, by przyjrzeć się swemu dziełu.

Stał na asfalcie dobre pół godziny i po prostu patrzył na nią jak zaczarowany, żałując, że nie może jej zabrać do domu albo do muzeum, albo zdjęć z poszycia bombowca i umieścić na sklepieniu katedry.

Jack Moses nie zauważył majora, który stał obok niego, dopóki oficer się nie odezwał.

- Ma coś w sobie - stwierdził major. I zdjął czapkę, nie wiedząc, dlaczego to robi.

- Prawda? - odrzekł Moses. - Jutro leci na Tinian. Szkoda, że nie lecę z nią.

Oficer wyciągnął rękę i ścisnął jego ramię. Trochę brakowało mu tchu, a Kapłanka Nieba włączyła w jego umyśle sprośny film.

- Ubierz ją trochę, synu. Nie możemy pozwolić, żeby pokazali cipkę w kronice filmowej.

- Tak jest, sir. Ale nie muszę malować jej bluzki, co?

Major się uśmiechnął.

- Synu, gdybyś włożył jej bluzkę, postawiłbym cię przed sądem wojennym.

- Tak, sir.

Moses zasalutował i wdrapał się z powrotem po drabinie, z pędzlem i czerwoną farbą w rękach, by domalować jej między nogami wijącą się chustę.

Tydzień później, gdy młody pilot Vincent Bennidetti dowodził załogą samolotu, kołującego po pasie startowym przed pierwszą misją bojową Kapłanki Nieba, odwrócił się do nawigatora i powiedział:

- Oddałbym roczny żółd, żeby być tą chustą.

Pół wieku później Beth Curtis wpięła sobie we włosy dużą czerwoną kokardę, a potem wsunęła na nogi cienkie pończochy z czarnymi szwami. Stała przed lustrem i przewiązała się w tali czerwoną chustą, pozwalając, by rogi wisiały nisko między jej udami. Włożyła czerwone czółenka, obróciła się szybko przed lustrem i wyszła z bungalowu przy wtórze bębnow plemienia Rekinów, które biły, by powitać ją - Kapłankę Nieba.

Vincent Bennidetti i jego załoga wylatali Kapłanką Nieba dwanaście misji i zatopili sześć japońskich okrętów, zanim ostrzał z japońskiego niszczyciela podziurawił zbiorniki w skrzydle i zniszczył prawy silnik. Jednakże nawet gdy wracali na Tinian, ciągnąc za sobą strugę dymu i paliwa, załoga wiedziała, że Kapłanka nad nią czuwa. Byli w końcu zaszarowani. W zamian za posłanego całusa albo klepięcie w tyłek Kapłanka wiodła ich do walki niczym zaciekły Anioł Stróż i chroniła ich, podczas gdy inne bombowce z ich dywizjonu spadały w płomieniach do morza. Pokazywała im, gdzie zrzucić bomby, a potem wiodła przez dym i ostrzał przeciwlotniczy z powrotem do Walhałli. Do domu. Bezpiecznie.

Drugi pilot rozmawiał z nawigatorem przez interkom o szybkości, zużyciu paliwa, a teraz także o prędkości schodzenia. Gdyby dalej tracili szybkość, nastąpiłoby przeciągnięcie, więc kapitan Vinnie ścigał B-26 w słodkie, gęstsze powietrze bliżej ziemi w tempie trzydziestu metrów na minutę. Tyle że im niżej lecieli, tym szybciej spalali paliwo.

- Wyrównam na sześciuset metrach - oznajmił kapitan Vinnie.

Nawigator dokonał szybkich obliczeń i odpowiedział:

- Na sześciuset metrach będziemy mieli trzysta mil do bazy, kapitanie. Dla pewności zalecam wyrównanie na dziewięciuset.

- Oj, człowieku małej, kurwa, wiary - odparł Vincent. - Poszukaj na mapie jakiegoś miejsca, gdzie możemy usiąść.

Nawigator sprawdził ich pozycję na mapie. Zobaczył małeńki atol o nazwie Alualu, jakieś czterdzieści mil morskich na południe. I wyglądało na to, że jest on teraz w amerykańskich rękach. Przekazał informację kapitanowi.

- Mapa pokazuje niedokończony pas startowy. Pewnie przegoniliśmy Japońców, zanim go zbudowali.

- Podaj kurs.

- Sir, może się okazać, że nic tam nie ma.

- Jebany dupku, wyjrzyj przez okno. Widzisz coś oprócz wody?

Nawigator podał kurs.

Vincent poklepał dźwignię przepustnicy i powiedział:

- No dalej, skarbie. Dowieź nas tam całych, to wybuduję ci świątynię.

Sarapul kierował się na plażę, do kręgu pijących mężczyzn, gdy usłyszał bębny witające Kapłankę Nieba. Ta biała zdzira znowu psuła mu szyki. Całe popołudnie zastanawiał się, co powie w kręgu: że plemię Rekinów musi wrócić do starych zwyczajów i że wie, od jakiego rytuału można by zacząć. Nie ma to jak odrobina kanibalizmu, żeby ludzie zaczęli myśleć jak należy. Ale teraz cały pomysł legł w gruzach. Wszyscy pójdą na pas startowy, żeby bić w bębny, śpiewać i maszerować w kółko jak banda idiotów, a kiedy Kapłanka Nieba w końcu sobie pójdzie, a mężczyźni wrócą do kręgu, będą rozmawiali tylko o cudownych słowach Vincenta. Nie da się powiedzieć nic na inny temat. Ruszył ścieżką, która wychodziła z wioski, i skierował się w stronę pasa startowego. W końcu Kapłanka może rozdawać jakieś fajne towary i nie chciał, by go to ominęło.

Sarapul został na zawsze wygnany z wioski Rekinów, odkąd jedno z wnucząt wodza zaginęło w tajemniczych okolicznościach, a potem zostało znalezione w dżungli z Sarapulem, który budował dziecięcych rozmiarów ziemny piec (zwany *oorri*) i zbierał różne wonne kawałki drewna na opał. Odtąd mężczyźni tolerowali go, gdy nocą pili w kręgu, i miał prawo do swojego kawałka rekiniego mięsa, a członkowie jego klanu dbali, by dostawał część wspaniałych towarów, rozdawanych przez Czarownika i Kapłankę Nieba, lecz nie wolno mu było wchodzić do wioski pod obecność kobiet i dzieci. Mieszkał sam w małej chatce na przeciwległym krańcu wyspy, a plemię Rekinów widziało w nim tylko potwora, którym można straszyć dzieci, żeby były grzeczne: „Nie ruszaj się poza rafę albo stary Sarapul cię złapie i zje”. Właściwie straszenie dzieci stanowiło jedyną radość, jaka mu pozostała w życiu.

Wyłoniwszy się z dżungli, stary ludożerca zobaczył pochodnie tam, gdzie mężczyźni czekali w półkręgu wokół podwyższenia. Przystanął w gaju palm betelowych, usiadł na ziemi i czekał. Rozległ się trzask z głośników zamontowanych na bramie przegradzającej pas startowy i bicie w bębny umilkło. Dwaj japońscy strażnicy pojawili się na ogrodzonym terenie i poczuł, że włosy stają mu na karku, gdy otworzyli bramę, i pięćdziesiąt lat nienawiści podeszło mu do gardła niczym kwas. Japończycy zabili mu żonę i dzieci. Powodem, by powrócić do starych, wojowniczych zwyczajów, była choćby zemsta na strażnikach.

Z głośników rozbrzmiała muzyka: „String of Pearls” Glenna Millera. Członkowie plemienia odwrócili się ku bramie i padli na kolana. Słupy czerwonego dymu wzbily się po obu stronach bramy i poniosły nad pasem startowym niczym siarkowe węże. Odległe wycie śmigieł samolotu zastąpiło w głośnikach dźwięki big-bandu, po czym przerodziło się w ryk, zakończony błyskiem i hukem eksplozji, po której na tle nocnego nieba pojawił się trzydziestometrowy grzyb dymu.

Półnaga Kapłanka Nieba wyszła z kłębow dymu w księżycowy blask.

Wódz Malink odwrócił się do swojego przyjaciela Fava i powiedział:

- Wspaniałe bum.

- Bardzo wspaniałe bum - potwierdził Favo.

- Jest - powiedział drugi pilot.

B-26 charczał na ostatnich kroplach paliwa. Vincent pochylił go i zaczął schodzić do lądowania...

- Widzę pas startowy, dokładnie pośrodku wyspy. Miejmy nadzieję, żeśmy go nie zbombardowali, kiedy waliliśmy w Japońców.

Ostatnie kilka słów zabrzmiało nienaturalnie głośno, bo silnik zgasł.

- Żadnego krążenia, chłopaki. Schodzimy. Przygotujcie się na twarde lądowanie. Może być mokro, jeśli nie dolecimy.

Vincent widział na pasie startowym pasma ziemi, a także pnącza i rośliny poszycia z dżungli, próbujące odzyskać przecinę.

- Lądujesz bez podwozia? - spytał drugi pilot, myśląc, że mają większe szanse na przeżycie spotkania z lejem po bombie, jeśli samolot będzie sunął na brzuchu.

- Z podwoziem - odparł Bennidetti i zabrzmiało to jak rozkaz. - Może i zdołalibyśmy posadzić ją bez podwozia, ale wtedy już nigdy by nie poleciała.

-Podwozie wysunięte i zablokowane - oznajmił drugi pilot.

Szybowali jakieś trzy metry nad rafą. Tuzin mężczyzn z plemienia Rekinów, stojących na rafie, zanurkował, gdy maszyna przeleciała nad nimi, cicha i złowieszczą niczym ^anta. Bennidetti przechylił B-26, by najpierw dotknąć podłoża tylnym podwoziem, po czym podskoczyli na kępie paproci i zaczęli sunąć po pasie wysypanym koralowym żwirze. Bez wstecznego ciągu silników, Vincentowi pozostały tylko hamulce w kołach, by zatrzymać bombowiec. Załączył je najpierw ostrożnie, a potem, zauważywszy na pasie pnącza, które mogły zakrywać lej po bombie, nacisnął z całej siły, aż koła zaczęły żłobić głębokie bruzdy w żwirze i powietrze wypełnił gęsty biały obłok pyłu.

- Dalej się palimy?! - spytał Vincent drugiego pilota, przekrzykując hałas.

Tamten wyjrzał przez okno.

- Nic nie widzę, tylko trochę czarnego dymu.

Bombowiec zatrzymał się i załoga wydała okrzyk radości.

- Wszyscy wysiadać. Ale już - nakazał Vincent. - Może my nadal się palić.

Wpadając na siebie nawzajem, wyskoczyli z samolotu prosto w chmurę pyłu. Bennidetti poprowadził ich biegiem. Znaleźli się sto metrów od samolotu, zanim ktokolwiek się obejrzał.

- Chyba w porządku, kapitanie. Nie ma ognia.

Wywołało to kolejne wiwaty i poklepywanie po plecach.

Kiedy znowu się odwrócili, zobaczyli grupkę tubylczych dzieci, prowadzoną przez dumnego dziesięciolatka z dzidą.

- Załatwię to - powiedział Vincent do załogi, sięgając do kieszeni lotniczego munduru po batonik Hershey. - Ej, maluchy, jak się macie?

Chłopiec z dzidą nie poruszył się i nie odrywał wzroku od bombowca, lecz pozostałe dzieci nie wytrzymały i cofnęły się niczym zrugane szczenięta.

- Jesteśmy Amerykanami - odezwał się Vincent. - Przyjaciółmi. Przywozimy wam dużo dobrych rzeczy. - Wyciągnął batonik do chłopca z dzidą, który nawet nie drgnął i nie oderwał wzroku od samolotu.

Vincent spróbował jeszcze raz.

- Weź, mały. To smaczne. Czekolada. - Cmoknął i zaczął naśladować ruchy, wykonywane przy jedzeniu. - Kapujesz po amerykańsku, mały?

- Nie - odparł chłopak. - Ja nie mówię po amerykańsku. Ja mówię po angielsku.

Vincent parsknął śmiechem.

- Jestem z Nowego Jorku, mały. Tam rzadko mówimy po angielsku. Idź i powiedz wodzowi, że jest tu kapitan Vincent z darami dla niego z dalekiego, magicznego miejsca.

- Kto ona? - spytał dzieciak, wskazując wizerunek Kapłanki Nieba. - Wasza królowa?

- Ona pracuje dla mnie, mały. To Kapłanka Nieba. Przywiozła prezenty dla waszego wodza.

- Ty jesteś wódz?

Vincent wiedział, że musi zachować ostrożność. Słyszał o kacykach różnych wysepek, którzy odmawiali kontaktu z kimkolwiek oprócz Roosvelta, którego uważali za jedyne Amerykanina równego im statusem.

- Jestem kimś więcej niż wódz - odparł. - Jestem kapitan, kurwa, Bennidetti, zakapior z Brooklynu, Najwyższy cesarz Sił Alianckich, pilot Magicznej Kapłanki Nieba, największy fiut wolnego, kurwa, świata i obrońca uciśnionych.

A teraz prowadź do wodza, szczyłu, zanim każę Kapłance Nieba spalić was na pieprzony popiół.

- Jezu, kapitanie! - wykrzyknął bombardier. Vincent posłał mu przez ramię uśmiech. Chłopiec pochylił głowę.

- Jezu, kapitanie. Jestem Maiink, wódz plemienia Rekinów.

Kapłanka Nieba wyszła z dymu i stanęła pośrodku pół-okręgu Rekinów. Kobiety wbijały wzrok w ziemię i wypychały dzieci do przodu, w nadziei że to one zostaną wybrane w następnej kolejności. Kapłanka zarzuciła sobie rogi chusty na ramię, a muzyka w głośnikach gwałtownie ucichła. Tubylcy padli na kolana i czekali na jej słowa, słowa Vincenta. Minęły miesiące, odkąd ktoś został wybrany. Maiink wstał i podszedł do Kapłanki z naczyniem z łupiny kokosa. Wypełniała je specjalna *tuba*, którą dla niej przygotowali. Kobieta oszałamiała go teraz nie mniej niż wtedy, gdy zobaczył ją pierwszy raz, namalowaną na kadłubie samolotu Vincenta.

Opróżniła naczynie i oddała je wodzowi, który pochylił głowę.

- Nadal ma gówniany smak - powiedziała.

- Gówniany smak! - zaśpiewało plemię Rekinów. Beth Curtis odwróciła głowę, by powstrzymać uśmiech i beknięcie. Gdy popatrzyła z powrotem na Malinka, w jej oczach widniał błysk furii.

- Kto rozmawia z Vincentem?

- Kapłanka Nieba - odrzekł Malink.

- Kto przynosi słowa i rzeczy od Vincenta?

- Kapłanka Nieba - powtórzył.

-I kto zabiera wybrańców do Vincenta?

- Kapłanka Nieba - powiedział jeszcze raz Malink. Cofnął się o krok. Nigdy nie widział jej w takiej złości.

-I kto jeszcze?

- Nikt.

- Właśnie, *do cholery*, nikt! - warknęła tak gwałtownie, że omal nie rozwiązała *jej* się kokarda we włosach. - Powiedziałaś Czarownikowi, że Vincent przyszedł do ciebie we śnie. To nieprawda.

Tubylcy aż jęknęli. Wbrew temu, co sądzili Czarownik i Kapłanka Nieba, Malink nie powiedział o swoim śnie nikomu z poddanych. A teraz nic z tego nie rozumiał. Naprawdę przyśnił mu się Vincent.

- Vincent powiedział, że pilot przybywa. Że jeszcze żyje.

- Vincent przemawia tylko przeze mnie.

-Ale...

- Przez miesiąc nie będzie kawy ani cukru – oznajmiła Kapłanka.

Zsunęła chustę z ramienia i znowu rozległa się muzyka. Członkowie plemienia patrzyli, jak kobieta odchodzi. Na pasie startowym zagrzemiał wybuch i Kapłanka Nieba zniknęła w kłębach dymu.

24

WALHALLA: JAKURUNYONA

Vincent Bennidetti siedział przy ogromnym stole i rozdawał po pięć kart innym chłopakom, opowiadając przy tym historię przymusowego lądowania Kapłanki Nieba, w nadziei że opowieść odwróci uwagę przeciwników od jego kreatywnego tasowania kart.

- No i ten szczył mówi do mnie tak: „Jestem Malink, wódz plemienia Rekinów”, i wypina tę swoją małą pierś, jakbym miał paść na kolana i ucałować jego pierścień, chociaż żadnego pierścienia nie miał. W ogóle nic na sobie nie miał oprócz przepaski biodrowej i takiej czapeczki z palmowych liści. No to ja mówię: „Jestem zaszczycony i w ogóle, wodzu”. I daję mu pyszny batonik Hershey jako dar pokoju, żeby dzieciakowi nie przyszło do głowy przedziurawić mnie dzidą. Niby miałem spluwać pod ręką, ale na Manhattanie wierzą, że będziesz miał pecha, jeśli zastrzelisz dzieciaka, chyba że naprawdę na to zasługuje, no więc wybrałem drogę dyplomacji.

No i ten smarkacz-wódz bierze batonik, odgryza kawałek i już widzę, jak mu się mordka śmieje. Tak się szczyrzy, że myślę: już wiem, dlaczego to plemię nazywa się Rekiny. Zanim się zorientowałem, dzieciak krzyczy coś do swoich kumpli, a oni wieją do dżungli. Gapię się na broń tego szczyła, a on wytrzeszcza gały na Kapłankę Nieba, jakby w każdej chwili mogła zeskoczyć z samolotu i zakręcić tyłkiem na pasie startowym.

Już wiedzieliśmy, że Kapłanka Nieba nie spali się ani nie wybuchnie, więc Sparky wraca i nadaje „mayday” przez radio tak długo, aż myślę, że nawet Marconi żałuje swojego wynalazku (następny wielki włoski geniusz, jeśli mogę zauważyć, i teraz niegrzecznie byłoby wspominać o Mussolinim, bo wtedy musiałbym przerwać grę i przyłożyć delikwentowi w łeb), a w końcu centrala odpowiada dość surowo, żebyśmy przestali podawać swoją pozycję, a oni jak najszybciej kogoś po nas wyślą, chyba że najpierw znajdą nas Japonce, a w takim wypadku służba z nami to był zaszczyt.

- Wchodzę i dokładam dolca.

- No i szczył pyta mnie, czy zabijam Japońców. A ja na to że zabijam tyłu Japońców, że muszę odpocząć na jego wyspie przez parę dni, żeby żółtki mogły mi podesłać następnych do zabijania. A wtedy z dżungli wyłazi cały pluton tubylców, głównie bardzo *starych*, z koszami owoców, kokosów i suszonych ryb. Ustawiają je u moich stóp, śpiewają i kłaniają się tak długo, że wystarczyłoby na rok bisów na Broadwayu.

Dzieciak mówi: „Jesteś potężniejszy niż ojciec Rodriguez. Japońcy go zabili”. No to już wiem, skąd mały zna angielski i dlaczego nie widzę żadnych młodych facetów, bo wiadomo, że Japonce zabijali każdego napotkanego misjonarza i zabierali większość sprawnych tubylców, których jeszcze nie

wytlukli, do budowy lotnisk, *pomostów* i innych tam wojskowych rzeczy.

„Tak”, odpowiadam, „szkoda ojca Rodrigueza i innych, którzy nie *przeżyli*, ale teraz jest tu Vincent wraz z Kapłanką Nieba, więc nie ma się czym martwić”. Potem pytam, czy mają na wyspie jakieś wolne panienki, i dzieciak nawija coś do jednego starucha, który gdzieś się zmywa, a po dziesięciu minutach wraca z całym rządkiem młodych, miejscowych laleczek, które noszą spódniczki na tyłkach, ale piersi mają gołe, nie licząc jakichś kwiatków tu i tam, żeby ładnie wyglądało i pachniało.

Przysięgam na grób swojej matki (jeśli biedaczka zemrze, zanim wrócę do domu), że patrzyłem na więcej brązowych krągłości niż wtedy, kiedy leciałem nad Missisipi przy dziesięciu G, i to naprawdę nie był nieprzyjemny widok. Niestety, jak tylko wybieram sobie jedną lalunię i puszczam do niej oko jak Tyrone Power, ta zaczyna ryczeć, jakbym złamał jej serce, i pędzi do dżungli, a za nią reszta tych ślicznotek aż na pasie startowym znowu zostają sami faceci.

„Co jest?”, pytam dzieciaka. A on tłumaczy, że jestem bodem, więc panienki się boją, że je zabiję. Potem sam zaczyna beczeć, a ja czuję się okropnie, bo widzę, że łyknął moją gadkę o bogu i wykombinował sobie, że zaraz go załatwię razem z dziewczuchami. No to trzeba go było jakoś pocieszyć, coś mu wyjaśnić, żeby już przestał się mazać i w ogóle się uspokoił.

No to siadam z małym pod skrzydłem Kapłanki Nieba, a tutaj powolutku podchodzi jakiś stary tubylec z dzbanem miejscowej gorzały, która wygląda podejrzanie i smakuje jak główki zapalek pomieszane z pomyjami, ale po paru pierwszych łykach wchodzi już całkiem nieźle. Dość szybko atmosfera robi się radosna i wszyscy dobrze się bawią (oprócz Sparkyego, który stoi nad pasem zgięty w pół i drugi raz ogląda wszystko, co wypił).

Cały czas myślałem, że dzieciak robi mnie w konia z tym wodzem, ale w końcu wytłumaczył, że Japonce zabili mu ojca i starszego brata, żeby dać przykład innym, więc teraz kolej na niego i musi być wodzem, czy mu się to podoba, czy nie. I teraz się martwi, że jego ludzie nie będą mieli co jeść, bo Japonce zabrali większość owoców i kokosów, a w dodatku rozwalili wszystkie czółna i towary, takie jak ryż, które przynosił świętej pamięci ojciec Rodriguez. A mnie aż serce boli, bo ten chłopak powinien grać w piłkę, kraść cukierki i w ogóle robić to, co inne dzieciaki, a nie martwić się o wszystkich obywateli. Patrzę na swoich chłopaków, jak wcinają jedzenie, które przyniósł nam mały, robi mi się ciężko na sercu, więc mówię mu, żeby się nie martwił, bo Vincent i Kapłanka Nieba dopilnują, żeby jegoplemię miało wszystko czego mu potrzeba. Dla potwierdzenia obietnicy daję małemu paczkę lucky strike’ów i zippo. A kiedy Sparky kończy puszczać pawia, mówię mu, żeby połączył się przez radio z moim kumplem z korpusu kwatermistrzowskiego i podał mu listę rzeczy do załadowania na kuter torpedowy, który po nas przyplynie.

Zapada wieczór, a dzieciak opowiada mi historyjki o tym, jak to wyspę stworzyła jakaś babka z Yap, która jeździ na żółwiu z koszem ziemi i robi wyspy na oceanie, czyli musi mieć spory ten kosz. I powiedziała wszystkim dzieciom, które urodziła na tej wyspie (choć chłopak nic nie wspominał o jej facecie), że nie da im dobrej rafy do łowienia ryb, więc mają jeść rekiny, bo tutaj rekiny boją się ludzi. „Będziecie się zwać ludem Rekinów”, powiedziała ta babka z ziemią.

A ja na to: „Tak, znam tę babkę”. I mówię, że raz wziąłem ją na wyścigi i miała taki fart, że wygrałem pięć kawałków za trójkę. I widzę, że dzieciak jest pod wrażeniem, chociaż nie odróżniłby

tauzena od gaci. Wtedy wciskam mu jeszcze większy kit i zanim wypiliśmy cały ten sok z miejscowych robali i zjedliśmy większość owoców i ryb, mały już uwierzył, że jeśli nie jestem drugim Zbawicielem, to przynajmniej go zastępuję.

A ja zaczynam odczuwać coraz większą potrzebę damskiego towarzystwa i wspominam o tym chłopakowi, a on na to, że może coś da się zrobić, bo w wiosce jest jedna lalunia, która ma za zadanie obsługiwać nieżonatych tubylców (od razu przypomina mi się tancerka, niejaka Chintzy Bilouski, która świadczy taką samą usługę dla mnie i wielu innych nieżonatych obywateli w okolicach Broadwayu). W dodatku ta miejscowa lalunia ostatnio miała niewiele roboty, bo wszystkich młodych i nieżonatych albo zabili, albo zabrali. No i dzieciak mówi, że pójdzie do niej w moim imieniu, jeśli obiecuję, że nie spłonie żywcem ani nie stanie się jej inna krzywda, a sprawa zostanie między nami. Ponieważ przedstawił mi te same warunki, na które umówiłem się z Chintzy Bilouski (w dodatku minus dziesięć dolców), mówię małemu, żeby mnie zaprowadził. I niedługo już jesteśmy w wielkiej chacie z trawy przy plaży, którą nazwał domem kawalerów i w której wyraźnie mieści się wiele osób, ale aktualnie mieszka tylko jedna lalunia, wcale nie taka ostatnia. Panienka od razu bierze się do roboty, której jej brakowało, z wielkim zapałem i sympatią, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Zęby nie przedłużać, chłopaki i ja jeszcze trzy dni opowiadamy małemu różne rzeczy, pijemy biber i łazimy do domu kawalerów, aż w końcu pojawia się kuter torpedowy z mechanikami, spawaczami i wszystkimi zapasami, które zamówiłem u swojego kumpla kwatermistrza. Tubylcy ustawiają się w kolejce, a ja rozdaję maczety, noże, batoniki i inne luksusy od Wujka Sama. Tej nocy wydają wielką ucztę na moją cześć, z mnóstwem chłania i tańców, i wszyscy dobrze się bawią. A kiedy mamy już ruszać, ten mały wódz Podchodzi ze łzami w oczach i pyta, czemu ich opuszczam, czy wrócę i co jego lud zrobi beze mnie. Więc mu mówię, że niedługo wrócę z mnóstwem cudownych rzeczy i żeby zaklepał mi miejsce w domu kawalerów. A do tego czasu za każdym razem, kiedy zobaczy samolot, on i jego plemię będą wiedzieć, że ja i Kapłanka Nieba nad nimi czuwamy.

Po powrocie do bazy kombinuję coś z pułkownikiem, żeby polecieć tam z misją rozpoznawczą i sprawdzić ten pas startowy, bo może się przyda. Bez bomb. Chciałem załadować Kapłankę Nieba lekami i zapasami dla dzieciaka i jego plemienia, jak tylko dostaniemy pozwolenie. Naprawdę zamierzałem to zrobić, bo dałem chłopakowi słowo, a on uwierzył. Skąd miałem wiedzieć, że podczas następnego lotu bombowego zaskoczy nas cały dywizjon myśliwców Zero, zapakuje w Kapłankę masę metalu z działek i karabinów maszynowych i pośle nas w płomieniach na dół, zabijając na śmierć mnie i wszystkich na pokładzie.

Facet z brodą odchrząknął i powiedział:

- To była fajna historia, kiedy opowiadałeś ją pierwsze parę razy, Winnie, ale mamy tu gadać czy grać w karty?

- Odczep się, Żydku, też przysypialiśmy ze sto, kurwa, razy, jak opowiadałeś o tym swoim chlebie i rybach. - Vincent posłał mu chytry uśmiech. - A że teraz twoja kolej, radzę ci spasować, bo mam takie gorące karty, że jeszcze się zapalą, jak ten przysłowiowy krzew gorejący.

Brodaty uniósł przedziurawioną dłoń, by go uciszyć.

- Masz tam parę ósemek, Vinnie.

- Kurwa, nie cierpię z tobą grać - powiedział Vincent.

25

ZADAJEMY BOGOM ODPOWIEDZI, A ONI UDZIELAJĄ NAM PYTAŃ

Tucker Case usłyszał nad głową łopot skrzydeł i nagle pojawił się przed nim znajomy pyszczek. Roberto zawisł głową w dół na sznurach wokół jego piersi. Nigdy by nie przypuszczał, że się ucieszy na widok tego małego szkodnika.

- Roberto! Stary druhu! - Uśmiechnął się do nietoperza. Zwierzak pisnął i przechylił się, by polizać go po twarzy. Tucker splunął. W oddechu nietoperza wyczuwał papają.

- Może tak wejdiesz na górę i przegryziesz te sznury, mały?

Roberto popatrzył na niego niepewnie, po czym liznął mu znowu, dokładnie po wargach. - Fu! Ślina nietoperza!

Tuck usłyszał z góry czyjś słaby głos.

- Nie przegryzie sznura. Za małe zęby - wyjaśnił Kimi.

Roberto wzbił się w powietrze, po czym wylądował na głowie Kimiego i zaczął go z ekstazą lizać i drapać. Kimi wisiał jakieś pół metra wyżej niż Tucker i około półtora metra w bok. Bolała go od tego szyja, ale jeśli się naprężył, mógł zobaczyć dyndającego nawigatora.

- Żyjesz! - stwierdził. - Myślałem, że już po tobie.

- Bardzo chce się pić. Kto nas wsadził na drzewo?

- Nie ja. Taki stary mieszkaniec wyspy. Myślę, że chce nas zjeść.

- Nie, nie, nie. Na tych wyspach od wielu lat nie ma ludożerców.

- Świetnie. Powiedz mu to, jak wróci.

Timi naparł na swoje więzy i zaczął kręcić się w kółko.

- Od tych sznurów bolą ręce. Ktoś nas wsadził do sieci na kraby.

- Tyle to już wiem - odparł Tuck. Wyciągnął szyję i obejrzał uprząż Kimiego. - Może zdołam się

rozbujać i złapać twoje więzy. Jeśli się uda, spróbuję cię uwolnić.

- Dobry plan - stwierdził Kimi.

- Jankeskie know-how, mały.

Gdy zaczął machać rękami i nogami, poczuł, że sznury zaciskają mu się na piersi. Wkrótce kreślił już szeroką elipsę i momentami znajdował się ledwie o trzydzieści centymetrów od Kimiego, ale więzy tak się zacieśniły, że z trudem oddychał. Dodatkowo osłabiony brakiem jedzenia i wody postanowił się poddać.

- Nie mogę oddychać - jęknął.

- I tak dobry plan - odparł Kimi. - A teraz ja powiem, żeby Roberto przyniósł ten nóż, co leży przy drzwiach domu, i przetnę sznury. Okej?

- Roberto umie aportować? - Tak.

- Czemu nie powiedziałaś?

- Chciałem zobaczyć jankeskie know-how.

Sarapul chciał biec z powrotem do swojej chaty, ale przez ból w starych kolanach mógł się jedynie wlec. Gdyby mógł wchłonąć moc jednego czy dwóch wrogów, może ból by ustąpił, a siły wróciły, wraz z odwagą. Właśnie odwagi teraz potrzebował. A zamiast niej miał tylko pytania.

Dlaczego, jeśli Malikowi przyśniła się wiadomość od Vincenta, biała zdzira powiedziała, że to nieprawda? A jeśli Vincent wysłał pilota, dlaczego Kapłanka Nieba o nim nie wiedziała? Jeśli zaś pilota nie wysłał, to kto wisi na drzewie chlebowym?

W dawnych czasach Sarapul poprosiłby o odpowiedź żółwia, swojego klanowego zwierzęcia. Potem patrzyłby na fale i słuchał wiatru, czekając na odpowiedź, może poszedłby do czarownika i poprosił o interpretację. Teraz był Jednak zbyt głuchy i ślepy, by dostrzec znak. A jedynym czarownikiem, jaki pozostał, był biały mężczyzna, który Mieszkał za wielkim płotem i dawał lekarstwa plemieniu Rekinów. Czarownik Vincenta. Sarapul nie wierzył w Vincenta ani trochę bardziej niż w boga, którego ojciec Rodriguez nosił na szyi, na łańcuszku.

Ojciec Rodriguez powiedział, że stare zwyczaje, wszystkie tabu i totemy, to kłamstwa, a chudy biały bóg na krzyżu jest jedynym prawdziwym bogiem. Sarapul był gotów mu uwierzyć, zwłaszcza kiedy tamten dał każdemu kawałek ciała Chrystusa. Ale Chrystus smakował jak wysuszone tłuczone taro, a szansę na nawrócenie starego ludożercy ojciec Rodriguez pogrzebał ostatecznie słowami, że każdy na wieczność trafi do ognia, jeśli spróbuje zjeść kogokolwiek oprócz czerstwego boga z krzyża.

Potem przyszli Japończycy i odcięli ojcu Rodriguezowi głowę, a jego boga na łańcuszku wrzucili do morza. Wtedy Sarapul był już pewien, że tamten cały czas kłamał. Japończycy zgwałcili i zabili jego żonę, a dwóch synów zmusili do pracy przy budowie pasa startowego, aż obaj rozchorowali się i zmarli. Zapytał Żółwia, dlaczego zabrano jego rodzinę, a gdy pojawił się znak w postaci chmury w

kształcie węgorka, czarownik powiedział, że to wszystko przez plemię Rekinów, które złamało tabu, zjadło totemiczne zwierzęta i łowiło ryby na zakazanej rafie. To była kara.

Następnej nocy Sarapul zabił japońskiego żołnierza i zbudował *oom*, żeby go upiec, ale żaden z Rekinów nie chciał mu pomóc. Niektórzy bali się boga ojca Rodrigueza, a reszta bała się Japończyków. Zabrali ciało i nakarmili nim rekiny, zamieszkujące obrzeża rafy.

Rano Japończycy ustawili w rzędzie starego czarownika i tuzin dzieci, a potem rozstrzelali wszystkich z karabinu maszynowego. I Sarapul postradał rozum.

Potem przyleciały amerykańskie samoloty i przez dwa dni zrzucały z nieba bomby i ogień, a kiedy wybuchy ustały, a dym się rozwiął, Japończycy odeszli, zabierając z wyspy wszystkie kokosy i owoce chlebowca. Tydzień później przyleciał Vincent i Kapłanka Nieba.

Sarapul wciąż miał maczetę, którą dostał od lotnika. Było to więcej, niż kiedykolwiek dał mu bóg ojca Rodrigueza, ale ludożerca nie wierzył, że Vincent jest bogiem. Nawet jeśli wypłoszył Japończyków i przywiózł żywność, która ocaliła plemię Rekinów, Sarapul już raz rozgniewał dawnych bogów i nie zamierzał zrobić tego ponownie.

Gdy przybył biały Czarownik, też zaczął mówić o bogu na krzyżu. I choć plemię brało żywność i leki, a nawet świadczyło różne usługi, nie zamierzało porzucić Vincenta, swojego wybawcy. Bóg na krzyżu już raz ich zawiódł, w końcu biały Czarownik też oddał cześć Vincentowi. Ale Sarapul trzymał się starych zwyczajów, nawet kiedy Kapłanka Nieba wróciła ze swoją czerwoną chustą i eksplozjami. W tym wszystkim chodziło jedynie o rozrywkę: Chrystus był tylko przegryzką, Vincent tylko lotnikiem, a on, Sarapul, był ludożercą.

Mimo wszystko nie obwiniał Malinka o to, że go wygnał, ani o to, że wierzył w obietnice Vincenta. Vincent był ulą wodza bogiem z dzieciństwa i Malink trzymał się go tak samo, jak Sarapul trzymał się starych zwyczajów. Wiara zakorzeniała się mocniej, jeśli zaszczepiono ją w dziecku. Sarapul o rym wiedział. Był szalony, ale nie głupi.

Do tej pory nie pokładał w Vincencie ani krztyny wiary, ale drażnił go ten sen Malinka. Będzie musiał się we wszystkim rozeznaczyć, zanim zje mężczyznę wiszącego na drzewie chlebowym. Musiał porozmawiać z Malinkiem.

Kanibal ruszył ścieżką, która prowadziła do wioski. Przekradał się między chatami, a słodkie chrapanie śpiących dzieci dochodziło doń przez uplecione z trawy ściany niczym skwierczenie smażonej wieprzowiny, szedł przez dym dogasających ognisk, minął dom kawalerów i dom mężczyzn, by w końcu dotrzeć na plażę, gdzie mężczyźni siedzieli w kręgu, pijąc i cicho rozmawiając, a księżyc oblewał ich ramiona zimnym, niebieskim blaskiem.

Sarapul dołączył do kręgu, a mężczyźni dalej rozmawiali, uprzejmie nie zwracając uwagi na trask jego starych stawów, gdy siadał na piasku. Niektórzy z młodszych, ci, których straszono starym ludożercą, lekko zmienili pozycję, by w razie potrzeby szybko sięgnąć po nóż. Malink powitał Sarapula skinieniem głowy, po czym z dużego, szklanego dzbana nalał ciec do łupiny kokosa i podał ją przybyłemu.

- Przez miesiąc nie będzie kawy ani cukru – powiedział Malink. - Vincent się rozgniewał.

Sarapul opróżnił i oddał naczynie.

- A co z papierosami?

- Czarownik mówi, że papierosy są złe.

- Vincent palił papierosy - zauważył. - Dał ci zapalniczkę-

Młodszy mężczyźni poruszyli się na wzmiankę o Vincencie. Czuli się nieswojo, kiedy starsi rozmawiali o nim jak o żywej osobie. Malink sięgnął do podłużnego, płaskiego kosza, w którym trzymał zapalniczkę razem z innymi rzeczami osobistymi. Dotknął zippo, którą dał mu Vincent.

- Dla nas papierosy nie są dobre - powtórzył.

- W takim razie powinni dać nam papierosy jako karę - nie dawał za wygraną Sarapul.

Malink wyciągnął z kosza egzemplarz magazynu „People”, odciągając uwagę obecnych od ludożercy. Stary wódz oderwał niewielki kwadrat papieru i podał go Abo, muskularnemu młodzieńcowi, który uprawiał poletko tytoniu dla plemienia.

- Skręć - polecił.

Abo zaczął napełniać papier tytoniem z kosza.

Malink rozłożył pismo na piasku przed sobą i zmrużył oczy, wpatrując się w strony przy świetle księżyca. Wszyscy, którzy siedzieli w pobliżu, nachylili się, żeby popatrzeć na zdjęcia.

- Oprah znowu jest chuda - ogłosił Malink.

Sarapul parsknął i mężczyźni podnieśli gniewne spojrzenia, przy czym ci młodsi szybko się odwracali, gdy zobaczyli, kto wydał dźwięk. Skończył skręcać papierosa i podał go Malinkowi. Wódz gestem wskazał Sarapula i Abo podał papierosa staremu ludożercy. Ich dłonie zetknęły się na chwilę i Sarapul wytrzymał spojrzenie młodzieńca, liżąc swój palec tak jakby kosztował nowy, słodki sos. Abo zadrżał i wycofał się poza krąg.

Malink zapalił papierosa świętą zippo, po czym wrócił do przeglądania magazynu.

- Przez jakiś czas nie będzie już „People”, skoro Kapłanka Nieba się na nas gniewa.

Podniósł się chóralny jęk, napełniono naczynie, które następnie podawano sobie z rąk do rąk.

- Jesteśmy odcięci - dodał wódz.

Sarapul wzruszył ramionami.

- Wszyscy ludzie w tej książce to gówno. Bez znaczenia. Umierają. Bez znaczenia. Gdybyśmy

wsadzili ich do wielkiej łodzi i ją zatopili, nawet byście się o tym nie dowiedzieli przez pół roku, dopóki Kapłanka Nieba nie dałaby wam starego egzemplarza, a nawet wtedy byłoby to bez znaczenia. To głupie.

- Ale patrzcie! - Malink wskazał zdjęcie mężczyzny z nienaturalnie wielkimi uszami. - Ten człowiek jest królem, a chce być tamponem. Cytują jego słowa.

Sarapul skrzywił się i jego zmarszczki nałożyły się na siebie niczym żaluzja wenecka, gdy zastanawiał się, co to właściwie jest tampon. W końcu powiedział:

- Byłem kiedyś tamponem, w starych czasach, zanim przyszedliście na świat. Wszyscy wojownicy stawali się tamponami. Wtedy było lepiej.

- Nigdy nie byłeś tamponem - stwierdził Malik, chociaż nie mógł mieć pewności. - Tylko król może zostać tamponem. A teraz, bez „People”, nie dowiemy się, czy temu człowiekowi, który chciał nim zostać, w ogóle się to udało. To był zły dzień.

Krążące naczynie znowu dotarło do Sarapula, który opróżnił je, nim odpowiedział:

- Opowiedz mi ten swój sen.

- Nie wolno mi o nim mówić. - Malik udawał skupienie nad magazynem.

Sarapul drażył dalej.

- Kapłanka Nieba powiedziała, że Vincent mówił ci o pilocie. To prawda?

Malink skinął głową.

- Prawda. Ale to tylko sen, inaczej Czarownik by wiedział.

Ludożerca poczuł się rozdarty. Miał teraz okazję zdyskredytować Czarownika i jego białą zdzirę, ale jeśli powie Malinkowi o mężczyźnie na drzewie, straci szansę, by znowu skosztować długiej świni. Chociaż właściwie to przecież on znalazł tamtych dwóch i chciał się podzielić mięsem.

- A jeśli twój sen był prawdziwy?

- To był tylko sen. Teraz Vincent mówi do nas tylko poprzez Kapłankę Nieba. A ona przemówiła.

- Vincent palił, a ona mówi, że palenie jest złe. Vincent był wrogiem Japończyków, a ona ma teraz japońskich strażników za płotem. Ona kłamie.

Niektórzy mężczyźni wyszli z kręgu. Picie z ludożercą to jedno, ale tolerowanie heretyka to już inna sprawa. (Spośród dwudziestu mężczyzn w kręgu, trzech starszych nosiło imię John, czterech, którzy urodzili się w czasach ojca Rodrigueza, nazywało się Jezus - Hejzeus - a trzech młodzieńców

miało na imię Vincent). Stanowili grupę, która czciła bogów, niezależnie od tego, kto akurat był bogiem w danym tygodniu.

- Kapłanka Nieba nie kłamie - odparł spokojnie Malink. - Przemawia głosem Vincenta.

Sarapul zdusił żar papierosa popielatymi palcami, po czym włożył niedopałek do ust i z uśmiechem zaczął żuć.

- Twój sen był prawdziwy. Widziałem tego pilota. Jest na Alualu i żyje.

- Jesteś stary i za dużo pijesz.

- Pokażę wam. - Skoczył na równe nogi, by pokazać, że nie jest pijany, budząc tym przerażenie młodszych mężczyzn. - Chodźcie ze mną - powiedział.

26

CZAS SIĘ POBUJAĆ

Kimi uwolnił za pomocą noża swoje ręce i nogi, by po chwili przekonać się, że nie może dosięgnąć sznura podtrzymującego go z tyłu. Teraz musiał posłużyć się planem Tucka, rozhuścić się niczym ludzkie wahadło, aż zdoła chwycić sznur pilota i go odciąć. Roberto wisiał głową w dół na pobliskiej gałęzi i zastanawiał się, czemu też jego przyjaciele zachowują się jak walczące pająki. Tucker przekonał się, że może unieść głowę tylko na parę sekund, nim zacznie mu się w niej kręcić, patrzył więc na rozkołysany cień, by ocenić odległość. - Jeszcze raz, Kimi. Potem złap sznur. Troszkę się martwił, że gdy będzie już wolny, spadnie i wyląduje twarzą w koralowym żwirze, ale powoli uczył się akceptować rzeczywistość taką, jaka jest, i doszedł do wniosku, że przemyśli to zagadnienie w drodze na dół.

- Słyszę kogoś - odezwał się Kimi. W najwyższym punkcie swojego łuku sięgnął po sznur Tucka, nie trafił i przypadkiem przeciągnął nożem po głowie pilota.

- Au! Cholera, Kimi. Patrz, co robisz.

Tuck nastawił się na kolejny atak, który nigdy nie nadszedł. Podniósł wzrok, by zobaczyć, że rozbujany Kimi został zatrzymany. Pulchny siwy tubylec złapał nawigatora wpół i próbował wyrwać mu nóż z ręki.

Tuck poczuł, że opuszcza go nadzieja. Stary ludożerca stał tam pośród grupy dwudziestu mężczyzn. Wszyscy najwyraźniej czekali, aż ten gruby coś powie. Nadeszła pora na ostatni wysiłek.

- Słuchajcie, skurwiele, ludzie na mnie czekają. Mam latać z zaopatrzeniem medycznym dla ważnego doktora, więc jeśli ze mną zadrzecie, wszyscy zdechniecie na tropikalne paskudztwo, a ja nie dam wam nawet jebanej aspiryny.

Tubylec przekazał Kimiego w ręce dwóch młodszych mężczyzn i popatrzył na Tucka.

- Ty pilot? - spytał po angielsku.

- Pilot, jak cholera. I jestem chory, zarażony i w ogóle, więc jeśli mnie zjecie, wszyscy umrzecie jak psy na skręt kiszek. I jeszcze chciałbym dodać, że smakuję zupełnie inaczej niż mielonka. - Po tej tyradzie zabrakło mu tchu i poczerwiano w oczach od prób odchylenia głowy.

tubylec powiedział w swoim języku coś, co Tuck uznał odciąć go”, bo chwilę później leciał już w ramiona czterech silnych wyspiarzy, którzy opuścili go na ziemię.

Ręce i nogi Tuckera zapłonęły, gdy znowu zaczęła w nich krążyć krew. Nad sobą zobaczył krąg brązowych twarzy, oświetlonych blaskiem księżyca. Zdołał zaczerpnąć tchu i zapiszczał:

- Jak tylko stanę na nogi, dobiorę wam się do tyłków. Równie dobrze możecie iść poćwiczyć przewracanie się, żebyście się przyzwyczaili. Od razu zamówcie worki na trupy, bo kiedy skończę, będziecie wyglądać jak kupy budyniu czekoladowego. Będą was sprzątać łopatami, wy... - Oddech uwiązał mu w gardle i Tuck stracił przytomność.

Malink popatrzył na swojego starego przyjaciela Favo i uśmiechnął się.

- Wspaniała groźba - powiedział.

- Bardzo wspaniała groźba - odrzekł Favo.

Sarapul przepchnął się między klęczącymi mężczyznami.

- Nie żyje. Sprawdźmy jak smakuje.

- On nie lubi - odezwał się Kimi. - Nawet za darmo.

X

Czarownik usłyszał, że drzwi laboratorium się otwierają, i odwrócił się znad mikroskopu w samą porę, by ją złapać, gdy rzuciła mu się w ramiona.

~ Widziałeś, Bastianie? Świetna byłam, co?

Trzymał ją przez chwilę, wachając perfumy w jej włosach

- Byłaś świetna - potwierdził.

Gdy ją puścił, na jego kitlu widniały dwie plamki rózu który wcześniej wtarła sobie w sutki.

Skakała po laboratorium niczym mała dziewczynka.

- Malink trząś portkami - powiedziała. - No, niezupełnie portkami, ale wiesz, co mam na myśli.

- Przystanęła i spojrzała w mikroskop. - Co to jest?

Popatrzył na delikatną linię mięśni z tyłu jej uda i zastanawiał się, jakaż to genetyka pozwoliła zachować takie ciało przy diecie złożonej z cheetos i wódki. Ostatnio wiele rozmyślał o genetyce.

- Kończę oznaczanie tkanek. Za parę dni powinno być po wszystkim.

- Czy „String of Pearls” podobało ci się bardziej niż „In the Mood”?

Najwyższa Kapłanka zmiany tematu, pomyślał Sebastian.

- Było doskonałe. Ty byłaś doskonała.

Odsunęła się od mikroskopu i zaczęła krążyć wokół stołu, marszcząc brwi, jakby rozwiązywała w głowie jakieś równanie.

- Myślałam nad „Pennsylvania 6-5000”, a do tego ninja w cylindrach i frakach jako chórek. Wiesz, mogliby przenieść mnie przez pas, a potem zatrzymać się i wykrzyzczyć swoją partię. Na nagraniu nie ma śpiewu, musieliby po prostu krzyzczyć. Znaczący, skoro już muszą tu być, mogliby przynajmniej coś zrobić. - Przystała chodzić w kółko i odwróciła się do niego. - Co myślisz?

Dopiero po chwili zorientował się, że mówi serio.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Rekiny są podejrzliwi wobec nin... strażników. Szkoda, że Akiro mnie nie posłuchał i nie znalazł kogoś spoza Japonii. Ta sprawa ze snem Malinka pokazuje, że nasza wiarygodność spada.

- O tym właśnie mówię. To by pokazało, że Kapłanka Nieba ma nad nimi władzę...

- To nie jest dobry pomysł, Beth. Machnęła ręką, odpędzając tę myśl.

- Dobra. Później o tym pogadamy.

Sebastian chciał się powstrzymać, zanim zburzy jej entuzjastyczny nastrój, ale wbrew sobie naciskał dalej.

- Nie uważasz, że odebranie im na miesiąc kawy i cukru to lekka przesada?

- Naprawdę nie rozumiesz, tak? Oddam im to po tygodniu. Będą mnie za to kochać. Szczodrość bogów: Kapłanka Nieba odbiera, Kapłanka Nieba oddaje. Tak to działa. Wsadzasz parę osób na

łódź, potem topisz wszystkie żywe stworzenia na planecie. Ci na łodzi są ci strasznie wdzięczni

- - Zarzuciła sobie na ramię rąbek czerwonej chusty.

- Wolałbym, żebyś tak nie mówiła.

- Ustalasz zasady i grasz w swoją grę. Co w tym złego?

Odwrócił się od niej i udawał, że przegląda notatki.

- Chyba masz rację - powiedział, ale czuł kwas podnoszący się z żołądka. Nazywała to grą.

Stała za nim, napierając piersiami na jego plecy i sięgnęła do jego kitla.

- Biedaczek. Nadal uważasz, że zrobiłeś co należało, paląc swoje płyty Beatlesów.

- Beth, proszę.

Rozpięła mu bojówki i wsunęła dłoń w rozporek.

- W głębi duszy uważasz, że John Lennon dostał to, na co zasłużył, prawda, skarbie? Powiedział, że jest popularniejszy od Jezusa. Ten świr Chapman był narzędziem Boga, prawda?

Obrócił się i złapał ją za ramiona.

- Tak, do cholery. - Twarz oblało mu gorąco. Czuł, jak żyły pulsują mu w czole, w kroczu. - Dość tego, Beth.

- Wcale nie. - Zerwała z niego spodnie i opadła na stół laboratoryjny, wciągając go na siebie. - No chodź, pokaż mi gniew Czarownika.

DZIEWCZYNY ROZMAWIAJĄ

Sepie umyła włosy pilota w misce, za pomocą tłuczonego kokosa i słonawej wody. Opiekowała się nieprzytomnym białym mężczyzną już dwa dni i zaczynało ją to nużyć. Pracowała w domu kawalerów, a mycie i usługiwanie choremu, cuchnącemu białemu nie należało do zakresu jej obowiązków. To były babskie zajęcia.

Na wyspach krążą legendy - a niektórzy starsi mężczyźni przysięgają, że są prawdziwe - jakoby kobiety służące w dobach kawalerów były zabierane na tajemną wyspę Maluuk, znaną tylko najlepszym żeglarzom, gdzie ćwiczono je w sztuce zadowalania mężczyzn.

Po wielu miesiącach treningu kobieta musiała zdać egzamin, zanim pozwolono jej wrócić na rodzimą wyspę i zająć się zaspokajaniem seksualnych potrzeb mężczyzn w domu kawalerów. Jaki egzamin? Wysyłano ją na ocean z dojrzałym, brązowym kokosem między udami, gdzie unosiła się na falach przez cały cykl pływów. Jeśli kokos się wysunął albo kobieta dotknęła go rękami, nie zdawała testu (choć przewidziano wyjątek w wypadku ataku rekina). Mówiono, że wewnętrzna strona ud dawnych kobiet do towarzystwa była mocna niczym lina od sieci. Druga część wymagała od dziewczyny znalezienia pięknego storczyka o prostej łodydze. Na oczach nauczycieli kandydatka musiała opuścić się na kwiat, aż ten w całości w niej zniknie, a potem po kilku minutach wstać, pozostawiając nienaruszoną łodygę i płatki. Taka kobieta zajmowała wśród wyspiarzy honorową pozycję, była otaczana szacunkiem i czcią. Nie wymagano od niej sprzątanía, gotowania ani tkania i podczas gdy inne kobiety musiały harować na poletkach taro, odkąd nauczyły się chodzić, ona mogła drzemać w cieniu, oszczędzając siły na nocne obowiązki. Często się zdarzało, że kończyła służbę, biorąc ślub z mężczyzną o wysokiej pozycji. W małżeńskim życiu nie ciążyło na niej żadne piętno, a inne kobiety do końca jej dni zgłaszały się do niej z prośbą o radę, jak się obchodzić z mężczyznami.

Sepie jednak nie została wybrana z uwagi na szczególne zdolności ani nie przeszła przez żaden obóz dla rekrutek. Została przeznaczona do domu kawalerów po pierwszej miesiączce, gdy wyłoniła się z domu kobiet z lava-lavą zawiązaną nieco zbyt wysoko i ukazującą trochę za duży fragment uda o barwie cappuccino, ze skórą natartą koprą aż cała połyskiwała, i piersiami lśnącymi niczym kubki z polerowanego drewna. Umalowała wargi sokiem ze zmiądzonych jagód i umiała włosy masą słodkich kwiatów jaśminu. Chichotała kokieteryjnie w obecności wszystkich mężczyzn, niebezpiecznie ocierała się o granicę tabu, niemal rozmawiając z nimi publicznie, narażała się na pobicie, nie padając na kolana, gdy mijali ją kuzyni, i wykonywała swoją pracę z falistą energią, przez którą nie raz jakiś rozkojarzony chłopak spadł z drzewa chlebowego podczas zbierania owoców. (Łamała nie tylko serca, ale i kostki). Sepie stanowiła uosobienie pokusy, była dziewczyną leniwą, mistrzynią spędzania wolnego czasu, a także budzenia pożądania i późniejszej odmowy, była odroczonym mokrym snem. W wieku piętnastu lat zamieszkała w domu kawalerów i przebywała w nim już od czterech lat.

Gdy Malink i jego ludzie przynieśli jej lotnika i mężczyznę w sukience, wiedziała, że czekają ją kłopoty.

- Zajmij się nimi - polecił wódz. - Nakarm. Pomóż odzyskać siły.

Sepie stała z pochyloną głową, gdy mówił, kiedy jednak skończył, wzięła go za rękę i poprowadziła do domu kawalerów, pokazując pozostałym, by położyli lotnika i jego kolegę na ziemi na zewnątrz. Mężczyźni wymienili porozumiewawcze uśmiechy, sądząc, że starego Malinka czekają w środku specjalne przysługi, podczas gdy w rzeczywistości czekało go trucie dupy.

- Dlaczego nie zabierzesz ich do swojego domu? Nie chcę ich tutaj.

- To tajemnica. Gdyby moja żona i córki dowiedziały się, że oni tu są, zaraz wszyscy by wiedzieli.

- Tylko ja mogę dochować tajemnicy w domu kawalerów. Zabierz ich do starego Sarapula. Nikt tam nie chodzi.

- On chce ich zjeść. - Malink nie przypominał sobie, by kiedykolwiek musiał się spierać z kobietą, i zupełnie nie był na to przygotowany.

- Jesteś wodzem. Powiedz, żeby tego nie robił. Nie będę dla nich gotować. Jeśli ich nakarmię, zaczną srać. Nie będę tego sprzątać.

- Sepie, a co będziesz robić, jak już wyjdiesz za mąż i urodzisz dzieci? Będziesz musiała zajmować się tym wszystkim. Jako wódz, proszę cię, żebyś to zrobiła.

- Nie - odparła Sepie. Malink westchnął.

- Proszę cię o to, bo tych ludzi przysłał do nas Vincent. Sepie nie wiedziała co powiedzieć. Słyszała, jak Kapłanka Nieba ruga Malinka przy poddanych, ale bardziej przejęła się miesięcznym brakiem kawy i cukru niż tą zniewagą.

- Powiesz ludziom, żeby im gotowali? - Tak.

- I zanieśli ich na plażę i umyli, kiedy się zesrają?

- Powiem im. Proszę, Sepie.

Jeszcze żaden mężczyzna nie powiedział do niej „proszę”> a co dopiero wódz. Nie była to uprzejmość, na którą zasługiwały kobiety. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, w jak rozpaczliwej sytuacji znalazł się Malink.

- I powiesz, żeby Abo mył fiuta, kiedy jest jego kolej.

_ A co to ma do rzeczy?

- Śmierdzi.

_ Powiem mu.

-1 powiesz, żeby Favo nie kazał mi już wkładać paciorków w jego dupę.

- Favo to robi?

- Mówi, że nauczył się od Japończyków.

- Naprawdę? Favo? - Tak.

- Ale on jest stary, ma żonę i wiele wnuków.

- Mówi, że to wzmacnia jego włócznie.

-Tak? To znaczy, czy to działa? - Wódz na chwilę zapomniał, po co tu przyszedł.

- Nie lubię tego. To złe i nieczyste.

- Mówisz o Favo, moim starym przyjacielu, tak? Właśnie o nim?

- Powiedziałałam mu, że wolno tu przebywać tylko kawalerom, ale on twierdzi, że żona go nie rozumie. Jego dłonie są jak skóra rekina.

- Jakie to paciorki?

- Powiedz mu - odparła Sepie.

- Okej - powiedział Malink po angielsku. Po czym Mruknął pod nosem: - Stary Favo. - Kręcąc głową, wyszedł z domu kawalerów. - Paciorki.

Sepie patrzyła za nim i żałowała, że nie poprosiła o więcej.

Mężczyźni na zewnątrz uśmiechali się, gdy Malink wyłonił się w blasku księżyca. Poprawił przepaskę biodrową i unikał ich spojrzeń.

- Wnieście ich do środka. Macie im gotować i ich myć. ie pozwólcie, żeby zajmowała się tym kobieta. To dla niej bardzo ważne.

Gdy mężczyźni wnosili Tucka i Kimiego do domu kawalerów, Favo podszedł do Malinka.

- Jak było?

Wódz popatrzył na starego przyjaciela i pierwszy raz zauważył, że tamten nosi na szyi długi sznur paciorków z kości słoniowej.

- Muszę już iść do domu - powiedział.

X

Sepie kolejny raz szorowała drewnianą podłogę w miejscu, gdzie zsiąkał się pilot. Filipińczyka mężczyźni umieścili w kącie, gdzie siedział, popijając mleczko kokosowe i bulion rybny. Nie licząc kilku chrząknięć, które z siebie wydał, gdy wychodził na dwór, by oddać mocz, mężczyzna w sukience od dwóch dni się nie odzywał. Sepie nauczyła się nie zwracać na niego uwagi. Nie pachniał tak źle jak pilot, a jego kwiecista sukienka nawet jej się podobała. Zmówiła modlitwę do Vincenta, prosząc o taką samą.

- Gdzie Roberto? - spytał Filipińczyk.

Sepie aż podskoczyła. Zdziwił ją nie tyle fakt, że przemówił, ile że posłużył się jej językiem. Mówił jednak z akcentem, niczym mieszkaniec Iffallik albo Satawan.

- Jest tutaj - odparła. - Twój kolega śmierdzi. Powinieneś go wynieść i umyć w morzu.

- To nie Roberto. To Tucker. Roberto jest mniejszy. - Kimi podpełzł do Tucka i położył mu rękę na czole. - Dostał wysokiej gorączki. Masz lekarstwo?

- Aspirynę - odrzekła. Malink dał jej flakonik tabletek, żeby kruszyła je i wsypywała do bulionu dla lotnika, ale gdy zadławił się pierwszą dawką, przestała mu go podawać.

- Aspiryna tu nie wystarczy. Trzeba mu lekarza. Macie tu lekarza?

- Mamy Czarownika. On nas leczy. Był lekarzem, zanim przybyła Kapłanka Niebios.

Kimi popatrzył na nią.

- Co to za wyspa?

- Alualu.

- Ha! Musimy ściągnąć lekarza dla Tuckera. Jest mi winien pięćset dolarów.

Oczy Sepie zrobiły się szersze. Nic dziwnego, że tamten nosi taką piękną sukienkę. Pięćset dolarów.

- Wódz mówi, że nie wolno mi mówić o tym mężczyźnie - powiedziała. - Wszyscy wiedzą, że tu jest. Chłopcy upijają się i opowiadają. Ale nie mogę sprowadzić lekarza.

- Dlaczego się nim opiekujesz? Jesteś tylko dziewczyną.

- Nie jestem tylko dziewczyną. Służę w domu kawalerów. Kimi prychnął.

- Dziś już takich nie ma.

Sepie rzuciła ścierkę, którą myła podłogę. ~ A co ty wiesz? Jesteś mężczyzną w sukience i nie wierzę, że masz pięćset dolarów.

- Przed huraganem to była ładna sukienka - powiedział. - Wystarczyło uprać i nosić. Nie wymagała prania chemicznego.

Sepie skinęła głową, jakby wiedziała o czym mowa.

- To bardzo ładna sukienka. Podoba mi się.

- Tak? - Skubnął pomięte plisy wokół nóg. - To tylko stary ciuch, który znalazłem w Manili. - Naprawdę ci się podoba?

Sepie nie rozumiała. W jej plemieniu, jeśli ktoś podziwiał rzecz należącą do innego, maniery nakazywały tę rzecz oddać. Jak to możliwe, że ten głupek mówił jej językiem, a nie znał jej zwyczajów? W dodatku nawet nie patrzył na nią tak, jak inni mężczyźni.

- Z jakiej wyspy pochodzisz?

- Satawan - odparł Kimi. - Jestem nawigatorem. Sepie parsknęła.

- Nie ma już nawigatorów.

W tym momencie otwór wejściowy pociemniał i podnieśli wzrok, by ujrzeć surowego Abo, wchodzącego do domu kawalerów. Był szczupły, muskularny i bez przerwy krzywił twarz. Na wygolonych bokach głowy miał wytatuowane wizerunki rekinów młotów. Ciemne włosy nosił spięte w kok wojownika - takie koki wyszły z mody ze sto lat temu.

- Czy pilot się obudził? - warknął.

Sepie spuściła wzrok i uśmiechnęła się nieśmiało. Abo był jedynym chłopcem w domu kawalerów, który nie rozumiał komunalnego charakteru jej statusu. Zawsze był zazdrosny, gniewny albo nadąsany, lecz przynosił liczne prezenty, czasami nawet egzemplarze „People”, które kradł z kręgu pijących mężczyzn. Sepie myślała, że pewnego dnia może za niego wyjść.

- Jest zbyt chory - odezwał się Kimi. - Musimy zabrać go do lekarza.

- Malink mówi, że ma zostać tutaj, dopóki nie wydobrzeje.

- On umiera - powiedział Kimi.

Abo spojrzał na Sepie, czekając na potwierdzenie.

- Śmierdzi jak trup - odezwała się. Im wcześniej zabiorą pilota do Czarownika, tym szybciej będzie mogła znowu spędzać całe dni na pływaniu i strojeniu się. - Malink będzie zły, jeśli on umrze - dodała.

Abo skinął głową.

- Powiem mu. - Wskazał na Kimiego. - Ty pójdziesz ze mną,

Kimi wstał. Przy wyjściu odwrócił się do dziewczyny.

- Gdyby zjawił się Roberto, powiedz mu, że niedługo wrócę.

Sepie wzruszyła ramionami.

- Kto to jest Roberto?

- Nietoperz owocożerny. Z Guam. Można poznać po akcencie.

- A, ten. Zdaje się, że Sarapul go zjadł - powiedziała ostrożnie Sepie.

Kimi odwrócił się i z krzykiem pobiegł do wioski.

Malink uniósł głowę znad śniadania - bananowego liścia pełnego ryb i ryżu - by ujrzeć Abo, zmierzającego koralową ścieżką do jego chaty. Na widok surowej miny przybysza, żona i córki wodza pomknęły do kuchni.

- Dzień dobry, wodzu - odezwał się Abo.

- Zjesz? - spytał Malink, wskazując swoje śniadanie. Abo już jadł, ale odmowa byłaby nieuprzejma. - Tak.

Żona Malinka wychyliła głowę z kuchni i zobaczyła, że wódz daje znak głową. Po chwili oddawała już własne śniadanie Abo, który ani nie podziękował, ani nie zauważył jej obecności.

- Pilot jest chory - oznajmił. - Ma straszną gorączkę. Sepie i mężczyzna-dziewczyna mówią, że bez pomocy Czarownika niedługo umrze.

Malink stracił nagle apetyt. Odłożył swoje śniadanie i zaraz jak spod ziemi wyrosła jedna z jego córek, by zanieść je do kuchni, gdzie kobiety podzieliły się tym, co zostało.

- A co ty myślisz? - spytał Malink.

- Myślę, że on umiera. Śmierdzi chorobą. Jak wtedy, kiedy Tamu ugryzł rekin i jego noga zrobiła się czarna.

Wódz potarł skronie. Jak to rozwikłać? Kapłanka Nieba gniewała się na niego już za to, że pilot mu się tylko przyśnił. Co by się stało, gdyby nagle pojawił się w jego towarzystwie?

- A co z mężczyzną-dziewczyną?

- Nie jest chory, ale oszalał. Biega po wiosce i szuka Sarapula.

Malink pokiwał głową.

- Złapcie go i zwiążcie. Zróbcie nosze i zanieście pilota pod drzewa betelowe przy pasie startowym. Tam go zostawcie.

- Zostawić go?

- Tak, szybko. I przynieście nosze z powrotem. Niech to wygląda tak, jakby doszedł do pasa. Przyślij mi chłopaka, kiedy już to zrobicie. Idź już.

Abo odłożył jedzenie i pobiegł ścieżką.

Malink wrócił do domu i spomiędzy belek wyciągnął skrzynkę amunicyjną. W środku, obok przenośnego telefonu, znalazł zapalniczkę Zippo, którą dał mu Vincent. Otworzył ją, zapalił i usiadł na podłodze, patrząc na płomień.

- Vincencie - powiedział. - To ja, twój przyjaciel Malink. Proszę, powiedz Kapłance Nieba, że to nie moja wina. Powiedz, że wysłałeś pilota. Proszę, powiedz jej, żeby nie była zła na twój przyjaciel Malinka. Amen.

Po skończonej modlitwie zamknął zapalniczkę, odłożył ją, wziął przenośny telefon i wyszedł na

zewnątrz, by poczekać na chłopaka, który mu powie, że wszystko jest przygotowane.

28

WYBIERZ SWÓJ KOSZMAR

Tucker Case przewrócił się na bok, śniąc w gorączce o tym, że rzucają nim wielkie, elastyczne fale demonów o skrzydłach nietoperzy, które go gniotą, duszą, gryzą, drapią, i tam, pośród chaosu, kątem oka dostrzega kawałek materiału, różowy od płynu do zmiękczenia tkanin. Potwierdziło to jego podejrzenie, że wrzucono go do suszarki w pralni piekieł. Zaczął przedzierać się ku temu strzępowi różu, umykając przed szponiastą masą, i obudził się, zdyszany, nie wiedząc, gdzie się znajduje.

Róż okazał się sukienką kobiety o buzi w kształcie serca. - Dzień dobry, panie Case - powiedziała. - Witamy z powrotem na świecie.

Potem rozległ się męski głos:

- Po pańskiej wiadomości i huraganie sądziliśmy, że na pewno zginął pan na morzu.

‘właściciel głosu był białą plamą z głową, a potem stał się białym kitlem, zapiętym na wysokim, uśmiechniętym mężczyźnie w średnim wieku, siwym i łysiejącym, ze stetoskopem na szyi.

Lekarz obejmował kobietę ramieniem. Ona także się uśmiechała i wyglądała niczym anioł, uosobienie ludzkiej dobroci. We dwoje sprawiali wrażenie, jakby wyszli z serialu telewizyjnego z lat pięćdziesiątych.

Mężczyzna oznajmił:

- Jestem doktor Sebastian Curtis, panie Case. A to moja żona, Beth.

Tuck usiłował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie chrapliwy pisk. Kobieta przyłożyła mu do warg plastikowy kubek z wodą i zaczął pić. Zerknął na kroplówkę podłączoną do jego ręki.

- Glukoza i antybiotyki - oznajmił doktor. - Ma pan parę paskudnie zakażonych ran. Tubylcy znaleźli pana na rafie.

Tucker szybko policzył, ile kończyn czuje, a potem jeszcze na nie spojrzął, dla pewności, gdyż utracona noga też mogła sprawiać fantomowy ból. Uniósł głowę, by popatrzeć na krocze, z którego pulsujący ból rozchodził się na ■% brzuch.

Kobieta delikatnie popchnęła go na poduszkę.

- Nic panu nie będzie. Znaleźli pana w samą porę, ale Potrzebuje pan odpoczynku. Bastian może podać panu środki przeciwbólowe, jeśli trzeba.

Posłała śliczny uśmiech mężowi, który poklepał pacjenta po ramieniu.

- Proszę się nie wstydzić, panie Case. Beth to pielęgniarka z chirurgii. Obawiam się, że musimy zostawić cewnik jeszcze przez parę dni.

- Był ze mną jeszcze jeden facet - oznajmił Tuck. - Filipińczyk. Nawigator łodzi.

Doktor i jego żona wymienili spojrzenia, po czym spokój rodem z serialu *Ozzie and Harriet* legł w gruzach, ustępując miejsca panice, ale tylko na chwilę, po której wrócili do podnoszącego na duchu gruchania. Tuck nawet nie miał pewności, czy w ogóle widział jakąś zmianę.

- Przykro mi, ale mieszkańcy wyspy nie znaleźli nikogo więcej. Widocznie zginął podczas sztormu.

- Ale drzewo... Wisiał na drzewie...

Beth Curtis położyła mu delikatnym ruchem palec na ustach.

- Przykro mi, że stracił pan przyjaciela, ale teraz potrzebuje pan odpoczynku. Za chwilę przyniosę panu coś do jedzenia i zobaczymy, czy pański organizm przyjmie stały pokarm.

Zabrała dłoń i objęła męża w pasie, gdy ten wlewał płynze strzykawki do kroplówki Tucka.

- Niedługo do pana zajrzemy - obiecał lekarz. Tucker patrzył, jak odchodzą, i zauważył, że mimo nobliwości w stylu *Domku na prerii*, Beth Curtis ukrywa pod perkalem całkiem zgrabną figurę. Poczł się trochę obleśnie, jakby przyłapano go na podniecaniu się matką kumpla.

Tak wtedy, gdy pijany i pewny swego próbował poderwać jvlary Jean Dobbins.

Do diabła ze stałym pokarmem. Gin, w okazałych ilościach i na potężnej kolumnie lodu, tego mu było trzeba. Tonik, by odegnać chandrę, wywołaną złymi snami i myślami o tych, co zginęli na morzu.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Był to mały oddział szpitalny. Tylko cztery łóżka, ale panowała w nim zaskakująca czystość, zważywszy na lokalizację. Przy ścianach stał dość poważnie wyglądający

sprzęt. Jakieś urządzenia na kółkach, takie których można by użyć do skomplikowanej operacji chirurgicznej albo tuningu toyoty. Był pewien, że Jake Skye wiedziałby, co to takiego. Pomyślał o learjencie, a potem poczuł, że zaczyna przysypiać.

Nadszedł sen o twarzy ludożercy, przyniósł dreszcze w nogach, by w końcu skupić się na naoliwionych piersiach brązowskórej dziewczyny, ocierających się o jego twarz i pachnących kokosem oraz kwiatami. Rozległo się skrobanie i drobne kroczyki na blaszanym dachu, a potem szczekanie nietoperza owocożernego. Tuck tego nie słyszał.

Złodzieja świń schwytano i Jefferson Pardee musiał znaleźć inny główny temat. Siedział przy biurku i przeglądał notatki w żółtym notesie, z nadzieją że coś rzuci mu się w oczy. Prawdę mówiąc, nie było tam zbyt wiele rzucających się w oczy materiałów. Notatki brzmiały: „Złapali złodzieja świń. I co teraz?”.

Można było sprawdzać tropy, łązić, kontrolować wszystkie fakty w przynajmniej dwóch źródłach, a potem ułożyć mozolnie zebrane informacje w kształt odwróconej piramidy i oto, co otrzymywaliśmy: właściciel świni upił się i zbił żonę, więc ta sprzedała świnię komuś z zewnętrznych wysp i kupiła używany paralizator od chorążego marynarki. Kiedy mąż nawalił się znowu, grupa japońskich turystów znalazła go przy drodze, skwierczącego niczym plaster smażonego boczku. Biorąc go za ulicznego artystę, turyści zgotowali mu radosne brawa, zrobili sobie zdjęcia obok porażonego prądem człowieka i dali pięć dolarów jego żonie. Cała sprawa wyszła na jaw, gdy policja przyłapała żonę, złodziejkę świni, przed hotelem Continental. Brała od turystów po dolarze za oglądanie, jak razi prądem leżące, rozedrgane ciało męża. Paralizator skonfiskowano, nie wniesiono oskarżenia, a ochotnik z Korpusu Pokoju stwierdził, że damski bokser nie doznał uszczerbku na zdrowiu, mimo że kilkakrotnie trzeba mu było przypominać, jak się nazywa, gdzie mieszka i ile ma dzieci.

Zagadka została rozwiązana i „Truk Star” stracił główny temat. Jefferson Pardee był załamany. Musiał teraz ruszyć się z miejsca i znaleźć materiał albo - jak to czynił już wielokrotnie - wysać go z palca. Micro Spirit stał w porcie. Może tam pójdzie i sprawdzi, czy zdoła wyciągnąć jakieś wieści od załogi. Wsunął legitymację prasową za wstążkę swojego australijskiego kapelusza, po czym wyszedł i ruszył pylistą ulicą na nabrzeże, gdzie twardzi jak skata muskularni wyspiarze ładowali dwustulitrowe beczki do sieci transportowych, po czym wciągali je do ładowni Micro Spirit.

Micro Spirit i Micro Trader były bliźniaczymi statkami, które kursowały po mikronezyjskim półksiężycu, przewożąc towary i pasażerów na zewnętrzne wyspy. Jedyne kabiny służyły kapitanowi i załodze. Pasażerowie podróżowali i spali na pokładzie.

Pardee pomachał pierwszemu oficerowi, mocno wytatuowanemu Tongijczykowi, który stał przy relingu, żując orzeszki betelowe i tryskając za burtę czerwonymi kometami śliny.

- Ahoj! - zawołał dziennikarz. - Pozwolenie na wejście na pokład.

Oficer pokręcił głową.

- Nie, dopóki nie skończymy załadunku tego paliwa lotniczego. Zejdę na dół. Jak się masz,

redaktorze?

Pardee namówił załogę Micro Spirita, by nazywała go „redaktorem”, pewnej pijackiej nocy w barze Yumi. Patrzył teraz, jak oficer przelazi przez reling na dziobie i opuszcza się na nabrzeże niczym małpa. Sprawilo mu to tyle wysiłku, co chodzenie po schodach. Na ten widok Pardee posmutniał, że sam jest taki gruby.

Tamten podszedł i ścisnął jego dłoń.

~ Miło cię widzieć.

- Wzajemnie - odrzekł Pardee. - Skąd jesteście, chłopaki?

- Przywozimy wodzów z Wolei na naradę. Zabieramy tuńczyka i koprę. Nic nowego.

Dziennikarz obejrzał się na marynarzy ładujących beczki

- Powiedziałeś „paliwo lotnicze”? Myślałem, że tankowce Mobila przywożą całe paliwo dla Continental. - Continental, jako jedyne duże linie lotnicze, obsługiwały Mikronezję.

- Tankowce Mobila nie popłyną na Alualu. Nie ma tam laguny, nie ma portu. Płyniemy na Ulithi, a potem wieziemy to paliwo na specjalne zamówienie doktora z Alualu.

Pardee przez chwilę trawił tę informację.

- Myślałem, że Micro Trader obsługuje stany Yap i Pa-lau. Po co robicie taki kawał drogi?

- Mówię: specjalne zamówienie. Moen ma paliwo lotnicze, my jesteśmy w Moen, doktor chce szybko dostać paliwo, więc płyniemy. Podoba mi się to. Nigdy nie byłem na Alualu, a na Ulithi znam dziewczynę.

Pardee nie potrafił powstrzymać uśmiechu. To był temat sam w sobie. Nic wielkiego, ale kiedy Trader albo Spint zmieniały rozkład kursów, trafiało to do gazety. Gdzieś tu krył się większy temat, w tych beczkach z paliwem lotniczym, w plotkach o uzbrojonych strażnikach, i w dwóch pilotach, którzy zatrzymali się na Truk w drodze na wyspę niczyją. Pytanie brzmiało: czy chciał to drażnić? Czy umiał-

- Kiedy wypływacie? - spytał.

- Jutro rano. Dziś w nocy upijamy się razem w Yunii-Moi chłopcy zaniósą cię do domu, jeśli się piesz. N°- „Oficer się roześmiał.

Dziennikarzowi zrobiło się niedobrze. Oto, za kogo go wazali: grubego białego pijaka, którego można odnieść do domu, a potem o tym opowiadać.

- Dziś nie mogę pić. Rano płynę z wami. Muszę się przygotować.

Oficer wypluł na dłoń garść orzeszków betelowych, która wypychała mu policzek, i cisnął ją do morza, gdzie pod powierzchnią natychmiast pojawiły się małe żółte rybki. Popatrzył na rozmówcę podejrzliwie.

- Ruszysz się z Truk?

- To nic wielkiego. Już dawniej pływałem poza wyspę, żeby napisać artykuł.

- Nie od dziesięciu lat, odkąd pływam na Spiricie.

- Znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego pasażera czy nie?

- Zawsze mamy miejsce. Wiesz, że będziesz musiał spać na pokładzie?

Zaczynało go to drażnić. Musiał napić się piwa.

- Już to robiłem.

Tamten pokręcił głową, jakby próbował pozbyć się wody z uszu, i parsknął śmiechem.

- Dobra, wypływamy o szóstej rano. Bądź w porcie o piątej.

- A kiedy znów tu zawiniecie?

~ Za miesiąc. Możesz polecieć samolotem z Yap, jeśli nie chcesz wracać z nami. ~ Za miesiąc?

- Musiał znaleźć kogoś do prowadzenia ²⁰ty, kiedy go nie będzie. A może i nie. Czy ktoś w ogóle zauważy, że go nie ma?

- Do zobaczenia rano - powiedział. - Nie upij się za bardzo.

- Ty też - odparł oficer.

Pardee ruszył nabrzeżem, czując wyraźnie każdy ze swoich stu piętnastu kilogramów. Gdy wrócił na ulicę, był już zlany potem i marzył o ciemnym, klimatyzowanym barze. Otrząsnął się i ruszył do katolickiej szkoły średniej, by spytać sióstr, czy mają jakichś bystrych uczniów, którzy mogliby poprowadzić gazetę pod jego nieobecność.

Zrobi to, do jasnej cholery. Stawi się w porcie o piątej, choćby przez całą noc musiał nie spać i pić, by tego dokonać.

BEZPIECZNY W RĘKACH MEDYCyny

Jak się pan dziś czuje? - Sebastian Curtis zsunął kołdrę do kolan Tucka i uniósł jego szpitalną koszulę. Pilot wzdrygnął się, gdy lekarz dotknął cewnika.

- Lepiej - odparł. - Ale tam mnie swędzi.

- Bo zdrowieje. - Doktor pomacał węzły limfatyczne na jego podbrzuszu. Miał zimne dłonie i Tuck zadrżał od Jego dotyku. - Zakażenie ustępuje. To skutek tej kraksy lotniczej?

- Upadłem na jakąś dźwignię, kiedy próbowałem wyjść pasażerkę z samolotu.

~ Tę dziwkę? - Lekarz nawet nie podniósł wzroku. Tuck chciał naciągnąć sobie pościel na głowę i się schować. Zamiast tego powiedział:

- Pewnie nie sprawi panu różnicy, jeśli powiem, że nie znałem jej zawodu.

Sebastian Curtis podniósł wzrok i się uśmiechnął. Oczy miał jasnoszare z pomarańczowymi plamkami. Z siwymi włosami i tropikalną opalenizną wyglądał jak generał na emeryturze, może Rommel.

- Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co tam robiła ta kobieta. Ale obchodzi mnie, że pan pił. Tutaj nie możemy sobie na to pozwolić, panie Case. Być może będzie pan musiał lecieć bez uprzedzenia, więc nie może pan pić ani oddawać się innym chemicznym rozrywkom. Rozumiem, że to nie kłopot?

- Nie. Żaden - odparł Tuck, choć czuł się tak, jakby oberwał workiem piasku. Marzyło drinku, odkąd odzyskał przytomność. - Przy okazji, doktorze, skoro mamy współpracować, może powinien mi pan mówić: „Tucker”.

- Niech będzie Tucker - powiedział Curtis. - A pan może mi mówić: „doktorze Curtis”. - Uśmiechnął się.

- Super. A jak się nazywa pańska żona?

- Pani Curtis.

- No jasne.

Lekarz zakończył badanie i z powrotem podciągnął kołdrę do talii Tucka.

- Za parę dni powinien pan chodzić. Dziś po południu przeniesiemy pana do bungalowu. Myślę, że znajdzie pan tam wszystko, czego potrzeba, ale gdyby pan jednak czegoś potrzebował, proszę nas zawiadomić.

Dzinu z tonikiem, pomyślał Tuck.

- Chciałbym wiedzieć, co się stało z gościem, który był nawigatorem mojej łodzi.

- Jak mówiłem, mieszkańcy wyspy znaleźli pana i parę kawałków łodzi. - W jego głosie pobrzmiwało zdecydowanie, świadczące o tym, że nie chce rozmawiać o Kimim ani o łodzi.

Tuck brnął dalej. Szacunek dla autorytetów nigdy nie był jego mocną stroną.

- Chyba po prostu popytam, jak już stąd wyjdę. Może fale wyrzuciły go w innej części wyspy. Pamiętam, że jakiś stary ludożerca powiesił nas obu na drzewie.

Tuck zobaczył, że przez twarz doktora przemyka grymas, niczym uciekający cień, a potem powrócił na nią profesjonalny uśmiech.

- Panie Case, na tych wyspach od stu lat nie było żadnych ludożerców. Poza tym muszę poprosić, żeby podczas pobytu tutaj pozostawał pan na ogrodzonym terenie. Będzie pan miał dostęp do plaż, a tam jest mnóstwo miejsca, żeby sobie spacerować, ale nie będzie pan miał kontaktu z tubylcami.

- Czemu? To znaczy, skoro mnie uratowali?

- Plemię Rekinów to bardzo zamknięta społeczność, staramy się im nie narzucać w większym stopniu, niż wymaga tego nasza praca.

- Plemię Rekinów? Dlaczego Rekinów?

-Wszystko wyjaśnię, kiedy poczuje się pan lepiej.

w tej chwili potrzebuje pan odpoczynku. - Doktor wyjął strzykawkę z metalowej szuflady przy ścianie i napełnił ją przejrzystą cieczą z flakonu, po czym wstrzyknął zawartość do kroplówki. - Jak pan myśli, kiedy będzie Panmógł latać?

Tuck czuł się tak, jakby umysł obwiązano mu gazą. Wszystko w pomieszczeniu stało się mętne i zamazane.

- Niezbyt prędko, jeśli dalej będzie mi pan dawał te środki. Kurde, co to było? Zaraz, pan jest lekarzem. Myśli pan, że smakujemy jak mielonka?

Zamierzał zadać jeszcze jedno pytanie, ale z jakiegoś powodu wydało mu się, że nie ma już ono znaczenia.

■

Czarownik wpadł do bungalowu Kapłanki Nieba, zerwał z siebie kitel i cisnął go w kąt. Ruszył do aneksu kuchennego, otworzył na oścież zamrażarkę, wyciągnął zmrożone trzy czwarte absoluta i nalał sobie setkę do szklanki na wodę, która pokryła się szronem i zaczęła parować niczym suchy lód w wilgotnym powietrzu.

- Malink kłamał - powiedział. Potem wlał w siebie połowę wódki i złapał się za skronie, gdy

chłód uderzył do jego mózgu.

Kapłanka Nieba podniosła wzrok znad czasopisma.

- Jesteś trochę zestresowany, skarbie? - Leżała na ganku, naga, z wyjątkiem słomkowego kapelusza z szerokim rondem, a jej biała skóra lśniła na słońcu niczym perła.

Czarownik dołączył do niej i opadł na szezlong, wciąż zaciskając dłoń na skroniach.

- Case twierdzi, że na wyspie był z nim inny mężczyzna. Powiedział, że stary ludożerca powiesił go na drzewie.

- Słyszałam - stwierdziła Kapłanka Nieba. – Bredzi w malignie?

- Nie sądzę. Myślę, że Malink skłamał. Znaleźli nawigatora łodzi i nam nie powiedzieli.

Usiadła przy nim na szezlongu i wyjęła mu z ręki szklankę wódki.

- No to wyślij ninja na misję poszukiwawczą. Płacisz im. Mogliby się przy okazji czymś zająć.

- To nie wchodzi w grę i dobrze o tym wiesz.

- No to idź sam. Albo niech Malink się tym zajmie. Powiedz, że wiesz o tym drugim i chcesz, żeby go tu raz-dwa przyprowadzili.

- Myślę, że ich tracimy, Beth. Malink jeszcze miesiąc temu nie odważyłby się mnie okłamać. To przez ten sen. Sni mu się, że Vincent wysłał im pilota, ty mówisz, że to nieprawda, a potem fale wyrzucają pilota na rafę.

Kapłanka opróżniła szklankę wódki i oddała mu ją, pustą.

- Tak, nic tak nie spierdoli dobrej religii, jak działanie prawdziwego boga.

- Wolałbym, żebyś tak nie mówiła.

- No to co zrobisz, znaczy, jak już sobie należesz?

Czarownik podniósł wzrok, jakby dopiero teraz ją zauważył.

Dr Beth, co ty tu robisz? Kapłanka Nieba nie może być opalona.

Sięgnęła pod szezlong i wyciągnęła plastikową butelkę z balsamem do opalania.

- Filtr dziewięćdziesiątka. Wyluzuj, po czymś takim będę śnieżnobiała nawet jeśli odpalę atomówkę. Chcesz mnie nasmarować? - Zsunęła kapelusz na tył głowy, żeby widział drapieźną powagę w jej oczach.

- Beth, proszę. Mam tu poważny kryzys.

- Jaki tam kryzys. To oczywiste, czemu Rekiny stają się niespokojni.
- Naprawdę?
- Od dwóch miesięcy nikogo nie wybrano, Bastianie. Pokręcił głową.
- Case nie może jeszcze latać.
- To się postaraj, żeby mógł.

30

DYSKUSJE O MODZIE

Kimi siedział nadąsany pod palmą kokosową przed domem kawalerów. Jego sukienka w kwiaty zniknęła i nosił niebieskie *thu*, długą, przypominającą sarong przepaskę biodrową, wdziewaną przez mężczyzn z plemienia Rekinów. Nie miał już także blond peruki, bucików na obcasach ani najlepszego przyjaciela, Roberta, którego nie widział, odkąd wisiał na drzewie ludożerców. A teraz wyglądało na to, że nie ma gdzie spać. Sepie go rzuciła. „Sepie wyszła z domu kawalerów i zgromiła go wzrokiem, Przystanęła na koralowej ścieżce. „~ Nie jestem małpą - powiedziała. Potem podniosła ze ścieżki kamień i rzuciła nim w niego.

Kimi skrył się za drzewem i wysunął głowę.

- Nie powiedziałem, że jesteś małpą. Powiedziałem tylko, że jeśli nie będziesz goliła nóg, niedługo zaczniesz wyglądać jak małpa.

Kamień śmignął tak blisko od jego twarzy, że poczuł podmuch. Z każdym rzutem dziewczyna nabierała celności.

- Nic nie wiesz - powiedziała. - Jesteś tylko mężczyzną-dziewczyną.

Kimi wygrzebał kamień z piasku i rzucił w nią, ale nie włożył w tego serca i chybił o półtora metra.

- Jesteś tylko ospowatą dzidą i za dużo gadasz - powiedział po angielsku.

Miał nadzieję, że werbalny pocisk trafił bliżej celu. Tak brzmiały ostatnie słowa Malcolme'a, byłego alfonsa Kimiego w Manili. Z perspektywy czasu, błąd Malcolme'a wynikał z braku pamięci. Zapomniał, że przesadnie wyfiokowana dziewczynka, stojąca przed nim z maczetą, to w istocie

żyłasty młodzieniec, którego wciąż paliło wspomnienie setek ciosów.

- Nie mam ospy - powiedział Kimi do Malcolme'a, którego twarz wciąż wyrażała zaskoczenie, nawet wtedy, gdy jego głowa potoczyła się w kąt hotelowego pokoju, gdzie szybko pojawił się szczur i delikatnie polizał skróconą szyję.

- Nie mam ospy - powiedziała po angielsku Sepie, dla podkreślenia swoich słów rzucając bryłką koralu.

- Wiem - odrzekł Kimi. - Przepraszam, że to powiedziałem.

Ze spuszczoną głową oddalił się plażą. Sepie stała przed domem kawalerów i patrzyła za nim, „pełnie rozbrojona. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna jej nie przeprosił.

X

Kimi nie chciał zranić jej uczuć. Czasami trzeba mieć grubą skórę, by znajomej dziewczynie przekazać rady w kwestii urody. Po co nosić ładną sukienkę, jeśli ma się małpie nogi i kępki włosów pod pachami, które wyglądają jak uczone nietoperze?

Nietoperze. Kimi tęsknił za Robertem.

Mężczyźni z plemienia Rekinów nie chcieli z nim rozmawiać, kobiety go ignorowały, z wyjątkiem Sepie, która teraz się na niego gniewała, i nawet Tuckera zabrano na drugą stronę wyspy. Kimi czuł się samotny. Gdy szedł plażą, mijając dzieci bawiące się z oswojonym ptakiem morskim, fregatą, mijając mężczyzn, leniących się w cieniu pustego baraku na łodzie, jego samotność przeradzała się w gniew. Zawrócił w górę plaży i ruszył do wioski w poszukiwaniu broni. Nadeszła pora, by złożyć wizytę staremu kanibalowi.

Przed każdym z domów, przy kuchni, stało żelazne ostre narzędzie - wbite w ziemię żeleźce oskarda używane do spania kokosów. Kimi zatrzymał się przed jednym z domostw i chciał wziąć żeleźce, to jednak ani drgnęło. Szedł między domami, pustymi tego wczesnego poranka, jako że kobiety pracowały na poletkach taro, a mężczyźni odpoczywali w przeróżnych skrawkach cienia. Zajrzał do którejś kuchni i tam, obok kotła z zastygłą skorupą dzisiejszego ryżu, znalazł długi nóż wodza. Rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt nie patrzy, po czym wpadł do chaty i złapał nóż, wsuwając go za swoje *thu*, tak że wystawała tylko rękojeść.

Dziesięć minut później chował się już w kępie olbrzymich paproci, patrząc, jak stary ludożerca plecie sznur z kokosowych włókien na swoich stwardniałych udach. Siedział oparty plecami o palmę, z wyciągniętymi nogami, wyjmując z kosza namoczone i rozdzielone włókna, po czym dotykami odmierzał odpowiednią ilość, którą dodawał do rosnącego zwoju. Od czasu do czasu przerywał i pociągał z dzbana łyk mlecznobiałego napoju, w którym Kimi rozpoznał alkoholową *tubę*. Był pijany. To dobrze.

Kimi powoli obszedł chatę, wciąż kryjąc się wśród liści paproci i alokazji, uważając, by nie kopnąć koralowego żwiru, który brzęczał niczym szkło, jeśli się nie uważało.

Gdy znalazł się za starcem, wyciągnął nóż i rzucił się naprzód, by zabić człowieka, który zjadł jego przyjaciela.

Z okna nowej kwatery Tucker Case obserwował japońskich strażników, którzy chodzili po ogrodzonym terenie, znosząc palmowe liście i połamane gałęzie - skutki huraganu - i układając je na otwartej przestrzeni przy hangarze,

Ky wyschły na słońcu. Wyglądali jak brygada antyterrorystyczna w czarnych kombinezonach, bejsbolówkach i spadochroniarskich butach, gdy zaś zmrużył oczy, przypominali mu wielkie mrówki-robotnice, sprzątające mrowisko. Od czasu do czasu któryś ze strażników zerkał w stronę jego bungalowu i szybko odwracał wzrok, widząc Tuckera w piżamie, stojącego w oknie. Przestał do nich machać po godzinie, bo i tak go ignorowali.

Przebywał w jednoizbowym bungalowie już od czterech dni, ale dopiero teraz poczuł się na tyle dobrze, by wstać i iść gdzie indziej niż tylko do łazienki, w której, ku jego zaskoczeniu, była zimna i ciepła bieżąca woda, toaleta ze spłuczką i kabina prysznicowa z galwanizowanego metalu. Ściany wykonano z ciasno plecionej trawy na solidnej ramie z teku, piaskowanej na gładko. Meble zaś były z wikliny i leżały na nich jaskrawe poduszki. Wentylator pod sufitem obracał się powoli nad podwójnym łóżkiem z moskitierą zamiast baldachimu. Za oknem było widać ogrodzony teren i hangar po jednej stronie, a po drugiej ocean za palmowym gajem. Dostrzegął kilka bungalowów, przycupniętych nad brzegiem, niewielką przystań i budynek szpitalny z pustaków. Na jego blaszanym dachu widniała masa anten, Panele słoneczne i potężna antena satelitarna.

Tuck cofnął się od okna i usiadł na wiklinowej kanapie, czuł się wyczerpany stanem na nogach. Odkąd opuścił Houston, stracił dziewięć kilogramów, a na jego ciele nie było nawet piętnastocentymetrowego fragmentu skóry bez opatrunku. Lekarz powiedział, że na skaleczenia na rękach, kolanach i głowie założył sto szwów. Gdy pilot pierwszy raz zobaczył swoje odbicie w łazienkowym lustrze, pomyślał, że patrzy na ludzką wersję wyliniałego, zdziczałego psa, którego widział na Truk. Jego niebieskie oczy spoczywały niczym bryłki lodu w zapadniętych, brązowych kraterach, a policzki miał ściągnięte jak u zmumifikowanego człowieka z bagna. Jego wybielone przez słońce włosy sterczały w słomianych kępkach między różowymi kawałkami skóry, gdzie lekarz ogolił mu głowę, by założyć szwy. Częściowo Tucka pocieszał fakt, że w pobliżu nie było kobiet, które mogłyby go zobaczyć. A przynajmniej prawdziwych kobiet. Żona doktora, która przychodziła kilka razy dziennie, by przynieść mu jedzenie i zmienić opatrunki, przypominała robota, niczym jakaś hybryda żony ze Stepford i Barbie o gładkich, aseksualnych ruchach manekina i osobowości żywcem wyciągniętej z reklamy mydła z czasów Eisenhowera. Przy niej pruderyjne przedstawicielki firmy kosmetycznej z jego przeszłości jawiły się jako banda wygłodniałych nimfomanek.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła Beth Curtis z drewnianą tacą z naleśnikami i świeżymi owocami.

- Panie Case... wstał pan. Lepiej się pan dziś czuje?

Postawiła tacę na stoliku przed nim i cofnęła się o krok.

Dziś miała na sobie spodnie w kolorze khaki i białą bluzkę z poduszkami na ramionach. Włosy związała na karku dużą białą kokardą. Wyglądała, jakby wyszła z filmu o safari ze Stewartem

Grangerem.

- Tak, lepiej - odrzekł Tuck. - Ale zmęczyłem się samym podejściem do okna.

- Pański organizm wciąż zмага się z infekcją. Doktor niedługo tu przyjdzie i poda panu antybiotyki. Na razie musi pan zjeść. - Usiadła na krześle naprzeciwko.

Tuck odkroił skrawek ze stosu naleśników, a następnie wbił widelec w kawałek papai. Po pierwszym kęsie zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny, i zaczął pochłaniać naleśniki.

Beth Curtis się uśmiechnęła.

- Miał pan okazję zerknąć na podręczniki obsługi samolotu?

Tuck skinął głową z pełnymi ustami. Zostawiła podręczniki na łóżku przed dwoma dniami. Przejrzał je i wiedział, że zdoła tym polecieć. Przełknął i powiedział:

- Latałem learem dwadzieścia pięć dla Mary Jean. Ten jest trochę szybszy i ma większy zasięg, ale to w zasadzie to samo. Nie powinien sprawić mi kłopotów.

- No to dobrze - powiedziała, posyłając mu jeden ze swoich plastikowych uśmiechów. - Kiedy będzie pan mógł latać?

Tucker odłożył widelec.

- Pani Curtis, nie chcę być niegrzeczny, ale co tu się, do diabła, dzieje?

- Do czego się pan odnosi?

- Po pierwsze, do człowieka, z którym przybyłem na tę wyspę. Byłem chory, ale nie miałem halucynacji. Jakiś stary tubylec zawiesił nas na drzewie, a inni nas uwolnili. Co się stało z moim przyjacielem?

Poruszyła się na krześle i wiklina zatrzeszczała niczym Pękające sznurze kości.

- Mąż przekazał panu to, co powiedzieli nam tubylcy. Oni mieszkają w innej części wyspy. Mają swoją społeczność, swojego wodza, swoje prawa. Staramy się zapewniać im opiekę medyczną i sprowadzać nowe duszyczki do owczarni, ale oni są zamknięci w sobie. Zapytam ich o pańskiego przyjaciela. Jeśli się czegoś dowiem, powiadomię pana. - Wstała i wygładziła spodnie.

- Będę wdzięczny - odrzekł Tuck. - Obiecałem mu, że wróci na Yap, i jestem mu winien trochę pieniędzy. Tubylcy nie znaleźli mojego plecaka, co? Pieniądze były w środku.

Pokręciła głową.

- Zostały tylko ubrania, które miał pan na sobie. Spaliliśmy je. Na szczęście nosi pan mniej

więcej ten sam rozmiar, co Sebastian. Proszę mi wybaczyć, panie Case, mam trochę pracy. Sebastian zaraz wróci z pańskim lekarstwem. Cieszę się, że lepiej się pan czuje.

Odwróciła się i wyszła prosto w oślepiający blask słońca.

Tucker wstał i patrzył, jak kobieta przemierza ogrodzony teren. Japońscy strażnicy przerwali pracę i zaczęli się na nią gapić. Odwróciła się do nich i czekała, wzięwszy się pod boki, aż po kolei stracili odwagę i wrócili do pracy, nie ze wstydu, lecz ze strachu, jakby jej spojrzenie mogło ich zmienić w lód. Tuck zasiadł do niedojedzonych naleśników i zadrżał. Pomyślał, że to na pewno z gorączki.

Pół godziny później do bungalowu wszedł lekarz. Tucker leżał na kanapie i zapadał w drzemkę. Robili tak, odkąd tu zamieszkał: zmieniali się i przynajmniej raz na godzinę przychodziło któreś z nich, żeby do niego zajrzeć, przynieść jedzenie albo leki, zmienić pościel, zmierzyć temperaturę, pomóc pójść do łazienki, otrzeć mu czoło. Wyglądało to na szczerą troskę, ale też przywodziło na myśl inwigilację.

Przechodząc przez pomieszczenie, Sebastian Curtis wyjął z kieszeni zapakowaną strzykawkę.

Tuck westchnął.

- Znowu?

- Pewnie czuje się pan już jak poduszka do igieł. Proszę się odwrócić.

Tucker spełnił polecenie i doktor zrobił mu zastrzyk.

- Albo to, albo kroplówka. Mamy infekcję pod kontrolą i nie chcemy, żeby znowu poczuła się zbyt pewnie.

Tuck pomasował tyłek i usiadł. Zanim zdążył coś powiedzieć, lekarz wetknął mu do ust elektroniczny termometr.

- Beth mówi, że martwi się pan o swojego przyjaciela, tego który jakoby przyplłynął z panem na wyspę.

Tuck skinął głową.

- Sprawdzę to, obiecuję. Tymczasem, jeśli czuje się pan na siłach, Beth i ja chcemy zaprosić pana na kolację. Trochę lepiej się poznamy. Powiemy, czego od pana oczekujemy. - Wyciągnął termometr z ust pacjenta i sprawdził odczyt, ale nic nie powiedział. - Zje pan dziś z nami kolację?

- Jasne - odpowiedział. - Ale...

- Dobrze. Zaczniemy o siódmej. Powiem Beth, żeby przyniosła panu jakieś ubrania. Przepraszam za te stroje z drugiej ręki, ale to najlepsze, co mamy. - Ruszył do wyjścia.

- Doktorze?

Sebastian się odwrócił.

- Tak?

- Jest pan tutaj od... ilu... trzydziestu lat?

Doktor zeszywniał.

- Od dwudziestu ośmiu. A co?

- Ee, bo pani Curtis nie wygląda...

- Tak, Beth jest ode mnie sporo młodsza. Ale o tym wszystkim możemy porozmawiać przy kolacji. Powinien pan teraz odpocząć i poczekać, aż antybiotyki zrobią swoje. Potrzebuję pana zdrowego, panie Case. Musimy zagrać w golfa.

- W golfa?

- Grywa pan, prawda?

Tuck dopiero po chwili nadał się za nagłą zmianą tematu.

- Gracie tu w golfa?

- Jestem lekarzem. Nawet na Pacyfiku mamy środy. - A potem uśmiechnął się i wyszedł z bungalowu.

ZEMSTA: SŁODKA INISKOKALORYCZNA

Sarapul wplótł w swój sznur ostatnie włókna i wyciągnął nóż, by przyciąć postrzępioną końcówkę. Był to dobry nóż, produkcji niemieckiej, o cienkim, giętkim ostrzu, w sam raz do filetowania ryb albo odcinania cieniutkich plasterków szypułki kokosa do pędzenia *tuby*. Miał go od dziesięciu lat, a do jego ostrzenia i polerowania służył mu kawałek garbowanej świńskiej skóry, ostrze błysnęło błękitem, gdy uniósł narzędzie i ujrzał w metalu odbicie oblicza zemsty. Nie odwracając się, powiedział: - Młodzi cię zabijają.

Kimi zatrzymał się, trzymając nóż w gotowości, by wbić go tamtemu w szyję.

Sarapul ścisnął nóż, trzymając go ostrzem w dół, tak by w razie potrzeby obrócić się i jednocześnie zadać cios. Jednakże stare kości nie pozwalały mu na szybkie ruchy. Zanim zdoła wykonać pół obrotu, Filipińczyk go zabije.

- Twój przyjaciel jest u białego Czarownika i zdziry Vincenta.

-Nie tego. Roberta. Nietoperza.

- Nietoperze to tabu. Na Alualu nie jemy nietoperzy. Kimi opuścił nóż o kilka centymetrów.

- Ludzi też nie wolno *ci* jeść, a jednak to robisz.

- Nie ludzi, których znam. Podejdz tu, żebym cię widział. Jestem stary i nie wykręcę tak mocno *szyi*.

Kimi obszedł łukiem drzewo i przykucnął w gotowości naprzeciwko starca.

- Chciałeś mnie zabić - stwierdził Sarapul.

- Jeśli zjadłeś Roberta.

- Podoba mi się to. Dziś już nikt nikogo nie zabija. A, młodzi rozmawiają o tym, żeby zabić ciebie, ale myślę, że Malink wybije im to z głowy.

Kimi przełknął ślinę.

- Zamierzaliście mnie zjeść, jak już mnie zabijecie?

- Ktoś o tym wspomniał w kręgu. Nie pamiętam kto.
- To skąd mam wiedzieć, że nie zjadłeś Roberta?

- Spójrz na mnie, mały. Mam chyba sto lat. Czasami idę na plażę, żeby się wysikać, i zanim *coś*

poleci, zaczyna się odpływać. Jak miałbym złapać nietoperza?

Kimi usiadł na ziemi i odłożył nóż na żwir.

- Coś się stało z Robertem. Odleciał.

- Może znalazł nietoperza-dziewczynę - odparł Sarapul. - Może wróci. Chcesz się napić? - Stary ludożerca podał swój dzban z *tubą* Kimiemu, który nachylił się i złapał naczynie, po czym wycofał się poza zasięg noża, pociągnął łyk i się skrzywił.
- Dlaczego chcą mnie zabić?

- Mówią, że jesteś mężczyzną-dziewczyną i że przez ciebie Sepie zapomina o obowiązkach. Nie lubią cię. Ale nie martw się, bo już nikt nikogo nie zabija. To było tylko gadanie po pijanemu. Kimi zwiesił głowę.

- Sepie odprawiła mnie z domu kawalerów. Jest na mnie zła. Nie mam dokąd iść.

Sarapul pokiwał ze współczuciem głową, ale milczał. Od tak dawna przebywał na wygnaniu, że przywykł do wyobcowania, pamiętał jednak, jak się czuł, gdy Malink go przepędził.

- Dość dobrze mówisz naszym językiem - stwierdził Sarapul.

- Mój ojciec pochodził z Satawan. Był dobrym nawigatorem. Nauczył mnie.

- Jesteś nawigatorem?

W starych czasach nawigatorzy znajdowali się w hierarchii nawet powyżej wodzów - i tylko trochę niżej od oógów. W dzieciństwie Sarapul traktował dwóch nawigatorów z Alualu jak bóstwa. Zapomniane chłopięce marzenie wypłynęło teraz na wierzch i przypomniał sobie, jak się od nich uczył, patrząc, jak rysują mapy nieba w piasku na plaży, słuchając, jak opowiadają o prądach i wiatrach. Chciał być nawigatorem, rozpoczął szkolenie, bo w surowym systemie kastowym wysp to była dla mężczyzny jedyna szansa, by się wyróżnić. Ale jeden z nawigatorów zmarł w gorączce, drugi zaś zginął w walce, zanim zdążył przekazać swoją wiedzę. Nawigatorzy i wojownicy byli upiorami przeszłości. Jeśli ten mężczyzna-dziewczyna był nawigatorem, to kawalerowie zachowywali się jak gnojki, chcąc go zabić. W Sarapula wstąpiła energia, jakiej nie czuł od lat.

- Mogę ci coś pokazać - zaproponował. Próbował wstać na nogi, lecz znowu opadł.

Kimi złapał go za kościstą rękę i pomógł mu się podnieść.

- Chodź - powiedział Sarapul. Poprowadził Kimiego ścieżką na plażę, po czym stanął nad brzegiem. Zaczął śpiewać, jego głos brzmiał jak szum suszonych palmowych liści na wietrze. Rękami zataczał szerokie łuki, po czym wznosił je wysoko ku niebu - Kimiemu wydawało się, że klatka piersiowa starca pęknie za chwilę niczym zgniły owoc. I wtedy powiał wiatr.

Sarapul wziął kilka garści piasku i rzucił je na wiatr, po czym klasnął w dłonie i śpiewał dalej, aż

palmy nad nimi zaczęły się kołysać od powiewów wiatru. Wtedy urwał.

- Teraz czekamy - powiedział. Wyciągnął rękę w stronę morza. - Patrz tam.

Słup mgły wzbił się znad oceanu na horyzoncie i wśród czarnych i srebrnych rozbłysków przerodził się w wielką burzową chmurę. Sarapul znowu klasnął i z chmury wystrzeliła błyskawica niczym zygzakowate pęknięcie na niebieskim szkłe. Grzmot rozbrzmiał nagle, ogłuszająco i niósł się przez całe dziesięć sekund.

Starzec odwrócił się do Kimiego, który patrzył na chmurę z otwartymi ustami.

- Umiesz to zrobić?

Kimi otrząsnął się ze zdumienia i zadrzał.

- Nie, nigdy się nie nauczyłem. Mój ojciec mówił, że umie zesłać grom, ale nigdy tego nie widziałem.

Sarapul się uśmiechnął.

- Jadłeś kiedyś kolesia? Kimi pokręcił głową. - Nie.

- Smakuje jak mielonka - oznajmił starzec.

- Słyszałem.

- Mogę cię nauczyć, jak zsyłać grom, ale nie znam się na gwiazdach.

- Ja się znam - odparł Kimi.

- Idź po swoje rzeczy - powiedział Sarapul.

POZYCJA MISJONARSKA

Strażnicy przyszli po Tuckera o zachodzie słońca, akurat kiedy wkładał bawełniane spodnie i koszulę, które zostawił mu doktor. Ubrania lekarza były na niego przynajmniej o trzy numery za duże,

ale przy tych wszystkich bandażach stanowiło to błogosławieństwo. Nadal miał swoje trampki, które teraz wsunął na boscie stopy. Poprosił strażników, by poczekali, a oni stali przy drzwiach, nieruchomi i milczący niczym żołnierze terakotowej armii.

- Chłopaki, mówicie po angielsku?

Nie odpowiedzieli. Patrzyli na niego.

- Japończycy, tak? Nigdy nie byłem w Japonii. Podobno Big Mac kosztuje tam dwanaście dolców.

Czekał na jakąś reakcję, ale się nie doczekał. Japończycy stali beznamiętnie, cisi, a na ich ostrzyżonych na jeża głodach lśniły kropelki potu.

- Przepraszam, chłopaki, chętnie bym jeszcze z wami pogawędził, ale śpieszę się na kolację z doktorem i jego żoną. - Tuck pokuśtykał do ochroniarzy i każdemu podał ramię, by pomogli mu iść. - Idziemy?

Strażnicy odwrócili się i poprowadzili go przez ogrodzony teren do jednego z bungalowów na plaży. Zatrzymali się przed schodkami na ganek, a Tuck zaczął grzebać w kieszeniach spodni.

- Przepraszam, chłopaki, nie mam drobnych. Dopiszcie mi parę jenów do rachunku.

Ubrany w biały garnitur lekarz wyszedł przez drzwi balkonowe, niosąc w wysokiej szklance drinka z lodem i ozdobionego plastrem mango.

- Panie Case, wygląda pan znacznie lepiej. Jak się pan czuje?

- Nie dolega mi nic, czego nie dałoby się wyleczyć tym. Sebastian Curtis zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że nic z tego. Nie powinien pan pić alkoholu, kiedy podaję panu te antybiotyki.

Tucker poczuł, że skręcają mu się kiszkic.

- Jeden nie zaszkodzi, prawda?

- Niestety, zaszkodzi. Proszę wejść. Beth przygotowuje Wspaniałego strzępiela w sosie imbirowym.

Tucker przeszedł przez drzwi balkonowe i zobaczył, że bungalow jest urządzone bardzo podobnie do tego, w którym mieszka on, tyle że jest większy. Znajdował się w nim aneks kuchenny, gdzie Beth Curtis mieszała coś drewnianą łyżką. Podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

- Pan Case, w samą porę. Potrzebuję kogoś, żeby skosztował sosu. - Miała na sobie kremową sukienkę w stylu Joan Crawford, z poduszkami na ramionach jak u futtbo-
listy, a także szare szpilki. Sukienka pochodziła z lat czterdziestych, ale Tuck wystarczająco długo przebywał w towarzystwie Mary Jean, by wiedzieć, że pani Curtis wydała na

buty przynajmniej pięćset dolców. Najwyraźniej misjonarstwo przynosiło całkiem niezłe dochody.

Podsunęła łyżkę Tuckowi. Sos był słodkawo-cytrusowy z pikantną nutą.

- Dobry - pochwalił. - Bardzo dobry.

- Proszę nie bujać. Będzie pan musiał to jeść.

- Nie, naprawdę mi smakuje.

- No to dobrze. Kolacja będzie gotowa mniej więcej za pół godziny. A teraz, panowie, może pójdziecie ze swoimi drinkami na ganek i zostawicie dziewczynę z jej czarami.

Sebastian podał Tuckowi lodowatą szklankę, pełną pomarańczowego płynu i ozdobioną plastrem mango.

- Pójdziemy? - powiedział, wyprowadzając gościa z powrotem na zewnątrz.

Stanęli przy balustradzie i patrzyli na księżyc odbijający się w oceanie.

- Panie Case, może wygodniej będzie panu na siedząco? - spytał doktor.

- Nie, w porządku. I proszę mi mówić „Tuck”. Jeśli ktoś zwraca się do mnie „panie Case” więcej niż trzy razy, mam wrażenie, że zaraz mnie zrewiduje.

Lekarz się roześmiał.

- Na to nie pozwolimy. Nie przy pieniądzach, które będzie pan zarabiał. Wie pan, wszystkie są legalnie wolne od podatków, dopóki nie zawiezie ich pan z powrotem do Stanów Zjednoczonych.

Tuck przez chwilę patrzył na ocean, zastanawiając się, czy już pora zbadać uzębienie darowanego konia. Na tej wyspie było widać za dużo pieniędzy.

Sprzęt, samolot, ubrania Beth Curtis. Po tym, co mówił Jake Skye, Tuck wyobrażał sobie, że spotka jakiegoś spoconego przemytnika narkotyków z waltherem za pasem i naćpaną dziwką u boku, ale tych dwoje mogłoby przylecieć tu prosto z kościelnego przyjęcia dla elity. Mimo wszystko wiedział, że go okłamują. Nazywali Japończyków swoimi „pracownikami”, a przecież widział, jak jeden za hangarem wyciąga uzi. Chciał zapytać, naprawdę chciał, ale gdy odwrócił się do lekarza, usłyszał ciche szczeknięcie na skraju ganka i podniósł wzrok, by ujrzeć dużego nietoperza owocożernego, wiszącego na krawędzi blaszanego dachu. Roberto.

Lekarz powiedział:

- Panie Tucker, co do tego picia... Tuck oderwał wzrok od nietoperza.

- Jakiego picia?

- Wie pan, że widzieliśmy doniesienia o pańskiej... jak to ująć?

- Kraksie.

- Tak, o pańskiej kraksie. Jak mówiłem, nie możemy niestety pozwolić, żeby pan pił, kiedy pan tu pracuje. Nieraz zdarzy się tak, że będzie pan musiał w krótkim czasie lecieć, więc nie możemy ryzykować, że będzie pan niedysponowany.

- To był odosobniony przypadek - skłamał Tuck. - Wcale dużo nie piję.

- Chwila słabości, rozumiem. I może zabrzmie to drakońsko, ale dopóki nie będzie pan pił ani wychodził poza teren, wszystko będzie dobrze.

- Jasne, nie ma sprawy. - Pilot patrzył nad ramieniem lekarza na nietoperza. Roberto rozłożył skrzydła i obracał się pod wpływem bryzy niczym odwrócony wiatrowskaz. Tuck próbował do niego machać, żeby odleciał z za pleców doktora.

- Wiem, że ograniczenia wydają się duże, ale już dość długo pracuję z plemieniem Rekinów i wiem, że są to ludzie bardzo wrażliwi w kontaktach z przybyszami z zewnątrz.

- Plemię Rekinów? Mówił pan, że mi to wyjaśni.

- Polują na rekiny. Większość tubylców z Mikronezji nie zje rekina. Ale ryby z tutejszej rafy często mają duże stężenie neurotoksyn, więc miejscowi nauczyli się wykorzystywać rekiny jako źródło pożywienia. Można by pomyśleć, że właśnie one, jako ostatnie ogniwo łańcucha pokarmowego będą miały największe stężenie toksyn, prawda?

- Można by - odrzekł Tuck, nie mając bladego pojęcia, o czym tamten mówi.

- A jednak nie. Zupełnie jakby coś w ich organizmach neutralizowało truciznę. W wolnym czasie przeprowadziłem trochę badań.

- Widziałem sporo programów o rekinach na Discovery Channel. Ciągłe w nich opowiadają, jakie to rekiny są niegroźne. Gówno prawda. Połowa tych szwów, które mi pan założył, to skutek ataku rekinów.

- Może nie mają kablówki - odparł lekarz. Tuck odwrócił się do niego ze zdumieniem.

-Żart, doktorze?

Doktor wydawał się lekko zmieszany.

- Pójdę sprawdzić, jak tam kolacja. Zaraz wrócę. - Od rócił się i wszedł do domu.

Tucker skoczył na skraj ganku, gdzie wisiał Roberto.

- Sio. Wynoś się.

Roberto zapiszczał rozdzierająco i próbował złapać napój Tucka pazurkami na skrzydle.

- Dobra, możesz wziąć mango, ale potem się stąd wynoś. - Tucker wyciągnął plasterek mango, który nietoperz złapał w pazurki i szybko pochłoniął. - A teraz leć - powiedział pilot. - Poszukaj Kimiego. Sio, sio.

- Spokojnie z tymi ludźmi, Tuck. Jeśli za bardzo ich przyciśniesz, dadzą ci po uszach. Po prostu miej oczy otwarte.

Tuck odsunął się od nietoperza sztywnym, rwanym krojem, jak z jakiegoś tańca śmierci. Nietoperz coś powiedział.

Miał cichy głos, wysoki, ale chrapliwy, jak u palącej dużo papierosów Myszki Gigio, a mimo to wyraźny.

- Nic nie powiedziałaś - odezwał się Tucker.

- Okej - odparł Roberto. - Dzięki za mango.

Nietoperz odleciał, a łopot jego skrzydeł brzmiał jak tasowanie skórzanych kart. Tuck cofnął się przez drzwi balkonowe i usiadł w wiklinowym fotelu.

- Proszę usiąść - powiedziała Beth Curtis, stawiając tacę na stół. - Kolacja gotowa.

- Jakie leki mi pan podawał, doktorze?

- Różne antybiotyki i paracetamol. A co?

- Czy to może wywołać halucynacje?

- Nie, chyba że jest pan uczulony, ale o tym już byśmy wiedzieli. Czemu pan pyta?

- Tak się zastanawiałem.

Beth Curtis podeszła i poklepała go po ramieniu. Zauważył, że ma idealne paznokcie.

- Miał pan gorączkę, kiedy pana przynieśli. Czasami to wywołuje koszmary. Po porządnym posiłku na pewno poczuje się pan lepiej.

Pomogła mu wstać i poprowadziła go do stołu, który nakryto białym obrusem i czarnymi lnianymi serwetkami, otaczającymi gałązki storczyków ułożonych w kryształowej misce, która stanowiła centralny punkt kompozycji. Cały strzępiel patrzył na nich spomiędzy plastrów banana i choć oczy miał lekko suche, to jego spojrzenie było przejryste i oskarżycielskie.

Tuck powiedział:

- Jeśli to stworzenie zacznie mówić, poproszę o środki uspokajające, i to od razu.

- Oj, panie Case. - Beth Curtis przewróciła oczami i roześmiała się, zasiadając do kolacji.

Tuck niemal czuł, jak jego organizm przyjmuje pokarm. Opowiedział im o swojej podróży na wyspę, nieco koloryzując kwestię niebezpieczeństw i bagatelizując swoje obrażenia, rolę Kimiego i tęsknotę za alkoholem. O Robercie w ogóle nie wspomniał. Gdy dotarł do huraganu, państwo Curtis już od dłuższego czasu pili drugą butelkę białego wina. Beth oblała się rumieńcem, a każde słowo Tucka wywoływało błyski entuzjizmu w jej oczach.

Naprawdę chciał zapytać o Kimiego, o zagadkowe wiadomości, o strażników, zasady jego zatrudnienia, a także, ma się rozumieć, o to, skąd, u diabła, pochodzą te wszystkie pieniądze, ale zamiast tego stwierdził, że gra przed Beth Curtis niczym jakiś znany komik, i o północy wychodził z bungalowu zachwycony zarówno sobą samym, jak i żoną doktora.

Państwo Curtis stali ramię w ramię w drzwiach, gdy strażnicy eskortowali Tucka z powrotem. W połowie drogi odwrócił się, zatoczył i pomachał im, jakby to on wypił dwie butelki wina.

- I co sądzisz? - zwrócił się Czarownik do żony.

- Nie sprawi problemów - odparła, wciąż uśmiechając się sztucznie do oddalającego się Tucka.

- Nie spodziewałem się, że tak łatwo przyjmie nasze warunki.

- Nie bardzo mógł się targować. Nic nie ma i jest niczym. Gdyby zburzył to złudzenie, które mu dajemy, musiałby stawić czoło samemu sobie.

-Patrzy na ciebie jak na jakąś cudowną westalkę. Niepodoba mi się to.

- Dam sobie radę. A ty zajmij się przygotowaniem naszego pilocika do pracy.

- W ciągu tygodnia będzie mógł latać. Kiedy rozmawialiśmy na zewnątrz, znowu zaczął o tym swoim nawigatorze.

- Jeśli tu jest, lepiej go znajdź.

- Dziś w nocy porozmawiam z Malinkiem. Micro Spirit ma przyplłynąć pojutrze. Jeśli znajdziemy tego nawigatora, możemy go odesłać statkiem.

- Zależy, co widział - odparła.

- Tak. Zależy, ile wie.

Tucker Case wszedł do bungalowu zadowolony i dumny z siebie. Ktoś pod jego nieobecność zapalił światło i posłał łóżko.

- Co, nie ma miętówki na poduszce?

Przebrał się w piżamowe spodnie doktora i wziął gr^o szową powieść szpiegowską ze stosu, który

ktoś zostawił na stoliku.

Mieli telewizję. W ich bungalowie był telewizor. Będzie musiał poprosić o telewizor dla siebie. Nie, do cholery, zażądać. Jak to zawsze mówiła Mary Jean? „Możesz sprzedawać ^h dzień, ale jeśli nie poprosisz o pieniądze, to nic z tego, dobre jedzenie, dobre pieniądze i świetny samolot - trafiła mu się najlepsza fucha na świecie. Jestem feniksem, który wstaje z popiołów. Jestem tym, który powraca. Jestem całą złotą reprezentacją olimpijską USA w hokeju z 1980 roku. Jestem pieprzonym morsem, wielkim fafa-rafa.

Wszedł do łazienki, by umyć zęby, i zobaczył w lustrze swoje odbicie. Jego nastrój od razu zmienił się na fatalny. Już nigdy nie pobzykam, do końca życia. Trzeba było ich przycisnąć w kwestii Kimiego. Nawet nie spytałem, z jakim ładunkiem mam, do diabła, latać. Jestem mięczakiem bez kręgosłupa. Jestem gnojem. Jestem „Hindenburgiem”, Michaeliem Milkenem, Richardem Nbcnem. Widzę duchy i gadające nietoperze, a do tego tkwię na wyspie, gdzie mieszka jedna kobieta, przy której matka Teresa wygląda jak striptizerka w kolonii trędowatych. Jestem Przegrany przez duże P, Żaloszny przez duże Ż i Naiwny przez duże N. Jestem kostropatym chłopakiem z plakatu Miasta Gangreny. Jestem szalonym, bezrobotnym kierowcą autobusu do obozu śmierci.

Poszedł spać bez mycia zębów.

33

W POGONI ZA SENSACJĄ

Tubylcy spali obok siebie i na sobie na pokładzie Micro Spirita. Tu i ówdzie wśród galaretowatych, brązowych ciał przeświecał kawałek *thu* albo lava-lavy i wyglądało to tak, jakby ktoś wyrzucił zawartość dużej bombonierki i czekoladki roztopiły się na słońcu, wylewając z siebie zawartość. Wśród tego bałaganu Jefferson Pardee turlał się i kołysał pod wpływem ruchów statku, czując na sobie trójkę śpiących dzieci, gdy kadłub przechylał się na sterburtę, a on ocierał się o pulchną wyspiarską babcię przy przechyłach na bakburtę. Trzy razy deptały go popielate, stwardniałe stopy, w tym raz po podbrzuszu, i był niemal pewien, że czuje wszy pełzające mu po głowie.

AjsT nie mógł spać, więc wstał, a masa tubylców przesunęła się niczym ameba, zajmując zwolnione miejsce na pokładzie. Widoczny w trzech czwartych księżyc świecił wysoko i jasno, więc Pardee widział wystarczająco dużo, by dostać się do relingu, nadeptując tylko jedną kobietę i wywołując barwny stek tubylczych przekleństw z ust dwóch mężczyzn. Gdy już stanął przy relingu, ciepły wiatr rozegnał mdły odór potu i ostrą woń kopry dobywającą się z ładowni. Odbicie księżyca widniało na wodzie niczym ruchoma plama rtęci. Stado delfinów płynęło przy fali dziobowej niczym grupa szarych widm.

Wziął kilka głębokich wdechów, opróżnił pęcherz za burłę, a potem wydobył pogiętego papierosa z kieszeni koszuli. Zapalił go jednorazową zapalniczką i z przeciągłym westchnieniem wypuścił strugę dymu. Trzydzieści lat w tropikach wyrobiło w nim wysoki poziom tolerancji na niewygodę, ale przełamanie rutyny doprowadzało go do szału. Na Truk zmywałyby z siebie zastały smród piwa i resztki oleistego zamroczenia przy pomocy dziwki za dolara, szykując się do zaśnięcia przy książce Menckena pod swoim małym klimatyzatorem. Ani jednej myśli na temat nadchodzącego dnia ani tego, który właśnie minął, bo jeden przypominał drugi i w gruncie rzeczy wszystkie były takie same. Spokojny; mglisty sen, dzięki któremu przynajmniej przez chwilę czuł się jak młody chłopak ze środkowego zachodu, szukający przygody, wyczerpany pasją i strachem, a nie jak stary grubas, zmęczony nudą.

I teraz, pośród soli i blasku księżyca, na tropie tematu - a może tylko plotki - czuł aspergilozę w płucach ból pleców, a także napierającą na serce masę dziesięciu tysięcy piw, pół miliona papierosów i trzydziestu lat diety z ryb smażonych w oleju kokosowym. I żadna z tych rzeczy - żadna! - nie ciążyła mu tak, jak możliwość, że jego nadzieje legną w gruzach. Dlaczego otworzył się na przyszłość i na przegraną, skoro i tak przegrywał już całkiem udatnie?

- Nie możesz spać? - spytał oficer.

Pardee nie słyszał, jak żylasty marynarz podszedł do relingu. Wbrew przepisom pociągał buda z wysokiej puszką. Na jej widok Pardee poczuł dojmujące pragnienie, jakby w jego piersi wił się jakiś robak.

- Masz jeszcze jedno?

Tamten sięgnął do głębokiej kieszeni szortów, wyciągnął drugie piwo i podał dziennikarzowi. Było ciepłe, ale Pardee otworzył puszkę i jednym haustem opróżnił połowę.

- Długo będziemy jeszcze płynąć na Alualu? - spytał.

- Trzy, może cztery godziny. Dotrzemy tam o wschodzie słońca. Wyrzucimy cię po północnej stronie wyspy i popłyniesz.

- Co? - Pardee popatrzył na czarne fale, a potem znowu na oficera.

- Doktor nie wpuszcza nikogo na wyspę, chyba że z dostawami. Musisz popłynąć na drugą stronę wyspy. Pół mili, może mniej.

- A jak wrócę na statek?

_ Kapitan mówi, że jak wypłyniemy, znowu okrążymy wyspę i poczekamy godzinę. Przyplynie z powrotem i cię zabierzemy.

- Nie możecie przysłać łodzi?

- Nie. Nie ma wyłomu w rafie, jest tylko po północnej stronie, gdzie mamy wyładunek. Wieziemy dużo beczek i skrzyń. Będziesz miał siedem, może osiem godzin.

Na Truk Pardee tysiąc razy widział, jak Spirit wpływa do laguny. Statek zawsze otaczały łodzie i czółna, pełne podnieconych tubylców.

- Może ktoś z plemienia Rekinów mnie podrzuci. - Nie chciał wchodzić do tej wody i z pewnością nie chciał płynąć pół mili do brzegu, nie miał pewności, czy da radę.

- Rekiny nie mają łodzi. Nie ruszają się z wyspy.

- Nie mają łodzi? - Pardee był zdumiony. Życie na tych wyspach bez łodzi kojarzyło mu się z życiem w Los Angeles bez samochodu. Tak się nie robiło. To było niemożliwe.

Oficer poklepał go po ramieniu.

- Będzie dobrze. Mam dla ciebie maskę i płetwy.

- A co z rekinami?

- Tam rekiny się boją. Zwykle człowiek boi się rekina. Na Alualu rekin boi się człowieka.

- Jesteś tego pewien?

- Nie.

- No to świetnie. Masz jeszcze jedno piwo?

Trzy godziny później wschodzące słońce pojawiło się na horyzoncie niczym srebrna taca, a oficer mocował taśmą Wejącą płetwy na nogach Jeffersona Pardee. Na pokładzie roiło się od podekscytowanych tubylców, którzy jedli kulki ryżowe i kleik z taro, palili papierosy, srali za relingi, próbowali kupić coca-colę, serowe plantersy, australijską peklowaną wołowinę, a także, oczywiście, mielonkę. Niewielki tłumek zgromadził się dookoła, by popatrzeć, jak biały przygotowuje się do pływania. Pardee stał w bokserkach, bielutki jak larwa, z wyjątkiem rąk i twarzy, które wyglądały tak, jakby zanurzył je w czerwonej farbie. Oficer włożył jego ubrania i notes do worka na śmieci, który podał dziennikarzowi, a potem posmarował go grubą warstwą wodoodpornego balsamu do opalania, co stanowiło nie mniejsze wyzwanie, niż gdyby musiał smarować hipopotama. Dziennikarz warknął na grupkę chichoczących dzieci, a te z krzykiem uciekły przez pokład.

Pardee usłyszał, że duże śruby statku zatrzymują się ze zgrzytem, a oficer rozpiął łańcuch, przegradzający furtkę w relingu.

- Skacz - poleciał.

Dziennikarz popatrzył na kryształową wodę dwanaście metrów niżej.

- Chyba cię pojebało. Nie macie drabinki?

- Nie możesz zejść po drabince w płetwach.

- Zdejmę pletwy i włożę je w wodzie.

- Nie. Paski zerwane. Musisz skakać.

Pardee pokręcił głową, a na jego ramionach i plecach zatrzęsł się tłuszcz.

- Nic z tego.

Nagle dzieciaki, które wcześniej przestraszył, przebiegły przez mostek niczym kwiczące stadko prosiąt. Dwaj chłopcy odłączyli się od grupki i pognali w stronę dziennikarza, który rozejrzał się i w tym momencie poczuł cztery małe, brązowe rączki, uderzające go plecy. I Pardee zobaczył niebo, potem wodę, potem niebo, a w końcu wyspę Alualu, leżącą na morzu niczym zielona peruka, i po chwili uderzenie w wodę pozbawiło go tchu, zerwało mu z twarzy maskę i wepchnęło do nosa i uszu strumienie słonej wody, na tyle silne, by wywołać krwawienie.

Zanim się zorientował, gdzie jest powierzchnia, usłyszał, że śruby zaczynają się kręcić i Micro Spirit odpływa.

Dwaj podekscytowani chłopcy obudzili Malinka, potrząsając nim. Ir - Przyplłynął statek i idzie Czarownik!

Stary wódz usiadł na swojej macie z trawy i przetarł zaspane oczy. Spał na ganku swojego domu, stanowiącym część kamiennych fundamentów, które istniały tam od ośmiuset lat. Wstał na chwiejnych nogach i podszedł do kiści czerwonych bananów, wiszącej pod dachem ganku. Oderwał dwa owoce i dał chłopcom.

- Gdzie widzieliście Czarownika?

- Idzie przez pas startowy Vincenta.

- Dobre chłopaki. Idźcie teraz zjeść śniadanie.

Malink poszedł w kępę paproci za domem i odchylił *thu*, by sobie ulżyć. Wydawało się, że każdego dnia trwa to dłużej. Czarownik powiedział mu, że wódz rozgniewał potwora prostatę i jeśli chce go obłaskawić, musi zrezygnować z kawy i *tuby*, a także jeść gorzki korzeń palmy sabałowej. Malink próbował się do tego stosować przez całe dwa dni, ale pobudka bez kawy okazała się zbyt trudna, podobnie jak zasypianie bez *tuby*, od palmy sabałowej bolał go brzuch i niemal bez przerwy cierpiał na migrenę. Trudno, potwór prostata będzie się dalej gniewał. Czasami Czarownik się mylił.

Skończył i wyprostował *thu*, przeczekał grzmiącą kanonadę gazów i wrócił na ganek po papierosy. Kobiety rozpały ogień, żeby zagotować wodę na kawę. Dym z palonych kokosowych łupin unosił się z kuchni z blachy falistej i wisiał niczym błękitna mgła pod baldachimem drzew chlebowych, mahoniowców i palm.

Wódz zapalił papierosa i podniósł wzrok, by ujrzeć Czarownika, zmierzającego w jego stronę koralową ścieżką. Jego biały kitel odcinał się od brązów i zieleni wioski.

- *Saswitch* (dzień dobry) - przywitał go Malink. Czarownik znał ich mowę.

- *Saswitch*, Malinku - powiedział przybyły. Na dźwięk jego głosu żona i córki wodza wybiegły z kuchni i rozpierzchnęły się po wiosce.

- Kawy? - spytał Malink po angielsku.

- Nie, dzisiaj nie ma czasu.

Wódz zmarszczył brwi. Odmowa poczęstunku było czymś wyjątkowo niegrzecznym, nawet w przypadku Czarownika.

- Mamy oranżadę w proszku Tang. Chcesz? Nawet astronauty ją piją.

Czarownik pokręcił głową.

- Malink, z pilotem był jeszcze inny mężczyzna. Muszę go odnaleźć.

Malink wbił wzrok w ziemię.

- Nie widzę innego mężczyzny. - Czarownik nie wydawał się zły, ale Malink i tak wolałby go nie okłamywać. Nie chciał rozgniewać Vincenta.

- Nikogo nie spotka kara, jeśli coś mu się stało, jeśli spotkała go krzywda albo utonął. Muszę tylko wiedzieć, gdzie on jest. Vincent prosił mnie, żebym go znalazł.

Malink czuł wzrok Czarownika, wwiercający się w czubek jego głowy niczym świder.

- Może widzę innego mężczyznę. Zapytam dziś w domu mężczyzn. Jak on wygląda?

- Wiesz, jak wygląda. Muszę go teraz znaleźć. Kapłanka Nieba odda kawę i cukier, jeśli zdążymy jeszcze dzisiaj.

Malink wstał.

- Chodź, znajdziemy go.

Poprowadził Czarownika przez wioskę, która wydawała się opustoszała, nie licząc kilku kur i psów, ale wódz dostrzegał oczy śledzące go z chat. Co powie ludziom, kiedy spytają, po co przyszedł Czarownik? Wyszli obaj z wioski, minęli opuszczony cmentarz, gdzie wielkie płyty skały koralowej powstrzymywały ciała przed wypłynięciem pod. czas pory deszczowej, a potem zarośniętą ścieżką dotarli do chatki Sarapula.

Stary kanibal siedział przed wejściem i *ostrzył* maczetę.

Malink odwrócił się do Czarownika i szepnął:

- On czasem niegreczny. On bardzo stary. Nie gniewaj się.

Tamten pokiwał głową.

- *Saswitch*, Sarapulu. Czarownik do ciebie przyszedł.

Sarapul uniósł wzrok i zgromił ich wzrokiem. We włosy miał wetknięte czerwone kogucie pióra, a dwie odcięte kurze łapki wisiały na sznurku nad jego głową.

- Wszyscy czarownicy nie żyją - powiedział. - To jest tylko biały doktor.

Malink posłał Czarownikowi przepaszające spojrzenie, po czym znowu odwrócił się do Sarapula.

- Chce zobaczyć człowieka, którego znalazłeś z pilotem.

Tamten przeciągnął kciukiem po krawędzi maczety.

- Nie wiem, co się z nim stało. Może poszedł pływać i złapał go rekin. Może ktoś go zjadł.

Sebastian Curtis postąpił krok naprzód.

- Nic mu się nie stanie - oznajmił. - Odeślemy go statkiem.

- Ja chcę iść na statek - odrzekł Sarapul. - Chcę na zakupy. Czemu nie możemy na statek?

- Nie o tym rozmawiamy, starcze. Vincent chce, żeby znaleźć tamtego człowieka. Jeśli on nie żyje, chcę o tym wiedzieć.

- Vincent nie żyje.

Czarownik przykucnął, by popatrzeć staremu ludożercy

w oczy.

- Widziałeś strażników za ogrodzeniem. Jeśli za godzinę ten mężczyzna nie znajdzie się przy bramie, każę strażnikom wywracać wyspę do góry nogami, dopóki go nie znajdą.

Sarapul się uśmiechnął.

- Japończycy? Dobrze. Przyślij ich tutaj. - Zamachał maczetą przed twarzą białego. - Mam dla nich prezent. Curtis wstał.

- Godzina. - Odwrócił się i poszedł.

Malink poczłapał za nim.

- Może on ma rację. Może ten mężczyzna utonął albo coś.

- Znajdź go. Mówiłem poważnie o tych strażnikach. Chcę tego faceta za godzinę.

-Już poszedł - powiedział Sarapul. - Możesz wyjść. Kimi zeskoczył z krokwi w chacie starca.

- O czym on mówi? Jacy strażnicy?

- Ha! - odparł Sarapul. - On nic nie wie. Nie wiedział nawet, że mam to. - Wyciągnął bezgłową kurę, na której siedział. - To nie czarownik.

- Powiedział, że ma strażników. Tamten położył kurę na ziemi.

- Jeśli się boisz, to idź.

- Muszę znaleźć Roberta.

- Więc niech przyślą strażników - odparł starzec, wymachując maczetą. - Mogą zginąć, tak jak ta kura.

Kimi cofnął się od starego ludożercy, który lada chwila mógł zacząć toczyć pianę z ust.

- My przyjaciele, tak?

- Rozpal ognisko - odparł Sarapul. - Chcę zjeść kurę.

NIEBEZPIECZNA WODA

Jefferson Pardee desperacko starał się nie wyglądać jak żółw morski. Udało mu się trafić na powierzchnię, zaczerpnąć tchu i włożyć maskę. Krew z nosa przelewała się w niej teraz niczym brandy w kieliszku. Znalazłszy unoszący się na wodzie foliowy worek ze swoim ubraniem i wepchnąwszy go sobie pod pierś jak koło ratunkowe, skupił się przede wszystkim na tym, by nie wyglądać jak żółw. Ula rekinów, zamieszkujących ciepłe wody Pacyfiku wokół Alualu, żółwie morskie stanowiły pożywienie. Prawdę mówiąc taka pomyłka wchodziła w rachubę. Nawet nadzwyczaj ograniczony umysłowo rekin zorientowałby się, że żółwie morskie nie noszą bokserów w latające świnki, i żaden żółw nie wykrzykiwałby steku przekleństw pomiędzy chrapliwymi oddechami palacza. Mimo to kilka nieszkodliwych rafowych żarłaczy grubych wyczuło krew i zaczęło krążyć w pobliżu, by sprawdzić, skąd się wzięła. Po chwili rekiny zawróciły, żałując, że mimo stu dwudziestu milionów lat istnienia na Ziemi ewolucja nie wykształciła u nich zdolności do śmiechu.

Fale były niskie i biorąc pod uwagę dużą pływalność dziennikarza, zadanie wydawało się proste.

Ale gdy Pardee zobaczył dwa czarne cienie krążące pod nim, serce zaczęło wygrywać perkusyjną solówkę na jego mostku, która nie ustała do chwili, gdy otarł kolanami o rafę. Korallowa wypustka zahaczyła o worek, zatrzymując mężczyznę; Pardee zauważył, że woda ma tu tylko nieco ponad dwa metry głębokości. Odwrócił się na plecy i usiadł na rafie, nie dbając o to, że ta wrzyna mu się w tyłek. Fale pluskały wokół niego, gdy próbował złapać oddech. Uniósł maskę i pozwolił, by krew ściekła mu po twarzy na pierś i zmieniła się w rdzawą plamę w wodzie. Małe żółte i niebieskie rybki zgromadziły się wokół niego w poszukiwaniu pożywienia i zaczęły podskubywać jego skórę, laskocząc go niczym niesforne dzieci.

Popatrzył w stronę plaży, odległej o jakieś dwieście metrów. Na rafie zagrożenie ze strony rekinów było minimalne, więc postanowił posiedzieć tam chwilę i odpocząć. Patrząc na fale, łamiące się niegłośno dookoła, obmywające mu plecy. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że za kilka godzin będzie musiał zrobić to jeszcze raz, walcząc z falami i zapewne z przyplływem. Koniecznie trzeba znaleźć kogoś z łodzią i tyle.

Upłynęło dziesięć minut, zanim jego serce zwolniło i zdołał zebrać się na odwagę, by przepłynąć ostatni odcinek. Wybrał grupkę palm kokosowych nad niewielką plażą i zsunął się z rafy, kierując się ku wyspie. Powoli machał nogami, wypatrując w wodzie rekinów. Oprócz chwili przerażenia, gdy manta o półtorametrowej rozpiętości wyłoniła się z błękitu i przesunęła pod nim, dalej poszło już łatwo. Jeśli manty są niegroźne, powinny mniej groźnie wyglądać, pomyślał Pardee. Wyglądają, łajzy, jak podwodni Drakule.

Usiadł na krawędzi wody i zaczął odrywać taśmę, dzięki której płetwy trzymały się na jego nogach, gdy usłyszał za plecami ostry, mechaniczny trzask. Odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn w czerni, mierzących z uzi prosto w jego głowę. Pardee się uśmiechnął.

- *Konichiwa* - powiedział. - Macie może suchego papierosa? Zdaje się, że rozdarłem swój worek na śmieci.

X

Żelazo siódemka, pomyślał Tuck. Po tylu latach potrzebne mi żelazo siódemka.

Tucker Case nie grał w golfa. Raz próbował i chociaż podobało mu się picie oraz wjazd tym elektrycznym samochodzikiem do jeziora, jakoś nie złapał klimatu. Gra wyglądała tak (U przyjrzał się jej dobrze, bo jego ojciec kochał golfa): banda bogatych białych facetów w głupich ubraniach łązi po absurdalnie wielkim trawniku i uderza absurdalnie małe, białe piłeczki zakrzywionymi kijami. Gdyby greeny znajdowały się po dwóch stronach pasa zieleni i czteroosobowe drużyny grały przeciwko sobie, broniąc swojego greena i atakując green przeciwnika, narażając się na uderzenie piłką albo kijem - tak, to byłby sport. Gdyby należało zaliczyć osiemnaście dołków jak najszybciej, a nie w jak najmniejszej liczbie uderzeń, i gdyby zamontowali spalinowe silniki Chevroleta w tych elektrycznych samochodzikach - to byłby dopiero sport. (Można by jeszcze założyć na koła te *obrotowe* noże z *Ben Hura* i pozwolić na chlastanie rywali). Ale tradycyjny golf nigdy Tucka nie ruszał. Dziwne zatem, że tak bardzo potrzebne było mu żelazo siódemka. Albo może strzelba.

Tuck wstał przed świtem, brutalnie obudzony przez koguty, których liczebność szacował po głosie na

osiem milionów. Potem nie dały mu już zasnąć - teraz wybiła dziesiąta, a one dalej się dały. Jak cudownie by było poczuć walnięcie żelaza siódemki w czerwone pióro, ten rozkoszny kontakt dobrze wyważonego metalu z drobiem (gwałtownie milknącym i lekko rozmiękczone). Wyobrażał sobie, jak brodzi wśród stada kogutów, wymachując kijem golfowym jak wściekły (zawsze jednak trzymając głowę opuszczoną i lewą rękę prosto), siejąc śmierć i zniszczenie niczym osobisty anioł zemsty pułkownika Sandersa od KFC. Witajcie w Tuckerowskim obozie śmierci dla kur, drodzy pierzaści przyjaciele. Przygotujcie się łaskawie na rozwalenie łba.

Tucker Case nie był rannym ptaszkiem.

Postanowił dać im jeszcze pięć minut, żeby się zamknęły a potem zamierzał się ubrać i iść do doktora, żeby pożyczyć żelazo siódemkę. Pięć minut później szykował się do wyjścia, a wtedy do drzwi zapukała Beth Curtis i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź. Miała na sobie jednorazowy fartuch chirurgiczny i siatkę na włosach. Nie była umalowana, a pusty uśmiech kury domowej zniknął z jej oczu.

- Panie Case, za dwie godziny musi być pan gotów do odlotu. Da pan radę?

- Ee, jasne. Chyba tak. Dokąd lecimy?

- Do Japonii. Ustawienia nawigacyjne powinny być już wprowadzone do komputera pokładowego. Proszę dokonać przeglądu. Learjet ma być zatankowany i gotowy do startu.

Tucker czuł się tak, jakby rozmawiał z inną osobą niż ta, którą poznał w ciągu ostatniego tygodnia. Nie pozostał ani ślad łagodnej kobiecości, tylko twardy biznes.

- Nie miałem czasu przyzwyczać się do instrumentów leara.

- Przyjął pan pracę, tak? Może pan polecieć?

Tuck skinął głową.

- W takim razie niech pan będzie gotowy za dwie godziny. - Odwróciła się i pomaszerowała w stronę budynku szpitalnego.

Tuck ruszył za nią, a potem zobaczył jakiś ruch przy piaty za drzewami: mężczyźni wyładowywali z łodzi na nabrzeże beczki z paliwem. Dostrzegł biały statek kotwiczący Poza rafą.

- Pani Curtis! - zawołał.

Odwróciła się i spojrzała na niego jak na natrętnego owada.

- Tak, panie Case?

- Ten statek. Nie mówiła mi pani, że tu jest statek.

- To pana nie dotyczy. Przywiózł zaopatrzenie. A teraz niech pan przygotuje samolot.

- Ale skoro oni dostarczają zaopatrzenie, to po co...

- Panie Case - warknęła - niech pan robi swoje. Doktor mnie potrzebuje.

Otworzyła na oścież drzwi szpitala i weszła do środka.

- Proszę spytać, czy pożyczycy mi żelazo siódemkę - poprosił słabym głosem.

Poczłapał z powrotem do swojego bungalowu. Parę chwil na słońcu wystarczyło, by dostał bólu głowy i poczuł się tak, jakby w każdej chwili mógł zemdleć. Miał znowu latać. Było mu niedobrze, miał zawroty głowy i halucynacje o gadających nietoperzach, a teraz miał zrobić jedyną rzecz, jaka kiedykolwiek szła mu dobrze. Bał się jak diabli.

Minęło pięćdziesiąt lat, odkąd ludzie z karabinami weszli do wioski plemienia Rekinów. Gdy czterech strażnicy chodzili od chaty do chaty, Malink przemierzał ścieżki z bezprzewodowym telefonem w ręce, by wszyscy widzieli, że ma wszystko pod kontrolą. Dzwonił do Czarownika od chwili gdy czterech Japończyków weszło do wioski, ale odzywała się tylko automatyczna sekretarka. Powiedział wszystkim żeby weszli do chat i nie stawiali strażnikom oporu.

Wioska wydawała się opuszczona, jeśli nie liczyć chlupania kilkorga przestraszonych dzieci. Słyszał, jak strażnicy rozkopują stosy kokosowych łupin, zebranych w kuchniach na opał.

Nagle przy jego boku znalazł się Favo. Favo, który widział przyście Japończyków podczas wojny, widział zabijanie.

- Dlaczego Vincent na to pozwala?

Malink nie znał odpowiedzi. Przecież jeszcze tego ranka zapalił zippo i modlił się do Vincenta.

- To wola Czarownika, czyli także wola Vincenta. Chcą mężczyzny-dziewczyny.

- Powinniśmy walczyć - stwierdził Favo. - Powinniśmy zabić strażników.

- Dzidy przeciwko pistoletom maszynowym? Dzieci mają dorastać bez ojców, jak my? Nie. Znajdą mężczyznę-dziewczynę i odejdą.

- Mężczyzna-dziewczyna zamieszkał z Sarapulem. Powiedziałeś im?

- Powiedziałem. Zaprowadziłem tam Czarownika. Strażnicy wyszli ze starego kościoła i szeregiem przeszli ścieżką obok Favo i Malinka. Starcy nie ruszyli się z miejsca, zmuszając tamtych do przejścia przez kępę paproci, by ich ominąć. Nie nawiązali kontaktu wzrokowego i nie odezwał się ani słowem. Favo rzucił w ich stronę przekleństwo, ale minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio mówił po japońsku, a w dodatku ten język nie nadawał się do obrażania innych. W końcu powiedział, że opony ich ciężarówki cuchną sardynkami, co nie wywołało żadnej reakcji.

~ Wspaniała obelga - powiedział Malink, próbując podjeść przyjaciela na duchu.

- Powinna działać. Angielski jest najlepszy do przeklinania.

- Mają karabiny maszynowe, Favo.

- Jebane dupki - stwierdził Favo.

- Amen - odrzekł wódz, czyniąc znak bombowca B-26. Dwaj starcy zaczęli iść za strażnikami od domu do domu, czekając przy ścieżce, by wyganiani z domostw mieszkańcy wioski ich widzieli. Z punktu widzenia strażników było to zadanie niedające najmniejszej satysfakcji. Liczyli, że kopniakami rozwałą parę drzwi, lecz okazało się, że tubylcy nie mają drzwi. Nie było łóżek, które by można przewrócić, pokoi, do których dałoby się zniecka wpaść, szaf, żadnych kryjówek, gdzie mężczyzna mógłby schować się tak, by nie znaleźć go przy pobieżnych oględzinach. A doktor powiedział, że nikomu nie może stać się krzywda. Nie chcieli popełnić błędu. Mimo pozorów militarnej skuteczności, co do jednego byli nieudacznikami. Jeden, były ochroniarz w elektrowni atomowej, został zwolniony za zażywanie narkotyków. Dwaj inni, bracia, wylecieli z tokijskiej policji za przyjmowanie łapówek od Yakuzy. Czwarty, z Okinawy, był instruktorem jujitsu i pobił w barze na śmierć niemieckiego turystę z powodu strasznego fałszowania w karaoke. Człowiek, który ich zwerbował, ubrał w czarne uniformy i wyszkolił, nie pozostawił wątpliwości, że to dla nich ostatnia szansa. Mieli dwie możliwości: odnieść sukces i zdobyć bogactwo albo umrzeć. Traktowali swoją pracę bardzo poważnie.

- Może jest na drzewie - odezwał się Favo po japoński - - Szukajcie na drzewach!

idąc, strażnicy omiatali wzrokiem drzewa, skutkiem czego potykali się i wpadali na siebie. Nad nimi rozległ się trzepot skrzydeł. Nietoperzowe guano plasnęło o czoło mieszkańca Okinawy. Ten nacisnął spust uzi i powietrze wypełniło staccato dziewięciomilimetrowych naboju, rwących listowie. Gdy magazynek był w końcu pusty, na ziemię wokół nich opadły palmowe liście. Przerażone dzieci krzyczały w ramionach matek, a Favo, który leżał obok przyjaciela z rękami na głowie, chichotał niczym cierpiąca na astmę hiena.

Strażnicy miotali się przez chwilę, niepewni, czy rozbroić kumpla, czy załadować magazynki i rozpocząć masakrę. Ponad krzyki, szamotaninę, chichot i brzęk łusek wzbił się śmiech dziewczyny. Strażnicy podnieśli wzrok. Sepie stała w wejściu do domu kawalerów naga, jeśli nie liczyć majteczek, które ostatnio dostała od nawigatora-transwestyty.

- Ej, marynarze - odezwała się, testując zdanie, które także przechwyciła od Malinka - macie ochotę na randkę?

Strażnicy nie zrozumieli słów, ale pojęli ich sens.

- Wracaj do środka, dziewczyno - zbeształ ją Malink. kobiety, nawet z domu kawalerów, nie miały prawa pokazywać publicznie swoich ud. Nawet kiedy pływały, kąpały się i załatwiały na plaży. Nigdy.

- Wracaj do środka - powtórzył Favo. - Kiedy sobie pójdą, zostaniesz zbity.

- Już byłam bita - odparła Sepie. - A teraz będę bogata.

- Powiedz jej - zwrócił się Favo do Malinka.

Ten wzruszył ramionami. Jego autorytet działał tylko dopóty, dopóki mieszkańcy wioski chcieli go słuchać. Sposób na utrzymanie ich szacunku polegał na tym, by dowiedzieć się, co chcą robić, a potem wydać im takie polecenie. Teraz skorzystał z najsurowszej kary, jaką znał.

- Sepie, przez dziesięć dni nie wolno ci dotykać morza.

Odwróciła się i zakręciła tyłkiem, po czym zniknęła w domu kawalerów. Oszłomieni strażnicy przestali się miotać i ostrożnie ruszyli w kierunku wejścia, patrząc na siebie nawzajem pytająco.

- To twoja wina - zwrócił się Malink do Favo. - Niepotrzebnie dawałeś jej różne rzeczy.

- Nic jej nie dawałem - odparł tamten.

- Dawałeś jej różne rzeczy za... - wódz urwał, nie chcąc stracić przyjaciela - za przysługi.

WOLNOŚĆ PRASY, AKURAT

Jefferson Pardee siedział na metalowym krześle biurowym w kącie pozbawionego okien pomieszczenia z pustaków. Przy metalowych drzwiach stał strażnik z pistoletem maszynowym wymierzonym w jego owłosioną klatkę piersiową. Dziennikarz starał się przybrać postawę niewinności, okraszanej odrobiną słusznego oburzenia, tak naprawdę jednak był przerażony. Czuł,

jak walące serce podchodzi mu do gardła, a pot spływa po plecach zimnymi strugami. Zrezygnował z prób rozmowy ze strażnikami. Albo nie rozumieli po angielsku, albo udawali, że nie rozumieją.

Usłyszał szcęk ciężkiej zasuwy w drzwiach i spodziewał się, że wrócił drugi strażnik, zamiast niego jednak do pomieszczenia weszła kobieta w stroju chirurga. Jej oczy miały ten sam błękitny odcień, co kitel, i nawet w dokuczliwym upale wyglądały lodowato.

- Nareszcie - powiedział Pardee. - Nastąpiła jakaś pomyłka. - Wyciągnął rękę, starając się nie okazać zdenerwowania, i strażnik pogroził mu swoim uzi. - Jestem Jefferson Pardee z „Truk Star”.

Skinęła głową strażnikowi, który wyszedł z pomieszczenia.

- Nazywam się Beth Curtis. Mój mąż prowadzi misyjną klinikę na tej wyspie. - Jej głos brzmiał przyjaźnie, ale się nie uśmiechała. I nie podała mu ręki. - Przykro mi, że tak pana potraktowano, ale na wyspie trwa kwarantanna. Staramy się ograniczyć kontakty ze światem zewnętrznym, dopóki nie opanujemy epidemii.

- Jakiej epidemii? Nic o tym nie słyszałem.

- Zapalenie mózgu. Rzadki szczep, przenosi się drogą kropelkową, bardzo zakaźny. Nie wypuszczamy z wyspy nikogo, kto mógł się zarazić.

Jefferson Pardee odetchnął z ulgą. Czyli na tym polegała wielka tajemnica. Oczywiście obieca, że nie pisnie pary z gęby, ale magazyn „Time” byłby gotów zabić za coś takiego. Pominie fragment o tym, jak wzięto go do niewoli w bokserkach w latające świnki.

- A strażnicy?

- Światowa Organizacja Zdrowia. Dali nam też samolot i sprzęt laboratoryjny, na pewno pan widział.

Widział mnóstwo sprzętu, gdy prowadzono go przez ten mały szpital, ale informacja o samolocie wciąż była tylko ołotką - Postanowił ustalić fakty.

_ Macie nowego learjeta, zgadza się?

- Tak. - Wydawała się szczerze zdumiona jego słowami. - Skąd pan wie?

- Mam swoje źródła - odparł, żalując, że nie nosi okularów, które mógłby znacząco zdjąć.

- Na pewno. Czasami informacja jest jak wirus, a jedyną metodą leczenia jest odnalezienie źródła. Kto panu powiedział o odrzutowcu?

Pardee nic nie oddawał za darmo.

- Od jak dawna wiecie o zapaleniu mózgu?

Dopiero teraz zauważył, że Beth Curtis cały czas trzymała prawą rękę za plecami. A zauważył to, ponieważ, gdy ręka już się ukazała, była w niej strzykawka.

- Panie Pardee, w tej strzykawce jest szczepionka, którą mój mąż i ja opracowaliśmy z pomocą Światowej Organizacji Zdrowia. Ponieważ postanowił się pan wkraść na Alualu, naraził się pan na zakażenie śmiertelnośnym wirusem, atakującym układ nerwowy. Szczepionka działa nawet po kontakcie z wirusem, ale tylko pod warunkiem, że zostanie podana w ciągu kilku pierwszych godzin. Chcę pana zaszczepić, naprawdę. Ale, jeśli dalej będzie pan ciągnął tę grę nie mogę zapewnić, że nie złapie pan tej choroby, która kończy się straszną śmiercią w męczarniach. A zatem, kto powiedział panu o samolocie?

Pardee poczuł, że znowu oblewa się potem. Nie podniósł głosu, nie było w nim nawet nutki gniewu, a i tak miał wrażenie, jakby trzymała mu nóż na gardle. Dobra, do diabła z szukającym przygód dziennikarzem. Nadal mógł mieć artykuł, w oparciu o to, co już mu powiedziała.

- Rozmawiałem z pilotem, który parę miesięcy temu zatrzymał się na Truk.

- Parę miesięcy temu? A nie ostatnio?

- Nie. Powiedział, że ma latać odrzutowcem dla jakichś misjonarzy na Alualu. Postanowiłem to sprawdzić.

- To wszystko, co pan słyszał? Że mamy odrzutowiec?

- Tak. To dość niezwykle, że misjonarzy stać na odrzutowiec, nie sądzi pani?

Uśmiechnęła się.

- Chyba tak. A jak zamierzał się pan stąd wydostać, kiedy już zdobędzie pan materiał?

- Micro Spirit miał mnie zabrać z drugiej strony wyspy. To wszystko. Byłem po prostu ciekawy. Ryzyko zawodowe.

- Kto wie, że pan tu jest, oprócz załogi Spirita?

Pardee zastanowił się, jaka odpowiedź byłaby najlepsza.

Na pewno nie pozwoliłaby mu umrzeć na jakąś tropikalną chorobę, ale musiałby być głupi, żeby przypląć tu, nikomu nic nie mówiąc.

- Ludzie, którzy pracują dla mnie w „Star” i kolega z AR do którego zadzwoniłem po parę informacji, zanim wyruszyłem.

- A, to dobrze - powiedziała, wciąż się uśmiechając.

Wbrew woli poczuł się zadowolony z siebie. Od dawna nie spotkał się z aprobatą - ani w ogóle z jakąkolwiek uwagą skoro już o tym mowa - ze strony pięknej kobiety.

Zdjęła osłonę z igły.

- Zanim podam panu szczepionkę, parę medycznych pytań, dobrze?

- Jasne. Śmiało.

- Dużo pan pije i pali, zgadza się?

- Czasami sobie pofolguję. To też ryzyko zawodowe.

- Rozumiem - odparła. - Był pan kiedyś badany w kierunku HIV?

- Miesiąc temu. Jestem czysty jak łąza. - Była to prawda. Skłoniła go do tego okropna wysypka na brzuchu, którą, jak się okazało, wywołały żyjące w skórze roztocza. Lekarz z marynarki dał mu maść, która w kilka dni załatwiła sprawę.

- Cierpiał pan kiedyś na zapalenie wątroby, raka albo choroby nerek?

- Nie.

- A pańska rodzina? Był ktoś z chorobą nerek albo rakiem?

- Nie, kiedy ostatnio miałem jakieś wieści. Od dwudziestu pięciu lat nie rozmawiałem z rodziną.

Wydawała się szczególnie zadowolona z tej odpowiedzi. -1 nie ma pan żony? Dzieci? - Nie.

~ Bardzo dobrze - stwierdziła. Wbiła mu igłę w ramię i ścisnęła tłoczek.

- Au. Hej, mogła mnie pani uprzedzić. Nie powinna pani przetrzeć tego alkoholem czy coś? Podeszła do drzwi i uśmiechnęła się.

- Nie sądzę, by zakażenie stanowiło jakiś problem. A teraz proszę nie wpadać w panikę, ale za jakąś minutę zapadnie pan w sen. Nie do wiary, że kupił pan tę bajkę o zapaleniu mózgu. W tropikach ludzie głupieją, nie sądzi pan?

Jej sylwetka się rozmyła, a ściany budynku zaczęły się unosić i opadać, jakby oddychały.

- Co było w...? - Miał zbyt ciężki język. Słowa nie chciały dobyć się z jego ust.

- Nie ma pan pracowników i nie dzwonił pan do nikogo z AP. To było głupie kłamstwo. W rubryce „przyczyna śmierci” będziemy musieli wpisać „poczucie własnej wartości”.

Pardee usiłował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zjechał z krzesła i nogi rozsunęły się przed nim.

Beth Curtis pochyliła się nad nim, wyduła wargi i przemówiła jak do dziecka:

- Oj, nóżcie nam się trzęsą?

Wyprostowała się i podparła pod boki. Pardee miał wrażenie, że jej twarz pojawia się i znika jak księżyc za chmurami.

- Pewnie myśli pan, że jestem wyjątkowo okrutna, drwiąc z umierającego - powiedziała - ale sęk w tym, że wcale pan teraz nie umiera. Wkrótce pan umrze, ale jeszcze nie teraz.

Pardee próbował zadać pytanie, ale wydało mu się, że pomieszczenie zmienia się w ciec i zwała na niego niczym czarna fala.

Sebastian Curtis poszedł wzdłuż nabrzeża, w miejsce gdzie załoga Micro Spirita wyładowywała z łodzi beczki z paliwem. Miał na sobie biały kitel, a pod nim bermudy i hawajską koszulę, na jego szyi zaś wisiał stetoskop, niby talizman mocy.

Pierwszy oficer Micro Spirita, popijający coca-colę i nadzorujący rozładunek, wskoczył na nabrzeże, by go przywitać.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odpowiedział Curtis. - Pan tu jest szefem?

- Jestem pierwszym oficerem.

Lekarz otaksował wzrokiem wytatuowanego Tongijczyka.

- Pan Pardee zostanie u nas przez jakiś czas. Mam przekazać, żebyście na niego nie czekali.

- To dla was nie kłopot? - spytał marynarz. Sprawa wyglądała dziwnie, skoro Pardee zdobył się na taki wysiłek, by przekraść się na wyspę.

- Nie, pewnie, że nie. Obiecaliśmy panu Pardee, że zawieziemy go samolotem na Hawaje, kiedy już skończy swoją pracę.

Oficer jeszcze nigdy nie słyszał nazwiska Pardee w jednym zdaniu ze słowem „praca”. Dziwnie to brzmiało. Sam tułał jednak swoją pracę do wykonania, a doktor płacił za transport tych beczek podwójną stawkę. Spytał:

- Zapłaci za swój bilet?

Curtis uśmiechnął się i z kieszeni szortów wyciągnął zwj tek banknotów.

- Oczywiście. Prosił, żebym dał panu pieniądze. Ile?

- Z Truk w jedną stronę, trzysta.

Lekarz odliczył plik dwudziestek i podał je marynarzowi.

- Proszę, tu jest sześćset. Pan Pardee prosił, żeby zapłacić za rejs w obie strony, bo tak się początkowo umówiliście.

Oficer wpatrywał się w banknoty. Znał Jeffersona Pardee od dziesięciu lat i nie słyszał, by ten postawił komuś choćby piwo. A teraz po prostu dawał mu trzysta dolarów ekstra? Trzysta dolarów, o których nie wiedziała ani firma, ani kapitan.

- Okej - powiedział. Wyjął pieniądze z ręki lekarza i wepchnął je do kieszeni.

Uchleją się z całą załogą i będą wznosić toasty za szczodrość Jeffersona Pardee.

36

POWRÓT W PRZESTWORZA

Lear 45 był maszyną korporacyjną ze stonowanymi odcieniami błękitu i szarości na tapicerce siedzeń, zamontowanych naprzeciwko siebie przy niewielkich stolikach roboczych. Z jakiegoś powodu Tucker spodziewał się czegoś bardziej niezwykłego. Jaskrawych, karnawałowych barw i może mały w stroju stewardesy, durowego, metalowego wnętrza z miejscem na ładunek. Może stalowych blatów na emaliowanych nogach, z masą skomplikowanych medycznych ustrojstw. Ale nie, to był standardowy, podstawowy model odrzutowca za cztery milioⁿy dolarów dla przeciętnego klienta.

Usiadł w fotelu pilota i poczuł falę adrenaliny, gdy jego ciało ponownie przeżywało kraksę różowego gulfstreama.

Powstrzymał ochotę, by zerwać się z miejsca, poczekał i burza adrenaliny uspokoi się i przerodzi w łagodne mdłości, a potem przystąpił do kolejnych czynności, wymaganych w ramach przeglądu przed startem. Wszystko wyglądało normalnie. Przyrządy były na swoim miejscu. Włączył zasilanie wskaźników i nic się nie stało: żadnych lampek diod, nic.

Poczuł, że kadłub zadrżał, gdy ktoś wspinał się po wysuwanych schodkach, i nagle jeden ze strażników wyciągnął rękę zza jego pleców i wsunął cylindryczny kluczyk w dziurkę na tablicy przyrządów. Ochroniarz kilka razy przekręcił kluczyk i kokpit ożył.

- Ma odcięcie zasilania? - spytał Tuck.

Tamten wyciągnął kluczyk i bez słowa wysiadł z samolotu.

- Miło się gawędziło - rzucił za nim pilot.

Nigdy nie widział samolotu ze stacyjką i był pewien, że nie jest to wyposażenie fabryczne. Po co? Kto by chciał ukraść odrzutowiec? Kto by mógł? Ja bym mógł, ot co. Doktor zainstalował

stacyjkę, by Tuck nie powtórzył swojej akcji z Seattle. Ten misjonarski skurwiel mu nie ufał.

Tuck sprawdził komputer pokładowy. Tak jak powiedziała Beth Curtis, nawigację ustawiono na lotnisko w południowej Japonii. Patrzył, jak zapalają się diody komputera, wskazujące, że urządzenie wyszukuje satelity, niezbędne do określenia pozycji. Gdy świeciły trzy diody, na ekranie pojawiły się długość i szerokość geograficzna. Po uzyskaniu sygnału z czwartego satelity wyświetliła się także wysokość: metr nad poziomem morza. Pomyślał o Kimim nawigującym według gwiazd i ogarnęło go poczucie winy, że nie starał się bardziej, by go odnaleźć. Postanowił osobiście poszukać nawigatora po powrocie na Alualu.

Wykonał czynności kontrolne i pstryknął włącznikami autostartu silników. Gdy turbiny w dwóch silnikach zaczęły się obracać, poczuł, że niepokój opuszcza go niczym demon po egzorcyzmach. To było miejsce dla niego. Robił to, co powinien. Pierwszy raz od wielu tygodni czuł jasność umysłu.

Poruszył sterami i wyrzwał za okno, by się upewnić, że klapy i lotki też się poruszają. Beth Curtis szła w stronę samolotu. A przynajmniej wydawało mu się, że to ona. Miała na sobie dopasowany ciemny kostium biznesowy, a do tego nylonowe pończochy i szpilki. Włosy upięła w prosty kok i włożyła lotnicze okulary w druczianych oprawkach. W jednej ręce niosła małą plastikową chłodziarkę, a w drugiej aluminiową walizkę. Wyglądała jak jedna z zabójczych prawniczek z korporacji Mary Jean. Trzy tożsamości w ciągu tyluż dni.

Wsiadła do samolotu i strażnik zamknął za nią właz. Wsunęła chłodziarkę i walizkę do luku pod sufitem, po czym weszła do kabiny i przypięła się do fotela drugiego pilota.

- Jakież kłopoty? - spytała.

~ Ładnie pani dzisiaj wygląda.

- Dziękuję, panie Case. Jesteśmy gotowi?

- Tuck. Proszę mi mówić „Tuck”. Proszę wyrzeć przez okno i powiedzieć mi, czy klapy i lotki się poruszają.

- Wyglądają jak trzeba. Możemy lecieć?

Tuck zwolnił hamulce i pokołował na pas startowy. - Muszę kupić sobie jakieś okulary przeciwsłoneczne jak będziemy w Japonii.

- Załatwię to. Pan nie wysiądzie z samolotu.

- Nie?

- Będziemy na ziemi tylko parę minut, a potem wracamy.

- Pani Curtis, wiem, że pani zdaniem jestem totalnym frajerem, z uwagi na okoliczności, które mnie tu sprowadziły, ale naprawdę znam się na tym, co robię. Nie musi pani traktować mnie jak dzieciaka.

Popatrzyła na niego i zdjęła okulary. Żałował, że sam nie ma okularów przeciwsłonecznych, bo mógłby je tak samo zdjąć.

Powiedziała:

- Panie Case, właśnie oddaję swoje życie w pańskie ręce. Ile jeszcze zaufania pan oczekuje?

Tuck tak naprawdę nie znał odpowiedzi.

- Chyba ma pani rację. Przepraszam. Mogłaby pani być trochę mniej tajemnicza. Wiem, że nie będziemy wozić zaopatrzenia. Nie tym samolotem i nie za pieniądze, które mi płacicie.

- Jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, mogę powiedzieć. Ale wtedy będę musiała pana zabić.

Podniósł wzrok znad przyrządów, by zobaczyć wyraz jej twarzy. Uśmiechała się - głupawym uśmiechem, od którego marszczyły jej się kąciaki oczu.

Znów popatrzył na przyrządy.

_ A ja nawet nie pokazałam panu najlepszego sposobu na nudę na naszej wysepce.

Skupił się na wskaźnikach i pasie startowym. Spytał:

- Dla jakiego Kościoła państwo pracują?

- Metodystycznego.

- Musi mi pani o tym opowiedzieć.

- A o czym tu opowiadać? Metodyści rządzą! - odparła, po czym zachichotała jak mała dziewczynka, gdy wzbili się na pokładzie samolotu w niebo.

Malink późno dołączył do kręgu pijących, w nadziei że wszyscy będą już na tyle pijani, by zapomnieć wydarzenia tego dnia. Większość popołudnia spędził w domu Favo, obawiając się pokazać na oczy nawet żonie i córkom, ale kiedy słońce już od dłuższego czasu gotowało się w morzu, wiedział, że musi stawić czoło innym mężczyznom, bo inaczej konsekwencją będą różne wysnute pod wpływem *tubylców* teorie, przedstawiane jako prawda. Wśliznął się w wolne miejsce w kręgu i usiadł na piasku, mimo że kilku młodych Mężczyzn odsunęło się, by zrobić mu miejsce na kłodzie, plecami do drzewa. Rzucił na środek otwartą paczkę papierosów Benson & Hedges, a Favo rozdzielił je między obecnych. Niektórzy zapalili, inni połamali je na kawałki, by żuć razem z orzeszkami betelowymi, kilku zaś wsunęło je sobie za ucho, na później. To wszystko tylko na krótko odwróciło uwagę siedzących i po chwili odezwał się i j ze starszych Johnów:

- Dlaczego Vincent przysłał Japończyków do naszych domów?

Malink machnął na niego ręką, pijąc z łupiny kokosa, po czym odegrał całe przedstawienie,

pokazując, jak bardzo mu smakuje napój, zanim przekazał naczynie Abo, który nalewał trunek. Potem zyskał kilka kolejnych sekund, zapalając papierosa swoją zippo, starając się, by wszyscy zobaczyli to i zapamiętali, a potem, zaciągnąwszy się głęboko, powiedział:

- Żebym to ja, kurwa, wiedział.

Wypowiedział te słowa po angielsku, jako że to najlepszy język do przeklinania.

- To nic dobrego - stwierdził John.

- Przyszli do domu kawalerów - oznajmił Abo, jak zwykle zły. - Patrzyli na uda naszej dziewczyny.

- Powinniśmy ich zabić - powiedział jeden z młodszych, nazwany na cześć Vincenta.

- I zjeść! - dodał ktoś i można było odnieść wrażenie, że z kręgu uszło całe powietrze, chcąc go zaraz napompować niczym balon i przemienić we wściekły tłum.

Wszyscy odwrócili się i ujrzeli Sarapula, wychodzącego z cienia. Malink pierwszy raz ucieszył się na jego widok. Stary ludożerca szedł rześkim krokiem i wydawał się młodszy, silniejszy.

- Potrzebna mi siekiera - powiedział. Wszyscy właściciele siekier wbili spojrzenia w piasek albo zaczęli oglądać paznokcie.

- po co? - spytał wódz.

- Nie mogę powiedzieć. Tajemnica.

- Chyba nie chcesz zacząć polowania na głowy, co? - pytał Malink. - Znosiliśmy twoje słowa o jedzeniu ludzi, ale tutaj stawiam granicę. Nie będzie polowań na głowy, dopóki jestem wodzem.

Wszyscy mruknęli z aprobatą i Malink ucieszył się, że może umocnić swój autorytet w sposób, którego nikt nie poda w wątpliwość. Raz na wyspę przybył pewien antropolog i dał im książkę o łowcach głów. W dyskusji na ten temat Malink czuł się światowcem.

Sarapul wydawał się zmieszany. Nigdy nie czytał książki o łowcach głów ani żadnej innej książki, ale miał klasyczną komiksową wersję *Hrabiego Monte Christo*, którą dostał od marynarza w czasach, gdy plemieniu Rekinów nie zakazano jeszcze kontaktów z przybywającymi statkami. Co wieczór Kimi musiał czytać mu komiks. Sarapulowi podobał się przewijający się w nim motyw zemsty i morderstwa.

- A co to jest polowanie na głowy? Chcę tylko ściąć drzewo.

- Ścinanie drzew to tabu - odezwał się jeden z młodszych mężczyzn.

~ Dostanę specjalną dispensę - odparł Sarapul, posługuje się terminem, którego nauczył się od ojca Rodrigueza.

wódz pokręcił głową.

~ Już ich nie mamy. Mieliśmy je tylko kiedy byliśmy karlikami.

- Potrzebna mi siekiera - powtórzył tamten, jakby, zaczynając od początku, mógł liczyć na lepszy efekt. - I pozwolenie wielkiego wodza Malinka na ścięcie drzewa.

Malink podrapał miejsce, gdzie ukąsił go komar, i popatrzył na swoje stopy. Rzeczywiście mógł udzielić pozwolenia na złamanie tabu, a Sarapul odwrócił uwagę kręgu, zanim wszyscy sprzymierzyli się przeciwko niemu.

- Możesz ściąć jedno drzewo po swojej stronie wyspy i musisz mi je pokazać, zanim to zrobisz. Kto ma siekierę?

Każdy wiedział, którzy mężczyźni mają siekiery, ale nikt nie zgłosił się na ochotnika. Malink wybrał jednego z młodych Vincentów.

- Ty, idź po siekierę. - A potem zwrócił się do Sarapula: - Po co chcesz ściąć drzewo?

Sarapul doszedł do wniosku, że najlepsze będzie wiarygodne kłamstwo.

- Mój dom zaczyna się walić przez mężczyznę-dziewczynę, który wspina się na krokwie.

Była to zła odpowiedź w obecności grupy mężczyzn, którym raptem parę godzin temu przetrząsnięto domy. Malink złapał się za głowę.

Najtrudniejszą częścią lądowania było dla Tucka powstrzymanie się, by nie zerwać się z fotela i nie zażądać od kobiety przybicia piątki. Poszło idealnie. Znów był sobą. Pal sześć duchy, gadające nietoperze, trzygodzinny lot, kobietę, która mogłaby posłużyć za wzór nowej Barbie - model „Osobowość Wielokrotna”. „Elegancka i modna, to przez nią Ken nie ma genitaliów! Baw się dobrze, tylko nie zapomnij pochować ostrych przedmiotów!”. Wszystko to nieważne. Był pilotem.

Znajdowali się gdzieś w południowej Japonii, na małym lotnisku, zapewne prywatnym, bez wieży i z zaledwie kilkoma hangarami. Tuck doprowadził ich tam dzięki systemowi nawigacji, w którym, jak odkrył podczas lotu, zaprogramowano współrzędne tylko dwóch miejsc: Alualu i tego lotniska.

- Co się stanie, jeśli wystąpi jakiś problem i będziemy musieli zmienić kurs? - zwrócił się do Beth.

- Proszę się nie martwić - odparła.

Przez większą część lotu wypytywała go o przyrządy nawigacyjne, jakby chciała wiedzieć tyle, by na własną rękę wyznaczyć kurs. Grzecznie odpowiadał, czując się obrażony tą rozmową.

Inny lear grzał silniki na asfalcie i poleciała do niego podkołować. Gdy odrzutowiec zatrzymał się z szarpnięciem, a Tuck szykował się do wyłączenia maszyny, kobieta wyciągnęła z luku walizkę i

chłodziarkę, po czym odwróciła się do niego.

- Proszę tu zostać. Startujemy za kilka minut.

- A co z załadunkiem?

- Panie Case, proszę po prostu przygotować samolot do startu. Niedługo wrócę.

Dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach przemierzyli fragment pasa dzielący oba odrzutowce i opuścili przed nią właz. Tuck patrzył przez okno, jak kobieta rozmawia z trzecim Japończykiem, ubranym w biały kitel. Podała mu chłodziarkę i teczkę, którą wyjęła z walizki, po czym wymieniła z nim ukłony i szybkim krokiem wróciła do leara, Jeden z mężczyzn w kombinezonach wniósł za nią do samolotu kartonowe pudło, które przypiął pasem do jednego z foteli dla pasażerów. - *Dorno* - powiedziała.

Uklonił się szybko, wysiadł i zamknął właz. Beth znowu wsadziła walizkę do luku na górze, po czym usiadła na miejscu drugiego pilota.

- Lecimy.

- To już?

- Tak. Lecimy.

- Powinniśmy zatankować, skoro już tu jesteśmy.

- Rozumiem, że może się pan tym trochę denerwować, ale mamy mnóstwo paliwa, żeby wrócić.

- Jedno pudło. Tylko tyle zabieramy?

- Jedno pudło.

- Co w nim jest?

- Skrzynka bordeaux, rocznik '78. Sebastian je uwielbia. Lecimy.

- Ale muszę skorzystać z łazienki. Myślałem..

- Wytrzyma pan - odparła.

- Suka.

- Właśnie. Chyba powinien się pan zająć kontrolą maszyny przed startem?

BOMBY I ŁAPÓWKI

Swędzenie zaczęło się tydzień po pierwszym locie. Najpierw poczuł je na głowie, a kilka dni później, gdy rany na jego rękach, nogach i genitaliach się zagoiły, Tucker najchętniej zerwałby z siebie skórę, by przed nim uciec. Gdyby istniała tu jakaś rozrywka, gdyby miał coś do roboty, z wyjątkiem siedzenia w bungalowie i czekania na lot, może jakoś by to znosił, ale teraz lekarz przychodził go zbadać tylko raz dziennie, Beth Curtis zaś nie widział, odkąd wylądowali. Czytał powieści szpiegowskie, słuchał radia z muzyką country, nadającego z Guam, dopóki nie nabral przekonania, że jeśli jeszcze raz usłyszy zawodzące, stalowe gitarowe struny, to wyrwie sobie resztki włosów. Czasami leżał pod moskitierą, boleśnie świadom uspienia swojego członka, i próbował myśleć o wszystkich kobietach, które miał, o każdej po kolei, a potem o wszystkich kobietach, których kiedykolwiek pragnął, wliczając aktorki, modelki i znane postacie historyczne (dućcik Marylin Monroe plus Kleopatra w ciepłym budynku zajmował jego uwagę przez niemal godzinę). Dwa razy dziennie gotował sobie posiłek. Doktor wyposażył go w dwupalnikową kuchenkę elektryczną i spiżarnię pełną puszkowanej żywności, a od czasu do czasu któryś ze strażników podrzucał paczkę owoców albo świeżych ryb. Na ogół jednak czuł swędzenie.

Tuck próbował wciągnąć Sebastiana Curtisa w rozmowę, ale niewiele było tematów, przed którymi misjonarz nie próbował uciec, większość zaś przypominała mu, że ma coś pilnego do zrobienia w klinice. Pytania o Kimiego, strażników, brak ładunku, jego osobiste dzieje, żonę, tubylców czy łączność ze światem zbywał półsłówkami albo wręcz milczeniem.

Z PO,W7W²ad0m0S²Ć dO J6 sVa i chocia i ZZo[^]T-f^{uzO} „^ » *■* opowieści

268

Pewnego ranka Tuck przez godzinę próbował pobudzić swojego członka do życia, w wyobraźni owijając folią spożywczą swoją nauczycielkę z piątej klasy, panią Nelson, fantazja legła jednak w gruzach po jej stwierdzeniu, że w jego ołówku dwójce brakuje grafitu. Złapał wtedy sprzęt do nurkowania i ruszył na plażę.

Dwaj strażnicy szli za nim w pewnej odległości. Nigdy go nie odstępowali. Kiedy wyglądał przez okno, próbował się przejść, sprawdzić leara, trzymali się go jak podwójny cień. Stali nad nim, gdy siedział na piasku i wkładał płetwy.

- Chłopaki, może włożycie jakieś kąpielówki i do mnie dołączycie? Te kombinezony muszą być niewygodne.

Nie pierwszy raz próbował do nich zagadać i nie pierwszy raz go zignorowali. Po prostu tam stali, milczący niczym pogrążeni w medytacji mnisi. Tuck nie umiał się zorientować, czy rozumieją choćby słowo po angielsku.

- No dobra, pobawię się w Cousteau, ale później skoczmy razem na surowe ryby i karaoke?

Zero reakcji.

- W takim razie możemy pograć w karty i pogadać o tym, jak w nocy recytujecie haiku i obciążacie sobie nawzajem. - Liczył, że to może ich ruszyć, ale nie.

Ruszając w stronę wody, powiedział:

- Słyszałem, że japońską flagę wzorowano na zużytej podpasce. To prawda? - Obejrzał się przez ramię, by sprawdzić ich reakcję, a jego płetwa zaczepiła o kamień i się Wygięła. Po chwili leżał twarzą w dół, wypływając piasek, a strażnicy głośno rechotali.

- Dupek - dobiegł go głos jednego. Po chwili był już na nogach i stał nad Japończykami jak wielka, wściekła kaczka.

- Przestań, gorylu!

Strażnik, który się odezwał, ani drgnął, ale jego towarzysz się cofnął. Wydawał się zagubiony bez swojego uzi.

- Co jest? Nie masz pistoletu maszynowego? Tacy jesteście zajęci włożeniem mi na głowę, że zapomnieliście swoich zabawek? - Tuck szturchnął strażnika palcem w pierś dla podkreślenia swoich słów.

Japończyk złapał go za palec i wygiął go w tył, po czym podciął pilota, wyciągnął glocka kaliber dziewięć milimetrów z kabury pod pachą i przycisnął lufę do jego czoła na tyle mocno, że skaleczył skórę. Drugi strażnik szczerknął coś po japońsku, po czym postąpił krok w przód i kopnął Tucka w brzuch. Pilot zwinął się w kulkę na piasku, jedną ręką instynktownie zasłaniając twarz, a drugą nerki w oczekiwaniu na następny cios. Ten jednak nie nastąpił. Gdy podniósł wzrok, strażnicy wracali za ogrodzenie.

Zostawili go w spokoju i na to właśnie liczył, ale odbyło się to nieco brutalniej, niż się spodziewał. Pokiwał palcem, by się upewnić, że nie jest złamany, i zbadał ślad po bucie pod żebrami. Potem gniew uruchomił jego wyobraźnię i zaczęło się planowanie zemsty. Najłatwiej byłoby powiedzieć doktorowi, ale Tuck, jak każdy mężczyzna, został uwarunkowany na unikanie dwóch reakcji: nie płakać i nie donosić. Musiał wymyślić *coś* subtelnego, eleganckiego, bolesnego, a przede wszystkim upokarzającego.

Tuck niemal podskakiwał na wodzie, napędzany nową falą energii: zemstą w adrenalinie. Taplał się nad rafą, patrząc, jak ukwiały pulsują pod wpływem prądów wodnych, a małe rybki o nieprawdopodobnych, neonowych barwach śmigają między koralami. Ocean był ciepły niczym woda w wannie i po kilku minutach z twarzą w wodzie Tucker poczuł się oddzielony od ciała, a kolor i ruch poniżej wydawały się równie pozbawione znaczenia, jak wzorki w ognisku. O tym, że jest człowiekiem, przypominał tylko odgłos jego oddechu w rurce i wizje zimnej zemsty w umyśle.

Popatrzył w dół, na postrzępioną krzywizną rafy, i ujrzał duży cień, przesuwający się po dnie, ale zanim włączyła się w nim panika - „walczyć albo uciekać” - zobaczył, że to tylko żółw morski, frunący przez wodę niczym jaszczurowaty anioł. Gad okrążył go i podpłynął na tyle blisko, że Tuck dostrzegł ruch w jego oku wielkości srebrnej dolarówki i zawarte w tym badawczym spojrzeniu przesłanie: „To nie jest twoje miejsce”. W tym momencie ta część Tucka, która w morskiej wodzie widziała matkę, zbuntowała się i poczuł się obcy, obolały i zmarznięty, a także nietaktowny, jakby uczestniczył w przyjęciu w smokach i dopiero przy deserze zorientował się, że ma na sobie pizamę. Nadeszła pora, by się stąd wynieść.

Uniósł głowę, sprawdził, gdzie jest siatka ogrodzeniowa dochodząca do plaży i powolnym kraulem zaczął płynąć do brzegu. Gdy woda stała się płytsza, uderzył kolanem o podwodną skałę, a potem wstał i poczłapał przez fale, mimo że płetwy próbowały odciągnąć go od plaży. Wyszedłszy z wody, upadł na piasek i zdjął płetwy. Odrzucił je, nie patrząc gdzie leżą, i krótką chwilę później ogłuszająca eksplozja poderwała go w górę i wylądował trzy metry dalej, oszołomiony i bez tchu, a wokół padał deszcz mokrego piachu i kawałki płetw.

Tucker wparował do kliniki, zostawiając na betonowej posadzce ślad z piasku i wody.

- Myny! Macie pieprzone miny przeciwpiechotne na tej pieprzonej plaży?

Sebastian Curtis siedział przy komputerze. Szybko wyłączył monitor i obrócił się na krześle.

- Słyszałem wybuch, ale zdarzało się już, że wysadzały je ptaki i żółwie. Komuś coś się stało?

- Nie, oprócz tego, że do końca życia będę słyszał w uszach pisk, a mój zwieracz uspokoi się dopiero parę lat po śmierci. Chcę wiedzieć, po co macie miny na plaży.

- Spokojnie, panie Case. Proszę usiąść. - Lekarz wskazał składane metalowe krzesło. - Proszę. - Wydawał się smutny, wcale nieskory do konfrontacji i zupełnie nie kojarzył się z człowiekiem, który mógłby zaminować tropikalną plażę. - Chyba jest trochę spraw, o których powinien pan wiedzieć. Po pierwsze, mam coś dla pana. - Odsunął szufladę pod klawiaturą, wyciągnął czek i podał go pilotowi.

Rzut oka na kwotę sprawił, że gniew Tucka trochę złagodniał.

- Dziesięć kawałków? Za co?

- Może pan to nazwać premią za pierwszy lot. Beth mówiła, że świetnie się pan spisał.

Tucker pomacał czek, po czym strzepnął piasek i przeczytał jeszcze raz. Gdyby miał choć odrobinę szacunku do siebie, rzuciłby go doktorowi w twarz. Oczywiście tego nie zrobił.

- Wspaniale, doktorze. Dziesięć kawałków za przywiezienie skrzynki wina. Nawet nie spytam, co było w chłodziarce, którą wziął ten facet, ale parę minut temu omal nie zginąłem na plaży.

- Bardzo mi przykro. Na wyspie ciągle jest mnóstwo pozostałości po wojskach japońskich. Obszar przy ogrodzeniu był polem minowym. Pracownicy i tubylcy wiedzą, że nie należy tam

chodzić.

- Mógł pan o tym wspomnieć i mnie.

- Nie chciałem pana niepokoić. Powiedziałem kilku pracownikom, żeby mieli na pana oko i odciągali pana od tego miejsca. Pogadam z nimi.

- Sam już z nimi gadałem. I mam trochę dosyć tego, że mnie obserwują.

- To dla pańskiego bezpieczeństwa, sam pan chyba widzi.

- Nie jestem dzieckiem i nie chcę, by mnie tak traktowano. Chcę chodzić, dokąd mi się podoba, i nie chcę, żeby śledził mnie oddział ninja.

Lekarz gwałtownie wyprostował się na krześle.

- Dlaczego mówi pan o nich „ninja”? Kto panu powiełał, żeby tak ich nazywać?

- Wystarczy na nich spojrzeć. Japończycy, cali ubrani w czarno, znają sztuki walki... Do diabła, brakuje im tylko koszulek z napisem: „Spytaj, czy jestem ninja”. Nazywam ich tak, bo tak wyglądają. To na pewno nie jest cholerny personel medyczny.

- Faktycznie, nie - powiedział Sebastian - ale obawiam się, że to zło konieczne, i niewiele mogę z tym zrobić.

- Dlaczego? To pańska wyspa.

- Wyspa należy do plemienia Rekinów. Nawet ta klinka nie jest moja. Jak już pan pewnie odgadł, nie finansuje nas Fundusz Misyjny Metodystów.

- Tak, domyśliłem się.

- Sponsorują nas potężne korporacje z Japonii, które uparły się na niewielki kontyngent ochroniarzy na wyspie, jeśli mają nam przekazywać fundusze.

- Fundusze na co?

- Na badania.

Tuck się roześmiał.

- Jasne. Doskonała okolica na badania. Po co nowoczesne, sterylne laboratorium w Tokio. Lepsze jakieś zadupie na Pacyfiku. Bądźmy poważni. Co tu się naprawdę dzieje?

Doktor wskazał czek w dłoni Tucka.

- Jeśli panu powiem, następnego już pan nie zobaczy Pański wybór. Jeśli chce pan tu pracować, musi pan pozostać w niewiedzy. Nie ma kompromisów. To badania, tajne badania, i ludzie, którzy za nie

płacą, chcą, żeby tak zostało. Inaczej nie zatrudniliby ochrony, a pan nie zarabiałby tak dobrze. - Odgarnął siwe włosy i popatrzył Tuckerowi oczy, bez groźby, bez wyzwania, raczej z troską lekarza przejętego stanem pacjenta. - Czy nadal chce pan wiedzieć, co tu robimy?

Tuck zerknął na czek, na doktora, znowu na czek. Jeśli miał pokrycie, była to największa kwota, jaką kiedykolwiek posiadał. Powiedział:

- Chcę tylko, żeby strażnicy ciut odpuścili, dali mi trochę oddechu.

Doktor się uśmiechnął.

- Myślę, że to da się zrobić. Ale musi mi pan dać słowo, że nie będzie próbował wychodzić poza ogrodzenie.

- A dokąd miałbym iść? Widziałem tę wyspę z powietrza, zapomniał pan? Wiem, że niewiele tracę.

- Interesuje mnie tylko pańskie bezpieczeństwo.

- Oczywiście - odparł pilot z całą szczerością, na którą mógł się zdobyć. - Ale chcę telewizor. Dostaję świra, kiedy tak siedzę w tym pokoju. Jeśli przeczytam jeszcze jedną powieść detektywistyczną, będę się kwalifikował do żółtych papierów. Macie telewizor i na pewno podłączyliście jedną z tych anten satelitarnych. Chcę telewizor.

Tamten znowu się uśmiechnął.

- Może pan wziąć nasz. Beth na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

- Co mu dałeś? - Kapłanka Nieba podniosła wzrok znad egzemplarza magazynu „Us”. Miała na sobie białe jedwabne kimono, które było rozwiązane i jego poły spłynęły z niej w lśniącą kałużę pod krzesłem. Włosy spięła pałeczkami z kości słoniowej, inkrustowanymi hebanem.

Czarownik stanął w drzwiach jej pokoju. Czuł się dość dumny z siebie, do chwili gdy ton jej głosu uderzył go niczym czełkan w szyję.

- Twój telewizor. Ale tylko na jakiś czas. Załatwiłem drugi, przy następnym locie będzie czekał na lotnisku.

- Czyli kiedy?

- Jak tylko załatwię zamówienie. Obiecuję, Beth. - To znaczy, że będę jeszcze musiała występować bez swoich seriali. Były mi potrzebne, żeby ćwiczyć wspomnienia zmysłowe. Jak mam grać boginię, jeśli nie znajdę właściwej chwili emocjonalnej?

- Może przynajmniej raz spróbujesz emocji, które nie idą z satelity.

Rzuciła czasopismo i przygryzła wargę, patrząc w kąt pomieszczenia, jakby się zastanawiała.

- Świetnie. Daj mu telewizor.

- Dałem mu też dziesięć tysięcy dolarów.

Jej oczy stały się wąskie jak szparki.

- A co dostanie, jeśli znowu wyleci w powietrze? Noc z Kapłanką Nieba?

- Jeśli zgodzi się na tak niewiele - odparł Czarownik. Odwrócił się i wyszedł, uśmiechając się pod nosem.

MIEJSCOWE ZWYCZAJE

Przez następny tydzień Tucker Case obserwował okolicę, próbując się rozeznąć, co się dzieje. Zgodnie z obietnicą, doktor przyniósł telewizor, a nawet pożyczył Tuckowi żelazo siódemkę, ale od tej pory pilot widywał go tylko z oddali, przechodzącego z kliniki do jednego z małych bungalów po drugiej stronie plaży albo wracającego z niego. Strażnicy wciąż go obserwowali, śledząc z pewnej odległości, gdy szedł popływać albo ruszał na koguty z misją „odszukać i zniszczyć”; po Beth Curtis nie było ani śladu. Jeśli doktor rzeczywiście prowadził jakieś badania, nie było żadnych wskazówek co do ich zakresu. Tuck kilkakrotnie próbował zajrzeć do kliniki, ale za każdym razem drzwi były zamknięte na klucz, a kiedy pukał, nikt nie odpowiadał.

Ogarnęła go nuda i tłamsiła niczym sterta mokrych ręczników, aż miał wrażenie, że się udusi pod jej ciężarem. W przeszłości zawsze walczył z nudą za pomocą alkoholu i kobiet, a wszelkie kłopoty związane z tym połączeniem wypełniały mu kolejne dni. Tutaj nie było nic z wyjątkiem powieści szpiegowskich oraz niezłych azjatyckich programów kulinarnych (doktor odmówił mu podłączenia do anteny satelitarnej) i chociaż cieszył się, że zna już dziewięć różnych sposobów na przyrządzenie beagle'a, to mu nie wystarczało. Chciał wyjść poza ogrodzony teren, choćby dlatego, że mu tego zabronili.

Na szczęście, z biegiem lat jego znajomość filmów o więzieniach dla kobiet stała się wręcz encyklopedyczna, miał więc do dyspozycji całą masę metod ucieczki. Oczywiście wielu z nich nie dało się zastosować. Natychmiast odrzucił pomysł z uwiedzeniem i poćwiartowaniem potężnej strażniczki-lesbijki, a udawanie skurczów menstruacyjnych zaprowadziłoby go jedynie do kliniki, gdzie dostałby mi-dol IV. O dziwo jednak, gdy odgrywał zupełnie niepotrzebną scenę pod prysznicem, plan sam do niego przyszedł, wysmarowany mydłem, powiększony silikonem i stanowiący zupełne zaprzeczenie czasu, siły ciężenia oraz naturalnych proporcji...

Odplływ prysznicza wychodził prosto na koralowy żwir poniżej.

W dole widział ziemię i małego kraba pustelnika umykającego przed mydlinami. Cały spód kabiny był po prostu tacą z galwanizowanego metalu. Pochylił się, złapał za krawędź i pociągnął. Brodzik się nie uniósł, ale się poruszył. Trochę czasu, trochę cierpliwości i się uda. Planowanie i cierpliwość. To były podstawy udanej ucieczki.

Mógł więc niezauważenie wyjść z bungalowu. Kolejną przeszkodę stanowiło ogrodzenie.

Dość szybko zdążył się przekonać, że ogrodzenie jest pod prądem. Znalazł koguta, uczonego siatki, który w konwulsjach wyglądał, jakby tańczył „kaczuski”, podczas gdy jego pióra dymiły, a spod uziemionych łapek strzelały iskry. Choć odkrycie sprawiło mu niemałą satysfakcję, Tuck zdał sobie sprawę, że nie ma mowy o wspinacze na ogrodzenie, a brama na lotnisko była zamknięta na potężny łańcuch i kłódkę. Aby pokonać siatkę, trzeba ją było obejść, ale jak daleko sięgało pole minowe? Zaczął to sprawdzać, miotając tam kamienie za pomocą żelaza siódemki, pod pretekstem ćwiczenia golfowych uderzeń. Udało mu się uzyskać kilka imponujących lejów i wystraszyć strażników eksplozją, zanim odkrył, że pole minowe kończy się po jakichś pięćdziesięciu metrach. Postanowił zaryzykować.

Wracając do bungalowu, podniósł kokos, po czym wlaź do łóżka i czekał na zapadnięcie ciemności.

Gdy słońce zaszło i na niebo wspiął się widoczny w trzech czwartych księżyc, Tuck zaczekał, aż strażnik zajrzy przez okno. Gdy usłyszał chrzęst jego oddalających się kroków, zaczął konstruować kukłę (tej sztuczki nauczył się z filmu *odpadające palce: Trędowate lalunie za kratkami II*). Dwie poduszki i głowa z kokosa zapewniały wystarczające podobieństwo, zwłaszcza widziane przez moskitierę przy świetle księżyca. Zsunął się z łóżka i poniżej poziomu okien pobiegł do łazienki, gdzie zostawił maskę, płetwy i świecę.

Wcisnął ręcznik pod drzwi, by przez szparę nie sączyło się światło, i zaczął wyciągać metalowy brodzik z ramy. Po pięciu minutach wysiłku, przerwane na chwilę, gdy żwir na zewnątrz zachrząścił pod nogami strażnika, wyjął brodzik i oparł go o ścianę.

Zdmuchnął świecę i opadł na żwir metr niżej, po czym sięgnął z powrotem i przez otwór zabrał swoje płetwy i maskę. Miał wrażenie, że koralowy żwir pod jego wyczulonymi stopami to tłuczone szkło, ale postanowił znieść ból, bo w butach za bardzo by hałasował. Usłyszał, że strażnik znowu się zbliża, i opadł na ziemię, by spod bungalowu widzieć dziedziniec.

Japończyk podszedł, przystanął, by zajrzeć przez okno, a potem, zadowolony, że Tucker śpi, wrócił do baraku strażników i usiadł na składanym krzeselku przed drzwiami.

Tuck patrzył za nim, po czym wypełził spod domku do palmowego gaju. Zatrzymał się, by nabrać tchu, i rozplanował sobie drogę na plażę. Musiał pokonać pięćdziesiąt metrów od swojego bungalowu do kliniki, pięćdziesiąt metrów, które nie znajdowały się na zupełnie otwartej przestrzeni, ale były widoczne z miejsca, gdzie siedział strażnik. Mógł przemykać od drzewa do drzewa, ale gdyby strażnik akurat patrzył w tę stronę, będzie po nim.

Jaszczurka wbiegła na pień drzewa, o które się opierał i serce przestało mu bić. Co mu przyszło do głowy? Tutaj mogły czaić się skorpiony, a w ciemnym oceanie rekiny, barakudy i inne straszydła. A

co będzie, jak już przedostanie się^{na} drugą stronę ogrodzenia? Więcej piasku, skorpionów, a może jeszcze wrogo nastawieni tubylcy. Czekał, myśląc, jak łatwo byłoby wypełznąć z powrotem przez prysznic i iść do łóżka, gdy po przeciwnej stronie terenu zajaśniał płomień zapalniczki i Tucker ujrzał oświetloną na pomarańczowo twarz strażnika. Pognał na tyły budynku kliniki, w nadziei że zapalniczka oślepi tamtego na wystarczająco długą chwilę, by on pokonał pięćdziesiąt metrów.

W połowie dystansu upuścił płetwę, po czym padł na ziemię obok niej i podniósł wzrok. Strażnik palił spokojnie, patrząc na strugi błękitnego dymu unoszące się w promieniach księżyca.

Tuck złapał płetwę i zaczął się czołgać, pokonując ostatnie metry dzielące go od kliniki i tłumiąc ochotę, by krzyknąć, gdy żwir wbijał mu się w łokcie. Krab pustelnik przebiegł mu po plecach, wywołując elektryczny dreszcz wzdłuż kręgosłupa, mobilizujący do szybszego dotarcia do kryjówki.

Strażnik nie podniósł wzroku. Tuck dźwignął się na nogi, otrzepał się i ruszył na plażę.

Lekka bryza szeleściła liśćmi palm i Tuck słyszał fale uderzające o rafę. Wszedł do ciepłej wody, trzymając w ręce płetwy. Gdy zanurzył się do pasa, przykucnął i włożył je na nogi, po czym zaczął płynąć na plecach, patrząc w kierunku brzegu.

W obu bungalowach Curtisów paliło się światło; Przez okna dostrzegł przechodzącą Beth Curtis. Wydawała się naga, ale z tej odległości nie mógł być pewien. Oderwał od niej wzrok i popłynął wzdłuż brzegu, kierując się w dół plaży.

Bez przeszkód dopłynął do ogrodzenia, choć z trudem starał się nie myśleć o tym, co może się czaić pod ciemną wodą. Pokonał kolejne sto metrów, po czym skierował się do brzegu. Gdy jego ręka otarła się o kamień, sięgnął w dół i ściągnął płetwy. Zaciśnął zęby, opierając nogi o grunt, spodziewał się bowiem płaszczy albo jeżowca i ostrego bólu. Zaklął, zły na siebie, że nie wziął trampek.

Wlokąc się plażą, usłyszał szelest wśród drzew i podniósł wzrok, by ujrzeć błysk koloru w świetle księżyca. Pobiegł przed siebie i skrył się za kłodą na linii przyływu. Leżał tam, patrząc na małe kraby, klekoczące szczypcami i pełzające wokół niego.

Wyłoniła się spośród drzew zaledwie dziesięć metrów od miejsca, w którym leżał. Miała na sobie fioletową lava-lavę, którą rozwinęła i rzuciła na piasek.

Tuck wstrzymał oddech. Przeszła ledwie parę metrów od niego. Jej naoliwione ciało lśniło w blasku księżyca, a długie czarne włosy kołysały się za nią na morskim wietrze. Zaryzykował, uniósł głowę i patrzył, jak wchodzi do wody, która sięgała jej do kolan, i zaczyna się myć, ochlapując wodą uda i pośladki.

Odkąd opuścił Houston, w głowie nosił wizję życia na tropikalnej wyspie. Obrazy te zostały przesłonięte przez skaleczenia i zadrapania, tajfuny i wilgotność, rekiny, wojowników ninja i tajemniczych misjonarzy. I oto przypominał, sobie powód, dla którego tu przyjechał. Naga wyspiarska dziewczyna, myjąca swoje kawowe uda na ciepłej, oblanej blaskiem księżyca plaży.

Poczuł pod sobą ruch i omal nie zerwał się na równe nogi sądząc, że leży na jakimś morskim stworzeniu. Potem uświadomił sobie, że uczucie pochodzi z wewnątrz. Minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz miał erekcję, że z początku jej nie rozpoznał. Niemal parsknął śmiechem. Jego sprzęt ciągle działał. Nadal był mężczyzną. Do diabła, był kimś więcej niż po prostu mężczyzną, był Tuckerem Casem, tajnym agentem. I stał mu, pierwszy raz od paru miesięcy.

Dziewczyna wyszła z wody i Tuck pochylił głowę, kiedy przechodziła. Patrzył, jak owija lava-lava biodra i znika między drzewami. Odczekał chwilę, a potem ruszył za nią, napawając się napięciem w kąpielówkach.

Malink, który nalewał *tubę*, podniósł wzrok i ujrzał Sepie idącą od strony wioski. Była to zniewaga i hańba. Żadnej kobiecie nie wolno było zbliżyć się do kręgu. To było miejsce dla mężczyzn.

- Idź do domu, Sepie! - warknął wódz. - Nie możesz tu być.

Zignorowała go i szła dalej, kołysząc biodrami. Kilku żonatych młodzieńców odwróciło wzrok, żalując, że nie pójda tej nocy do domu kawalerów.

- Idzie za mną biały mężczyzna.

Malink wstał.

- Opowiadasz bzdury. Idź do domu albo przez następny tydzień też nie będziesz mogła chodzić do morza.

Zauważył mokre końcówki jej włosów i krople wody ściekające po nogach. Już zdążyła zlekceważyć karę za rozmowę z japońskimi strażnikami.

- Dobrze - odparła. - Nic mnie nie obchodzi, że biały chowa się w krzakach. Myślałam po prostu, że chciałbyś wiedzieć.

Odgarnęła włosy i odwróciła się, ruszając w górę plaży. Gdy mijала drzewo, za którym skrył się Tuck, powiedziała po angielsku:

- Ten gruby i głośny to wódz. Idź z nim porozmawiać. Powie, kim jestem.

I poszła dalej, z podniesioną głową, nie oglądając się.

Tuck poczuł, że oblewa się rumieńcem, a jego ego kurczy się wraz z obrzmieniem w kąpielówkach. Został przyłapany. Cały czas wiedziała o jego obecności. Też mi tajny agent. Będzie miał szczęście, jeśli nie złapią go w drodze powrotnej do bungalowu.

Patrzył, jak mężczyźni na plaży podają sobie wspólne naczynie. Po ich ruchach widział, że niektórzy są nieźle narąbani. Pamiętał ostrzeżenie Jeffersona Pardee, by nie pic z tymi uspionymi wojownikami, ale wyglądali nieszkodliwie, a nawet trochę głupio, z tymi przepaskami biodrowymi i wytatuowanymi rekinami. Jeden z młodych mężczyzn wyciągnął rękę, by wziąć naczynie od starca, który nalewał i padł twarzą w piasek. To przesądziło sprawę. Tuck wyszedł zza drzewa i ruszył w stronę kręgu. Nie wiedział, *co* nalewają z tych dzbanów - na pewno nie gin z tonikiem - nie można się

tym było nawalić, a nawalenie się było teraz bardzo dobrym pomysłem.

- *Jambo* - odezwał się, używając powitania zasłyszanego kiedyś w filmie o Tarzanie.

Cała grupa uniosła głowy. Jeden z mężczyzn nawet krzyknął. Gruby starzec wstał z ogniem w oczach, który zgasł, gdy przybysz wyłonił się z cienia.

Mary Jean często mawiała: „Nieważne, czy to senator, czy odźwierny. Nikt nie jest odporny na ciepły uśmiech i mocny uścisk dłoni”.

Wyciągnął rękę i uśmiechnął się.

- Tucker Case. Miło mi.

Malink pozwolił białemu uścisnąć swoją dłoń. Gdy pozostali wciąż patrzyli w oszołomieniu, wódz powiedział:

- Wyglądasz lepiej, niż gdy cię ostatnio widziałem. Czarownik cię wyleczył.

Spojrzenie Tucka było utkwione w dwunastolitrowych dzbanach mlecznobiałej cieczy pośrodku kręgu.

- Tak, czuję się jak nowo narodzony. Moglibyście dać mi łyk tego soku z dżungli?

- Usiądź - polecił Malink i gestem nakazał młodemu, °Y się rozsunęli i zrobili przybyłemu miejsce na jednej z kłód.

Tuck usiadł, a Favo podał mu kubek ze skorupy kokosa. Tuck jednym haustem pochłonął zawartość naczynia i z trudem powstrzymał się, by się nie zakrztusić. Smakowało siarką cukrem i odrobinę amoniakiem, ale był w tym alkohol i znajome ciepło zaczęło krążyć w jego żyłach jeszcze zanim opanował wywołane ohydny smakiem drżenie.

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Uśmiechnął się i zaczął kiwać głową siedzącym w kręgu mężczyznom. Ci uśmiechali się i odpowiadali kiwnięciami.

Malink usiadł przy nim.

- Myśleliśmy, że umarłeś?

- Też tak myślałem. Może jeszcze lufę Tubylec wydawał się zmieszany.

- Naczynie musi zatoczyć cały krąg.

- Świetnie, świetnie. Pijcie, chłopaki - powiedział Tuck, uśmiechając się i kiwając głową jak szalony.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytał Malink.

- Spacer, potem trochę pływania. Chciałem poznać miejscowe zwyczaje. Straszna nuda w tej klinice.

Malink zmarszczył czoło.

- Jesteś pilotem. Widzieliśmy, jak lecisz w samolocie.

- Tak, to ja.

- Vincent powiedział, że się zjawisz.

- Kto to jest Vincent?

Szepczący między sobą mężczyźni umilkli. Nalewanie i picie także ustało, gdy czekali na odpowiedź Malinka.

- Vincent to też pilot. Przysłał Kapłankę Nieba. Dopóki sam nie wróci. Widziałeś ją u Czarownika. W szpitalu. Ma żółte włosy, jak ty.

Tuck skinął głową, jakby miał pojęcie, o czym ten facet mówi. W tej chwili chciał tylko, żeby naczynie zakończyło okrażenie i wróciło do niego.

_ Tak, tak. Widziałem ją. To żona doktora.

Abo, który był pijany i wyjątkowo nie czuł złości, roześmiał się i powiedział:

- Nie jest niczyją żoną, jebany dupku. To Kapłanka Nieba.

Tuck zamarł. Kraksa lotnicza i gadający nietoperz uniosły się niczym demony, niwecząc miłe początki rauszu.

Malink posłał mu przepaszające spojrzenie.

- On młody, pijany i głupi. Nie jesteś jebany dupek.

- Gdzie to słyszeliście? - spytał Tuck. - Skąd znacie słowa „jebany dupek”?

- Vincent tak mówi. Wszyscy tak mówimy.

- Vincent? Jak wygląda Vincent?

Młodzi popatrzyli na Favo i Malinka. Przemówił Favo.

- To Amerykanin. Ma ciemne włosy, jak my, ale ostry nos. Młody. Może taki stary jak ty.

-1 jest pilotem? W co się ubiera?

- Szary mundur, czasem kurtkę z futrem tutaj. - Dłoń Favo zatoczyła łuk, kreśląc zarys kołnierza i

wyłogów.

- Kurtka lotnictwa bombowego. Malink się uśmiechnął.

- Tak, Kapłanka Nieba to bombowiec.

Tuck wyrwał naczynie jednemu z Johnów i opróżnił je, po czym oddał.

- Przepraszam, to nie mogło czekać. - Spojrzał na Malinka. - I ten Vincent powiedział, że się zjawię?

Wódz skinął głową.

~ Powiedział mi we śnie. Potem Sarapul znalazł ciebie i kolegę na rafie.

- Mojego kolegę? Jest tutaj?

- Nie widzimy go. Poszedł mieszkać z Sarapulem po drugiej stronie wyspy.

- Zabierzcie mnie do niego.

- Teraz pijemy *tubę*. Pójdziemy rano?

- Do rana muszę wrócić. A wy nie możecie nikomu powiedzieć, że tu byłem.

- Jeszcze po jednym - powiedział Malink. - Tuba dzisiaj dobra.

- Dobra, jeszcze po jednym - odparł Tuck.

39

PORA NA PRZEDSTAWIENIE

Kapłanka Nieba przewróciła się na łóżku na drugi bok i pacnęła pikający interkom, jakby był rozwydrzonym pasierbem.

- Ja tu śpię - powiedziała.

- Szykuj się do roli, Beth. Mamy zamówienie, dostawa do Japonii za sześć godzin.

- Dlaczego ten skurwiel nigdy nie dzwoni o ludzkiej porze?

- Dajemy gwarancję świeżości. Musimy dostarczyć towar.

~ Nie wyjeżdżaj mi tu z poczuciem honoru, Sebastianie.

Kto został wybrany?

~ Sepie, kobieta, dziewiętnaście lat, pięćdziesiąt kilogramów.

- Znam ją - stwierdziła Kapłanka. - Co z naszym pilotem?

- Pilnuje go dwóch ludzi, żeby nie wychodził z bungalowu.

- Jeszcze tego nie widział. Na pewno nie chcesz podać mu środków uspokajających?

- Rusz głową, Beth. Musi lecieć. Zrobimy mniejsze wybuchy. Może się nawet nie obudzi.

Była już całkiem rozbudzona i zaczynała odczuwać podniecenie przed występem.

- Za dwadzieścia minut będę gotowa. Powiedz ninja, żeby puścili moją muzykę.

Tuck trzymał Favo za głowę i kłykciami czule stukał go w czoło.

- Kurwa, uwielbiam tego faceta. To debeściak, kurwa. Kocham was, kurwa, wszystkich.

Malink nigdy nie widział stukania w czoło i zastanawiał się, czemu zdjęcia z przyjęć w „People” nigdy nie ukazują tego dziwnego rytuału. Szczycił się znajomością zwyczajów białych ludzi, ale to było coś nowego. Favo najwyraźniej nie był zachwycony rytuałem nawet w połowie tak bardzo, jak Tuck. *Tuba* podziałała i wszyscy byli pijani. Może nadeszła pora, by ratować przyjaciela.

- Chodźmy poszukać mężczyzny-dziewczyny - powiedział Malink.

Tuck podniósł wzrok, nadal nie puszczając Favo, któremu oczy zaczęły już trochę wychodzić z orbit.

- Okej - powiedział.

Malink poprowadził ich do wioski, krokiem bardziej chwiejnym niż zwykle. Tuzin mężczyzn z plemienia Rekinów i Tucker objali się o siebie i potykali za jego plecami. Gdy minęli dom kawalerów i ruszyli ścieżką prowadzącą na zamieszkaną przez Sarapula część wyspy, rozległa się muzyka. Dźwięki big-bandu w łatwym, melodyjnym rytmie poniosły się po dżungli. Tubylecy stanęli jak wryci, a gdy muzyka umilkła na krótką chwilę, jak jeden mąż wykrzyknęli:

- Pennsylvania 6-5000!

I melodia rozbrzmiała znowu.

- Co to? - spytał Tucker.

Kobiety i dzieci budziły się ze snu, wypełzały w krzaki, by opróżnić pęcherze, pocierały zaspane oczy i rozciągały zdrętwiałe plecy. Malink powiedział:

- Idzie Kapłanka Nieba.

- Kto? - Tuck puścił w końcu Favo, którego ciągnął dotąd za głowę.

Starzec jęknął, a potem uśmiechnął się i usiadł w rozkroku na piasku.

- Musimy iść - odparł Malink. - Lepiej wracaj.

Muzyka umilkła i wódz, razem z resztą plemienia Reki znów, wrzasnął:

- Pennsylvania 6-5000!

- Idź - nakazał Malink, znów wczuwając się w rolę wodza. - Idzie Kapłanka Nieba. Musimy się przygotować.

Odwrócił się i poszedł z powrotem do wioski. Pozostali mężczyźni rozpierzchli się, zostawiając Tuckera samego na ścieżce.

Tuck usłyszał odgłos silników dużych śmigłowych samolotów, mieszający się z muzyką. Członkowie plemienia wychodzili z wioski na ścieżki wiodące w stronę pasa startowego. W ciągu kilku chwil wioska była opuszczona. Pilot, zataczając się, wrócił na plażę, gdzie zostawił płetwy i maskę. Gdy przechodził nad kłodami w kręgu, rozległ się wybuch i przez chwilę myślał, że natrafił na kolejną minę, lecz uświadomił sobie, że huk dobiegł od strony pasa startowego.

Obawiając się, że nie znajdzie drogi przez wioskę, postanowił iść wzdłuż plaży. Pokonawszy jakieś sto metrów, zobaczył na piasku coś białego i pochylił się, by to podnieść. Podłużny notatnik. Księżyc wisiał wysoko na niebie i Tucker zobaczył nazwisko, wypisane na okładce grubym, niezmywalnym flamastrem: JEFFERSON PARDEE.

Beth Curtis, odziana w chirurgiczną zieleń, odprawiła gestem strażników od drzwi Tucka i zapukała. Oczekała kilka sekund, po czym zapukała znowu i weszła do środka. Przez moskitierę ledwie dostrzegła śpiącą postać.

- Case, niech pan wstaje. Musimy lecieć. Pilot nawet nie drgnął.

- Case?

Odsunęła moskitierę i szturchnęła go. Zielony kokos wyturlał się z łóżka i pacnął o podłogę u jej stóp.

- Śpi pan z kokosem? Żałosny gnojek. Odskoczyła w tył, a oszołomiony Tucker Case jęknął: - Co?

- Niech pan wstaje. Za pół godziny lecimy.

Tuck przewrócił się na bok i zamrugał, by odegnąć mgiełkę kaca. Słońce wspinało się na niebo i na całej wyspie zaczynały pisać koguty. W pomieszczeniu panował półmrok.

- Która godzina?

- Godzina startu. Proszę szykować samolot. Beth Curtis wyszła.

Tuck wytoczył się z łóżka, poczołgał się do łazienki, po czym donośnie zwrócił zawartość żołądka do klozetu.

NIEPRZYJAZNE NIEBO

Tuck grzał silniki, patrząc na strażników, którzy krzatali się wokół leara. Za każdym razem, gdy któryś przechodził przed nosem maszyny, pilot włączał radar i chichotał. Energia mikrofal była za słaba, by usmażyć im mózgi - o czym marzył - ale był przekonany, że żaden nie będzie miał dzieci, może też udało mu się zasiać w nich zalążki przeróżnych guzów. Raz w Houston konserwator popełnił błąd, przechodząc przed odrzutowcem Mary Jean z naręczem fluorescencyjnych żarówek, przeznaczonych do hangaru, i Jake Skye pokazał Tuckowi pewną sztuczkę. - Popatrz - powiedział wtedy.

Włączył radar i bombardowane mikrofalami żarówki zapłonęły w rękach mężczyzny. Biedaczek wyrzucił je w *gorę* i uciekł, pozostawiając stosik kawałków szkła i białego pyłu. Była *to* druga najfajniejsza rzecz, jaką Tucker widział w życiu. Pierwsze miejsce zajmowała sytuacja, gdy za pomocą silników odrzutowych gulfstreama usunęli lakier z porsche, którego właściciel uparł się, by zaparkować na pasie. Tuck właśnie czekał, aż któryś ze strażników będzie przechodził za dyszą, gdy na pokład wsiadła Beth Curtis.

Włożyła swój biznesowy kostium i miała walizkę oraz chłodziarkę, tym razem jednak zajęła jeden z foteli pasażerskich z tyłu i zasnęła jeszcze przed startem. Tuck skorzystał z okazji i zaczerpnął trochę tlenu z aparatury ratunkowej, by zwalczyć kaca.

Gdy pokonali osiemset kilometrów nad Pacyfikiem, Tuck zajrzał do przedziału pasażerskiego, by się upewnić, że kobieta ciągle śpi. Następnie sprawdził poziom paliwa, pchnął drążek, obniżył lot i wyrównał na trzydziestu metrach.

Lot z prędkością niemal pięciuset trzydziestu węzłów na wysokości zaledwie trzydziestu metrów nad wodą odniósł oczekiwany efekt. Pilot wpadł w absolutną ekstazę, a fala adrenaliny przegnała kaca do

średniowiecza. Opadł kolejne piętnaście metrów i roześmiał się głośno, gdy krople słonej wody wylądowały na przedniej szybie.

Był jasny, słoneczny dzień i tylko parę rzadkich, podłużnych obłoków unosiło się nad wodą. Tuck przelatywał przez nie i pod spodem, jakby to były duchy wrogów. Potem na horyzoncie pojawiła się jakaś plamka. Domyślił się, że to statek, i podniósł maszynę na sześćdziesiąt metrów. Nagle coś poderwało się z pokładu. Śmigłowiec, mający wyszukać ławice tuńczyka dla statku-przetwórnicy. Tuck ściągnął drążek, ale śmigłowiec wzbijał się dokładnie na jego kursie. Nie miał nawet czasu włączyć radia, żeby ostrzec pilota. Wprowadził leara w ciasny zwrot, jednocześnie zwiększając wysokość, i śmignął obok helikoptera, tak blisko, że zobaczył szeroko otwarte oczy pilota. Dostrzegł sylwetki wygrażające mu pięściami z pokładu statku.

- Iiii-haaa! - krzyknął (zwyczaj, który przejął w teksańskich barach dla kowbojów; a co, może to nie było kowbojskie latanie?). Przywrócił odrzutowiec na właściwy kurs i wyrównał lot na sześćdziesięciu metrach. Wciąż leciał niebezpiecznie nisko i spalał paliwo cztery razy szybciej niż na pułapie przelotowym, ale do diabła, każdy facet musi się czasem zabawić. To nie on płacił za paliwo, a gdy pracował dla Mary Jean, rzadko miał okazję polatać na niskim pułapie. Ludzie na ziemi mają zwykle kłopot z zapamiętaniem oznaczeń samolotu, by złożyć doniesienie do FAA, trudno jednak zapomnieć różowy odrzutowiec.

- Co to, u diabła, było? - W wejściu do kokpitu stanęła Beth Curtis. - Dlaczego lecimy tak nisko?

Tucka ogarnęła fala paniki, zupełnie jakby przyłapano go z papierosem w toalecie dla chłopców, ale nie miał dość refleksu, by wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. Powiedział:

- Jeśli nie surfowałeś learjetem, to jakbyś wcale nie surfował.

Ku jego szczeremu zdumieniu, Beth Curtis wykrzyknęła

- Super!

I przypięła się do fotela drugiego pilota.

Tuck uśmiechnął się i obniżył lot do piętnastu metrów. Kobieta klasnęła w dłonie jak podekscytowane dziecko.

- Ale fajnie!

- Nie możemy tak lecieć zbyt długo. Za duże spalanie.

- Jeszcze trochę, dobra? Uśmiechnął się.

- Może jeszcze pięć minut. Wyżej możemy złapać wiatr w ogon, dzięki któremu zaoszczędzimy czas i paliwo.

- Właśnie to robił pan tej nocy, kiedy się pan rozbił?

Skrzywił się.

- Nie.

- Zrozumiałabym, gdyby tak. Ale jazda! - Wyciągnęła rękę i czule złapała go za ramię. - Coś pięknego. Jak mógł pan pozwolić mi to przespać?

- Możemy jeszcze posurfować w drodze powrotnej - powiedział.

W tym momencie zrezygnował ze swojego postanowienia. Chciał ją zapytać o nocną muzykę i wybuchy. Chciał zapytać o notes Jeffersona Pardee, który nosił w tylnej kieszeni, ale nie chciał burzyć nastroju chwili. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd jakaś piękna kobieta zwróciła na niego uwagę, i poddał się temu jak ćpun na głodzie.

X

- Przykro mi - powiedziała - ale musi pan poczekać tutaj.

Zabrała walizkę i chłodziarkę z tylnej części samolotu, po czym spotkała się na pasie z Japończykiem w ciemnym garniturze. Obok grzał silniki drugi lear, a kilku robotników w kombinezonach czekało przy dużym kartonowym pudle.

Tuck patrzył, jak Beth Curtis oddaje chłodziarkę ternu w garniturze, który następnie pobiegł do czekającego leara. W ciągu kilku chwil drzwi się zatrzasnęły i samolot pokołował na pas. Drugi facet w garniturze podał kobiecie grubą szarą kopertę. Beth wsunęła ją do walizki. Odwróciła się i pobiegła z powrotem do maszyny. Wsiadła do kokpitu i postawiła walizkę za fotelem drugiego pilota.

- Zaraz wrócę, maks dziesięć minut. Muszę dopilnować, żeby nie uszkodzili mi telewizora.

- Telewizora?

- Trzydziestodwucalowy trinitron - wyjaśniła z śmiechem. - Zamiast tego, którego pan teraz używa.

- Ja chcę trzydziestodwucalowego trinitrona - powiedział, ale ona już wyszła.

Wyrzał przez okno, by się upewnić, że jest zajęta telewizorem, po czym wyciągnął walizkę zza jej siedzenia i odpiął zatraski. Zdziwił się, że nie jest zablokowana. Wyjął szarą kopertę. Pod spodem leżał mały pistolet samopowtarzalny. Mógł go wziąć, ale co dalej? Przystawić go Beth do głowy, aż wyzna, co właściwie robią? No i co? Badania? Żadne prawo tego nie zakazuje. Zostawił pistolet nietknięty i otworzył kopertę.

Nie był pewien, co spodziewał się w niej znaleźć. Notatki naukowe, obligacje, akcje, gotówkę - na pewno *cos*, co rzuciłoby trochę światła na tajemnicze zachowanie kobiety i doktora. A znalazł cztery numery magazynu „People” i cztery numery „Us”. Beth Curtis przemyślała z Japonii junerykańską prasę i tyle.

Włożył kopertę z powrotem do walizki, którą wsunął za fotel, a potem wyciągnął z kieszeni notes Jeffersona Pardee. Może w środku znajdzie jakąś wskazówkę co do tego, w jaki sposób notes trafił na plażę jakieś siedemset mil od miejsca, gdzie powinien przebywać jego właściciel.

Przerzucił strony, na których Pardee zapisał numery telefonów, daty i jakieś notatki, ale rozpoznał jedynie własne imię, nazwiska Sebastiana Curtisa i jego żony, a także słowo „Learjet” i dalej: „Po co? Jak? Kto zapłacił?”, a także: „Znaleźć tamtego pilota”. Pardee najwyraźniej zadawał sobie te same pytania, które krążyły po głowie Tucka, ale o co chodziło z „tamtym pilotem”? Czyżby Pardee przybył na Alualu w poszukiwaniu odpowiedzi? A jeśli tak, to gdzie teraz był?

- Co to? - spytała Beth Curtis, wchodząc do kokpitu.

Tuck zamknął notes i wsunął go do tylnej kieszeni spodni.

- Notatki z lotów. Przywykłem do prowadzenia dziennika dla FAA. Pewnie wziąłem go z przyzwyczajenia. - Gdy tak kłamał, niemal wpadł w panikę. Jeśli Beth spyta, gdzie miał notes na początku, będzie ugotowany. Może lepiej doprowadzić do konfrontacji tutaj, w Japonii, dopóki wiedział, gdzie jest pistolet.

- Nie wiedziałam, że pilot ma jakąś papierkową robotę. - odpowiedziała.

- Więcej, niż się pani wydaje - odrzekł. - Ciągłe się uczyć tego samolotu. Zapisuję rzeczy, które muszę zapamiętać, wie pani, prędkość wznoszenia, ciśnienie gazów wylotowych, zużycie paliwa na różnych pułapach, te sprawy. - Właśnie pomyślał. Zbij ją z tropu stekiem pierdoł.

- A - powiedziała tonem, który wziął za obojętność, dopóki nie sięgnęła za fotel, by wyjąć walizkę.

Wstrzymał oddech, czekając, aż pojawi się pistolet. Wyciągnęła egzemplarz „People” i rozłożyła go sobie na kolanach. Nie odrywała wzroku od pisma, aż znaleźli się nad Pacyfikiem.

- Wie pan, ostatnio rzadko pana widzujemy. Może dziś wieczorem przyjdzie pan do nas na kolację. - Znowu wczuła się w osobowość kury domowej z lat pięćdziesiątych.

Tuck rozmyślał o notesie dziennikarza i miejscu, w którym go znalazł. Tej nocy chciał wrócić do wioski. Jeśli Pardee przybył na Alualu, to może stary wódz coś o tym wiedział.

- Jestem trochę zmęczony. Wystartowaliśmy bardzo wcześnie. Chyba raczej zjem coś na szybko u siebie i się położę.

Ziewnęła.

- No to może jutro. Około siódmej. Możemy wypróbować mój nowy telewizor.

- Dobry pomysł - odparł. - I tak jest parę spraw, które chciałbym omówić z panią i z doktorem.

- Świetnie - powiedziała. - Myślę, że powinniśmy spędzać razem więcej czasu. A teraz niech mi pan wytłumaczy co oznaczają te wskazówki.

CO TO JEST NERKA?

Prywatność to na małych wyspach rzadki luksus, a sekrety bardzo ciężą ich powiernikom. Malink był wyczerpany ciężarem zbyt wielu tajemnic. Gdyby tylko mógł iść do kręgu i uwolnić się od nich, pozwolić, by kokosowy telegraf poniósł jego sekrety aż na krawędzie wyspy poczułby się lżej. Ale nic z tego. Teraz tajemnice same do niego przychodziły, nawet od starego ludożercy.

Stał z Sarapulem i Kimim, przyglądając się dwudziestopięciometrowemu drzewu chlebowemu o pniu tak grubym, że nie dało się go objąć. Kimi trzymał siekiere na ramieniu, tkając na osąd Malinka.

- Po co takie duże? - spytał wódz. - To drzewo zrodzi jeszcze wiele owoców.
 - To jest dobre drzewo - odparł Sarapul. - Nawigator je wybrał.- Posadzimy w tym miejscu dziesięć drzew - powiedział Kimi - ale to jest właśnie to.- Po co wam takie duże drzewo?- Nie mogę powiedzieć - odrzekł Sarapul.- Powiesz albo nie pozwolę go ściąć.
 - A jeśli powiem, obiecujesz, że nikomu nie powtórzysz? Malink westchnął. Jeszcze jedna tajemnica.- Nikomu.- Chodź. Pokażemy ci.

Sarapul poprowadził wodza przez dżunglę w miejsce, gdzie wśród zarośli leżała sterta suchych palmowych liści. Malink oparł się o drzewo, gdy stary ludożerca odgarnął liście, ukazując dziób czółna. I to nie było jakiego, tylko dwunastometrowego, na którym mocowano żagiel. Malink nie widział czegoś takiego, odkąd był małym chłopcem.

- Dlatego potrzebujemy drzewa - powiedział Malink. - Ukrywałem je tu przez wiele lat, ale kadłub zgnił i musimy je naprawić.

W wodzu drgnęła jakaś struna, gdy zobaczył wielkie oko wymalowane na dziobie. Struna z czasów, których nie pamiętał - gdy jego lud żeglował przez tysiące mil dzięki oku czółna i przewodnictwu wielkich nawigatorów. Zapomniana sztuka. Pokręcił głową.

- Nikt już nie wie, jak zbudować łódź z żaglem, Sarapulu. Jesteś tak stary, że nie przypominasz sobie tego, co zapomniałeś.

- On może to zrobić - oznajmił starzec, wskazując Kimiego -Kimi się uśmiechnął.

- Ojciec mnie nauczył. Był wielkim nawigatorem z Satawan.

Malink uniósł szpakowate brwi.

- To stąd znasz nasz język?
- Mogę naprawić łódź. I mogę nią popłynąć.
- Uczy mnie - dodał Sarapul.

Wódz poczuł, że drganie struny w jego wnętrzu przeradza się w ekscytację. Nie czuł czegoś podobnego, odkąd pojawił się Vincent. Ten sekret nie ciążył mu, wprost przeciwnie. Był jednak wodzem i godność nie pozwalała mu drzeć się z radości wniebogłosy.

- Możecie ściąć drzewo, ale pod jednym warunkiem.
- Nie możesz nikomu powiedzieć - przerwał mu Sarapul.
- Nikomu nie powiem. Ale kiedy naprawicie łódź, musicie nauczyć jednego z młodych, jak być nawigatorem. - Popatrzył na Kimiego. - Zrobisz to?

Kimi skinął głową.

- Masz swoje drzewo, starcze - oznajmił Malink. - Nikomu nie powiem. - Odwrócił się i lekko chwiejnym krokiem oddalił się ścieżką.

Kimi zawołał za nim:

- Słyszałem, że mój przyjaciel pilot był wczoraj w nocy w wiosce!

Wódz się odwrócił. Najwyraźniej kokosowy telegraf docierał nawet do Sarapulowego zakątka wyspy.

- Pytał o ciebie. Powiedział, że wróci.
- Miał ze sobą nietoperza?
- Nie miał - odparł Malink. - Przyjdź dziś w nocy do kręgu. Może się zjawi.
- Nie mogę - odrzekł Kimi. - Chłopcy z domu kawalerów mnie nienawidzą.
- Nienawidzą mężczyzny-dziewczyny - powiedział wódz - a nie nawigatora. Przyjdź.

Po pożywnej kolacji z brzoskwini z puszki i kawy rozpuszczalnej Tuck sprawdził ustawienie strażników, zgasił światło i ułożył pod moskitierą swojego zastępcę z głową z kokosa. Robił to dopiero drugi raz, a już wszystkie czynności wydały mu się rutynowe. Nie było w nim ani krztyny tej nerwowości czy niepokoju, co poprzedniej nocy, gdy czołgał się poniżej linii okien do łazienki i wyjmował metalowy brodzik.

Opuścił się przez otwór i już sięgał po maskę i pletwy, gdy rozległo się pukanie do drzwi i zamarł.

Usłyszał, że drzwi się otwierają, a Beth Curtis woła:

- Panie Case, już pan śpi?!

Nie mógł pozwolić, by zobaczyła kukłę w jego łóżku.

- Jestem w łazience. Chwileczkę.

Chwytał krawędź otworu po brodziku i podciągnął się do łazienki. Metal opadł na swoje miejsce z takim odgłosem, jakby Cynowy Drwal próbował się wydostać z kubła na śmieci-

Usłyszał, że Beth Curtis podchodzi do drzwi łazienki.

- Nic się panu nie stało?

- W porządku - odparł. - Upuściłem tylko mydło. - Złapał kostkę mydła z umywalki i położył ją w brodziku, po czym otworzył drzwi łazienki.

Beth Curtis stała tam w długim czerwonym kimonie z jedwabiu, które było lekko rozchylone i ukazywało wąski kanion białej skóry aż do pępka. Cokolwiek Tuck chciał powiedzieć, zapomniał.

- Sebastian prosił, żeby przyniosła panu to. – Podała mu czek.

Wziął go, odrywając wzrok od jej dekoltu.

- Pięć tysięcy dolarów. Pani Curtis, to naprawdę więcej, niż mógłbym oczekiwać.

- Zasłużył pan. Był pan bardzo miły, że zechciał mi pan wytłumaczyć działanie wszystkich instrumentów. - Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a ciepły nacisk jej warg na jego skórę trwał odrobinę zbyt długo.

Tuck wyobraził sobie, jak język wwierca mu się w czaszkę i liże ośrodek przyjemności w jego mózgu. Czuł zapach jej perfum, głęboki i piżmowy, jego wzrok zaś spoczął na jej piersiach, całkowicie odsłoniętych, gdy się pochyliła. Zupełnie jakby patrzył na palnik acetylenowy, ten kremowy, pudrowany obraz miał pozostawać w polu jego widzenia całymi godzinami.

- To wielka hojność - stwierdził - ale to mogło poczekać. I tak nie mam gdzie wydać tych pieniędzy.

- Wiem. Po prostu chciałam panu jeszcze raz podziękować. Osobiście, nie w obecności Sebastiana. I pomyślałam, że może wytłumaczy mi pan więcej szczegółów o pilotowaniu odrzutowca. To wszystko jest takie ekscytujące.

Nigdy nie cechował się silną wolą, więc połączeni bodźców wzrokowych, zapachu i pochlebstwa uruchomiło w nim automatyczny system uwodzenia. Zerknął na łóżko i mechanizm się wyłączył. Reakcję seksualną zastąpiła kukła, kręcąca kokosową głową. Znowu na nią popatrzył i skupił się na

oczach, ale tylko na oczach.

- Może jutro - powiedział. - Jestem naprawdę padnięty. Chciałem właśnie wziąć prysznic, a potem spać.

Jej uśmiech na chwilę zniknął, a usta zacisnęły się w czerwoną kreskę, jednak równie szybko uśmiech pojawił się znowu i Tuck nie był pewien, czy mu się nie zdawało.

- No to do jutra - odrzekła, poprawiając kimono z przodu, jakby dopiero teraz zauważyła, że się rozsunęło. - Czekamy o siódmej. - Odwróciła się do drzwi i wychodząc, pomachała mu jak na paradzie, znowu w roli ślicznotki z czasów Eisenhowera.

Gdy już wyszła z bungalowu, Tuck podbiegł do łóżka i podniósł zielony kokos.

- O co, do diabła, chodziło?
Kokos nie odpowiedział.

- Dobra - powiedział Tuck, kładąc go z powrotem na łóżku. - Nie jestem pod wrażeniem. Nie jestem wstrząśnięty. Ani zmieszany. Dziwne sprawy to moja specjalność.

Gdy to mówił, zdrowy rozsądek zaczął wysyłać mu ostrzeżenia, ale dwa pragnienia, alkoholu i kobiety, szarpały go od środka jak wędkarskie haczyki. Zgasił światło i pozwolił by pragnienia wyprowadziły go przez otwór w łazience ku oświetlonemu promieniami księżycą morzu.

Czterdzieści minut później zajął miejsce w kręgu mężczyzn z plemienia Rekinów. Wódz Malink wstał i mocno klepnął go w plecy.

- Cześć, przyjacielu. Fajnie, że wpadłeś.

- Nie wpadłem, tylko celowo zaszedłem - odparł Tuck. Trzymał tę odpowiedź dla kierowców ciężarówek i kowbojów, którzy używali tego sformułowania, zastanawiał się jednak, gdzie usłyszał je Malink. - Ale jestem lekko padnięty.

Gruby młodzieniec o imieniu Vincent nalał trunek i z uśmiechem podał Tuckowi kokosowe naczynie. Pilot z początku sączył nieśmiało, by nie zakrztusić się pierwszym łykiem, a potem jednym haustem połknął kokosowy napitek i zacisnął zęby, by ciecz nie wróciła.

Starsi mężczyźni byli najwyraźniej w świątecznym nastroju, przekrzykiwali się w swoim narzeczu, ale Tuck zauważył, że młodsi wyglądają na przygnębionych i wbijają palce nóg w piasek jak mali naburmuszeni chłopcy. - Coście tacy ponurzy, chłopaki? Ktoś wam psa zabił czy jak?

- Nie - odparł Malink, niezupełnie rozumiejąc pytane. - Dzisiaj jemy zółwia.

Widocznie zabicie psa oznacza tu coś innego niż w Teksie, uświadomił sobie Tuck. Malink zauważył jego zdziwienie.

- Oni smutni, bo Kapłanka Nieba wybrała dziewczynę z domu kawalerów i teraz jej długo nie

będzie.

- Z domu kawalerów?

- Dziewczyna, za którą wczoraj szedłeś, służy kawalerom.

- Przykro to słyszeć, chłopaki - powiedział Tuck, jakby miał jakiegokolwiek pojęcie, o co chodzi ze służeniem kawalerom i wybieraniem. Uznał, że może to mieć coś wspólnego z napięciem przedmiesiączkowym. Kiedy kobieta stawiała się nie do zniesienia z powodu skurczów Kapłanki Nieba zamykali ją w specjalnej „wybranej” chacie, dopóki się nie uspokoi. - Wybrała ją Kapłanka Nieba, tak? No to kiepsko. Próbowaliście dawać jej czekoladę? To czasem łagodzi napięcie.

- Damy jej specjalną *tubę*, jak przyjdzie - powiedział Malink.

- Gówniany smak! - zaśpiewało kilku mężczyzn.

Abo, ten gniewny, powiedział:

- Ja wybrany, a teraz Sepie wybrana. Ożenię się z nią. Paru innych młodzieńców wyglądało na niezbyt zachwyconych tym oświadczeniem.

- Daj spokój, stary - powiedział Tuck. - Może przydałaby ci się mała terapia, ale nie jesteś wybrany.

- Jestem - upierał się Abo. - Patrz. - Odwrócił się plecami do pozostałych i przeciągnął palcem po długiej różowej bliźnie, która przebiegała ukośnie przez jego żebra. - Kapłanka Nieba wybrała mnie dla Vincenta w czasie dojrzałych owoców.

Tuck patrzył oszołomiony na szramę, z nadzieją że to, co mu przyszło do głowy, jest równie odległe od prawdy, jak teoria z napięciem przedmiesiączkowym.

- Kapłanka Nieba? To ta wczorajsza muzyka, cały ten hałas?

- Tak - potwierdził Malink. - Vincent przywozi ją swoim samolotem. Nigdy go nie widzimy, ale słyszymy.

- A kiedy ktoś zostaje wybrany, następnego dnia startuje odrzutowiec?

Wódz skinął głową.

- Dawno nikt nie był wybrany, aż Vincent przysłał cię, żebyś latał białym samolotem. Myśleliśmy, że Vincent na nas zły.

Tuck spojrzał na Abo, najwyraźniej zadowolonego, że wspiera go sam wódz. - Jak ktoś jest wybrany, to dokąd idzie?

- Do białego domu, gdzie mieszka Czarownik. Tam dużo maszyn.

- I co dalej? Co się dzieje w białym domu?

- Tajemnica.

Tuck przemierzył krąg i znalazł się twarzą w twarz z Abo.

- Co się tam dzieje?

Abo wydawał się przestraszony. Odwrócił głowę. Tuck popatrzył na innych mężczyzn.

- Kto jeszcze był wybrany?

Grubasek, który nalewał trunka, obrócił się, by pokazać bliznę na plecach.

- Jak się nazywasz, mały?

- Vincent.

- Mogłem się domyślić. Vincent, co się dzieje w białym domu?

Młodzieniec pokręcił głową. Tuck odwrócił się do Malinka. - Co? Wódz pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie byłem wybrany. Z ciemności dobiegł znajomy głos:

- Robią im tak, żeby spali.

Wszyscy się odwrócili, by ujrzeć Kimiego, idącego ścieżką z wioski. Stary ludożerca podążał za nim.

Abo warknął do Kimiego jakąś obelgą w swoim narzeczu. Kimi odszczeknął coś w tym samym języku. Tuck nie musiał znać tego języka, by wiedzieć, że kazał mu się odpierdolić.

- Kimi, nic ci nie jest?

Tuck ledwo poznał nawigatora. Chłopak miał na sobie niebieską przepaskę biodrową plemienia Rekinów i najwyraźniej nabrał trochę masy mięśniowej. Pilot był szczerze zachwycony, że się spotykają. Nawigator podbiegł do niego i zarzucił mu ręce na szyję. Tuck odpowiedział uściskiem.

Kilku młodszych mężczyzn stało i gromiło przybyłego wzrokiem. Ktoś kopnął jeden z dzbanów z *tubą*, ale zdawało się, że nikt nie zauważa trunku wypływającego na piasek.

- Kimi, wiesz, co tu się dzieje?

- Ładna biała kobieta z żółtymi włosami. Przychodzi zza płotu i zabiera dziewczynę. Zrobią tak, żeby spała, a jak się obudzi, będzie tu miała skaleczenie. - Przeciągnął palcem po plecach.

- Nie! - krzyknął Abo. przeskoczył nad przykucniętym Malinkiem, by dopaść Kimiego- Tuck odwinął się bez namysłu i prawym sierpowym przyłożył mu w szczękę. Abo stracił równowagę;

wylądował na plecach. Tuck potarł rękę. Tamten próbował dźwignąć się na nogi i Malink wydał jakieś polecenie dwóm młodym Vincentom. Z ociąganiem przytrzymali przyjaciela.

- Pilota przysłał Vincent - przypomniał im wódz. Tuck odwrócił się do Kimiego.

- Co się dzieje później?

- Jesteś mi winien pięćset dolara.

- Dostaniesz je. Co się dzieje później?

- Wybrany musi wiele dni leżeć w łóżku. Przyczepiają im rurki i wszystko boli. Potem wracają.

- To wszystko?

- Tak - potwierdził nawigator. Malink wstał i zwrócił się do Kimiego.

- Skąd to wiesz?

Kimi wzruszył ramionami.

- Sepie mówiła.

Wódz odwrócił się do Abo, który przestał się szamotać i wydawał się przerażony.

- Obiecała, że nie powie. Mężczyzna-dziewczyna rzucił na nią zaklęcie.

Tuck stał, pocierając kolana i patrząc na tę małą operę tropikalną. Czuł się tak, jakby ktoś zapalił światło i przyłapał go na francuskim pocałunku z pełnym robaków trupem. Chłodziarka, chirurgiczny strój, loty bez uprzedzenia, drugi odrzutowiec czekający na lotnisku w Japonii, strażnicy, tajemnice, pieniądze. Jak mógł być tak cholernie głupi Malink miotał tubylcze przekleństwa do Abo, który wyglądał tak, jakby lada chwila miał zalać się łzami.

- Wy głupie kutasy! - wrzasnął Tuck.

Malink umilkł.

- Sprzedaje wasze nerki. Doktor wycina wam nerki i sprzedaje je w Japonii.

Sensacyjna wiadomość nie wywarła wrażenia, jakiego się spodziewał. Właściwie tylko on sam wydawał się przejęty.

- Słyszycie, co mówię?

Malink wyglądał na lekko zmieszanego.

- Co to jest nerka?

CZEŚĆ TRZECIA

KOKOSOWY ANIOŁ

RAZEM W ŁÓŻKU

Tuż przed świtem Tuck przeczołgał się przez dno prysznicza niczym stęskniony za domem karaluch, wypełził z łazienki, przelazł pod moskitierą i wśliznął się do łóżka. Miał do zrobienia parę rzeczy, wielkich rzeczy, ważnych, może nawet niebezpiecznych, ale nie miał pojęcia, jakich właściwie, a był zbyt zmęczony i pijany, by się nad tym teraz zastanawiać. Próbował, naprawdę próbował przekonać mężczyzn z plemienia Rekinów, że doktor i jego żona robią im potworne rzeczy, ale wyspiarze zawsze mieli tę samą odpowiedź: - Tego chce Vincent. Vincent o nas zadba. Do diabła z nimi, pomyślał. Głupie gnojki same na to zasłużyły.

Odwrócił się i odepchnął kukłę z głową z kokosa. Kukła też go odepchnęła.

Wyskoczył z łóżka, zaplątał się w moskitierę i runął na tyłek jak ktoś cofający się przed wężem.

A kukła usiadła.

Tuck nie widział twarzy w blasku przedświtów sącącym się do bungalowu, jedynie sylwetkę, cień za moskitierą. A cień nosił wojskową czapkę.

- Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, co myślisz, bo daję sześć do pięciu, że wiem.

Akcent jak z filmu grupy Bowery Boys. Tuck rozpoznał ten głos. Słyszał go w głowie, słyszał go w słowach gadającego nietoperza, a także dwa razy z ust młodego lotnika.

- Naprawdę?

- Tak. Myślisz: „Hej, nigdy nie chciałem zastać w swoim łóżku faceta, ale jak już musi być w nim facet, to właśnie ten”, nie?

- Nie to myślałem.

- No to trzeba było przyjąć zakład, dupku.

- Kim jesteś?

Lotnik odrzucił moskitierę w tył i cisnął coś przez pomieszczenie. Tuck skulił się, gdy z łoskotem wylądowało na podłodze obok niego.

- Podnieś.

Tuck ledwo dostrzegał przedmiot połyskujący przy jego kolanie. Podniósł coś, co miało kształt i wagę zapalniczki-

- Przeczytaj, *co* tam jest napisane.

- Nie mogę. Jest ciemno.

Zobaczył, że tamten smętnie kręci głową.

„Wiesz, widziałem na wojnie faceta, który zaliczył pocisk w głowę mniej więcej na wysokości czapki. Lekarze wycięli kawałek stali, popukali młotkiem i przynitowali mu to do dyni. Uratowali mu życie, ale od tego dnia koleś nie robił nic, tylko chodził w kółko, trzepał kapucyna i śpiewał: „Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa, wiosłuj”. Musieli mu przyczepić do rąk rękawice kucharskie, żeby sobie nie zdarł skóry. Nie mówię, że koleś nie umiał się zabawić, ale kompan do rozmowy był z niego taki sobie, jeśli wiesz, o czym mówię.

- Piękna historia - stwierdził Tuck. - Po co mi ją opowiadasz?

- Bo ten facet ze stalowym łbem, który trzepał kapucyna, był przy tobie geniuszem. Zapal pieprzoną zapalniczkę, dupku.

- A - powiedział Tuck, otworzył zapalniczkę i pstryknął pokrętłem. W blasku płomienia odczytał wygrawerowany napis: VINCENT BENNIDETTI, KAPITAN U.S.A.F.

Tuck znowu popatrzył na lotnika, wciąż ukrytego w cieniu, mimo że reszta pomieszczenia zaczęła już jaśnieć.

- Ty jesteś Vincent?

Cień ukłonił się lekko.

- Niezupełnie z krwi i kości, ale do twoich pieprzonych usług.

- Vincent od Malinka?

- Zgadza się. Dałem wodzowi oryginał tej zapalniczki.

- Mogłeś od razu powiedzieć. Po co ten cały dramatyzm?

Tuck cieszył się, że ma lekko w czubie. Nie odczuwał strachu. Może to dziwne, ale czuł się bezpiecznie. Ten facet - ta istota, ten duch - w zasadzie uratował mu życie Dwa razy, a może nawet trzy.

- Mam swoje zadania, młody, i ty też.

- Zadania? - Teraz Tuck się przestraszył. Była to reakcja warunkowa.

- Tak, więc kiedy wstaniesz, nie pakuj się do gabinetu doktora z żądaniem odpowiedzi. Idź popływać. Ochłoń.

- Popływać?

- Tak, popłyn na koniec rafy i oddal się od wioski o jakieś pięćset metrów. Uważaj na rekiny poza rafą.

- Po co?

- Facet pojawia się znikąd w środku nocy, wstawia ci różne mistyczne kity, a ty pytasz, po co?

- Tak. Po co?

- Bo ja tak mówię - odparł Vincent.

- Mój tata zawsze tak gadał. Jesteś duchem mojego taty?

Mroczny kształt plasnął go w czoło.

- Powtarzaj za mną, i nie kombinuj. Trzy, cztery... „Razdwa, raz-dwa, raz-dwa...”.

- Czekaj - powiedział Tuck. - Muszę wiedzieć więcej.

- Bądź cwany, młody. Wiesz mniej, niż ci się wydaje. - Ale...

- Jesteś mi coś winien.

Dwaj uzbrojeni ninja podążali za Tuckiem do wody. Obserwował ich, wypatrując oznak działania mikrofal po ostrzale z radaru, nie był jednak pewien, jakie miałyby to być oznaki. Czy bardzo by się wzdęli, a może nawet eksplodowali bez zrobionych widelcem otworów, które dałyby ujście wewnętrznemu ciśnieniu? Byłoby super. Może zasnąłoby na plaży i obudzili się sto razy więksi, żądni walki z Godzillą, podczas gdy małe ludziki, poruszające ustami niezależnie od wypowiedzanych słów, miałyby się w płonących ruinach poniżej? (W japońskich filmach takie

rzeczy zdarzały się bez przerwy, nie?). To by było dla nich za dobre.

Włożył płetwy i uklonił się ochroniarzom, cofając się do wody.

- Oby wasze jaja skurczyły się jak rodzyнки - powiedział z uśmiechem.

Uklonili się w odpowiedzi, bardziej odruchowo niż z szacunku.

Koniec rafy, a potem pięćset metrów wzdłuż brzegu. Ninja dostaną szału. Nigdy nie wypłynął na oceaniczną stronę rafy. Wewnątrz woda w kolorze akwamaryny była ciepła i czysta, zawsze widział dno, a ryby wydawały się, jeśli nie przyjazne, to przynajmniej niegroźne. Ale od strony oceanu, za linią fal, woda miała ciemną, kobaltową barwę, i była głęboka niczym nocne niebo. Kolorowe rybki z rafy wyglądają pewnie jak cukierki M&M przy drapieżnikach z ciemnych wód, pomyślał Tuck. Zewnętrzna krawędź rafy to deserowy półmisek pełen potworów.

Poruszając wolno nogami, odpłynął od rafy, pozwalając by słaby prąd poniósł go, podczas gdy on patrzył na śmigające wokół wielobarwne ogniwa łańcucha pokarmowego Rogatnica, pomalowana w brązy i błękity, która bardziej pasowała do pustyni, obgryzała odnóża kraba, podczas gdy mniejsze rybki śmigają dookoła, porywając unoszące się w wodzie strzępki mięsa. Podciągnął się i popatrzył na jedyną widoczną wyrwę w rafie, ciemnoniebieski kanał, po czym skierował się w tamtą stronę. Musiał się tamtędy przedostać i przepłynąć pięćset metrów z tamtej strony, bo inaczej, gdyby próbował płynąć nad rafą, załamujące się fale cisnęłyby nim o koral.

Zanurzył twarz i wypłynął z kanału, aż dno zniknęło, a potem, gdy znalazł się poza linią morskiej piany, skręcił i popłynął równoległe do rafy. Kojarzyło mu się to z pływaniem w powietrzu na krawędzi kanionu. Widział zbocze rafy, sięgające pięćdziesiąt metrów w dół, gdzie rozmywało się w niebieskiej plamie. Próbował trzymać się rafy, a jego wzrok ślizgał się po koralowcach, ukwiałach, ślimakach morskich, murenach, które stanowiły coś w rodzaju wizualnych punktów podparcia, po lewej bowiem nie miał żadnego odniesienia, nic, z wyjątkiem niebieskiej pustki. Kiedy tam patrzył, czuł się jak dziecko, czekające przy oknie na obcą twarz, tak przerażone, że każdy kształt, ruch czy gra światła stawały się czystą grozą. Dostrzegł jakiś błysk przy krawędzi maski i odwrócił się gwałtownie, by ujrzeć jedynie nieszkodliwą, zieloną papugorybę, pożywiającą się koralowcem. Wciągnął haust wody do zanurzonej rurki i zakrztusił się-

Przez całą minutę unosił się niczym topielec, zanim znowu mógł oddychać i płynąć wzdłuż rafy, tym razem zdając się na wiarę. Czymkolwiek, kimkolwiek, był Vincent, uratował mu życie i wiele wiedział. Nie zadałby sobie trudu tylko po to, by teraz Tucka pożarły barakudy.

Odliczał swoje „punkty podparcia”, próbując ocenić pokonaną odległość. Musiał odpłynąć dalej, by zobaczyć wyspę za falami i wykorzystać brzeg jako punkt odniesienia. Zresztą to, co znajdowało się nad powierzchnią wody, nie miało znaczenia. To był obcy świat, a on był w nim nieproszonym gościem.

Kolejny błysk, ale tym razem Tucker pokonał panikę. Blask słońca na czymś metalowym na zboczu rafy, mniej więcej dziesięć metrów pod wodą. Obok coś kołysało się pod wpływem ruchów wody. Odpoczął chwilę, zaczerpnął tchu i zanurkował, po czym wyciągnął rękę po przedmiot, gdy tylko

poznał, co to takiego: wojskowy nieśmiertelnik na srebrnym łańcuszku. Pomknął ku powierzchni, gdzie unosił się przez chwilę na falach i przeczytał: SOMMERS, JAMES W. James Sommers był prezbiterianinem, zgodnie z tym, co napisano na blaszce. Tuck nie był przekonany, że warto było przepłynąć sto metrów, by znaleźć nieśmiertelnik. Pod wodą został jednak jeszcze strzęp materiału. Pilot dobrze mu się nie przyjrzał.

Wcisnął nieśmiertelnik do wewnętrznej kieszonki w kąpielówkach i znowu zanurkował. Dopłynął do kawałka tkaniny, zatykając nos i dmuchając dla wyrównania ciśnienia w uszach, a powietrze w płucach próbowało wypchnąć go na powierzchnię, z dala od zdobyczy. Była to bawełna z jakimś wzorkiem. Złapał za tkaninę, a jej część oderwał się i została mu w dłoni. Znowu pociągnął, ale materiał zaczepił się o szczelinę w rafie. Szarpnął mocniej i materiał puścił, odsłaniając coś białego. Bez tchu pomknął ku powierzchni i przyjrzał się tkaninie. Latające świnki. No pięknie. Narażał życie dla prezbiteriańskiego nieśmiertelnika i wzorku z latającymi świnkami.

Dał jeszcze jednego nurka i zobaczył, co tkwiło w szczelinie: ludzka kość miedniczna. Cokolwiek tam jeszcze było, woda to zabrała, ale ta kość zaklinowała się i została oczyszczona z ciała. Ktoś, kto nosił bokserki w latające świnki, stał się ogniwem łańcucha pokarmowego.

Powrót do kanału wydawał się dłuższy i wolniejszy, ale tym razem Tuck zapomniał o strachu przed tym, co mogło czyhać w niebieskich odmętach. Prawdziwe zagrożenie czaiło się na brzegu.

Jak przy kolacji wyrazić opinię, że twoi pracodawcy to mordercy i złodzieje organów? „Bądź cwany”, powiedział Vincent. Chyba wiedział o co chodziło.

43

GOTOWANE KUKIELKI

Niech pan wejdzie, panie Case. Sebastian jest na ganku. - Była ubrana w jedwabny kostium z głębokim dekoltem i spodniami o szerokich nogawkach, sznur pereł i dopasowane kolczyki. Włosy miała związane z tyłu białą satynową kokardą i poruszała się przed nim niczym symbol dobrej gospodyni domowej. - Co pan sądzi o pacyficznym homarze?

- Lubię - odparł Tuck, szukając u niej jakiejś oznaki, że wie ile on wie. Nie było żadnego nawiązania do jej wczorajszej wieczornej wizyty ani niczego, co mogłoby świadczyć, że go podejrzewa: - Mam wrażenie, że wykorzystuję sytuację, przychodząc na kolację z pustymi rękami - dodał. - Któregoś wieczoru muszę zaprosić panią i doktora do siebie.

- O, gotuje pan?

-Parę rzeczy. Moja specjalność to podpalana ryba.

- Danie akadiańskie?

- Nauczyłem się je przyrządzać w Teksasie.

- Czyli kuchnia tex-mex.

- No, przy flaszcze tequili faktycznie smakuje trochę lepiej.

Roześmiała się uprzejmym śmiechem gospodyni i spytała:

- Przynieść panu coś do picia?

- Pyta pani o coś „do picia” czy o jakąś ciecz?

- Przykro mi. To rzeczywiście ograniczenie, ale sam pan rozumie, być może trzeba będzie lecieć.

Na blacie, przy którym pracowała, stał duży kieliszek białego wina. Tuck zerknął na niego i powiedział:

- Ale przeprowadzanie operacji chirurgicznych na bańce to nie problem?

To było subtelne, pomyślał. Bardzo sprytne. Już nie żyję.

Oczy Beth Curtis zwięziły się, ale uprzejmy uśmiech nawet na chwilę nie zniknął z jej twarzy.

- Sebastianie! - zawołała. - Lepiej przyjdź, mój drogi- Pan Case chyba chce coś z nami omówić.

Sebastian Curtis wszedł przez drzwi balkonowe. Wydawał się wysoki i dostojny, siwe włosy miał zaczesane *a* tyłu, a opalona skóra ostro z nimi kontrastowała. Dla Tucka wyglądał jak jeden z facetów, których widuje się w jacht klubach, może model na emeryturze, szekspirowski aktor, który wreszcie skończył z rolami młodych książąt i kochanków, dojrzały i gotowy, by zagrać Cezara, Leara, czy może raczej Prospera, wygnanego czarodzieja z *Burzy*.

Tuck, nadal w pożyczonych ubraniach, workowatych, z podwiniętymi mankietami, czuł się jak żebrak. Z wysiłkiem starał się stłumić w sobie święte oburzenie, które zresztą było dla niego obcym uczuciem.

- Miło pana widzieć - powiedział doktor. - Beth i ja właśnie rozmawialiśmy, że jesteśmy bardzo zadowoleni z pańskiej pracy. Te loty znienacka to na pewno trudna sprawa.

- Pan Case właśnie sugerował, że powinniśmy kontrolować spożycie alkoholu - powiedziała Beth Curtis. - Na wypadek, gdybyśmy musieli wykonać nagłą operację chirurgiczną.

Jowialna mina zniknęła, niczym opadająca woalka.

- A jaką operację ma pan na myśli?

Tuck wbił wzrok w podłogę. Powinien był dokładniej to przemyśleć. Dotknął nieśmiertelnika w kieszeni. Zgodnie z planem miał rzucić go na biurko i zażądać wyjaśnień. Co się stało ze szkieletem właściciela blaszek? A skoro o tym mowa, co się stanie z Tuckerem Casem, jeśli rzuci im je w twarz? Mary Jean mówiła: „W negocjacjach zostawiaj sobie drogę wyjścia. Później zawsze możesz wrócić”.

Powoli, powiedział sobie w duchu Tuck.

~ Doktorze, niepokoją mnie te loty - odparł. - Powinienem wiedzieć, co przewozimy, na wypadek gdyby zatrzymały nas władze. Co jest w chłodziarce?

- Przecież mówiłem, że przewozi pan próbki badawcze.

- Jakie próbki? - Pora zagrać atut. - Nie polecę, dopóty się nie dowiem.

Sebastian Curtis posłał spojrzenie swojej żonie, po czym znów popatrzył na Tuckera.

- Chyba powinniśmy porozmawiać. - Odsunął i wskazał mu krzesło. - Proszę.

Tuck usiadł. Doktor odsunął krzesło również dla żony, a sam usiadł obok, po drugiej stronie stołu, naprzeciwko pilota.

- Jestem na Alualu od dwudziestu ośmiu lat.

-A co to ma do...

Curtis uniósł rękę.

- Proszę mnie wysłuchać. Jeśli chce pan odpowiedzi, musi pan przyjąć je w takim kontekście, w jakim ich udzielam.

- Dobrze.

- Mojej rodziny nie było stać na szkołę medyczną, więc skorzystałem ze stypendium Misji Metodystów, pod warunkiem, że po ukończeniu studiów będę dla nich pracował i pojedę tam, dokąd mnie wyślą. Wysłali tutaj. Byłem szczęśliwy i przepełniony Duchem Świętym. Miałem nieść Boga i medycynę poganom z Pacyfiku. Na wyspie nie było misjonarzy od drugiej wojny światowej, poza tym uprzedzono mnie, że mogę napotkać pozostałości wpływów katolickich, ale metodyści dość liberalnie podchodzą do głoszenia Słowa Bożego. Metodystyczny misjonarz pracuje z kulturą, którą zastał na miejscu. Ale nie zastałem tu społeczności katolików. Zastałem społeczność, która czciła amerykańskiego pilota i jego bombowiec.

- Kult cargo - wtrącił Tuck z nadzieją, że przyśpieszy wywód.

- Więc pan o nich wie. Tak, kult cargo. Najsilniejszy, o jakim słyszałem. Na szczęście dla mnie, nie

był oparty na nienawiści wobec białych, jak kulty cargo w Nowej Gwinei. Tutaj kochali Amerykanów i wszystko, co pochodziło z Ameryki. Brali ode mnie lekarstwa, narzędzia, które przywiozłem, jedzenie, lektury, wszystko, co im dawałem, z wyjątkiem, ma się rozumieć, Słowa Bożego. A ja byłem dla nich dobry. Tubylcy z tej wyspy są najzdrowsi na całym Pacyfiku. Po części z powodu izolacji, dzięki której choroby zakaźne do nich nie docierają, ale w pewnym stopniu to także moja zasługa.

- To dlatego nie pozwala im pan na najmniejszy kontakt z przybywającym statkiem?

- Nie, to tylko jeden z powodów, ale głównie chciałem trzymać ich z daleka od pokładowego sklepu.

- Czemu?

- Bo sklep oferował towary, których ja nie mogłem albo nie chciałem im dać, a przyjmował tylko pieniądze. Pieniądz stał się symbolem ich religii. Pewnej nocy usłyszałem w wiosce bębny, poszedłem tam i zobaczyłem wszystkie kobiety przykucnięte wokół ogniska. Trzymały drewniane miski z monetami na dnie. Miały naoliwione ciała i w transie machały głowami, a mężczyźni, w maskach przedstawiających twarze z amerykańskich banknotów, chodzili za nimi, kopulowali z nimi po kolei i śpiewali. Był to obrzęd płodności, który miał rozmnożyć monety w miskach, żeby mogli kupić więcej towarów ze statku.

- Brzmi to lepiej niż praca na etacie - stwierdził –*Tucki*

Curtis nie widział w tym nic śmiesznego.

- Myślałem, że *zakazując* im kontaktu ze statkiem, wypienię kult cargo, ale się nie udało. Mówiłem o Jezusie i cudach, których dokonał, o tym, że ich zbawi, a oni pytali czy go widziałem. Bo oni widzieli swojego zbawiciela. Pilot ocalił ich od Japończyków. A Jezus tylko powiedział że mają porzucić swoje *zwyczaje* i tabu. Chrześcijaństwo nie miało szans w tej konkurencji. Ale próbowałem dalej, zapewniając im najlepszą opiekę, jaką mogłem. Po kilku latach Misja Metodystów przysłała grupkę urzędników, żeby sprawdzili moje postępy. Obcięli mi fundusze i chcieli odesłać mnie do domu, ale postanowiłem zostać i bez ich pomocy robić, co się da.

- Bał się wyjechać - wtrąciła Beth Curtis. Sebastian spojrzał na nią tak, jakby zamierzał ją uderzyć.

- To nieprawda.

- Jasne, że prawda. Od lat nie ruszałeś się z *wyspy*. Zapomniałeś, jak żyć z prawdziwymi ludźmi.

- To są prawdziwi ludzie.

Choć obserwowanie, jak iluzja idealnej pary na jego oczach idzie z dymem, było całkiem zabawne, Tuck ugasił pożar.

- Learjet i sprzęt elektroniczny wart miliony. Nieźle pan sobie poradził bez finansowania, doktorze.

- Przykro mi. - Wydawało się, że mówi szczerze. - Próbowałem radzić sobie z tym, co zarabiali miejscowi na sprzedaży kopry, ale to nie wystarczało. Straciłem jednego z pacjentów, małego chłopca, bo nie miałem funduszy, żeby „przewieźć go do szpitala, który zapewniłby mu niezbędną opiekę. Jeszcze bardziej starałem się nawrócić tubylców, bo liczyłem, że może znajdę inną misję, która by nas sponsorowała, ale jak konkurować z Mesjaszem, z którym naprawdę rozmawiali?

Tuck nie odpowiedział. Sam rozmawiał z „Mesjaszem” i dał się przekonać.

Sebastian Curtis opróżnił kieliszek i mówił dalej.

- Wysyłałem listy do kościołów, fundacji i firm na całym świecie. Pewnego dnia na pasie startowym wylądował samolot i wysiedli z niego japońscy biznesmeni. Nie zamierzali sponsorować kliniki czysto charytatywnie, ale gdyby każdy sprawny mieszkaniec wyspy co dwa tygodnie oddawał krew, obiecali pomoc. Co dwa tygodnie samolot przylatywał i zabierał sto pięćdziesiąt litrów krwi. Za każdy litr dostawałem pięćdziesiąt dolarów amerykańskich.

- Jak pan namówił tubylców? Oddawałem krew. To nic przyjemnego.

- Tamci przylatywali samolotem, prawda? Samoloty to ważny element wierzeń tych ludzi.

- Jeśli nie można ich pokonać, lepiej się przyłączyć, tak?

- Samolotem zawsze przywozili coś dla tubylców. Ryż, maczety, garnki. Dostałem wszystkie potrzebne leki i mogłem sprowadzić materiały do budowy tego ośrodka.

Beth Curtis wstała.

- Oj, cudnie się słucha tej opowieści, ale chyba powinniśmy zjeść. Przepraszam.

Poszła do kuchni, gdzie coś gotowała w dużym garnku sięgnęła do drewnianej skrzyni na podłodze i wyciągnęła dwa duże, żywe homary. Morskie stwory machały odnóżami i antenami, szukając punktu podparcia. Beth Curtis przytrzymała je nad garnkiem i bawiła się nimi jak kukiełkami

- O, Steve, załatwiłeś nam pokój z jacuzzi. Wspaniale - powiedziała, udając homara po lewej.

- Tak, jestem bardzo romantyczny - odrzekła niższym głosem, potrząsając drugim skorupiakiem.

- Wejdzmy do wody. Muszę się odprężyć.

- O, jesteś cudowny. - Z tymi słowami wrzuciła homary do wrzątku.

Z garnka dobył się wysoki pisk, a kobieta podeszła do skrzyni po następną ofiarę.

- Beth, proszę.

- Próbuje tylko trochę rozluźnić atmosferę, Bastianie. Spokojnie.

Przytrzymała homara nad garnkiem, po czym spojrzała na Tuckera i zaczęła mówić:

- Mówi szalony doktor. Zawsze jest jakiś szalony doktor-megaloman. To tradycja.

Sebastian Curtis wstał.

- Przestań, Beth!

Przyjęła niemiecki akcent.

- Widzi pan, panie Bond, jeśli człowiek zbyt wiele czasu spędza sam na wyspie, to się zmienia. Traci wiarę. Zaczyna wymyślać sposoby na poprawę swojego losu. Moi współnicy z Japonii zgłosili się do mnie z pewną propozycją. Chcieli mnie wysłać na seminarium do San Francisco, żebym się podszkolił z transplantologii. Nie miałem już sprzedawać krwi za psie pieniądze. Zamierzali przysyłać mi konkretne zamówienia na nerki, a ja miałem dostarczać je w ciągu kilku godzin za okrągłe pół miliona za sztukę. Umierający człowiek wiele zapłaci za zdrową nerkę. W San Francisco poznałem kobietę, piękną kobietę. - Na chwilę Beth wypadła z roli, uśmiechnęła się i szybko ukloniła, po czym znowu zajęła się terroryzowaniem homara. - Przywiozłem ją tutaj, i to właśnie ona obmyśliła plan, jak skłonić tubylców do oddawania organów. Nie tylko piękna, ale i genialna, a do tego miała dyplom pielęgniarki chirurgicznej. Oczarowała tubylców swoimi obfitymi wdziękami - Beth obróciła homara tak, by miał dobry widok na jej dekolt - więc z radością zostawali dawcami nerek. Jestem bogatszy, niż mogłem sobie wymarzyć, a pan, panie Bond, musi zginąć. - Upuściła homara do garnka i zaniósła się diabolicznym śmiechem. Nagle umilkła i po chwili powiedziała: - Powinny być gotowe za jakieś dziesięć minut. Sałatki, panie Case?

Tuck nie był w stanie myśleć. W tym teatrzyku potępionych kryło się wyznanie o wycinaniu ludzkich narządów i sprzedawaniu ich jak zwykłego mięsa, a żona doktora najwyraźniej nie tylko nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia, lecz była wręcz wesolutka. Z kolei Sebastian Curtis oparł głowę o blat stołu, a gdy już podniósł wzrok, nie mógł spojrzeć Tuckowi w oczy. Minęła minuta niezręcznej ciszy. Beth Curtis miała taką minę, jakby czekała, aż ktoś krzyknie „Bis!”, podczas gdy nieszczęsny doktor zbierał myśli.

- Chcę, żeby zrozumiał pan jedno, panie Case. Ja... my nie moglibyśmy opiekować się tymi ludźmi bez funduszy które dostajemy za to, co robimy. Inaczej w ogóle nie mieliby nowoczesnej opieki medycznej.

Tuck znowu rozmyślał, zastanawiając się, co może powiedzieć, a czego nie chce zdradzić. Nie mógł dać im do zrozumienia, że wie cokolwiek o plemieniu Rekinów a poza tym, jak sugerował Vincent, powinien dowiedzieć się więcej, zanim rzuci na stół nieśmiertelnik i notes. Doktor był najwyraźniej dość mocno przytłoczony sytuacją, a pani Curtis... cóż, pani Curtis najzwyczajniej budziła lęk. Musiał rozegrać to spokojnie. Sprowadzili go, bo myśleli, że jest równie pokrecony, jak oni. Nie powinien niszczyć tego wizerunku.

- Rozumiem - powiedział. - Szkoda, że nie przedstawili państwo sprawy bardziej otwarcie, ale chyba już rozumiem całą tę tajemniczość. Ale chcę wiedzieć jedno: czemu nie mogę pić, skoro wy

pijecie? Znaczący, skoro możecie przeprowadzać na cyku poważne operacje, to ja chyba mogę pilotować.

Beth odpowiedziała:

- Chcieliśmy pomóc panu w kwestii nadużywania alkoholu. Uznaliśmy, że jeśli będzie pan miał kontakt z osobami pijącymi, to po powrocie do domu może nastąpić u pana nawrót alkoholizmu.

- Bardzo miło z państwa strony - stwierdził. - Ale kiedy dokładnie mam wrócić do domu?

- Jak już skończymy - odparła.

Lekarz pokiwał głową.

- Tak, mieliśmy panu powiedzieć, ale chcieliśmy, żeby przywykł pan do rozkładu zajęć. Woleliśmy najpierw sprawdzić, czy nadaje się pan do tej pracy. Zamierzamy przeprowadzać operacje, aż uzbieramy sto milionów, a potem zainwestujemy je w imieniu tubylców. Dochody pozwolą nam kontynuować pracę, a plemię Rekinów będzie miało zapewnioną nieustanną opiekę.

Tuck się roześmiał.

- Jasne. Nic nie weźmiecie dla siebie. To wszystko z miłosierdzia.

- Nie, może stąd wyjedziemy, ale zostanie dosyć środków, żeby ktoś w nieskończoność prowadził klinikę i przysyłał żywność oraz zaopatrzenie. No i jeszcze premia dla pana.

- Proszę mówić - powiedział Tuck. - Słucham.

- Samolot. Uniósł brwi.

- Samolot?

- Jeśli zostanie pan z nami, aż skończymy pracę, przepiszemy samolot na pana. Plus pańska pensja i wszystkie premie, które pan uzbiera. Będzie pan mógł polecieć w dowolne miejsce na świecie i uruchomić firmę charterową, jeśli pan zechce. Albo sprzedać maszynę i żyć sobie wygodnie do końca swoich dni.

Tuck pokręcił głową. Ze wszystkich dziwnych rzeczy, które się dotąd wydarzyły, ta wydawała się najdziwniejsza, choćby dlatego, że doktor wydawał się taki szczery. Była to jedna z rzeczy, którą chciał usłyszeć przez całe życie, ale przekonywał sam siebie, że nigdy do tego nie dojdzie i wali mu Jearjeta.

Nie chciał tego robić, walczył ze sobą, napręzał się ale nie mógł się powstrzymać i zapytał:

- Dlaczego?

- Bo nie możemy zrobić tego bez pana. A jest to coś do czego nie dojdzie pan w inny sposób.

Poza tym wolimy pana zatrzymać niż tracić czas na szukanie innego pilota.

- A jeśli powiem „nie”?

- Sam pan rozumie. Poprosimy pana o opuszczenie wyspy z pieniędzmi, które już pan zarobił.

- I będę mógł tak po prostu odejść?

- Oczywiście. Jak pan wie, nie jest pan naszym pierwszym pilotem. Tamten postanowił spróbować szczęścia gdzie indziej. Z drugiej strony jemu nie złożyliśmy tej propozycji.

- Jak się nazywał? Doktor zerknął na żonę.

- Giordano, był Włochem. A co?

- Środowisko lotnicze nie jest zbyt liczne. Myślałem, że może go znam.

- A zna pan? - spytała pani Curtis.

-Nie.

Sebastian Curtis odchrząknął i zmusił się do uśmiechu.

- I co pan sądzi? Co by pan powiedział na własnego learjeta?

Tuck siedział wgapiony w otwartą butelkę wina, zastanawiając się co powiedzieć. Jaką odpowiedź nie tyle chcieli ile powinni usłyszeć, jeśli miał opuścić tę wyspę żywy. Wyciągnął rękę do lekarza.

- Myślę, że mają państwo pilota. Wypijmy za to.

W sypialni rozległ się dźwięk brzęczyka, a doktor i jego żona wymienili spojrzenia.

- Zajmę się tym - powiedziała Beth Curtis. Wstała i odłożyła serwetkę na stół. - Przepraszam, panie Case, ale mamy w klinice pacjentkę, która mnie wzywa. - Potem w ułamku chwili jej nastrój się zmienił. - Naciska ten brzęczyk tak często, jakby ktoś przyczepił jej go do łechtaczki.

Sebastian Curtis popatrzył na Tucka i przepaszająco wzruszył ramionami.

Gdy Tucker Case wrócił do swojego bungalovu, w jego wciąż nietrzeźwej głowie toczył się spór.

„Jestem gnojem. Powinienem był ich wysłać na drzewo”.

„Mogli cię zabić”.

„Tak, ale przynajmniej pokazałbym, że mam charakter. „Ze co? Bądźmy poważni”. „Ale jestem gnojem”.

„Wielka mi rzecz. Już wcześniej byłeś gnojem. A nigdy nie miałaś learjeta”.

„Naprawdę myślisz, że dadzą mi odrzutowiec?”. „To możliwe. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy”. „Ale powinienem coś z tym zrobić”.

Dlaczego? Całe życie nie robiłeś nic”. „Kiedyś musi być ten pierwszy raz”. Nie ma mowy. Bierz samolot”.

Jestem gnojem”.

„No, owszem, jesteś. Ale bogatym gnojem”.

Jakoś to przeżyję”.

Nieśmiertelniki i notes Jeffersona Pardee leżały na stoliku, grożąc wywołaniem kolejnej kanonady wątpliwości i oskarżeń. Tuck położył się na wiklinowej kanapie i włączył telewizor, by zagłuszyć hałas w swoim umyśle. Dwaj chudzi azjatyccy kick bokserzy prali się po pyskach na Filipinach. Na kanale malezyjskim pokazywano, jak oprawiać sznaucera. Program kulinarny skojarzył mu się z chirurgią, a chirurgia skojarzyła mu się z piękną dziewczyną z wyspy, dochodzącą do siebie po poważnej operacji, której mógł zapobiec. Zdecydowanie wołał kick boxing.

Zaczynał już wczuwać się w rytm przemocy, gdy nietoperz wleciał przez okno i wykonał niezgrabne, chwiejne lądowanie na jednej z krokwi. Tuck na chwilę stracił oddech, myśląc, że w jego domu właśnie pojawiło się dzikie zwierzę. A potem zobaczył okulary przeciwsłoneczne.

Roberto zawisł głową w dół, lekko się kołysząc.

Pilot westchnął.

- Proszę, bądź dziś tylko nietoperzem w okularach. Proszę.
Na całe szczęście, nietoperz nic nie powiedział. Okulary zsuwały mu się z nosa.

- Latasz w nich? - spytał Tuck.

- To model lotniczy.

- Oczywiście.

Zwierzak rzeczywiście zmienił okulary w rogowej oprawie na lotnicze, ale kiedy już pogodzisz się z istnieniem mówiącego nietoperza, od uwierzenia w nietoperza w okularach dzieli cię już tylko marylina krok.

Roberto opadł z krokwi i rozłożył skrzydła tuż przed uderzeniem o podłogę. Wystarczyły dwa machnięcia skrzydłami i już znalazł się na stoliku i pełził niezadarnym, pająkowatym krokiem, zupełnie nieprzypominającym gracji, którą prezentował w powietrzu. Pazurkiem na skrzydle poskrobał notes Jeffersona Pardee, aż go otworzył, po czym poderwał się i wyleciał przez okno.

Tuck podniósł notes i przeczytał to, co napisał Pardee. Przeoczył tę stronę, gdy poprzednio przeglądał notes. Była to lista tropów, sporządzona do artykułu, nad którym pracował. Drugi punkt brzmiał: „Co się stało z pierwszym pilotem, Jamesem Sommersem? Zadzwoń do urzędów imigracyjnych na Yap i Guam”. Przekartkował notes, by sprawdzić, czy przegapił coś jeszcze. Czy Pardee się zorientował? Oczywiście, że tak. Zorientował się i ruszył za Sommersem w miejsce, gdzie go ostatnio widziano. Ale gdzie jest sam Pardee? Ten notes nie zjawił się na wyspie bez właściciela.

Tuck jeszcze trzy razy przejrzał notatnik. Znalazł obco brzmiące nazwiska i numery telefonów. Coś, co wyglądało na listę rzeczy do spakowania przed podróżą. Trochę zapisków o pochodzeniu Sebastiana Curtisa. Notatka, by zbadać kwestię Japończyków z bronią. Słowo „Learjet, skreślone trzy razy. I nic więcej. Notatki nie miały żadnego ładu. Po prostu różne fakty, nazwiska, miejsca i daty. Daty? Jeszcze raz przejrzał kartki. Na trzeciej stronie widniał tylko napis: „Alualu, 9 września”.

Tuck podbiegł do szuflady w szafce nocnej, gdzie Curtisowie zostawili mu kalendarz. Odliczył dni do dziewiątego i próbował przypisać wydarzenia poszczególnym datom. Statek przyplłynął dziewiątego, a dziesiątego rano był pierwszy lot. Być może Jefferson Pardee leżał teraz w klinice i zastanawiał się, gdzie się, do diabła, podziała jego nerka. Tuck musiał się z nim spotkać.

Poszukał w szafie czegoś ciemnego do ubrania. To będzie coś innego niż wymykanie się do wioski. Między barakiem strażników a szpitalem nie było żadnych budynków ani drzew, jedynie siedemdziesiąt pięć metrów otwartej przestrzeni. Ciemność będzie mu służyła za jedyną kryjówkę.

**

Była to dwumilimetrowej grubości pianka neoprenowa do użytku w wodach tropikalnych, o dwa rozmiary za duża, ale pozostałe ubrania w szafie były albo khaki, albo białe. Przy dwudziestostopniowym upale i dziewięćdziesięcioprocentowej wilgotności Tuckowi zakręciło się w głowie, zanim jeszcze włożył kaptur. Wszedł pod prysznic i opluskał się zimną wodą, po czym nasunął kaptur na głowę i wy dostał się przez otwór po brodziku, opadając na mokry żwir.

W filmach szpiedzy - komando Foki, siły specjalne perzy - zawsze skradają się nocą w mokrych piankach do nurkowania. Dlaczego, zastanawiał się Tuck, nie wydają przy tym mlaszczących, chlupoczących odgłosów? To na pewno dzięki specjalnemu szkoleniu. James Bond nigdy nie powie na przykład: „Słuchaj, Q, oddam sterowane laserowo raketowe spinki do mankietów za piankę do nurkowania w której nie będę się czuł jak chodząca przynęta na koty”. Tak właśnie czuł się Tuck, z chlupotem obchodząc klinikę i zerkając na pełniącego służbę strażnika, który sprawiał wrażenie, że patrzy prosto na niego.

Tuck cofnął się za róg. Musiał jakoś odwrócić uwagę tamtego, jeśli chciał niezauważenie dostać się do drzwi kliniki. Księżyc świecił jasno, niebo było czyste, a biały koralowy żwir odbijał tyle światła, że dałoby się nawet czytać.

Usłyszał okrzyk strażnika i był pewien, że go zauważono. Przywarł do ściany i wstrzymał oddech. Potem rozległy się kolejne japońskie słowa, ale nie kroki. Odważył się wyjrzeć. Strażnik wymachiwał jedną ręką ku niebu, a drugą pocierał głowę. Przyszli też dwaj pozostali i śmiali się teraz z tego na służbie. Wydawał się coraz bardziej wściekły, gdy miotał przekleństwa i wycierał dłoń o mundur. Dwaj pozostali wprowadzili go do środka, by się uspokoił i wyczyścił.

Tuck usłyszał szczeknięcie z nieba i uniósł głowę, by ujrzeć sylwetkę nietoperza na tle księżyca. Roberto przeprowadził atak guanem z powietrza. Pilot zyskał moment nieuwagi strażników.

Przemknął wzdłuż frontu budynku, złapał klamkę i przekręcił. Drzwi nie były zamknięte. Biorąc pod uwagę irytację Beth Curtis z powodu brzeczyka i ilość wina, którą w siebie wlała, zapewne znudziła się już ciągłym zamykaniem drzwi na klucz. Jak to mawiała Mary Jean? „Moje panie, jeśli będziecie wykonywać swoją pracę i zakładać niekompetencję wszystkim pozostałym, rzadko będą was spotykały rozczarowania”. Amen, pomyślał Tuck.

Wśliznął się do pogrążonego w mroku pomieszczenia kliniki; zobaczył czerwonoookie spojrzenia kilku maszyn i roztańczony blask komputerowego monitora z uruchomionym wygaszaczem ekranu. Spróbuje się tym zająć później, teraz interesowało go coś innego: co lub kto leży w niewielkim oddziale szpitalnym dwa pomieszczenia dalej.

Począł do sali operacyjnej przy świetle kolejnych diodowych oczu i przeszedł przez zasłone do oddziału z czterema łózkami. Tylko na jednym leżał pacjent - tak przynajmniej wyglądało. Jedynym światłem był zielony blask monitora EKG, który migotał bezgłośnie przy wyłączonym dźwięku. Ktokolwiek leżał w łóżku, wydawał się wystarczająco duży, by być Jeffersonem Pardee. Nad pacjentem wisiało kilka kroplówek. Pewnie środki przeciwbólowe po tak poważnej operacji, pomyślał.

Podszedł bliżej i odważył się na szept:

- Psst, Pardee.

Bryła pod kołdrą poruszyła się i jęknęła nadzwyczaj nie-męskim głosem.

- Pardee, to ja, Tucker Case. Pamiętasz?

Kołdra została odrzucona i pilot ujrzał w zielonej poświacie drobną, męską twarz.

- Kimi?

- Cześć, Tucker. - Kimi spojrzał w dół, na drugą osobę pod kołdrą. - Pamiętasz Tuckera? Już mu lepiej.

Śliczna dziewczyna powiedziała:

- Opiekuję się tobą, kiedy ty chory. Bardzo śmieszisz. Tuck cofnął się o krok.

- Kimi, co tu robisz?

- No... Ona lubi, co ładne, i ja lubię, co ładne. Ona zmęczona, że ma tylu mężczyzn, i ja też. Mamy wiele wspólnego.

- On najlepszy - dodała Sepie, uśmiechając się do Kimiego z uwielbieniem.

Kimi uśmiechnął się z kolei do Tucka.

- Jak raz byłeś kobietą, wiesz, co robić, żeby kobieta była szczęśliwa.

Tuck zaczął się już otrząsać z początkowego zaskoczenia i poczuł zapach dymu, gdy jego fantazje o pięknej dziewczynie z wyspy zajęły się ogniem i obróciły w popiół. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak wiele czasu poświęcał na myśli o tej dziewczynie. W końcu to ona przywróciła mu męskość. W pewnym sensie.

- Masz rację - stwierdził Kimi. - Kobiety lepsze. Jestem teraz lesbijką.

- Nie powinieneś tego robić. Ta dziewczyna przeszła poważną operację.

- O, nic nie robimy, tylko się całujemy. Bardzo ją boli. Ale po tym jej lepiej - Uniósł rękę, odsłaniając przewód kroplówki - - Chcesz spróbować? Daj rękę i naciśnij guzik, poczujesz się bardzo miło.

-To dla niej, Kimi. Nie powinieneś tego używać.

- Dzielimy się - odezwała się Sepie.

- Tak, dzielimy się - potwierdził Kimi.

- Bardzo się cieszę. Jak się tu, u diabła, dostałeś?

-Tak jak ty się wydostałeś. Popłynąłem za miny i przyszedłem spotkać się z Sepie. Nie problem.

- Lepiej, żeby cię nie złapali. Musisz iść. I to już.

-Jeszcze raz. - Sepie wzięła przycisk, chcąc podać Kimiemu następną dawkę morfiny. Tuck wyjął go z jej dłoni.

- Nie. Idź już. Skąd wiesz o minach?

- Mam innego przyjaciela. Sarapula. Uczę go, jak być nawigatorem. On też bardzo dużo wie. To ludożerca.

- Jesteś ludożerczą lesbijką?

- Tylko się uczę. Dlaczego masz gumowy kombinezon? Lubisz fetysz?

- Nie, lubię się ukrywać. Słuchaj, widziałeś grubego białego mężczyznę, Amerykanina?

- Nie, ale Sarapul widział. Widział, jak strażnicy zabierają go z plaży. Nie ma go?

- Nie. Znalazłem jego notes. Poznałem go na Truk.

- Sarapul mówi, że strażnicy zabrali go do Czarownika. Mówi, że to śmieszne, bo biały ubrał się w świnie ze skrzydłami.

Tuck poczuł, że drętwieje mu twarz. Z Pardee nie zostało nic oprócz kości miednicznej, wciśniętej w rafę, oskubanej z mięsa i owiniętej kąpielówkami w latające świnki. A może jeszcze nerka, żyjąca sobie w jakimś Japończyku, nerka, której był dawcą. Czy gruby dziennikarz umarł na stole operacyjnym, bo jego serce nie wytrzymało operacji? Czy może uspili go, nie zamierzając budzić?

Nagle stwierdził, że musi się włamać do komputera doktora. Złapał rękę Kimiego i wyciągnął mu kroplówkę z żyły. Nawigator nie opierał się i chyba nawet tego nie poczuł.

- Kimi, spróbuj wetknąć to z powrotem w rękę Sepie i chodź ze mną.

- Okej, szefie.

Tuck popatrzył na dziewczynę, która najwyraźniej wyczuła panikę w jego głosie. Szerzej otworzyła oczy, choć były przesłonięte mgiełką morfiny.

- Nie wzywaj doktora, dopóki nie pójdziemy. Ten guzik poda ci tylko ograniczoną dawkę morfiny, a Kimi już ją częściowo zużył. Jeśli będzie bolało, i tak musisz czekać, dobrze?

Skinęła głową. Kimi wypełzł z łóżka i omal nie spadł. Tuck złapał go za rękę i podtrzymał.

- Jestem wybrana - powiedziała Sepie. - Kiedy przyjdzie Vincent, da mi dużo ładnych rzeczy.

Tuck odgarnął palcami jej włosy.

- Tak, tak. Teraz śpij. I dziękuję, że się mną opiekowałaś, kiedy byłem chory.

Kimi pocałował dziewczynę, a po chwili Tuck go od niej ciągnął i poprowadził przez salę operacyjną do biurowej części kliniki. W blasku komputerowego monitora powiedział: - Kimi, doktor i jego żona zabijają ludzi.

- Nieprawda. Oni przysłani od Vincenta. Sepie mówi, że Vincent przychodzi z Nieba i przynosi ludziom dużo dobrych rzeczy. Oni bardzo biedni.

- Nie, Kimi, to źli ludzie. Jak Malcolm. Wykorzystują plemię Sepie. Tylko udają, że pracują dla Boga.

- Skąd wiesz? Nie wierzysz w Boga.

Tuck złapał chłopaka za ramiona. Nie był już zły ani nawet rozdrażniony, po prostu się bał, i to nie tylko o siebie - pierwszy raz w życiu.

- Kimi, możesz znowu przepłynąć obok min?

- Chyba tak.

- Musisz iść na drugą stronę wyspy i nie możesz tu wracać. Jeśli strażnicy cię znajdą, prawie na pewno cię zabiją.

- Chcesz Sepie dla siebie. Mówiła, że za nią chodzisz.

- Zjrzę do niej i jutro w nocy spotkamy się w kręgu. Powiem ci, jak się miewa. Nie tknę jej, obiecuję. Okej?

- Okej. - Kimi oparł się o ścianę przy drzwiach.

Tuck przyglądał mu się przez chwilę, próbując ocenić, jak bardzo jest naćpany. Przepłynięcie tego odcinka nie było trudnym zadaniem. Sam dokonał tego kompletnie nawalony, choć miał wtedy płetwy, maskę i rurkę.

- Na pewno dasz radę popłynąć?

Chłopak skinął głową i Tuck uchylił drzwi. *Kimi*, przesunął się po niebie i front kliniki znalazł się w cieniu Strażnik po drugiej stronie terenu czytał czasopismo przy, latarce.

- Kiedy wyjdiesz, idź w lewo i za budynek.

Nawigator wymknął się przez drzwi, przeszedł wzdłuż ściany i zniknął za rogiem. Tuck słyszał, jak się potyka, upada i klnie cicho po filipińsku.

- Cholera - mruknął pilot.

Rzucił okiem na komputer. To musi poczekać. Wyśliznął się przez drzwi, zamknął je cichutko za sobą, po czym obszedł budynek w ślad za nawigatorem. Dobiegł go okrzyk strażnika i Tuck, przynajmniej raz w życiu, podjął ostateczną decyzję. Złapał chłopaka pod pachę i puścił się biegiem.

WYZNANIA NAD PIŁECZKĄ

Tucker Case śnił o ostrzale z broni maszynowej i trzął się, gdy pociski pruły mu plecy. Rzucił się w przód, na ziemię, piasek wypełnił mu usta, dusząc go, podczas gdy życie uchodziło z niego przez setki poszarpanych ran, a karabiny ciągle strzelały, rytmiczne huki rozbrzmiewały niczym gwałtowne bicie w kotły, niczym nieustępliwe stukanie pięścią w chybotliwe drzwi.

- Pozwólcie mi umrzeć! - krzyknął Tuck, a poduszka stłumiła jego słowa.

Rzeczywiście było to nieustępliwe stukanie pięścią w chybotliwe drzwi.

- Panie Case, pobudka - powiedział wesoło Sebastian Curtis. - Za dziesięć minut zaczynamy.

Tuck przetoczył się prosto w moskitierę, zaplątał się i zerwał ją z sufitu. Wciąż miał na sobie piankę do nurkowania i delikatna siatka przykleiła się do niej jak pajęczyna. Stał przy drzwiach, wyglądając niczym poobijany duch prosto z szafy Davy'ego Jonesa.

- Co? Nie mogę lecieć. Nie mogę nawet, kurwa, chodzić. Niech pan idzie. - Tuck nie należał do rannych ptaszków.

Sebastian Curtis stał w drzwiach i aż promieniał.

- Jest środa - oznajmił. - Myślałem, że zechce pan zaliczyć parę dołków.

Tuck popatrzył na doktora przez nabiegłe krwią oczy i kilka warstw porwanej moskitiery. Za Curtisem stał jeden ze strażników, bez pistoletu maszynowego, za to z torbą golfową przewieszoną przez ramię.

- Golf? - spytał pilot. - Chce pan grać w golfa?

- Tutaj, na Alualu, to zupełnie inna gra. Duże wyzwanie. Ale w końcu pan ćwiczył, prawda?

- Doktorze, źle spałem...

- Może to przez tę piankę, jeśli wolno mi powiedzieć. Tutaj, w tropikach, potrzeba oddychających tkanin. Najlepsza jest bawełna.

Tuck zaczął przytomnieć i zdał sobie sprawę, że skupia na tamtym strumień intensywnej nienawiści.

- Chyba wiem, kto sobie tej nocy pobzykał.

Curtis spuścił wzrok i uśmiechnął się nieśmiało. Był autentycznie zawstydzony. Tuck nie umiał tego pojąć. Najwyraźniej doktor nie miał najmniejszych problemów z zabijaniem ludzi albo usuwaniem ich organów - bądź jednym i drugim - ale czerwienił się na wzmiankę o seksie z żoną.

Tuck wbił w niego spojrzenie

- Radzę się przebrać. Pierwszy dołek jest przed hangarem. Pójdę i poćwiczę uderzenia, czekając na pana.

- Słusznie - odparł pilot. Zatrzęsął drzwiami. Dwadzieścia minut później Tuck, z włosami jeszcze mokrymi po prysznicu, dołączył do Curtisa i strażnika przed hangarem. Czuł ciężar trzech nocy niemal bez snu, a plecy bolały go po tym, jak przeciągnął Kimiego przez ogrodzony teren, a potem wrzucił go do wody za polem minowym. Strażnik ich nie dogonił, ale dopadł do brzegu i krzyczał, wymachując bronią, aż Tuck i Kimi zniknęli mu z oczu.

- Musimy podzielić się zestawem kijów - oznajmił Curtis. - Ale może teraz, skoro postanowił pan zostać, zamówimy panu własne kije.

- Fajnie - powiedział Tuck. Nie miał pewności, ale pomyślał, że to może być ten sam strażnik, który ścigał ich do plaży. Wyszczерzył się do niego, a Japończyk odwrócił wzrok. Tak, to ten.

- To jest Mato. Będzie nam dziś nosił kije.

Strażnik uklonił się lekko. Tuck pozdrowił go wyciągniętym środkowym palcem. Jeśli nawet doktor zauważył ten gest, nic nie powiedział. Położył piłeczkę na kwadratowym kawałku sztucznej trawy, podklejoną gumą.

- Musimy uderzać z tego. Przynajmniej dopóki ktoś nie wynajdzie kija do żwiru. - Zaśmiał się z własnego żartu.

Tuck zmusił się do uśmiechu.

■

- Plemię Rekinów już setki lat temu posypało całą wyspę żwirem. Dzięki temu huragany nie wymywają górnej warstwy gleby. Pierwszy dołek zakręca w lewo. Sam dołek znajduje się za kwaterą pracowników jakieś sto metrów stąd.

- Doktorze, skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, czemu nie nazywać ich strażnikami?

- Dobrze, panie Case. Zechce pan zacząć?

- Proszę mi mówić Tuck. Nie, pan pierwszy.

Curtis zamachnął się kijem, a piłeczka poleciała łukiem nad barakiem strażników i wylądowała poza zasięgiem wzroku gdzieś wśród palm za budynkiem.

- Muszę przyznać, że mam pewną przewagę. Zaprojektowałem pole tak, żeby pasowało do moich uderzeń. Większość dołków skręca w lewo.

Tuck skinął głową, jakby świetnie rozumiał, co tamten mówi, po czym wziął od niego kij i sam wykonał uderzenie. Piłeczka poturlała się po żwirze, podskakując, i zatrzymała się pięćdziesiąt metrów przed nimi.

- Oj, pech. Chce pan powtórzyć?

- Niech mnie pan cmoknie w pompkę, doktorze.

- Czyli chyba nie.

Za chorągiewki służyły bambusowe kije, wbite w podłogę, a w dołki wetknięto puszki po coli z obciętą górą. Najlepszy w tej zabawie był fakt, że Tuckowi udało się kilka razy mocno przyładować piłeczką w łydki Mato, który trzymał chorągiewki. Najgorsze zaś okazało się to, że Curtis uznał teraz Tucka za powiernika i postanowił się przed nim otworzyć.

- Betli to fajna babka, nie? Opowiadałem panu, jak się poznaliśmy?

- Tak.

- To było na sympozjum transplantologicznym w San Francisco. Beth jest świetną pielęgniarką, najlepszą, jaką kiedykolwiek widziałem w sali operacyjnej, ale nie pracowała jako pielęgniarka, kiedy ją poznałem.

- Aha - powiedział Tuck.

Curtis najwyraźniej czekał, aż rozmówca o coś zapyta. Tucker czekał, aż strażnik podkabluję go za to, że w nocy wymknął się poza teren.

- Była tancerką na North Beach. Striptizerką.

- Bez jaj - odparł Tuck.

- Jest pan w szoku? - Doktor ewidentnie chciał, żeby był w szoku.

- Nie.

- Była niesamowita. Najbardziej niesamowita kobieta, jaką widziałem. Nadal taka jest.

- Z drugiej strony, przez dwadzieścia osiem lat był pan samotnym misjonarzem na wyspie - zauważył pilot.

Curtis wziął kij do następnego uderzenia. Żelazo siódmkę.

- A to co?

- Wygląda jak krew i pióra - stwierdził Tuck. Curtis podał kij strażnikowi, by go wyczyścić.

- Beth tańczyła z rurką i stetoskopem, a mnie zaparł dech.

- To dość popularne - powiedział Tuck. - Przyduszanie rurką chirurgiczną. Stetoskop służy do sprawdzenia, czy delikwent nie odwalił kity.

- Naprawdę? - zdziwił się Curtis. - Widział pan coś takiego?

Tuck przybrał minę poważnego i szczerego młodzieńca.

- Czy widziałem? Nie zauważył pan śladów na mojej szyi, kiedy mnie pan badał?

- Aha, rozumiem - mruknął Curtis. - No, ale przynajmniej ja wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Ona... - Jakoś nie mógł powrócić do swojej opowieści. - Ta pianka do nurkowania dziś rano. To też coś z seksem? Większości ludzi byłoby niewygodnie.

- Nie, po prostu staram się trochę schudnąć.

Doktor spoważniał.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Nadal jest pan bardzo szczupły po tych męczarniach, przez które pan przeszedł, płynąc tutaj.

- Chciałbym zrzucić jakieś trzy kilo - powiedział Tuck. - W Stanach wraca moda na Gandhiego. Faceci, którzy wyglądają, jakby głodowali, muszą się opędać kijem od panienek. Zaczęło się od modelek, ale teraz przeszło na mężczyzn.

Curtis się zmieszał.

- Chyba trochę wypadłem z obiegu. Beth stara się być na bieżąco z tym, co się dzieje w Stanach, ale tutaj nie ma to wielkiego znaczenia. Chyba się ucieszę, jak już będzie po wszystkim i będziemy mogli opuścić tę wyspę.

- Więc dla czego po prostu pan nie wyjedzie? Jest pan lekarzem. Mógłby pan otworzyć praktykę w Stanach i zbić majątek bez tego wszystkiego.

Curtis zerknął na strażnika, po czym znów spojrzał na Tucka.

- Może majątek, ale nie taki, jaki gromadzimy tutaj. Jestem za stary, żeby zaczynać od zera.

- Ma pan dwadzieścia osiem lat doświadczenia. Sam pan mówił, że ludzie, których pan leczy, są najzdrowsi na całym Pacyfiku. Nie zaczynałby pan od zera.

- Myli się pan. Panie Case... Tuck... Jestem lekarzem, ale nie najlepszym.

Tuck spotkał w życiu wielu lekarzy, ale jeszcze żadnego, który zdołałby się przyznać, że w jakiegokolwiek kwestii brak mu kompetencji. Wśród instruktorów latania krążyła opinia, że lekarze to najgorsi uczniowie. „Uważają się za bogów. Nasze zadanie to nauczyć ich, że są śmiertelni. Tylko piloci są bogami”.

Ten tutaj był żaloszny i Tuck musiał sobie przypominać, że ma przed sobą przynajmniej podwójnego mordercę. Patrzył, jak za pomocą żelaza siódemki Curtis posyła piłeczkę na odległość trzech metrów od chorągiewki, którą umieszczono na małym skrawku trawy przy plaży.

Tuck posłał z plaśnięciem piłeczkę po ziemi i ta wylądowała między korzeniami tak zwanego chodzącego drzewa - osobliwości świata roślin - które wyrastało z trzymetrowego namiotu splecionych korzeni i wyglądało tak, jakby w każdej chwili mogło oddalić się o własnych siłach. Miał nadzieję że to właśnie zrobi.

Strażnik z kijami szedł za łuckiem i gdy oddalili się na tyle, że lekarz ich nie słyszał, pilot odwrócił głowę do stoickiego Japończyka.

- Nie możesz mu powiedzieć, prawda?

Strażnik udawał, że nie rozumie, ale Tuck zobaczył, że jego słowa do niego docierają, nawet jeśli tylko za sprawą modulacji głosu.

- Nie możesz mu powiedzieć i nie możesz mnie, kurwa, zastrzelić, tak? Zabiłeś poprzedniego pilota i miałeś masę kłopotów, dobrze mówię? To dlatego łazicie za mną jak kaczątko za matką? - Tuck zgadywał, ale było to jedyne logiczne wytłumaczenie.

Mato zerknął na lekarza.

- Nie - powiedział Tuck. - On nie wie, że ja wiem. I nie powiemy mu, prawda? Kiwnij głową, jeśli rozumiesz.

Strażnik skinął szybko głową.

- Dobra, umowa jest taka: będziecie sprawiali wrażenie, że wykonujecie swoją pracę, ale kiedy dam wam znać, macie zniknąć. Słyszałeś? Chcę, żebyście się odpieprzyli. Powiedz kumplom, dobra?

Tamten przytaknął.

- Mówisz w ogóle po angielsku?

- *Hai*. Trochę.

- Zabiliście pilota, tak?

_ Plóbował zabrać samorot. - Mato sprawiał wrażenie kogoś, komu składanie słów sprawia ból.

Tuck skinął głową, czując, że gorąco oblewa mu policzki, miał ochotę walnąć strażnika w twarz, obalić go na ziemię i tak skopać, aż zostanie z niego tylko drgająca breja.

-1 zabiliście Pardee, grubego Amerykanina.

Mato pokręcił głową.

- Nie.

- Gówno prawda!

- Nie, my... my... - Szukał angielskiego słowa. - Co?

- Zabrali go, ale nie zabiri.

■
- Dokąd go zabraliście? Do kliniki?

Strażnik znów pokręcił gwałtownie głową. Nie chciał zaprzeczyć, tylko pokazać, że nie umie powiedzieć.

- Co się stało z tym grubym?

- Umiera. Szpital. My go do wody.

- Zabraliście jego ciało na skraj rafy, żeby znalazły je rekiny?

Tamten pokiwał głową.

- A pilota? Zanieśliście w to samo miejsce? Znowu potwierdzenie.

- Co się dzieje? Uderza pan czy nie?

Tuck i ochroniarz wyglądali jak dwaj chłopcy, przyłapani na szkolnym boisku na przeklinaniu. Curtis zawrócił i znalazł się góra piętnaście metrów od nich.

Tuck wskazał piłeczkę.

- Kato nie pozwala mi wyjąć piłeczki. Mogę wykonać karne uderzenie. Ale do diabła, w Teksasie nie mamy takich drzew-mutantów. To nienaturalne.

Curtis popatrzył na piłeczkę Tucka, a potem na Mato.

- Może ją wyjąć. Bez kary. Jest pan gościem, panie Case. Może pan nagiąć parę przepisów. - Curtis się nie uśmiechał. Nagle zaczął traktować golfa z wielką powagą.

- Jesteśmy teraz współnikami - odparł pilot. - Niech mi pan mówi Tuck.

Wspólniczka Tucka pokazała się w jego bungalowu tego wieczoru, gdy zasiadał do talerza wieprzowiny z fasolą. Nie zapukała, nie zawołała go ani nawet nie chrząknęła uprzejmie, by dać mu znać o swojej obecności. W jednej chwili Tuck obserwował galaretowatą białą bryłkę niezidentyfikowanej formy życia opartego na węglu, w kałuży sosu pomidorowego i fasoli, a w następnej chwili drzwi otworzyły się i stanęła w nich ona, ubrana jedynie w czerwoną chustę i szpilki z cekinami. Tuck upuścił łyżkę. Dwie częściowo pogryzione fasolki wypłynęły mu z ust, zostawiając ślady sosu na koszuli.

Wykonała pojedyncze tupnięcie rodem z flamenco, a Tuck parzył, jak impet tego kroku wędruje w górę jej ciała, by zatrzymać się na piersiach. Rozłożyła szeroko nogi przybrała kuszącą pozę i powiedziała:

- Przybyła Kapłanka Nieba.

- Tak, faktycznie - powiedział Tuck ze szklistym spojrzeniem i otepieniem nowo nawróconego członka sekty Moona. Widział już kiedyś coś podobnego, na masce rolls-royce'a albo pucharze kręglarskim, ale w cielesnym wydaniu obrazek bardziej przemawiał do wyobraźni, a nawet oszałamiał.

Wykonała piruet i rogi chusty zakręciły się wokół niej niczym pasma czulego dymu.

- Co sądzisz?

- Mhm. - Skinął głową.

- Chodź tu.

Wstał i ruszył do niej bezmyślnym, powłóczystym krokiem zombie gnanego obietnicą świeżego mięsa. Jego mózg przestał działać, a cała energia życiowa przeniosła się w inną część ciała i poprowadziła go przez pomieszczenie, aż znalazł się parę centymetrów od niej. Zdarzało mu się to nie pierwszy raz, ale dotąd zawsze zachowywał zdolność mowy i większość funkcji motorycznych.

- Co z tobą? - spytała. - Śruba w szyi za mocno dokręcona?

- Całe moje ciało ma erekcję.

Złapała go za przód koszuli i skierowała do łóżka, po czym popchnęła go i ściągnęła mu spodnie do kolan. Usiadła na nim okrakiem, a on sięgnął do jej piersi. Złapała go za nadgarstki.

- Nie. Spieprzysz mi makijaż.

Zauważył - tak jak ofiara wypadku zauważa czasem motyla na masce autobusu, który zaraz ją przejedzie - że jej sutki miały nienaturalnie różową barwę.

Próbował usiąść, a ona pchnęła go z powrotem, potem wzięła go w rękę, szczypiąc czerwonym paznokciem, aż się skrzywił, i wprowadziła w siebie. Sięgnął do jej bioder, by pociągnąć ją w dół, ale pacnęła go w dłoń.

I zaczęła go rznąć - precyzyjna i jednostajna jak maszyna, pojedynczy ruch powtarzał się raz za razem - aż oddech w jej gardle stał się chrapliwy niczym syczące rury w łazience, a potem wygięła plecy w łuk i zamarła, zadrżała, pogłaskała go raz i drugi, po czym z niego spełzła. Jakoś pośród tego wszystkiego doszedł, a ona spojrzała na niego tylko raz.

Leżał, patrząc na szczątki podartej moskitiery nad łóżkiem, ciężko oddychając i czując lekkie zawroty głowy. Zastanawiał się, co się właśnie stało. Poszła do łazienki, a po kilku sekundach wróciła i rzuciła mu ręcznik, którego najwyraźniej sama też użyła. I - Lecimy za trzy-cztery godziny. Bądź gotowy.

- Dobra. - Powinien powiedzieć coś więcej? Czy to oznaczało jakąś zmianę, o której należało wspomnieć?

- Chcę, żebyś patrzył, ale oni nie mogą cię zobaczyć. Poczekaj parę minut i stań przy hangarze, skąd widać pas startowy. To świetne przedstawienie. W teatrze wszystko jest możliwe. Spytaj katolików. Przetrwali średniowiecze, wystawiając przedstawienia w języku, którego nikt nie rozumiał, na wielkich scenach, budowanych za ostatnie grosze biednych. Taki jest problem ze współczesną reli? Brak teatru.

To pewnie jej wersja pieszczot.

- Przedstawienie?

- Nadejście Kapłanki Nieba - powiedziała takim tonem jakby rozmawiała z uosobieniem tępoty. Podeszła do drzwi gdzie przystanęła i obejrzała się przez ramię. Zupełnie jakby coś sobie przypomniała, powiedziała: - Tucker. - A kiedy podniósł wzrok, posłała mu całusa. Po chwili była już za drzwiami i usłyszał jej wołanie: - Puścić muzykę!

Dźwięki big-bandu zagrzmiały na całej wyspie, a przez ciało Tucka przeszedł dreszcz, jakby lodowate widmo lat czterdziestych zatańczyło mu na plecach.

47

ZŁODZIEJE SAMOLOTÓW

Gdy rozległa się muzyka, mężczyźni z plemienia Rekinów zaczęli drugi dzban *tuby*. Wszyscy popatrzyli na Malinka. Dlaczego im nie powiedział, że pojawi się Kapłanka Nieba?

Malink zastanowił się szybko, a potem uśmiechnął tak, jakby od początku wiedział, co się święci.

- Chciałem, żeby to była niespodzianka - powiedział. Dlaczego Czarownik tego nie ogłosił? Czy ciągle się gniewał, że wódz nie wydał na jego żądanie mężczyzny-dziewczyny? A może sam Vincent się o coś gniewał? Bez wątpienia ludzie Malinka będą na niego źli, że nie dał im czasu na przygotowanie bębnow i bambusowych karabinów armii Vincenta, a kobiety... oj, kobiety będą wkurzone jak kokosy, że nie zdążyły naoliwić skóry, pomalować twarzy i włożyć ceremonialnych spódniczek z trawy.

Gdy wódz człapał w stronę pasa startowego, próbował ułożyć w głowie jakieś wyjaśnienie, które przemówiłoby do wszystkich. Tak jakby nie było wystarczająco trudno być wodzem bez porannej kawy - od dwóch tygodni cierpiał na bóle głowy, wywołane odstawieniem kofeiny - to jeszcze zaczynał mieć kłopoty ze swoją rolą przywódcy religijnego. Przewodzenie religii to ciężka robota, kiedy bogowie zaczynają ostro mieszać i psuć ci proroctwa. A jeśli wymyśli jakieś wyjaśnienie, a potem Kapłanka Nieba powie coś, co mu zaprzeczy? Miała być głosem Vincenta, ten głos bywał jednak ostatnio gniewny, więc Malink nie ważył się poprosić jej o pomoc, jak to bywało w przeszłości. Nie przy ludziach.

Wyszedł z dżungli w samą porę, by zobaczyć błysk wybuchów. Kapłanka Nieba wyłoniła się z dymu i nawet z odległości stu metrów Malink poznał po jej sposobie chodzenia, że jest zadowolona. Odetchnął z ulgą. Niosła dla nich czasopisma. Jeśli plemię będzie zadowolone z jej słów, to on po prostu posłuży się starym tekstem o „woli Vincenta” tłumacząc, czemu nikt nie mógł się przygotować.

Nigdy by się nie domyślił prawdziwego powodu, dla którego Czarownik nie uprzedził go o przybyciu Kapłanki Nieba. W porze, w której zwykle następowało ostrzeżenie, Czarownik patrzył przez okno, jak Kapłanka Nieba dyma Tuckera Case'a.

Tuck odczekał pięć minut, zanim wciągnął spodnie i wymknął się przez drzwi bungalowu, omal nie wpadając na Sebastiana Curtisa. Doktor, zazwyczaj opanowany, był zlany potem i patrzył na klinikę, omijając go wzrokiem.

- Panie Case. Myślałem, że przygotowuje pan samolot. Beth mówiła panu, że pan leci?

Tuck omal nie podskoczył. Nie miał dosyć czasu, by nabrać wyrzutów sumienia z powodu seksu z żoną doktora, poza tym wyrzuty sumienia w ogóle nie były jego mocną stroną.

- Właśnie szedłem przeprowadzić kontrolę przed startem. To nie potrwa długo.

Tamten unikał kontaktu wzrokowego.

- Proszę wybaczyć rozkojarzenie. Za parę minut muszę przeprowadzić operację. Niech pan popatrzy na przedstawienie Beth.

I - O co chodzi z tą muzyką i wybuchami?

- Tak pozyskujemy dawców. Beth na pewno przedstawi panu swoją teorię religii i teatru. Przepraszam.

Przepchnął się obok Tuckera i popatrzył na swoje buty, idąc w stronę kliniki.

- Nie będzie pan patrzył?

- Dziękuję, ale przyprawia mnie to o mdłości.

- O - powiedział Tuck. - W takim razie pójdę sprawdzić łąara. Świetnie się dziś grało, doktorze.

- Tak - odrzekł Curtis. Znowu ruszył sztywnym krokiem do kliniki, z pięściami tak mocno zaciśniętymi przy bokach, że Tuck widział, jak drżą.

Strażnicy zebrali się przy hangarze. Mato szybko podniósł wzrok i patrzył Tuckowi w oczy na tyle długo, by ten dostrzegł jego nerwowość. Tuck żałował, że nie spytał, czy jego koledzy rozumieją po angielsku.

- *Konichiwa*, skurwysyny - powiedział, wykorzystując podstawową znajomość języków.

Żaden ze strażników nie odpowiedział. Mato jako jedyny nie wlepił wzroku w Beth Curtis, tańczącą na pasie startowym przy „Sing, Sing, Sing” Benny’ego Goodmana. Jeden z nich nacisnął guzik przy hangarze i muzyka ucichła, gdy kobieta wspięła się na małe drewniane podwyższenie po drugiej stronie pasa. Dzięki temu, że głośniki umilkły, Tuck słyszał bębny plemienia Rekinów. Niektórzy jego członkowie maszerowali w kółko, trzymając pomalowane na czerwono bambusowe badyle niczym karabiny. Beth Curtis wzniosła ręce, w których trzymała po egzemplarzu „People”, i bębny ucichły.

Tuck nie słyszał, co kobieta mówi, ale machała rękami niczym uliczny kaznodzieja, a tłum tubylców poruszał się, drgał i chłonał każde słowo. W pewnej chwili urwała i podała czasopisma Malinkowi, który cofnął się od podwyższenia z pochyloną głową.

W całym tym spektaklu nic nie przyprawiło go o mdłości, ale wszystko wydawało się dość dziwne. Po co ta cała pompa? Jak masz szczęście gości z bronią maszynową, to w zasadzie możesz iść i wyciąć komuś nerkę, kiedy tylko ci się zachce.

Musiał pomyśleć i w gruncie rzeczy nie chciał zobaczyć, kogo wybierze kobieta. Twarz tej osoby miałby przed oczami przez cały lot do Japonii i z powrotem. Wszedł do hangaru, opuścił drzwi łąara, wspiął się do ciemnego samolotu i położył w ciemnym przejściu między fotelami. Nie słyszał głosu Kapłanki Nieba ani „ochów” i „achów” tubylców. Tutaj, wśród stali, szkła, plastiku i tapicerki, czuł się jak u siebie. Tutaj słyszał własny umysł. Znajdował się we własnym łąarjecie, a wszystko co dziwne zostało na zewnątrz. Gdyby nie brak kluczyka, z miejsca zabrałby stąd ten samolot.

Strażnik kopnął Tucka w udo o wiele mocniej, niż to było niezbędne, by go obudzić. Pilot uniósł głowę i zobaczył twarz Japończyka, który pobił go na plaży. Miał bliznę, biegnącą przez czoło i kończącą się paskiem łysiny na głowie, więc Tuck zaczął go w myślach nazywać Stripem, na cześć małego potwora z filmu Gremliny rozrabiają. Gniew pilota był natychmiastowy i rozgrzany do białości. Tylko uzi powstrzymał go przed kolejnym laniem.

Strażnik wyjął kluczyk włączający zasilanie łąara. Pora lecieć. Tuck pokuśtykał do kokpitu i przypiął się pasem do fotela pilota. Stripe wsunął kluczyk w stacyjkę w tablicy przyrządów, przekręcił go i

cofnął się, by popatrzeć, jak Tuck rozpoczyna procedurę startu.

Pozostali ninja wyciągnęli samolot z hangaru za pomocą stalowej belki przymocowanej do przedniego koła. Kiedy maszyna znalazła się z dala od hangaru, Tuck zaczął grzać silniki. Stripe został w kabinie z uzi pod ręką. Pilot odstawił przedstawienie, sprawdzając przełącznik-i wskaźniki. Zmarszczył brwi i kilka razy pstryknął włącznikiem radaru. Obejrzał się na strażnika.

- Idź sprawdzić nos. Coś nie gra.

Tamten pokręcił głową. Tuck jeszcze raz przekazał instrukcje, pomagając sobie gestami, i Stripe skinął głową, po czym przez okno dał znak innemu strażnikowi, by dołączył do nich na pokładzie. Najwyraźniej nie zamierzali zostawić Tuckera w samolocie bez opieki, gdy kluczyk był w stacyjce. Stripe przekazał wartę innemu ninja i po chwili pojawił się przed odrzutowcem. Tuck pokazał mu, by podszedł bliżej. Tamten spełnił polecenie. Pilot włączył radar.

- Dla ciebie guz mózgu raz, sukinsynu. - Zdawało się, że Stripe naprawdę poczuł energię mikrofal, bo odskoczył od maszyny. Tuck uśmiechnął się i pokazał, że wszystko jest okej. - Mam nadzieję, że ugotują ci się te małe jajka.

Strażnik za nim najwyraźniej nie rozumiał jego słów, ale szturchnął go lufą i coś pokazał. Beth Curtis, w ciemnym kostiumie od Armaniego, szła przez ogrodzony teren z walizką i chłodziarką w rękach.

Wsiadła do samolotu i skinęła głową strażnikowi. Ten nie wyszedł, tylko zajął miejsce w przedziale pasażerskim-Beth usiadła na miejscu drugiego pilota.

- Zabieramy go na przepustkę? - spytał Tuck.

- Nie. Po prostu leci dzisiaj z nami.

- Aha. - Zwiększył moc silników i pokołował na pas startowy.

Beth Curtis milczała, dopóki nie nabrali wysokości. Tuck nie włączył autopilota, tylko stopniowo skręcał na zachód, jnoże o stopień na minutę.

-1 jak ci się podobało?

- Robi wrażenie, ale nie rozumiem. Po co cała ta szopka, żeby ściągnąć kogoś do sali operacyjnej? Czemu nie wysłać po prostu strażników?

- Nie zabieramy im nerek. Sami je oddają.

Tuck nie chciał zdradzać, czego się dowiedział od Malinka i Sepie o „wybranych”. Powiedział:

- Oddają je komu? Nagiej białej kobiecie?

Roześmiała się, sięgnęła do walizki i wyjęła kolorowe zdjęcie w formacie osiem na dziesięć.

- Kapłance Nieba.

Wyciągnęła rękę z fotografią, by Tuck mógł ją zobaczyć. Musiał sterować ręcznie. Gdyby uruchomił teraz autopilota, samolot zawróciłby do Japonii, bo tylko takie współrzędne zapisano w komputerze nawigacyjnym. Zdjęcie było kolorowe, ale stare. Jakiś lotnik stał przy burcie bombowca B-26. Na samolocie namalowano wizerunek ponętnej, nagiej kobiety i podpisano: KAPŁANKA NIEBA. Mógłby przedstawiać Beth Curtis w chwili, gdy przyszła do bungalowu Tucka. Rozpoznał także lotnika. Był to duch, którego widywał. Poczul, że twarz mu czerwienieje, ale starał się zachować spokój.

- Kto to?

- Facet nazywał się Vincent Bennidetti - odparła Beth. - A samolot nazywał się „Kapłanka Nieba”. Podczas drugiej wojny światowej wszystkie bombowce miały na kadłubach takie obrazki. Znaleźliśmy to zdjęcie w bibliotece w San Francisco.

- A co to ma wspólnego z naszą operacją? Ubierasz się jak ta z malunku na samolocie.

- Nie, ja jestem Kapłanką Nieba.

- Przykro mi, Beth, nadal nie rozumiem.

- To pilot, któremu plemię Rekinów oddaje cześć. Kult cargo, o którym opowiadał ci Bastian.

Tuck skinął głową i starał się udać zaskoczenie, choć nadal niepostrzeżenie pilnował kursu. Jeśli dobrze policzył, za piętnaście minut znajdą się nad Guam i amerykańskie wojsko zmusi ich do lądowania. Siły Powietrzne były przewrażliwione na punkcie prywatnych odrzutowców naruszających ich przestrzeń powietrzną.

- Tubylcy na Alualu czczą tego Vincenta - powiedziała Beth. - Ja przekazuję jego wolę. Przychodzą do mnie, kiedy gramy muzykę, a ja daję im wszystko. W zamian wybieram jednego, by dostąpił zaszczytu i otrzymał znak Vincenta, czyli, oczywiście, bliznę pooperacyjną.

- Jak mówiłem, macie uzbrojonych strażników. Dlaczego po prostu nie bierzecie tego, co chcecie?

Wydawała się wstrząśnięta tym pytaniem.

-1 miałabym zrezygnować z showbusinessu? - A potem uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i ścisnęła jego krocze. - Kiedy poznałam Sebastiana w San Francisco, był pijany i szastał pieniędzmi. W jednej chwili był dostojnym erudyta, a w następnej zachowywał się jak naiwne dziecko.

Opowiedział mi o kulcie cargo, a ja wymyśliłam, żeby ro-jjjć to nie tylko dla kliniki, ale przy okazji obrzydliwie się wzbogacić. Tubylcy musieli być szczęśliwi, jeśli chcieliśmy robić to na dużą skalę.

- Czyli to twój pomysł?

- Dlatego się tu znalazłam.

- Ale Sebastian mówił, że byłaś... - ugryzł się w język, zanim powiedział „striptizerką” - ...pielęgniarką chirurgiczną.

- Byłam. I co z tego? Myślisz, że zyskałam tym szacunek? Władzę? Nie. Dla lekarzy byłam tylko dupą, która radzi sobie z narzędziami chirurgicznymi i może zaszyć pacjenta, kiedy oni pojedą już na pole golfowe. Czy Sebastian mówił, że byłam striptizerką?

- Coś tam napomknął mimochodem.

- Byłam w tym dobra.

- Wyobrażam sobie - powiedział Tuck. Jeszcze parę minut i dołączy do nich A-16.

Uśmiechnęła się.

- Pieprzyć pielęgniarstwo. Dla facetów, z którymi pracowałam, byłam tylko kawałkiem niezłego ciała, więc postanowiłam pójść dalej. Zbliżałam się do trzydziestki i wszystkie samotne kobiety w moim wieku chodziły z desperacją oczach i zegarem biologicznym tykającym tak głośno, jak u krokodyla z *Piotrusia Pana*. Skoro mieli traktować mnie jak dupę, to zamierzałam na tym zarobić. I zarobiłam. Za mało, ale i tak znacznie więcej niż jako pielęgniarka.

- Doprawdy? - powiedział. Nie pamiętał, by kiedykolwiek użył słowa „doprawdy”, i bardzo dziwnie to zabrzmiało.

Wyglądała przez okno, jakby wpadła w trans. Po chwili” nie oglądając się, spytała:

- Co to za wyspa? Tuck stęzał.

- Nie wiem. Westchnęła.

- Wyspy są niesamowite.

- Zawsze to mówię.

Zdawało się, że otrząsnęła się z otępienia i popatrzyła na tablicę przyrządów. Tuck zachowywał się tak, jakby skupił się na pilotowaniu. Zerknął na Beth Curtis. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę.

Sięgnęła do walizki i wyciągnęła walthera.

- Po co to? - spytał.

- Wracaj na kurs.

- Jestem na kursie. - Już!

- Ale ja trzymam kurs. Zobacz. - Wskazał komputer nawigacyjny, który wciąż pokazywał współrzędne lotniska w Japonii, choć autopilot był wyłączony.

- Wcale nie. - Dotknęła kompasu. - Zboczyłeś przynajmniej o dziewięćdziesiąt stopni. Skreć do Japonii albo strzełę.

Tucka już to zmęczyło.

- Jasne. I ty będziesz pilotować? Jest różnica między odczytaniem wskazań kompasu a lądowaniem.

- Nie powiedziałam, że cię zabiję. Jestem w tym dobra. Z jednym jądrem dalej będziesz mógł latać. Oboje byśmy żalowali. Skreć, proszę.

Tuck włączył autopilota i pozwolił, by lear sam obrał kurs na Japonię.

- Sebastian mówił, że możesz spróbować czegoś takiego - stwierdziła. - Ale powiedziałam mu, że sobie z tobą poradzę. Bo umiem to, prawda? Znaczą radzić sobie z tobą.

Tuck przez chwilę milczał, besztając się w duchu, że przecenił skuteczność armii. W końcu powiedział:

- Jesteś nikczemną, diaboliczną, złą dziwką. -I co jeszcze?

- To wszystko.

- Jestem pod wrażeniem. „Diaboliczna” ma więcej niż dwie sylaby. Mam na ciebie dobry wpływ.

- Pierdol się.

- Ty to zrobisz.

Wkręgu pijących Malink otworzył z namaszczeniem egzemplarz „People” i zaczął czytać przy lampie naftowej, podczas gdy pozostali tłoczyli się, by popatrzeć na zdjęcia.

- Cher jest najgorzej ubrana - ogłosił wódz.

- Za chuda - stwierdził Favo. - Ja lubię Lady Di. Malink się wzdrygnął. Na zdjęciu Lady Di nosiła sznur pereł, więc Favo na pewno wybrał ją właśnie z tego powodu. Przewrócił stronę.

- *Celestynowi grabieżcy z Madison County* to film numer jeden w kraju - przeczytał Malink.

- Chcę zobaczyć film - odezwał się Favo. - Musisz powiedzieć Kapłance Nieba, żeby Vincent przyniósł film.

_ Dużo filmów - wtrącił Abo. - I dużo pysznych, lekach i zdrowych przekąsek z NutraSweet zarejestrowany znak handlowy - dodał po angielsku. - Vincent przyniesie dużo przekąsek.

Malink przewrócił stronę na wruszającą opowieść o dziewięćsetkilogramowym mężczyźnie, który przeszedł na dietę, gdy dźwigiem wyciągnięto go z domu, i zdołał zbić wagę do marnych sześciuset trzydziestu kilo, gdy po wyspie poniósł się odgłos serii z pistoletu maszynowego. Wódz odłożył magazyn i uniósł rękę, by uciszyć ludzi. Czekali, a wtedy rozległa się następna seria. Kilka sekund później usłyszeli krzyki i ujrzeli Sarapula, biegnącego tak szybko, jak tylko mogły go ponieść stare, wrzecionowate nogi.

- Na pomoc! - krzyczał. - Zastrzelili nawigatora!

Uzi mocno wciskał się w bok Tucka i pilot miał wrażenie, że jego zebra lada chwila się rozdziela. Strażnik ukucnął za nim przy wejściu do kokpitu, podczas gdy na asfalcie Betli Curtis wymieniała chłodziarkę na kolejną szarą kopertę. Gdy z powrotem zajęła miejsce w fotelu pilota, wydawało się, że jest w znacznie lepszym nastroju.

- Janie, do domu.

Tuck kiwnął głową w tył, gdzie siedział strażnik.

- Chyba nie chciałaś ryzykować, że wystartuję, kiedy będziesz poza samolotem.

- Wyglądam na głupią? - odparła. Bez żadnego wyzywającego spojrzenia, po prostu z uśmiechem.

- Nie, chyba nie. - Pchnął dźwignię i pokołował z no wrotem na pas startowy.

Beth Curtis znowu wyciągnęła rękę i lekko ścisnęła jego krocze. Włożyła helmfon, by móc z nim rozmawiać pomimo ryku silników, gdy już wystartują.

- Słuchaj, wiem, że to dla ciebie trudne. Zaufanie trzeba zbudować, a znasz mnie za krótko,

żebyś się już tego nauczył.

Może byłoby mi trochę łatwiej, gdybyś co pięć minut nie zmieniała osobowości, pomyślał Tuck.

- Zaufaj mi, Tucker. Nie krzywdzimy mieszkańców Alualu. W Indiach są ludzie, którzy sprzedają swoje organy za mniejsze pieniądze niż cena używanego pickupa toyoty. Zarabiamy tyle, że ci ludzie nigdy nie zostaną bez opieki, a przy okazji możemy zadbać o siebie.

- Skoro ludzie sprzedają organy za bezcen, to jakim cudem wy... my... zarabiamy aż tyle?

- Bo możemy dostarczać je na zamówienie. Przeszczepy to nie tylko kwestia grupy krwi. Jasne, w ostateczności, a zwykle jest to ostateczność, można się oprzeć na grupie krwi, ale w oznaczaniu tkanek rolę odgrywają jeszcze cztery inne czynniki. Jeśli wszystkie się zgadzają, razem z grupą krwi, masz większą szansę, że organizm nie odrzuci przeszczepu. Sebastian ma bazę danych z typami tkanek wszystkich tubylców z wyspy. Kiedy potrzeba organu, zamówienie przychodzi przez satelitę, a my sprawdzamy bazę. Jeśli mamy odpowiednik, Kapłanka Nieba wzywa wybrańca.

- A dawca i biorca nie muszą być tej samej rasy?

- To pomaga, ale wygląda na to, że mieszkańcy wyspy mają podobny kod genetyczny, jak Japończycy.

- Nie wyglądają jak Japończycy. Skąd o tym wiecie?

- Właściwie odkrył to antropolog, który przybył na wyspę na długo przede mną. Badał język i geny wyspiarzy, żeby sprawdzić, skąd migrowali. Okazuje się, że są zarówno lingwistycznie, jak i genetycznie powiązani z Japonią. Pula genetyczna nieco się zmieniła, bo krzyżowali się z ludnością z Nowej Gwinei, ale nadal nie oddalili się zbyt od Japończyków.

- Więc otworzyliście sklep z nerkami i trzepiecie kasę.

- Nie licząc blizny, ich życie się nie zmienia. Nigdy nie straciliśmy pacjenta z powodu błędu przy zabiegu albo infekcji.

Ale broń palna, pomyślał, to już inna sprawa. Mimo wszystko nie mógł nic zrobić, by ich powstrzymać - a jeśli miał nic nie robić, to dobra pensja i własny samolot stanowiły odpowiednią rekompensatę. W końcu przez większość życia nic nie robił. Czy to takie złe, brać pieniądze za coś, w czym był dobry?

- Więc nie dzieje im się krzywda? - spytał. - Znaczą na dłuższą metę?

- Druga nerka pracuje wydajniej i nie zauważają różnicy.

- Nadal nie rozumiem tej zabawy z Kapłanką Nieba.

Westchnęła.

- Zdobądź władzę nad religią, a zyskasz władzę nad ludźmi. Sebastian próbował przynieść plemieniu

Rekinów chrześcijaństwo, to samo robili przed nim misjonarze katoliccy, ale nie sposób rywalizować z bogiem, którego ludzie naprawdę widzieli. Rozwiązanie? Zostań tym bogiem.

- Myślałem, że bogiem jest Vincent.

- Jest, ale przekazuje cudowne towary za pośrednictwem Kapłanki Nieba. Poza tym to sposób na nudę. Nuda na małej wyspie może być zabójcza. Sam się przekonałeś.

Tuck skinął głową. Teraz nie było już tak źle. Lęk przed tym, że go zamordują, w znacznej mierze pozwolił zapomnieć o nudzie.

Beth Curtis pochyliła się nad nim i lekko pocałowała go w policzek.

- Ja i ty możemy razem zwalczyć nudę. To jeden z powodów, dla których cię wybrałam.

- Ty mnie wybrałaś? - Wbrew sobie pomyślał o jej nagim ciele, kołyszącym się nad nim.

- Oczywiście, że cię wybrałam. Jestem Kapłanką Nieba, nie?

- Nie jestem taki pewien, czy to twoja sprawa - odrzekł, myśląc o widmowym pilocie.

Odsunęła się i popatrzyła na niego tak, jakby stracił rozum.

49

LUDOŻERCA PRZY ŁÓŻKU

Tuck przespał większą część dnia, a potem obudził się z dzbankiem kawy nad powieścią szpiegowską. Patrzył na słowa, a jego wzrok przesuwiał się po stronach przez pół godziny, ale gdy odłożył książkę, nie miał pojęcia, o czym czytał. Jego umysł był rozdarty myślą o Beth, stojącej przed jego drzwiami. Kiedy tylko rozlegał się chrzęst kroków strażnika na żwirze, Tuck podchodził do okna, by sprawdzić, czy to nie ona. Nie przyszlaby za dnia, prawda? Obiecał Kimiemu, że sprawdzi, co u Sepie, i spotkają się w kręgu, ale spóźniał się ze spełnieniem tej obietnicy już o całą dobę. Co by się stało, gdyby Beth Curtis przyszła do jego bungalowu, kiedy go nie będzie? Nie mogła powiedzieć doktorowi, prawda? Jaką by miała wymówkę, że przyszła? Tak czy owak, Tuck zaczynał myśleć, że to doktor tu rządzi. Był po prostu wykwalifikowaną siłą roboczą, zresztą podobnie jak Tucker.

Popatrzył na strony powieści detektywistycznej, pooglądał trochę malajską telewizję (dzisiaj rzucali włóczniami w kokosy powieszzone na żerdzi, a przez wąskie paski na dole ekranu przemykały notowania z azjatyckich giełd akcji) i czekał na zapadnięcie nocy. Gdy nie widział już twarzy strażnika po przeciwnej stronie ogrodzonego terenu, odstawił przy oknie przedstawienie,

przeciągając się i ziewając, a potem zgasił światło, zrobił kukłę w łóżku i wymknął się przez otwarte dno prysznicza.

Jak zwykle poszedł za klinikę, przekradł się po drugiej stronie i wyjrzał zza rogu. Za ledwie trzy metry dalej, przy drzwiach stał strażnik. Tuck szybko się schował. Dzisiaj nie było mowy o wejściu do kliniki. Mógł poczekać, a nawet próbować zastraszyć strażnika, skoro już wiedział, że boją się do niego strzelać. Oczywiście, nie był pewien, czy wiedzą, że się boją. A jeśli to tylko Mato?

Wrócił wzdłuż ściany budynku i przez kokosowy gaj na plażę. Pływanie było już dla niego jak spacer do skrzynki na listy i w niecałe pięć minut znalazł się za polem minowym. Gdy okrążył krzywizną plaży, zobaczył światło i poruszające się wokół niego postacie. Mężczyźni przynieśli do kręgu lampę naftową. Cóż za nowoczesność.

Niektórzy zauważyli jego obecność, gdy zbliżał się do kręgu, ale stary wódz patrzył tylko w piasek między swoimi stopami. Obok niego leżała sterta czasopism.

- Co się dzieje, chłopaki?

panika obiegała krąg i zatrzymała się na Abo, który podniósł wzrok i powiedział:

- Twój przyjaciel zastrzelony przez strażników.

Tuck czekał, ale Abo odwrócił wzrok. Pilot skoczył przed Malinka.

- Wodzu, czy on mówi prawdę? Zastrzelili go? Kimi nieżyje?

- Żyje - odparł Malink, kręcąc głową. - Ale ciężko ranny.

- Zaprowadź mnie do niego.

- Jest w domu Sarapula.

- Dobra. Później sprawdzę w przewodniku. A teraz prowadź.

Stary wódz pokręcił głową.

- On umrze.

- Gdzie go postrzelili?

- W wodzie przy polu minowym.

- Nie, kołki. Gdzie na ciele?

Malink przyłożył dłoń do boku.

- Mówię: „zabierz go do Czarownika”, ale Sarapul mówi: „Czarownik do niego strzelał”. - Dopiero teraz Malink

spojrzał mu w oczy. Jego duże, brązowe oblicze miało zatroskany wyraz. - Vincent cię przysłał. Co mam robić?

Tuck wyczuwał u niego głęboki wstyd. Malink właśnie przyznał przed członkami swojego plemienia, że nie ma pojęcia co dalej. Utrata twarzy gryzła go niczym głodny krab.

- Vincent jest zadowolony z twojej decyzji – powiedział mu pilot. - Teraz muszę zobaczyć Kimiego.

Jeden z młodych Vincentów wstał. Poczł się bardzo odważny, gdy mówił:

- Zaprowadzę.

Tuck chwycił go za ramię.

- Dobry z ciebie człowiek. Prowadź.

Młodemu Vincentowi na chwilę zaparło dech, jakby Tuck właśnie dotknął jego ramienia mieczem i zaprosił go do Okrągłego Stołu, po chwili jednak odzyskał zmysły i ruszył do dżungli. Tuck szedł tuż za nim, omal nie wpadając kilka razy na gałęzie, pod którymi tamten po prostu przebiegł. Korolowy żwir na ścieżce wbijał mu się w stopy.

Gdy wyłonili się z dżungli, zobaczył światło sączące się z chaty Sarapula, którą rozpoznał z czasów, gdy wisiał na drzewie. Odwrócił się do młodego Vincenta, który wydawał się przerażony. Ruszył do szarzy na smoka, ale popełnił błąd, bo zatrzymał się, by o tym pomyśleć.

- Kimi jest u ludożercy?

Tubylec energicznie pokiwał głową, przestępując przy tym z nogi na nogę. Zdawało się, że lada chwila się zmoczy.

- Idź - powiedział Tuck. - Powiedz Malinkowi, żeby tu przyszedł. I napij się, bo tracisz panowanie nad sobą.

Vincent skinął głową i puścił się biegiem.

Tuck powoli podpełzł do drzwi, aż zobaczył starca, przykucniętego nad Kimim, próbującego wlać do jego ust *cos* ze skorupy kokosa.

- Hej - odezwał się. - Jak się czuje?

Sarapul odwrócił głowę i gestem zaprosił go do środka. Tuck musiał się pochylić, by przejść przez niskie drzwi, ale w środku szczyt sufitu znajdował się na wysokości aż pięciu metrów. Pilot ukląkł przy Kimim. Nawigator miał zamknięte oczy i wydawał się blady nawet w pomarańczowym blasku lampy naftowej. Leżał odkryty, a jego ciało było pośrodku owinięte bandażem.

- Ty to zrobiłeś? - zwrócił się Tuck do Sarapula. Stary ludożerca pokiwał głową.

. - Postrzelili go w wodzie. Wyciągnąłem go.

- Ile razy?

Tamten wyciągnął długi, zakrzywiony palec.

-Z obu stron? Kula przeszła? - Tuck pokazał palcem obie strony bioder leżącego.

- Tak - potwierdził Sarapul.

- Pokaż.

Starzec pokiwał głową i zaczął odwijać bandaże. Tuck delikatnie przekręcił nawigatora na bok. Kimi jęknął, ale się nie obudził. Pocisk trafił go mniej więcej pięć centymetrów nad biodrem. Przeszedł na wylot, rana wlotowa miała średnicę ołówka, a wylotowa ćwierćdolarówki. Tuck był zdziwiony, że Kimi nie wykrwawił się na śmierć. Stary ludożerca wykonał kawał dobrej roboty.

- Nie zabieraj go do Czarownika - powiedział Sarapul. - Czarownik go zabije. A to tylko nawigator. - Starzec błagał go, choć starał się zachować surową postawę. Zdradził go jednak szloch. - Jest moim przyjacielem.

Pilot oglądał ranę, chcąc dać tamtemu czas, by się pozbierał. Nie pamiętał, by w tej części ciała znajdowały się jakieś niezbędne do życia narządy. Ale rany należało zaszyć. Nie był pewien, czy będzie w stanie się na to zdobyć, ale Sarapul miał rację. Nie można było zabrać Kimiego do Curtisa.

- Uzywacie tu czegoś do uśmierzania bólu?

Ludożerca popatrzył na niego z wahaniem. Tuck uszczypnął go, aż Sarapul zawył.

- Ból. Masz coś, żeby nie bolało?

- Tak. Ale już tego nie rób.

- Nie. Dla Kimiego.

Sarapul kiwnął głową i wyszedł w ciemność. Wrócił kilka sekund później ze szklaną butelką w połowie wypełnioną mlecznym płynem. Podał Tuckowi.

- *Kava* - wyjaśnił. - Po niej nie boli.

Tuck odkorkował butelkę i w jego nozdrza uderzyła woń gotowanej kapusty. Wstrzymał oddech i pociągnął haust cieczy, przemógł się, by się nie zakrztusić, i przełknął. Usta natychmiast mu zdrętwiały.

- No, no, to powinno załatwić sprawę. Potrzebuję igły. nitki i gorącej wody. I jeszcze alkoholu albo wody utlenionej, jeśli masz.

Sarapul pokiwał głową.

- Posmarowałem go neosporinem.

- Wiedziałaś? To po co ja się staram?

Sarapul wzruszył ramionami i wyszedł z chaty. Najwyraźniej w środku nie trzymał nic z wyjątkiem własnej chudej dupy.

Kimi jęknął i Tuck go przekręcił. Oczy nawigatora się otworzyły.

- Szefie, ten psojebca do nie mnie strzelił.

- Curtis? Ten starszy biały facet?

- Nie. Japoński psojebca. - Kimi nakreślił palcem linię na swojej głowie, by pilot nie miał wątpliwości, o kim mowa.

- Co robiłeś? Powiedziałem, że zajrzę do Sepie i się spotkamy. - Poczuł, że miłe odrętwienie wędruje do jego kończyn. Ta *kava* naprawdę świetnie działała.

- Nie przyszedłeś. Martwię się o nią.

- Musiałem polecieć.

- Sarapul mówi, że ci ludzie bardzo źli. Lepiej mieszkać tutaj, szefie.

- Cicho bądź. Wypij to. - Przytknął butelkę do warg Kimiego i przechylił. Nawigator pociągnął łyk i Tuck pozwolił mu odpocząć przed podaniem następnej dawki.

- Niedobre - powiedział Kimi.

- Chcę cię zszyć.

Chłopak szeroko otworzył oczy. Wziął butelkę z rąk Tucka i pił, aż w końcu pilot mu ją wyrwał.

- Nie będzie tak źle.

- Dla ciebie.

Tuck się uśmiechnął.

- Nie słyszałeś? Vincent mnie tu przysłał.

- Tak mówi Sarapul. Mówi, że nie wierzył w Vincenta, ale teraz wierzy, jak przybyliśmy.

- Naprawdę?

Sarapul wszedł do środka z naręczem różnych rzeczy.

- Nie mówię tak. Ten psojebca kłamie. Tuck pokręcił głową.

- Jesteście dla siebie stworzeni.

Sarapul położył obok zestaw do szycia i flakonik wody utlenionej, po czym ukucnął nad nawigatorem i popatrzył na Tucka.

- Będzie dobry?

Pilot się uśmiechnął i złapał ludożercę za policzek.

- Mniam - powiedział.

- Przepraszam - mruknął starzec.

- Będzie dobry - zapewnił Tuck. Bezgłośnie poprosił o pomoc Vincenta.

- Nie czuję rąk - odezwał się Kimi. - Moje nogi, gdzie moje nogi? Umieram.

Sarapul zerknął na Tucka.

- Dobrze - powiedział. - Więcej *kavy*.

Tuck podniósł butelkę, w której została już tylko jedna czwarta zawartości.

- Świetna rzecz.

- Umieram - powtórzył Kimi. Tuck przekręcił go na bok.

- Kimi, mówiłem ci, że widziałem Roberta?

- Widzisz, nie zjadłem go - wtrącił Sarapul.

- Gdzie? - spytał Kimi.

- Przyleciał do mojego domu. Rozmawiał ze mną.

- Kłamiesz. Mówi tylko po filipińsku.

- Nauczył się angielskiego. Czujesz to?

- Co czuję? Ze umieram?

- Dobrze - stwierdził i założył pierwszy szew.

- Co mówi Roberto? Zły na mnie?

- Nie, powiedział, że umierasz.

- Umieram, umieram - zaskamlał Kimi.

- Tylko żartowałem. Nie powiedział tak. Powiedział, że chyba umierasz.

Tuck ciągle zajmował go rozmową i niebawem nawigator był tak przekonany o swojej nieuchronnej śmierci, że nie zauważył, że Tucker Case, niekompetentny samouk, zszedł i opatrzył jego rany.

50

DON KISZOT GRA W MINIGOLFA

Spał i śnił o lataniu, ale nie samolotem. Szybował nad ciepłym Pacyfikiem, a w dole hasało stado humbaków. Kiedy zniżył lot, jeden w wielorybów wyskoczył z wody, mrugnął do niego okiem wielkim jak piłka futbolowa i powiedział: - Jesteś gość.

A potem się uśmiechnął i szlag trafił cały sen, bo Tuck wiedział wprawdzie, że jest „gościem”, i nie miał nic przeciwko temu, by mu to powtarzano, ale wiedział również, że humbaki nie umieją się uśmiechać, i ta niespójność przetrąciła kark marzeniu. Obudził się. W bungalowie grała muzyka. - Zatańcz ze mną, Tucker - poprosiła. - Zatańcz ze mną w blasku księżyca.

Pomieszczenie wypełnił łagodny, przytłumiony dźwięk trąbek z „Moonlight Serenadę”, sączącej się z przenośnego odtwarzacza na stoliku. Beth Curtis, w wieczorowej sukni z cekinami i sandałach na wysokim obcasie, wirowała w tańcu z wyimaginowanym partnerem.

- Oj, Tucker, zatańcz ze mną. Proszę.

Płynnym krokiem zbliżyła się do łóżka i wyciągnęła rękę. Oddała jej kokosową głowę kukły i cały włożył pod przykrycie.

- Odejdź. Ja jestem zmęczony, a ty nienormalna.

Z impetem przysiadła na łóżku.

- Ty stary badyłu. - Wygięła usta w podkówkę. - Wcale nie chodziło ci o romans.

Tuck udawał, że śpi. I był w tym świetny. Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Przyniosłam szampana i świece. I upiekłam ciastka. Tak właśnie wyglądam, kiedy śpię. Dokładnie tak.

- I przygotowałam skręta wielkości twojego fiuta.

- Mam nadzieję, że ktoś pomógł ci go nieść – odburknął spod prześcieradła.

- Zwinęłam go na udzie, tak jak Kubanki zwijają cygara. - Nie mów, że polizałaś bibułkę. Dała mu klapsa w tyłek. - Chodź, zatańcz ze mną. Przekręcił się na plecy i odsłonił twarz.

- Nie pozbędę się ciebie, co?

- Dopiero kiedy zatańczymy i napijemy się szampana.

Zerknął na zegarek.

- Jest piąta rano.

- Nigdy nie przebałowałaś całej nocy?

- Nie w pionie.

- Niegrzeczny z ciebie chłopiec...

Udawała skromną, jakby mogła się zarumienić ze wstydu przy jakimś mniejszym draństwie niż ludobójstwo.

Muzyka się zmieniła. Tuck nie rozpoznał nowej, delikatnej melodii.

- To świetna piosenka. Zatańczmy.

Udała, że omdlewa. Naprawdę. Omdlewanie, zauważył Tuck, do złudzenia przypomina puszczone w zwolnionym tempie atak astmy. Zapiał kogut. Odpowiedziały mu siedem tysięcy sześćset czterdzieści dwa inne koguty.

- Beth, jest już rano. Idź do domu, proszę cię.

- Więc nie zatańczysz ze mną? - Nie.

- No dobrze, to darujmy sobie taniec. Muszę ci jednak powiedzieć, że bardzo mnie rozczarowałaś.

Wstała, ściągnęła sukienkę przez głowę i rzuciła ją na podłogę. Cekiny zaszeleściły jak zdychający grzechotnik. Została w samych pończochach.

- To chyba nie jest dobry pomysł... - zaprotestował bez przekonania, gdy popchnęła go na plecy.

Leżał na wznak, rękę miał unieruchomioną pod jej karkiem, gapił się w sufit i bezgłośnie mamrotał:

- Nigdy więcej nie puknę wariatki. Nigdy więcej nie puknę wariatki. Nigdy więcej...

Rany, ile razy już to sobie powtarzał? Może jednak szło ku lepszemu. W przeszłości mantra brzmiała: „Nigdy więcej nie puknę wariatki po pijaku”. A teraz nie był pijany, tylko śpiący.

Spróbował ostrożnie wyciągnąć rękę, a kiedy się nie udało, uciekł się do starej metody „na przytulankę”: przetoczył się na bok, jakby chciał objąć Beth, a kiedy jęknęła przez sen i spróbowała go pocałować, pod jej karkiem powstała wolna przestrzeń - w sam raz, żeby się uwolnić. To działało na wszystkie kobiety: od bogiń-dziwek z morderczymi skłonnościami po dziewczyny od Mary Jean. W dodatku Beth nie utrzymywała włosów przesadną ilością lakieru, który mógł spowolnić faceta.

Kurczę, naprawdę jestem niezły.

Po cichu wstał i przekradł się do łazienki. Sikając, podśpiewywał:

- Joł, nigdy więcej nie puknę wariatki.

Spodobała mu się improwizowana raperska zwrotka i oprócz tradycyjnej pogardy dla samego siebie poczuł coś w rodzaju dumy, że jest taki na czasie. Blizny przypomniały mu Kimiego, co go rozzłościło. Poczłapał bosy do sypialni i zaczął tarmosić śpiące bóstwo.

- Wstawaj, Beth. Idź do domu. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Panie Case? Za pięć minut idziemy na golfa.

Dłonią zasłonił usta Beth, chwycił ją za głowę, płynnym ruchem ściągnął z łóżka i zawlókł do łazienki. Tam ją puścił wyszedł i zamknął drzwi od zewnątrz. Gdyby Fred Astaire był terrorystą, byłby teraz z niego dumny.

Zgarnął spodnie z podłogi, włożył je i otworzył drzwi. Na zewnątrz stał Sebastian Curtis z kijem golfowym w ręce.

- Radziłbym włożyć koszulę, panie Case. Wiem, że jest jeszcze wcześnie, ale i tak może się pan spalić na słońcu.

- Dobra rada - przyznał Tuck.

Spojrzał na człowieka dźwigającego torbę z kijami. Dzisiaj rolę caddiego pełnił Stripe, który uśmiechnął się do niego krzywo. Tuck odpowiedział mu uśmiechem. Stripe, tak jak wcześniej Mato, nie miał bronii, kiedy nosił kije.

Odegram się za nawigatora, pomyślał Tuck. Mrugnął do Stripe'a.

- Zaraz będę gotowy.

Zamknął drzwi. Chciał powiedzieć Beth, żeby poczekała z wyjściem, aż nie będzie go w pokoju, ale gdy zajrzał do łazienki, okazało się, że Beth zniknęła.

- Słyszał pan, że ponad dziewięćdziesiąt procent zagrożonych gatunków zwierząt żyje na

wyspach? - spytał doktor.

- Nie. - Tuck położył piłeczkę na podgumowanym skrawku sztucznej trawy i odwrócił się do Stripe'a: - Ej, młotku, daj no żelazo piątkę.

Od godziny kręcili się po terenie, udając, że grają w golfa. Byli przy czwartym dołku. Tuck uderzył. Piłeczka prześliznęła się pięćdziesiąt metrów po żwirze.

- Orientuj się! - ostrzegł, odrzucając kij Stripe'owi. - Wyspy przypominają ewolucyjne szybkowary. Nowe gatunki szybciej się na nich pojawiają i szybciej wymierają. Podobnie jak religie.

- Serio?

Od miejsca, w które Sebastian posłał piłeczkę za pierwszym uderzeniem, dzieliło ich jeszcze pięćdziesiąt metrów. Tuck uderzał już trzy razy.

- W historii kultów cargo można wyróżnić takie same wydarzenia, jak we wszystkich wielkich religiach: okres ucisku, przybycie mesjasza, nowy ład, obietnicę wiecznotrwałego pokoju i dobrobytu. Tyle że zamiast ewoluować przez stulecia, tak jak to było z chrześcijaństwem czy buddyzmem, kultury cargo rozwinęły się na przestrzeni paru lat. To fascynujące, widzieć poruszające się wskazówki zegara i móc w tym uczestniczyć!

- Zmiana czasu na zimowy musi pana strasznie kręcić.

- To była tylko metafora, panie Case.

- Proszę mi mówić Tuck. - Tuck przełożył piłeczkę na sztuczną trawę. - Kichuś, daj no drivera.

Sebastian odkaszlnął.

- Ja bym raczej wziął żelazo dziewiątkę. Do chorągiewki zostało pięćdziesiąt metrów.

Stripe podał żądany kij. Tuck obejrzał go uważnie: masywny, z dużą główką, w całości wykonany z metalu; takie drivery bardzo się w Stanach rozpowszechniły. Spojrzał na Stripe'a i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wygląda na to, doktoru, że rozstałeś się z metodystami, żeby podziwiać chodzący zegar.

Zajął pozycję i zamachnął się na próbę. Kij ze świstem przeciął powietrze.

- Wierzył pan w coś kiedyś, panie Case?

- Ja? - Tuck wykonał drugie próbne uderzenie. - Czy wierzyłem? Nie.

- Nawet we własne siły?

- Nawet.

Ustawił się nad piłką i demonstracyjnie rozluźnił biodra.

- W takim razie nie powinien pan z wiary żartować.

- To prawda.

Napiął mięśnie, wziął zamach, ale zamiast uderzyć piłeczkę, zatoczył driverem łuk w powietrzu, jakby trzymał kij do baseballa, i z całej siły wyrzucił Stripe'a w twarz. Kość policzkowa chrupnęła makabrycznie. Ochroniarz osunął się z chrzęstem na koralowy żwir.

- Rany boskie! - wrzasnął Sebastian. Wyrwał Tuckowi kij z ręki. - Co pan robi, do diabła?!

Tuck pochylił się nad ochroniarzem i zbliżył twarz do jego twarzy.

- Uwaga, leci - mruknął. - Skurwysynu.

Sekundę później usłyszał metaliczny szczęk. Strażnik, który przed chwilą stał przy chorągiewce, przycisnął mu właśnie do ucha uzi.

Sebastian Curtis przykucnął i zaczął unosić powieki Stripea, sprawdzając reakcję źrenic na światło.

- Zabierz pana Case'a do jego domku i zostań przy nim. Przyślij mi dwóch ludzi z noszami. Znajdź Beth i powiedz jej... - Uświadomił sobie, że do strażnika dociera mniej więcej jedna trzecia jego słów. - Przyrowadź moją żonę.

- Wrócimy jeszcze do tej rozmowy o religii - powiedział Tuck.

GDZIE RZĄDZĄ FRAJERZY

Czarownik przechadzał się po werandzie. - Musimy znaleźć nowego pilota, Beth. Nie możemy pozwolić, żeby uszło mu to na sucho. Kapłanka Nieba ziewnęła. Siedziała malowniczo udrapowana na wiklinowym tronie, zasłonięta ręcznikiem, którym na życzenie Czarownika owinęła się nad piersiami. Stwierdził bowiem, że musi pomyśleć.

- Pytałeś go, dlaczego to zrobił?

- Oczywiście. Twierdzi, że chciał ożywić grę.

- No to mu się udało, prawda?

- To nie jest śmieszne, Beth. Będą z nim kłopoty. Kapłanka Nieba wstała i objęła Czarownika.

- Uwierz we mnie trochę. Dam sobie radę z Tuckerem Casem.

Nie miała ochoty na tę rozmowę. Jeszcze nie teraz. Nie upomniała Czarownikowi o tym, że Tuck popija. Wiązała z nim pewne plany.

Odsunął się od niej i oparł o barierkę.

- A jeżeli twój sposób na niego mi się nie spodoba?

- Co to ma znaczyć?

- Dobrze wiesz.

Podeszła bliżej, odwijając po drodze ręcznik, który opadł na podłogę. Znalazła się w ramionach Czarownika. Jej sutki musnęły przód jego koszuli.

- Jeżeli z dzisiejszych wydarzeń można wyciągnąć jakiś wniosek, Bastianie, to tylko taki, że Tucker Case jest troglodytą. Wcale ci nie zagraża. Mnie pociąga finezja, a nie siła. Case na gwałt odpowiada gwałtem. To dlatego uderzył Yamatę. Wystarczy potraktować go delikatnie, a będzie bezradny jak dziecko.

Curtis odwrócił się tyłem.

- Nie odwołam strażników z jego bungalowu. Na pewno nie teraz.

- Zrobisz, co uznasz za stosowne, ale to nie jest dobry pomysł: zrażać do siebie człowieka, którego usług potrzebujesz. Co z tego, że nie lubi ninja? Ja ich nie lubię, ty ich nie lubisz... Ale są nam potrzebni. Tak jak pilot. Wątpię, żebyśmy następnym razem mieli tyle szczęścia.

- Szczęścia? Ten facet to łajdak.

- Tucker Case to frajer. Frajerzy rządzą na wyspach, bo tam nie mają konkurencji. Sam mnie tego nauczyłeś.

Może pochlebstwo poskutkuje tam, gdzie nie zdało egzaminu uwodzenie.

- Naprawdę?

Rozpięła mu rozporek.

- Pewnie. W monologu o tym, że dziewięćdziesiąt procent gatunków zagrożonych żyje na wyspach. Gdyby miały konkurencję, wymarłyby dawno temu. To samo dotyczy frajerów takich jak Tucker Case.

- Miałem na myśli niepowtarzalne ekosystemy, takie jak Galapagos, w których ewolucja przyspiesza. Porównywałem ją do rozwoju religii.

- Bez różnicy.

Wyszarpnął jej rękę ze swoich spodni. Odepchnął ją.

- Jak to o nas świadczy, Beth? Jak to świadczy o mnie?

Kapłanka przegrywała na wszystkich frontach. Nie kontrolowała sytuacji. Jakiś nieznaną czynnik wpływał na humor Czarownika. Seks nie działał, pochlebstwo też nie... Co jej pozostało? No tak: poczucie wspólnoty.

- Jesteśmy silniejsi, Bastianie. Jesteśmy lepsi.

Spojrzał na nią pytająco.

Tylko spokojnie. Zaraz będzie twój. Niespiesznie wróciła na tron, przysiadła wdzięcznie, po czym rozłożyła nogi i zarzuciła je na podłokietniki.

- Zrobię ci sprawdzian. Test z ewolucji. Dlaczego, mimo upływu tylu lat i znalezienia mnóstwa skamielin, nadal nie mamy pewności, co się stało z dinozaurami? Nie musisz odpowiadać od razu. Zastanów się.

Czekając na odpowiedź, bawiła się swoim lewym sutkiem. W końcu Czarownik się rozpromienił. Naprawdę miał kapitalne zęby. Imponował jej tym, że przez te wszystkie lata na wyspie dbał o higienę jamy ustnej.

- Nie było świadków - powiedział.

- Brawo. Dokładniej: świadkowie nie przeżyli. Frajerzy rządzą tylko do czasu, aż pojawi się nowy dominujący gatunek. Nawet na wyspie.

Przez jego twarz przemknął cień troski. - Ale dinozaury niepodzielnie rządziły Ziemią przez dwieście milionów lat. Trudno je nazwać frajerami. Naprawdę musiał aż tak komplikować sprawę?

- Słuchaj no, Darwinie. Jestem pewna, że dziś w nocy żaden dinozaur sobie nie pobzyka. Sam wybierz, po której chcesz być stronie.

SŁABO ZNAM SIĘ NA HISTORII

Tuck wypatroszył cienkopis i kuchennym nożem zdjął tylną końcówkę, uzyskując w ten sposób znakomitą niewielką dmuchawkę. W szufladzie szafki nocnej znalazł kartkę z notatnika. Usadził się na wiklinowej sofie, skąd miał dobry widok na stojących za drzwiami strażników. Zębami oderwał kawałek papieru i, żując go, nadał mu postać kleistej kulki, załadował dmuchawkę i strzelił. Grudka oślinionego papieru zatoczyła łuk w powietrzu, wyleciała przez okno i przeleciała daleko od ochroniarzy, nie czyniąc im krzywdy.

Za dużo śliny. Następną kulkę odcisnął najpierw w palcach, zanim strzelił nią i trafił bliższego wartownika w kark. Strażnik strzepnął ręką, jakby oganiał się od natrętnego owada, ale poza tym nie zareagował.

Za mało śliny.

Tuck nabrał zabójczej wprawy w posługiwaniu się dmuchawką w czasie, gdy powinien był uczyć się algebry. Nauczyciel nie miał racji. Algebra nigdy później nie była mu do niczego potrzebna, natomiast mistrzostwo w pluciu papierowymi kulkami miało mu się za chwilę przydać, nawet jeśli nie zostało nigdy odnotowane w jego papierach - w przeciwieństwie do oblanego egzaminu z algebry.

Trzecia kulka trafiła strażnika w skroń i przykleiła się do skóry. Ninja odwrócił się i zaklął po japońsku. Tuck miał już przeżutą i gotową do strzału następną kulkę, która teraz pacnęła tamtego w szyję. Ochroniarz pogroził mu uzi.

- No, pojebie, dalej, zastrzel mnie - prowokował Tuck z błyskiem w oku. - A potem wytłumacz doktorowi, że zabiłeś pilota, bo plunął w ciebie papierową kulką.

Na oczach wściekłego strażnika odgryzł następny skrawek papieru i zaczął go obrabiać.

Otwierana do góry okiennica z blachy falistej była podparta patykiem. Strażnik strącił go i blacha z łoskotem opadła na okno.

Tuck przeszedł do sąsiedniego okna, wychylił się i strzelił. Plaśnięcie w czoło strażnika numer dwa, druga strącona podpórka, druga zatrzaśnięta okiennica.

Zostało jeszcze jedno okno, oddalone od wartowników o blisko osiem metrów. Tuck wystawił przez nie głowę i plunął. Za pociskiem przez werandę poleciała nitka śliny. Pierwszy strażnik, trafiony w pierś, rzucił się biegiem w stronę Tucka z uzi gotowym do strzału. Pilot cofnął głowę. Spadła ostatnia okiennica.

Rozległ się szcęk zasuwek. Cel został osiągnięty.

Dopóki strażnicy mogli zaglądać do środka co dwie minuty, nie miał szans zrobić podmiany z kokosową kukłą. Nawet po ciemku, przy świetle księżycy, nie przemknąłby niepostrzeżenie do łazienki. Sam, naturalnie, nie mógł zamknąć okien, bo to wydałoby się podejrzane.

- Dobranoc, chłopaki. Idę spać.

Stał przez chwilę z gotową do strzału dmuchawką, ale zasuwki się nie otworzyły. Zgasił światło i wlaź do łóżka, gdzie zmontował kokosowego ludzika, i odczekał, aż strażnicy zaczną rozmawiać. Poczul dym z papierosów. Dopiero wtedy przekradł się na palcach do łazienki.

Trochę się bał, że brodzik będzie zamknięty na amen. To tamtędy uciekła rano Beth Curtis. Może nie domyśliła się, że on wie. Ale nie - może była szurnięta, ale na pewno nie głupia. Wiedziała, że on wie. Wiedziała też, że on wie, że ona wie. To dlaczego nie powiedziała Sebastianowi? Zresztą nie wspomniała mu też o ich małej wycieczce na Guam. A może tak? Sebastian nie przysłał tym razem hojnego czeku. Tuck obiecał sobie w duchu, że spyta doktora o czek, kiedy następnym razem spotkają się na polu golfowym.

Zabrał pletwy i maskę, po czym ruszył na plażę. Zanim wszedł do wody, wyjął z kieszeni fiolkę z pigułkami (antybiotykiem przeciwko zakażeniu fiuta) i sprawdził, czy przykrywka dobrze się trzyma. To mogła być jego jedyna szansa, żeby zanieść lekarstwo Kimiemu.

Oplynał pole minowe, wyszedł na brzeg w wiosce i skierował się w stronę domku Sarapula. Kobiety i dzieci siedziały przy chatach: kobiety tkwały na krosnach przy świetle lamp naftowych, dzieci bawiły się cichutko albo dojadły podaną na liściach bananowca kolację. Tylko najmniejsze z nich zerknęły na przechodzącego Tucka. Kobiety odwracały się demonstracyjnie, jakby za żadne skarby nie chciały nawiązać kontaktu wzrokowego z obcym Amerykaninem. Nie były jednak przestraszone ani nawet zaniepokojone - po prostu zgodnie postanowiły go nie zauważać. Tak musiał wyglądać Nowy Jork przed przybyciem białych, pomyślał Tuck. Utkwił wzrok w ścieżce, cztery metry przed sobą, i również postarał się zapomnieć o istnieniu tubylców. Tak było lepiej. Nie wiedział, kiedy przyjdzie mu przewieźć do Japonii kawałek któregoś z nich.

Szedł szybko i wkrótce zobaczył poświatę padającą na dom Sarapula. Kiedy wyszedł na polanę, stary ludożerca i Kimi siedzieli przy ognisku, bardzo czymś zajęci. Szyciem, na pierwszy rzut oka.

- Kimi? - odezwał się Tuck. - Powinieneś leżeć w łóżku.

Kimi podniósł wzrok. Na kolanach trzymał kawał niebieskiego nylonu, który ciągnął się dalej i okrywał także kolana Sarapula.

- Czuję się lepiej. Wyleczyłeś mnie, szefie.

Tuck podał mu fiolkę z lekarstwem.

- Weź dwie od razu, a potem łykaj po jednej dwa razy dziennie, aż się skończą.

- Sarapul daje mi *kavc*. Wtedy nie boli.

- Nie chodzi o ból, tylko o *zakażenie*. Po prostu łykaj te pigułki, dobra?

- Okej, szefie. Chcesz nam pomóc?

- A co robicie?

- Pokażę.

Kimi próbował wstać, ale grymas bólu wykrzywił mu twarz.

Sarapul pchnął go z powrotem na ziemię.

- Ja pokażę.

Wziął lampę i skinął na Tucka, żeby szedł za nim. Tuck spojrział na Kimiego.

- Bierz pigułki. I staraj się więcej leżeć; nie wiem, ile te szwy wytrzymają. To była duża dziura.

- Okej, szefie.

Ludożerca zniknął już w dżungli. Tuck puścił się biegiem i prawie go rozdeptał, wypadając z bananowego zagajnika na teren rzadko porośnięty chodzącymi drzewami, mangrowcami i palmami. Pięćdziesiąt metrów dalej, przy plaży, Sarapul zatrzymał się przy czymś, co wyglądało jak ogromny zwalony pień. Dopiero z bliska Tuck rozpoznał długie żaglowe czółno. Sarapul uśmiechnął się szeroko; w świetle lampy naftowej przypominał demona z mrocznej przeszłości wyspy.

- *Palu* to robi. Nawigator. Ja pomagam.

Oświetlił łódź. Jedna burta była ciemna i oślizła, druga, świeżo oskrobana i pomalowana, miała jasnożółty kolor. Pachniało świeżą żywicą.

Sam boczny pływak miał rozmiar małej łódki, a łączące go z kadłubem wsporniki podtrzymywały poziomą platformę. Był to naprawdę kawał łodzi. Wycięcie kadłuba z litego pnia drzewa za pomocą prymitywnych narzędzi wymagało nie tylko ogromnego nakładu pracy, ale i wielkich umiejętności.

- Kimi to zbudował? Niesamowite!

Sarapul pokiwał głową. Oczy zaślnęły mu odbitym blaskiem lampy.

- Łódź popsuta od czasu przed Vincentem. Kimi świetny nawigator.

- Poważnie? - Tuck, który dobrze pamiętał sztorm, miał pewne wątpliwości, ale Kimi też miał rację, kiedy mówił, że przecież przetrwali huragan w łupinie. A ta dłubanka to nie było byle co, tylko prawdziwe dzieło sztuki. - Szyjecie żagiel?

- Niedługo kończymy. Wtedy *palu* nauczy mnie żeglować. Plemię Rekinów znów wypłynie na morze.

- Skąd wzięliście taki kawał nylonu? Doktor Curtis nie będzie zachwycony.

Sarapul wgramolił się do łodzi i zaczął grzebać w rzuconych na stos wiosłach i linach (plecionych ręcznie z włókna kokosowego), aż wyciągnął splątaną masę nylonowych pasków,

rzepów i plastikowych sprzączek, z których w paru miejscach zwieszały się jeszcze strzepy niebieskiego nylonu.

- To mój plecak! Wzięliście mój plecak?

-1 namiot ze środka.

- A reszta rzeczy? Macie je gdzieś? Miałem tam lekarstwo, które przydałoby się Kimiemu.

Sarapul skinął głową i poprowadził Tucka z powrotem przez dżunglę. Kimi przez ten czas położył się na posłaniu.

- Źle się czuję, szefie.

- Wytrzymaj. Może znajdę jeszcze jakieś lekarstwo. Prawdę mówiąc, Tuck nie miał pojęcia, co dokładnie Jake Skye spakował do plecaka.

Sarapul zdjął stojący na krokwi kosz z liści palmowych i podał go Tuckerowi, który wyjął antybiotyki, środki przeciwbólowe i aspirynę. Znalazł nawet resztki gotówki, które miał wtedy przy sobie. Tabletki nie zawilgły. Wydzielił odpowiednią dawkę i podał nawigatorowi.

- Łyknij je, kiedy zaczniesz boleć. A te bierz tak jak tamte pierwsze: dwa razy dziennie.

- Ty dobry lekarz, szefie.

- Świetnie się spisałeś. Mówię o łodzi. Kimi trochę się zaniepokoił.

- Nie mów Czarownikowi ani białej zdzirze Vincenta.

- Nic im nie powiem. Nawigator odetchnął z ulgą.

- Roberto dziś przylatuje. Mówi, że musisz zobaczyć czółno. Ale mówi też, że ty nie mówisz Czarnoksiężnikowi.

- Roberto ci tak powiedział.

- On teraz śmiesznie mówi. Trochę jak ty. Po amerykańsku. Mówi, że Sepie masie dobrze. Niedługo wróci do domu.

-mNie mogłem się z nią zobaczyć. Pilnują kliniki.

- Psojebcy.

Tuck opowiedział o partyjce golfa. Stary ludożerca musiał przytrzymać Kimiego, kiedy ten najpierw dostał ataku śmiechu, a potem zwinął się z bólu.

- Prześpię się, szefie. Ty wróć. Popłyniemy.

- Umowa stoi. - Tuck wyszedł tyłem z chaty i zaczął na niosącego lampę Sarapula. - Wiesz, które pastylki mu dawać?

Sarapul pokiwał głową. Tuck wszedł na ścieżkę prowadzącą do wioski, ale po minucie zatrzymał się, słysząc, że ludożerca za nim biegnie.

- Hej, pilot! Vincent cię przysyła?

- Nie wiem.

- Powiedz Vincentowi, że wcale nie chciałem cię zjeść, dobra?

Tuck się uśmiechnął.

- Następnym razem spróbuję przemycić jakąś mielonkę.

Sarapul odpowiedział uśmiechem.

Zanim podszedł do kręgu, spojrzął na zegarek. Nie chciał, żeby jego nieobecność przeciągnęła się ponad dwie, trzy godziny. Ryzyko, że każą mu gdzieś lecieć, było niewielkie, zwłaszcza bez wcześniejszej wizyty Kapłanki Nieba – ale Beth mogła zjawić się u niego w bungalowie w każdej chwili. Śmieszne... Kiedy się nad tym zastanowić, myślał o Beth i Kapłance jak o dwóch różnych osobach.

Mężczyźni z plemienia Rekinów nakładali świeżą warstwę czerwonej farby na bambusowe karabiny. Zrobili Tuckowi miejsce na kłodzie. Usiadł obok Malinka. Młody mężczyzna, który nalewał, bez słowa podał mu naczynie. Tuck opróżnił je i oddał.

- O co chodzi z tymi karabinami?

- Armia Vincenta - wyjaśnił Malink. - Vincent powiedział, że musimy być zawsze gotowi do walki z wrogami Stanów Zjednoczonych.

- Aha... A dlaczego czerwone?

Malink zrobił taką minę, jakby Tuck był czymś, w co można nieprzyjemnie wdepnąć.

- To kolor brata Vincenta.

- Naprawdę? - Tuck nic z tego nie rozumiał.

- Brat Vincenta to Święty Mikołaj. Jego kolor czerwony. Na pewno słyszałeś’.

Tuck był bezradny - opadła mu szczęka.

- Święty Mikołaj jest bratem Vincenta?

- Tak. Przynosi wszystkim świetne towary, chociaż tylko raz w roku. Przyjeżdża saniami, po

śniegu. To chyba wiesz?

- No wiem. Ale nie widzę związku.

Malink sprawiał wrażenie, jakby najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się, żeby nie powiedzieć Tuckowi, że niewiarygodny z niego tępak.

- U nas śnieg nie pada, więc Vincent przyleci samolotem. Ale nie raz na rok, tylko częściej. A potem będzie przywoził towar codziennie. Więcej niż daje przez Kapłankę Nieba.

Więcej niż przynosi Święty Mikołaj.

- Vincent wam tak powiedział? Że jest bratem Świętego Mikołaja?

- Tym chudszy. - Malink pokiwał głową. - Dlatego malujemy karabiny na czerwono. - Spojrzał na Tucka, szukając u niego oznak zrozumienia. Na próżno. - Nawet ojciec Rodriguez wie o Świętym Mikołaju.

- Dobra. Panowie, może byście tak szybciej podawali ten kubeczek? - zasugerował Tuck.

- Kiedy Vincent przyleci, da nam prawdziwe karabiny - dodał Malink. - Musimy być gotowi do walki.

- Z kim? Ktoś was kiedyś napadł?

- Raz. Jak byłem mały, przyплыли ludzie z Nowej Gwinei. Nie podobają nam się. Wsiadamy do swoich łodzi i płyniemy ich zabić.

- I co się wydarzyło?

- Ściemniło się.

-I?

- Wracamy do domu. Ci z Nowej Gwinei mają fart. My nie umiemy nawigować po ciemku.

- Nie mieliście *palui* - zdziwił się Tuck. Użył miejscowego określenia nawigatora.

- Japończycy zabili wszystkich *palu*. Może jeden został.

- Dlaczego w takim razie nie wydaliście Kimiego Czarownikowi?

Malink zachmurzył się i pokiwał głową. - Ja myślę: jeśli Vincent was przysyła, to czemu Czarownik nie wie, że tu jesteście? I jak to możliwe, że ty nie znasz Świętego Mikołaja?

Mężczyźni przerwali rozmowy i malowanie broni, czekając na odpowiedź Tucka. Napięcie narastało - i nie miało nic wspólnego z tym, czy uda mu się napić, czy nie. Powiedział im to, co chcieli usłyszeć:

- Vincent wezwał mnie z krainy pancernych oposów i kazał udać się na wyspę zamieszkaną przez plemię Rekinów. Jestem lotnikiem, tak jak Vincent. Nie o wszystkim mi mówi. Tak jak nie o wszystkim mówi Czarownikowi. Bywa tajemniczy, ale musimy mu zaufać. Malinkę się usmiechnął.
- Wypijmy za tego lotnika. Potem pójdziemy spać - powiedział i nachylił się do Tucka. - Jutro polowanie.

53

SKĄD PLEMIE REKINÓW WZIĘŁO SWOJĄ NAZWĘ

Kiedy tuż po świcie rozległo się walenie do drzwi, Tuck przygotował się w duchu na spotkanie z uśmiechniętym Sebastianem Curtisem, który z nieskrywaną - i przesadną - uciechą wyczekuje kolejnej okazji, by upokorzyć pilota w golfie na żwirowisku. Kiedy jednak otworzył drzwi, zobaczył Beth Curtis w białej bawełnianej sukience z długimi rękawami i w olbrzymim słomkowym kapeluszu, którego rondo opadało jej na twarz jak abażur. On miał na sobie tylko przechodzone bokserki, które zdradzały poranny wzwód bardziej, niżby mu to pasowało. Dziwne: miesiąc temu sprzedałby duszę diabłu w zamian za to niezwykle zjawisko fizjologiczne, przez które dziś czuł się zakłopotany.

- Dzień dobry- powiedział. - Spodziewałem się doktora
- A co? Macie jakieś plany?
- Nie, po prostu... Nieważne. Napijesz się kawy? - Tuck gestem wskazał maleńki aneks kuchenny.
- Wiesz co? Zaparz sobie, weź kubek i chodź. Chcę ci coś pokazać.
- Dobrze. Minutkę.

Czekała przy drzwiach, kiedy on wstawił wodę, uczesał się, zalał zmieloną kawę wrzątkiem i dosypał mleka w proszku.

- Jestem gotowy. O co chodzi?
- To, co chcę ci pokazać, jest po drugiej stronie wyspy.
- Poza terenem kompleksu?
- Blisko wioski. Spodoba ci się.

Wyszli na dwór, w poranne promienie słońca. Tuck ostrożnie niósł kubek z kawą. Nigdzie nie widział strażników. Szeroka brama prowadząca na pas startowy była otwarta na oścież.

- Gdzie ninja?

- Też ich tak nazywasz? Zabawne...

Roześmiała się, ale ponieważ Tuck nie widział jej twarzy pod abazurem, nie mógł stwierdzić, czy był to szczery śmiech. Ujęła go pod ramię i dała się prowadzić przez pas jak wiktoriańska dama.

- Tęsknisz czasem za rodziną? - zapytała. Zaskoczyła go.

- Za moją rodziną? Nie. Rozstaliśmy się w niezbyt miłych okolicznościach. Zerwałem z nimi kontakt na długo zanim tu przyleciałem.

- A za przyjaciółmi?

Tuck się zawahał. Odkąd ostatnio widział Jake'a Skye'a, sporo się zmieniło. Można by powiedzieć, że wziął na siebie pewną odpowiedzialność. Działał sam, bez wsparcia. Szkoda, że nie mógł o tym opowiedzieć Jake'owi.

- Tak, za przyjaciółmi czasem tak.

- Ja też, Tucker. Chciałabym się z tobą zaprzyjaźnić.

- Masz przecież Sebastiana.

- No tak, faktycznie...

Nie rozmawiali już potem przez całą drogę do wioski, w której zastali tylko garstkę psów i stanowczo zbyt wiele kogutów.

- Co tutaj tak pusto? - zdziwił się Tuck, starając się nie dać po sobie poznać, że zna to miejsce. - Tu mieszkają tubylcy?

- Teraz są na plaży. Dziś jest dzień polowania.

- Polowania?

- Zobaczysz. To niespodzianka.

Tuck zajrzał przez uchylone drzwi do mijanego domku. W środku ktoś spał. Beth poszła przodem, Tuck ociągał się chwilę, a kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył stojącą w progu Sepie, nagą, jeśli nie liczyć owiniętego wokół żeber bandaża. Pomachała mu. Tuck zaryzykował przelotny uśmiech i odwrócił się do niej plecami. Zdradzą go. Wystarczy najlżejsza oznaka rozpoznania i będzie skończony.

Na plaży zebrali się starsi mężczyźni, kobiety i dzieci, łącznie około trzystu osób. Większość kobiet i dzieci Tuck widział pierwszy raz. Rozpoznał Favo, starca z kręgu pijących, który jednak niczym nie zdradził, że go poznaje. Młodszy mężczyźni stali na rafie po kolana w wodzie, zalewani leniwymi falami. Był odpływ. Każdy trzymał półtorametrowy kij z przywiązany do jednego końca sznurem. Każdy był też przepasany sznurkiem, za który zatknął długi nóż.

- Łowią ryby? - spytał Tuck.

- Po prostu patrz - odparła Beth. - Stąd plemię Rekinów wzięło swoją nazwę.

Malink w towarzystwie czterech mężczyzn wynurzył się z dżungli. Nieśli plastikowe wiadra.

- Robią kubły z pływaków sieci zastawianych przez wielkie trawlerzy - wyjaśniła Beth. - Sami nie są w stanie wytworzyć równie twardego materiału.

Tuck patrzył, jak płyną na rafę, trzymając wiadra na głowach.

- Co w nich jest?

- Świńska i kurza krew.

Dwóch mężczyzn pomogło Malinkowi wspiąć się na rafę i wzięło od niego wiadro. Malink spojrzął na morze, powiedział coś w ojczystym języku, a potem odwrócił się do pobratymców na plaży, jakby chciał im dać do zrozumienia, że jest gotowy.

Na rozkaz wodza ludzie opróżnili kubły z krwi i nagle znaleźli się po kolana w szkarłatnej wodzie. Krew rozlała się po oceanie jak olbrzymia chmura.

- Czy to nie jest niebezpieczne? - zaniepokoił się Tuck.

- Oczywiście. To obłąd.

Ciekawy dobór słów. Tuck dziwił się trochę, że żaden z tubylców nie wygląda na przejętego obecnością Beth.

- Dlaczego nie płaszczą się przed tobą i nie biją w bębny?

- Nie wolno im, kiedy przychodzę tak ubrana. Takie są zasady. Czasem potrzebuję odrobiny prywatności.

- Naturalnie.

Dwadzieścia metrów od rafy wysunęła się z wody płetwa. Ktoś krzyknął i Tuck rozpoznał Abo z charakterystycznym kokiem wojownika. Malink pokiwał głową, na co Abo rzucił się do wody i zaczął płynąć w stronę rekina. Zanim pokonał pierwsze dziesięć metrów, płetwa zwróciła się w jego kierunku.

Zaczęły się pojawić kolejne. Malink skinieniami głowy dawał zgodę i kolejni mężczyźni z kijami skakali do wody.

- Kurczę, przecież to samobójstwo! - mruknął Tuck. Pierwszy rekin zaszarżował na Abo, który uskoczył przed nim jak matador. - Musisz to powstrzymać!

Nie pamiętał, żeby kiedyś tak bardzo się bał o innego człowieka.

Beth Curtis ścisnęła go za ramię.

- Wiedzą, co robią.

Rekin zawrócił i znów zaatakował. Tym razem Abo nie usunął się z drogi, lecz wepchnął kij poziomo w paszczę rekina niczym uzdę, wskoczył mu na grzbiet, a następnie leżąc, przełożył linę pod płetwami piersiowymi i zaczepił o drugi koniec patyka, zabezpieczając go w ten sposób przed wypadnięciem. Woda wzburzyła się, gdy rekin zaczął się miotać, ale Abo utrzymał się na jego grzbiecie. Trzymając kij jak kierownicę motocykla, najpierw szarpnął do góry, uniemożliwiając drapieżnikowi zanurzenie się, a potem skierował go na płyciznę, gdzie czekali już inni, uzbrojeni w noże.

Tłum na plaży ryknął, gdy Abo oddał zdobycz myśliwym i uniosł ręce w geście triumfu. Rzeźnicy rozpruli rekinowi brzuch, wycięli kawał wątroby i podali go Abo, który wgrzył się w niego, oderwał kawałek i przełknął. Krew ściekała mu po piersi.

Następni myśliwi zaczęli sprowadzać swoje rekiny na płyciznę; masa trójkątnych płetw wzburzyła głębszą wodę. Chmura czerwieni rozlewała się, w miarę jak coraz więcej rekinów ginęło, a ich miejsce zajmowały następne. Wypatroszone ryby wywlekano na plażę, gdzie kobiety dzieliły mięso i rozdawały kawałki dzieciom albo wyłupywały trójkątne zęby, z których chłopcy zrobią później naszyjniki i będą nosić jako myśliwskie trofea.

Jeden z myśliwych stanął wyprostowany na grzbiecie ogromnego rekina młota i niewiele brakowało, żeby się wykastrował o płetwę grzbietową, gdy ryba wpłynęła na płyciznę i zrzuciła go do wody. Rekin został pochwycony i zabity razem z innymi.

Pół godziny później polowanie dobiegło końca. Morze poczerwieniało w promieniu tysiąca metrów, plażę usłały truchła setki rekinów: ostronosów, młotów, żarłaczy czarnopłetwych, białopłetwych i błękitnych. Jedne z najniebezpieczniejszych drapieżników na świecie dały się złapać jak gupiki w siatkę, przy czym nikt z plemienia nie został ranny - chociaż wielu miało otarcia na wewnętrznej stronie ud: płynąc na rekinach, poharatali się o ich skórę. Byli umazani krwią od stóp do głów i półprzytomni ze szczęścia.

Tucka замуrowało. Nigdy wcześniej nie widział ani takiej odwagi, ani tak krwawej jatki i ciarki przebiegały mu po grzbiecie na wspomnienie wszystkich nocy, kiedy beztróska pływał w tych wodach.

Malink szedł plażą, wlokąc trzymanego za skrzek żarłacza tygrysięgo. Jego pękaty jak u Buddy brzuch

spływał krwią. Spojrzał na Tuckera i uśmiechnął się niepewnie.

- To ich wódz - wyjaśniła Beth. - Jest już za stary na takie zabawy, ale za nic nie chce siedzieć spokojnie na brzegu.

- Nie zdarza się, że rekiny kogoś dopadną?

- Czasami, ale zwykle kończy się na jednym dziabnięciu i mnóstwie szwów. Odkąd mieszkam na wyspie, nikt nie zginął.

Przynajmniej nie podczas polowania na rekiny, dodał w myślach Tuck.

Mała dziewczynka, która dotąd pomagała matce, wyrzała nieśmiało zza cielska ogromnego rekina młota. Podbiegła do Tuckera i dotknęła jego kolana, po czym wycofała się do bezpiecznego azylu przy matce.

- Dziwne - stwierdziła Beth Curtis. - Tutejsze kobiety i dziewczęta nie zadają się z białymi. Nawet kiedy przychodzą do Sebastiana, w rozmowie pośredniczy ich mąż albo brat. Mimo że Sebastian zna ich język.

Tuck nie odpowiedział. Nie mógł oderwać wzroku od pleców dziecka: przecinała je ogromna blizna, zaczynająca się na piersi, przy mostku, i biegnąca pod pachą do kręgosłupa, dokładnie na wysokości nerki. Zrobiło mu się niedobrze.

- Chyba dość się napatrzyłem, Beth. Możemy już iść?

- Nie lubisz widoku krwi?

- Można tak powiedzieć.

Kiedy wracali przez wioskę, zauważył siedzącą przed jednym z domów kobietę. Trzymała na rękach małego chłopczyka, kołysała go i śpiewała cicho. Maluch miał opatrunki z gazy na obojgu oczach. Kiedy Tucker się zbliżył, kobieta przycisnęła dziecko do piersi.

Beth złapała go za rękę i próbowała odciągnąć, ale wyrwał się jej i podszedł do kobiety.

- Co mu się stało? - zapytał. Kobieta odsunęła się od niego.

- Tucker! - zawołała Beth. - Daj jej spokój. Nie strasz jej.

- Nie bój się - szepnął Tucker. - Jestem pilotem. Przysłał mnie Vincent.

Kobieta trochę się uspokoiła. Wytrzeszczyła z niedowierzaniem oczy i uśmiechnęła się słabo. Tuck dotknął główki, dziecka.

- Co mu się stało?

Kobieta podniosła dziecko w wyciągniętych rękach, jakby podawała je do chrztu.

- Jest wybrany - powiedziała, spoglądając na Kapłankę Nieba w poszukiwaniu aprobaty.

Tuck wstał i się cofnął. Wolał się teraz nie odwracać do Beth, bo się bał, że udusiłby ją gołymi rękami. Zamiast tego spokojnie, z namysłem, z trudem powstrzymując drżenie głosu, powiedział:

- Wracajmy.

Pierwszy ruszył przez wioskę, z powrotem do kliniki.

54

TUCKER SPRZEDANY

Kapłanka Nieba rzuciła kapeluszem przez pokój i szarpnęła zapinany kołnierzyk sukienki. Tucker jej się wymykał. Nie podobało jej się to. Nie znosiła tracić nad kimś kontroli. Rozdarła przód sukienki i zrzuciła ją z siebie. Wściekłym krokiem podeszła do zamrażarki, wlokąc za sobą zahaczoną o stopę sukienkę, i wyjęła butelkę wódki. Nalała sobie szklaneczkę i połowę wypła duszkiem. Doląła do pełna. Zimno zatętniło jej w skroniach. Z butelką w jednej ręce i szklanką w drugiej usadowiła się przed telewizorem i go włączyła. Nic, tylko szum i śnieg. Sebastian korzystał z anteny satelitarnej. Rzuciła butelką w telewizor, ale chybiła: butelka odbiła się od szafki i odszczypała kawałek plastiku.

- Żeż kurwa mać! - Włączyła umieszczony obok fotela interkom. - Bastian, do cholery!

- Słucham, skarbie? - Jego głos był spokojny i melodyjny.

- Co ty tam robisz, do chuja? Chcę sobie pooglądać telewizję.

- Już kończę, kotku.

- Musimy pogadać. Pociągnęła łyk wódki.

- Zgadzam się. Zaraz przyjdę.

- Tylko przynieś jakąś wódkę.

- Jak sobie życzysz.

Dziesięć minut później Czarownik wszedł do jej bungalowu. Wyglądał w każdym calu jak lekarz-arystokrata. Podał jej butelkę i usiadł naprzeciwko.

- Nalej mi też, kochanie. Dobrze?

Odruchowo zerwała się i przyniosła z kuchni szklanę. Podała mu ją razem z butelką.

- Masz podartą sukienkę.

- Co ty powiesz...

- Podoba mi się to, co widzę... Chociaż wolałbym sam ją z ciebie zedrzeć.

- Później. Obawiam się, że mamy kłopot.

Czarownik się uśmiechnął.

- Mieliśmy. Dziś o północy wszystkie nasze kłopoty znikną. A propos... Jak się udał poranny spacer?

- Zabrałam Case'a, żeby pokazać mu polowanie na rekiny. Chciałam, żeby się zabawił.

- Bo kiedy cię posuwał, najwyraźniej źle się bawił.

Nie mogła okazać zdziwienia - nie kiedy zastawił tak oczywistą pułapkę.

- Nie sądzę. Ale to był błąd.

- Polowanie czy rżnięcie?

- Polowanie. - Beth cała się zjeżyła. - Rżnięcie było w porządku. W wiosce zobaczył chłopca, od którego pobraliśmy rogówki.

- Ach, tak...

- Przestraszył się. Źle się stało, że skojarzył tubylców z procedurą.

- Wydawało mi się, że świetnie sobie z nim radzisz.

Czarownik najwyraźniej znakomicie się bawił.

- Nie bądź taki pewny siebie. Co z nim zrobisz? Zamkniesz go w izolatce? Jest nam potrzebny.

- Wcale nie. Zatrudniłem nowego pilota. Japończyka.

- Przecież umawialiśmy się, że...

- Z Amerykanami nie wyszło, prawda? Ten nowy zaczyna dzisiaj.

- Niby jak?

- Polecisz po niego. Korporacja zapewnia, że jest najlepszy w swoim fachu i nie będzie zadawał pytań.

- Ja po niego polecę?

- Mamy zamówienie na serce i płuca. Ty i pan Case musicie dostarczyć towar.

- Nie mogę, Bastianie. Nie dam rady najpierw wystąpić na ceremonii, a potem zrobić przeszczepu. Jestem cała roztrzęsiona.

- Nie będzie takiej potrzeby. Nikt nam nie każe robić operacji, wystarczy, że dostarczymy dawcę. Po prostu trochę mniej zarobimy.

- A kto dokona wyboru?

- Sama go dokonałaś, kiedy poszłaś do łóżka z naszym nieustraszonym pilotem. Dawcą serca i płuc jest dziś Tucker Case.

**

Tuck czuł, że musi się napić. Rozejrzał się po domku, wypatrując porzuconej przez kogoś buteleczki olejku waniliowego albo płynu po goleniu, który dobrze by się komponował z plasterkiem mango. Owoców mango miał pod dostatkiem, nie znalazł jednak niczego, co zawierałoby choć odrobinę alkoholu etylowego. Pozostało jeszcze wiele godzin do chwili, gdy po ciemku będzie mógł się wymknąć i zasiąść w kręgu, gdzie zamierzał nawalić się jak szpadel, jeśli tylko zdoła spojrzeć tubylcom w oczy. No i się nie porzygać.

Przykro mi, chłopaki. Muszę jakoś zagłuszyć wyrzuty sumienia po tym, jak oślepiłem dziecko, żeby dostać własny samolot.

Próbował zająć czymś myśli, zaczął czytać, ale niewzruszona moralność książkowych szpiegów tylko dodatkowo popsuka mu humor. Telewizja też nie pomagała: na jednym kanale pokazywali przedstawienie balijskiego teatru cieni, na drugim filipiński reportaż o tym, jak fajnie jest produkować półprzewodniki dla Amerykanów i dostawać za to trzy dolce dziennie. Wyłączył telewizor i cisnął pilotem przez pokój. Frustracja wylała się z niego długim strumieniem przekleństw, zakończonym retorycznym pytaniem:

- No, panie widmowy pilocie, gdzie teraz jesteś, do ciężkiej cholery?

Ktoś zastukał do drzwi.

- Żartowałem - powiedział Tuck. - Tylko żartowałem.

- Tucker? - usłyszał głos Beth Curtis. - Mogę wejść?

- Otwarte.

Zawsze było otwarte. Drzwi nie miały zamka.

Odwrócił się, jakby się obawiał, że jej wzrok - jak spojrzenie Meduzy - przemieni go w kamień, w

każdym razie tę jego część, która nie miała wyrzutów sumienia.

Podeszła do niego od tyłu i zaczęła mu masować mięśnie karku i barków. Nie spojrzał na nią; nie wiedział, czy jest naga, czy ma na sobie strój klowna.

- Jesteś poruszony. Rozumiem to. Ale to nie jest tak, jak myślisz.

- Niewiele tu zostaje miejsca na pomyłkę.

- Tak sądzisz? A gdybym ci powiedziała, że ten chłopiec jest niewidomy od urodzenia? Rogówki miał zdrowe, ale nerwy wzrokowe uległy atrofii.

- Od razu mi lepiej, dzięki. Oczy nie były dzieciakowi potrzebne, więc mu je wydlubaliśmy.

Poczuł, jak jej paznokcie wbijają mu się w mięśnie czworoboczne.

- Mówienie o „wydlubaniu” jest nie na miejscu. To bardzo delikatna operacja. Dzięki temu, że przeprowadziliśmy ją, inne dziecko widzi normalnie. Chyba zapominasz o tym aspekcie naszej działalności. Każda dostarczona przez nas nerka to jedno ocalone życie. To była prawda. Nie pomyślał o tym.

- Ja tylko latam.

- Za co dostajesz pieniądze. Dokładnie to samo mógłbyś robić w Stanach: przewoziłbyś sanitarką organy do przeszczepów. Tylko że zarabiałbyś mniej, niż dzisiaj płacisz podatku. Mam rację?

Niezupełnie, pomyślał. Bez licencji w Stanach nie polatałby nawet lotnią.

- Pewnie tak - odparł. - Ale mogliście mi powiedzieć, czym się zajmujecie.

- Żebyś, grzejąc osiemset kilometrów na godzinę, rozmyślał o niewidomym chłopczyku? To nie byłby dobry pomysł. - Pocałowała go delikatnie w płatek ucha. - Nie jestem potworem, Tuck. Kiedyś byłam małą dziewczynką. Miałam mamę, tatę i kotka, który wabił się Ciastek. Nie wyłupiam dzieciom oczu. Odwrócił się w końcu i z ulgą stwierdził, że Beth ma na sobie jedną z konserwatywnych sukienek w stylu Donny Reed.

- Co się z tobą stało, Beth? Co sprawiło, że z dziecka, które wołało „Kici, kici, Ciastek”, zmieniłaś się w Boginię-Dziwkę plemienia Rekinów?

Natychmiast pożałował swoich słów. Nie dlatego, że nie były prawdziwe, ale dlatego, że zdradził się ze swoją wiedzą. W duchu przygotował się na wybuch gniewu.

Usiadła naprzeciw niego na sofie, zwinęła się w kulkę wtuliła twarz w poduszkę i zakryła oczy dłonią. W milczeniu patrzył, jak bezgłośny szloch wstrząsa jej ciałem. Miał nadzieję, że Beth nie udaje; miał nadzieję, że poczuła się dostatecznie urażona, by wziąć jego oskarżenie za hiperbolę.

Minęło całe pięć minut, zanim na niego spojrzała. Miała zaczerwienione oczy i czarny od rozmazanego tuszu policzek.

- To przez ciebie - powiedziała.

Tuck skinął głową, siłą woli powstrzymując uśmiech. Próbowwała wcielić się w nową rolę, ale odgrywanie ofiary wychodziło jej znacznie gorzej niż udawanie królowej uwodzicielek.

- Przepraszam, Beth. Byłem niegrzeczny.

Zaskoczył ją. Wypadła z roli. Najwyraźniej wypowiedział kwestię, którą obmyśliła sobie, płacząc. Sekundę później zapanowała nad emocjami i ciągnęła przedstawienie:

- To twoja wina. Ja chciałam tylko mieć przyjaciela, nie kochanka. Ale wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami.

- Najwidoczniej nie dostałaś okólnika „Faceci to świnie”. Następny będzie miał tytuł „Woda jest mokra”. Nie przegap go.

Znów wypadła z roli.

- Co ty wygadujesz?

- Może kiedyś rzeczywiście byłaś ofiarą, ale dziś to odległe wspomnienie, którym się podpierasz, żeby usprawiedliwić to, co robisz. Wykorzystujesz mężczyzn, bo to umiesz. Nie mam zielonego pojęcia, co się wydarzyło w San Francisco. Kobieta z twoją urodą powinna znaleźć łatwiejszą drogę do fortuny przez łóżko. Taki doktorek to dla ciebie kaszka z mleczkiem.

- A ty nie?

Tuck czuł się tak, jakby ktoś wstrzyknął mu serum prawdy, od którego rozjaśniło mu się w głowie. To wewnętrzne światło wcale nie odkrywało przed nim nowych prawd o Beth Curtis, lecz spływało wprost na niego, i - Tak, ja pewnie też. I co z tego? Czy choć przez chwilę pomyślałaś o tym, że mogłabyś nie pójść ze mną do łóżka?

Zgrzytnęła zębami.

- Tylko wtedy, kiedy się dowiedziałam, że prawie urwało ci jaja.

- Jak ci się wydaje, jak trudne zadanie sobie postawiłaś? Nie próbowałaś mnie przecież przekupić, nic z tych rzeczy. Znam tę grę od lat, Beth. Od drugiej strony. I znam ciebie. Jestem tobą.

- Nic nie wiesz!

Widać było, że z trudem się powstrzymuje, żeby nie zacząć krzyczeć. Krew napływała jej do twarzy. Tuck nie ustępował:

- Freud twierdzi, że jestem, jaki jestem, bo nikt mnie w dzieciństwie nie przytulał. A ty? Jaka masz wymówkę?

- Nie bądź taki cwany. Gdybym chciała, mogłabym cię mieć w każdej chwili, nawet teraz.

Jakby chcąc dowieść swoich racji, rozłożyła nogi, oparła stopy na przeciwległych krawędziach stolika i zaczęła podciągać sukienkę. Pod spodem miała tylko białe pończochy.

- Nie jestem zainteresowany. To dla mnie nic nowego.

- Tak łatwo cię przejrzeć...

Usiadła na stoliku i przeciągnęła się leniwie, jak kotka przesuwając dłońmi w górę po wewnętrznej stronie jego ud. Kiedy dosięgła sprzączki paska, ich twarze znalazły się na jednej wysokości i prawie zetknęli się nosami. Zalaatywało od niej alkoholem. Przesunęła językiem po jego wargach, ale on spokojnie patrzył jej prosto w oczy, zimne i niebieskie jak kryształ. Jak jego własne. Nikogo nie oszuka.

Uświadomił sobie, że i on nigdy nikogo nie oszukał: każda dziewczyna od Mary Jean, każda dupcia poderwana w barze, każda sekretarka, stewardesa i laska ze sklepu - wszystkie wiedziały, co się święci, i wszystkie pozwalały mu się uwieść.

Beth rozpięła mu rozporek i wzięła go do ręki. Nadal patrzyli sobie w oczy z odległości pięciu centymetrów.

- Coś mi się wydaje, że znalazłam słaby punkt w twoim pancerzu, twardzielu.

- Nie.

Osunęła się niżej i wzięła go do ust. Z trudem stłumił sapnięcie. Patrzył, jak porusza nad nim głową. Żeby jej nie dotykać, zacisnął palce na podłokietnikach. Wiklina zatrzeszczała, jakby ktoś jej robił krzywdę.

- Przekonujący argument - rozległ się męski głos. Tuck podniósł wzrok. Miejsce Beth na sofie zajął Vincent.

- Jezu... - stęknął Tuck.

Beth jęknęła cicho i wbiła mu paznokcie w tyłek.

- Zła odpowiedź - powiedział Vincent. - Ale pamiętaj, żeby nigdy z nim nie grać w karty. - Palił papierosa, ale Tuck nie czuł dymu. - Nie bój się, ona mnie nie słyszy. Ani nie widzi.

Tuck tylko pokręcił głową, zaparł się mocniej o podłokietniki i podciągnął wyżej. Beth wzięła to za oznakę entuzjazmu, na chwilę podniosła wzrok i napotkała jego wybałuszone oczy, wielkie jak piłeczki golfowe. Uśmiechnęła się; szminka trochę się jej rozmazała, z kącika ust ciągnęła się strużka śliny.

- Odpręż się. Tutaj frajerzy rządzą.

Oblizwała wargi i wróciła do przerwanej zajęcia. - Dama ma rację - zauważył Vincent. - I stawiam trzy do jednego, że cię przekona. Co ty na to?

- Nie. - Tuck zbył go machnięciem ręki i zamknął oczy.

- Ależ tak - powiedziała Beth, jakby do mikrofonu. Vincent pstryknął niedopałkiem za okno.

- Nie rozpraszam cię chyba za bardzo, co? Wpadłem, żeby przedstawić ci racje damy, ponieważ chwilowo nie może sama zabrać głosu.

Tuck zmagął się właśnie z najgorszymi w życiu zawrotami głowy, i to nie wstając z krzesła. Zawrót głowy na tle seksualnym.

- Dla ciebie jest to pewnie niemal religijne doświadczenie, prawda? Trzymaj się faktów. Niech ona przejmie inicjatywę. Nie podejmuj żadnych decyzji, to nie będziesz musiał się o nic martwić. Zupełnie o nic. Masz na to moje słowo. Chociaż na twoim miejscu sprawdziłbym jej bajeczkę, tak na wszelki wypadek. Możesz na przykład pogrzebać w komputerze doktora.

Beth pracowała rękami i ustami, jakby obsługiwała pompę, by woda ugasiła pochłaniający ją od środka ogień. Tuck słyszał swój własny przyśpieszony oddech, skrzypienie fotela, zgrzyt wiklinowych nóżek ślizgających się na podłodze. Teraz już jej pomagał, też chciał ugasić własny żar. Nic więcej się nie liczyło.

- Pomyśl o tym - dodał tymczasem Vincent. -i zrób to co należy. Jesteś mi coś winien, nie zapominaj.

Rozpłynął się w powietrzu.

- Co to ma znaczyć? - zdziwił się Tuck, a potem jęknął, wyprężył plecy i doszedł z takim impetem, że bał się, czy nie straci przytomności.

Beth pompowała dalej, bez wytchnienia, aż w końcu, nie mogąc znieść intensywności jej dotyku, musiał ją odepchnąć. Przysiadła na podłodze u jego stóp i posłała mu spojrzenie rozzłoszczonej kotki.

- Jesteś mój - powiedziała. Dyszała ciężko, sukienkę wciąż miała zrolowaną na wysokości talii. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Brzmiało to jak rozkaz, ale Tuck wyraźnie słyszał przebijającą przez gniew nutę desperacji. Poczul w piersi miazdzący ból, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem.

- Znam cię, Beth. Jestem tobą - powiedział. A raczej byłem, dodał w myślach. - Tak, jesteśmy przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się jak mała dziewczynka, która dostała właśnie kucyka na urodziny.

- Wiedziałam.

Wstała, przyglądała sukienkę, schyliła się i pocałowała go w czoło. Uśmiechnął się słabo.

- Niedługo znów się zobaczymy - zapowiedziała. -

O dziewiątej lecimy. Teraz muszę się spotkać z Sebastianem.

Tuck zapiął spodnie.

- I przygotować do występu?

- Nie, to nie będzie kurs medyczny. Polecimy tylko po zaopatrzenie.

Pokiwał głową.

- Beth? Czy ten chłopiec naprawdę był niewidomy od urodzenia?

- Ależ oczywiście - odparła z udawanym oburzeniem. W roli Kapłanki Nieba była bardziej przekonująca.

- Idź, spotkaj się z Sebastianem.

Kiedy wyszła, Tuck spojrzał w sufit i powiedział:

- Nie wiem, czy mnie słyszysz, Vincent, ale powiem ci, że nie wierzę w te twoje pierdoły. Chcesz mi pomóc? Proszę bardzo. Ale jeśli nie, to nie wchodź mi w paradę.

55

NIE ZWRACAJ UWAGI NA FACETA PRZY KOMPUTERZE

Przeszedł do łazienki, opłukał twarz i przyczesał włosy. Obejrzał się w lustrze, szukając tego przerażającego błysku w oku, który dostrzegł u Beth. Nie był nią. Nie był taki bystry jak ona - ale nie był też równie szalony. Skrzywił się na myśl o tym, że przez większość swojego dorosłego życia był albo skończonym palantem, albo kozłem ofiarnym, a czasem jednym i drugim jednocześnie. Nawiasem mówiąc, na niewąską ironię zakrawał fakt, że doznał objawienia, kiedy laska robiła mu loda. Kimkolwiek był Vincent, od początku prowadził jakąś' własną grę, mieszał prawdę z fałszem i pakował go w coraz większe tarapaty. Nie zanosilo się na żadne cudowne ocalenie i jeśli.

Tuck chciał się dowiedzieć, co go naprawdę czeka, musiał jak najszybciej zajrzeć do komputera.

Najlepszy moment na to, żeby zakraść się niepostrzeżenie do kliniki, był teraz, w środku dnia. Od rana nie widział nigdzie ochroniarzy, a Beth poszła „spotkać się z Sebastianem”. Gdyby go złapali, mógł powiedzieć, że chciał przejrzeć prognozy pogody przed nocnym lotem; skoro doktor mógł rozsyłać mejle i fakсы po całym świecie, na pewno miał też dostęp do serwisów meteo. Zresztą nie było to specjalnie istotne: wątpił, żeby miał kłopot z przekonaniem doktora, że jest skończonym durniem. Całe jego dotychczasowe życie było doskonałą przykrywką.

Wziął z szafki nocnej ołówek i kartkę papieru, które schował do tylnej kieszeni spodni. Może przy okazji uda mu się spisać namiary na Okinawę. Gdyby wprowadził je do komputera nawigacyjnego w learze, może później zdołałby sprowokować lotnictwo wojskowe i kazaliby mu tam przymusowo lądować. Sam w życiu nie trafi.

Wyszedł na werandę i kątem oka spojrzął w stronę baraku strażników: nikt nie pilnował jego bungalowu. Zadowolony podszedł do drzwi kliniki i nacisnął klamkę. Były i otwarte.

Rozejrzał się jeszcze raz, nic nie zobaczył i wśliznął się do biura, gdzie od razu usłyszał głosy dobiegające z pokoju na zapleczu sali operacyjnej. Męskie głosy i japoński język. Podkraść się bliżej i uchylił drzwi sali. Drzwi po przeciwnej stronie było otwarte na oścież. Wszyscy ninja zebrali się przy jednym ze szpitalnych łóżek i grali w karty. Przyszli odwiedzić Stripe’a.

Tuck przymknął drzwi i usiadł przy komputerze.

Był kiedyś taki czas, że nie miał zielonego pojęcia o komputerach. Wydawało mu się, że „podkładka pod myszkę” to zastrzeżona przez Disneya marka podpasek - ale to było, zanim poznał Jake’a Skye’a. Jake pokazał mu, gdzie znaleźć mapy nawigacyjne, jak czytać prognozy pogody i zdalnie zgłaszać plan lotu. Przy okazji Tuck opanował również najważniejszą - zdaniem Jake’a - umiejętność związaną z obsługą komputera, czyli włamywanie się do cudzych dokumentów.

Wszystkie trzy monitory były włączone: dwa monochromatyczne, czarno-zielone, i jeden kolorowy. Tuck skoncentrował się na kolorowym - wyglądał sympatyczniej i wyświetlał znajomy wygaszacz: slajdy z delfinami. Poruszył myszką. Pojawił się znajomy ekran Windowsów. Kiedy z pokoiku na tyłach dobiegły głośne wiwaty, omal nie zjechał myszką z blatu. Ktoś musiał dostać niezłą kartę.

Spodziewał się tajemniczych, kompletnie niezrozumiałych aplikacji medycznych, ale wyglądało na to, że doktor używa tego samego oprogramowania co wszyscy użytkownicy w Stanach. Kliknął na ikonkę bazy danych. Znajoma aplikacja wypełniła ekran. Wywołał okno otwierania plików: były tylko dwa do wyboru. Jeden nosił nazwę ZAOPATRZENIE, drugi T T. „Typy tkanek”? Kliknął na niego. Wyskoczyło okienko PODAJ HASŁO.

- Psiakrew.

Jake tłumaczył mu, że jeśli zna się użytkownika, to jego hasło jest oczywiste. Takie, żeby łatwo mu było zapamiętać. Wystarczyło postawić się w jego sytuacji, by je odgadnąć. Istniała też możliwość, że po prostu zapisano je na samoprzylepnym karteluszkach przyklejonym do monitora. Nie znalazłszy niczego takiego na widoku, Tuck przegrzebał papiery w szufladach w poszukiwaniu czegoś, co wyglądałoby jak hasło. Odsunął się z krzesłem i zajrzał pod biurko. Bingo! Od spodu

szuflady ktoś nakleił kawałek plastra z wypisanymi dwoma długimi ciągami cyfr.

Wyjął z kieszeni papier i ołówek i przepisał oba numery, a potem wklepał pierwszy w odpowiednie pole.

<hasło niepoprawne>, dowiedział się.

Wpisał drugi ciąg cyfr.

<hasło niepoprawne>

Szukaj czegoś oczywistego, KAPLANKA NIEBA.

<hasło niepoprawne>

Z salki dobiegł głośny śmiech strażników.

VINCENT.

<hasło niepoprawne>

DOKTOR.

<hasło niepoprawne>

To musiało być coś, o czym doktor myślał, siedząc tu, przy komputerze. Coś, co stale chodziło mu po głowie.

BETH.

<hasło niepoprawne>

CYCKI BETH.

Nie, zaraz. Doktorek by tak nie pomyślał.

PIERSI BETH.

Plik się otworzył. Na ekranie z lewej strony wyświetliła się lista imion, uzupełniona - po prawej - kolumnami liter i cyfr. Wszystkie imiona na pierwszej stronie należały do tubylców. Pierwsze pięć kolumn zawierało informację o typach tkanek i grupie krwi, dalej szły nerki, wątroba, serce, płuca, rogówka i trzustka. Serca, płuca, wątroby i trzustki ostatecznie przekonały Tucka, że plan Curtisów nie ma nic wspólnego z dobroczynnością. Zamierzali sprzedawać plemię Rekinów na targu mięsnym, dopóki wioska nie opustoszeje.

Włączył wyszukiwanie i wpisał SEPIE. We wszystkich polach odpowiadających organom widniały ikсы - poza „nerką”, gdzie widniała data i litera p. „Pobrana”? Data odpowiadała dacie operacji.

Wpisał ^{PARDEE, JEFFERSON} Żadnych iksów i dwa razy ^p: przy sercu i płucach. Oczywiście. Inne organy nie mogły być zaznaczone: stały się niedostępne po tym, jak oddano je rekinom. Hasła ^{SOMMERS, JAMES} nie było w ogóle - i to też miało sens: nie mogliby przewozić organów do Japonii, nie mając pilota. Tuck żałował, że nie zapytał o imię niewidomego chłopca; nie mógł w tej chwili przewijać listy blisko trzystu imion w poszukiwaniu pobranych rogówek. Wpisał ^{CASE, TUCKER} W kolumnach „płuca” i „serce” widniały literki p. I dzisiejsza data.

- Skurwiele...

W pokoiku przy sali operacyjnej zapanowało jakieś poruszenie. Tuck zerwał się od komputera tak gwałtownie, że odepchnięte krzesło przejechało przez biuro i wyrznęło w szafkę pod ścianą. Na komputerze nadal wyświetlała się baza danych. Zdażył jeszcze wyciągnąć rękę i zgasić monitor, zanim do pokoju wpadł Mato.

- Co wy tam wyrabiacie, chłopaki?! - spytał Tuck.

Mato stanął jak wryty. Był zaskoczony. Przecież to on miał krzyczeć.

- Dziś lecimy - ciągnął Tuck. - Samolot zatankowany?

Mato pokręcił głową.

- No to do roboty! Tak się właśnie zastanawiałem, gdzieście się podziali.

Strażnik patrzył na niego bez słowa.

- No już! Biegusiem!

Mato zaczął się cofać w stronę drzwi, wyraźnie zaniepokojony wizją zostawienia Tucka samego w klinice. Dołączył do niego drugi ochroniarz. Kiedy Mato przeniósł na niego wzrok, Tuck zgarnął z biurka swoją kartkę i ołówek. Ołówek natychmiast upuścił, schylił się po niego i pstryknął głównym wyłącznikiem komputera. Po włączeniu maszyna się zrestartuje i doktor dowie się tylko tego, że została wyłączona. Nie domyśli się, że ktoś grzebał w pliku z danymi dawców.

- Chodźmy, panowie.

Przepchnął się obok Mato, chowając kartkę do kieszeni.

Tuck zamierzał urządzić pokazową kontrolę leara przed startem. Trzy razy dopominał się, by strażnik dysponujący kluczykiem do głównego wyłącznika mocy włączył instalację i umożliwił mu przeprowadzenie testów, ale ten nie chciał o tym słyszeć: uśmiechnął się tylko półgębkiem i poszedł sobie. Tuck zajrzał pod pulpit, w nadziei że znajdzie tam jakieś oczywiste obejście wyłącznika. Z komputerem mu się udało - ale w samolocie wyłącznik i wszystkie wychodzące z niego przewody były zamknięte w stalowej skrzynce, której nie przepaliłby chyba nawet spawarka. Zresztą, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, które druty są od czego. Pewnie nawet nie znalazłby w środku głównego wyłącznika, tylko jakiś przekaźnik, którego nie dałoby się obejść.

Wrócił do swojego bungalowu. Jeżeli nie znajdzie szybko sposobu na wydostanie się z wyspy, o

północy będzie uboższy o dwa płuca i serce. Beth na pewno weźmie do samolotu jednego ochroniarza, może nawet dwóch, zważywszy okoliczności... Nie miał też co do niej złudzeń: w razie potrzeby strzeli mu w jaja i zmusi do lotu do Japonii. Musiał wymyślić coś innego. Na przykład Łódź. Łódź Kimiego. Przecież ci goście pływają po oceanie w takich dłubankach i pokonują tysiące mil, prawda? A doktor co by mu zrobił? Tak skutecznie zabezpieczył wyspę, że jego ludzie nie dysponowali żadną łódką.

Przebrał się w szorty, wziął płetwy i maskę, po czym poszedł do łazienki. Zawiązał nogawki spodni na supeł i zaczął je napełniać niezbędnym bagażem: koszula, wiatrówka, środek odkażający, krem z filtrem, krótki nóż kuchenny. W kuchni znalazł słoiczek z cukrem. Wysypał cukier do zlewu, a do słoika napchał zapalek i plastrów. Kiedy już miał go zakręcić, dostrzegł wystający z kieszeni spodni papier, na którym zanotował ciągi liczb w biurze. Dorzucił go na koniec do słoiczka. Na wierzch zrobionej ze spodni torby dorzucił parę adidasów i mocno zacisnął pasek. Mógł płynąć z tym bagażem jak dzieciak, który uczy się pływać z piankową rurą pod pachami. Mokra ubrania zaczną mu wprawdzie w końcu ciążyć, ale przez ten czas zdąży dotrzeć na plażę po drugiej stronie pola minowego - a z jego punktu widzenia ominięcie min było połową sukcesu. Potem wystarczyło już tylko przekonać starego ludożercę, by dał mu łódź z zapasem wody, i namówić Kimiego, żeby towarzyszył mu jako nawigator. Tylko dokąd, u licha, mieliby popłynąć? Na Yap? Na Guam?

Po kolei. Najpierw musiał wydostać się z terenu kliniki. Sprawdził, gdzie są strażnicy: przez okno widział trzech... nie, czterech, przy hangarze. Czekał. Nigdy wcześniej nie próbował tam płynąć za dnia: byłby doskonale widoczny nawet z pasa startowego. Pozostało mu mieć nadzieję, że nie spojrzą w jego stronę.

W tej chwili byli zajęci przetaczaniem do hangaru beczek, z których ręcznie pompowali paliwo do samolotu. Po dwóch na beczkę, czterech na terenie kliniki... Jeden obsługiwał pompę. Stripe leżał w klinice.

Kurtyna w górę.

Wrócił do łazienki, podniósł właz, przerzucił tam spodniotorbę i sprzęt do nurkowania, po czym zeskoczył. Zastanawiał się, czy powinien się skradać, czy biec; co będzie lepsze: ostrożność czy szybkość - i postanowił popędzić prosto do wody jak nowo narodzony żółwik. Tylko Beth i doktor mogli go zobaczyć, ale teraz pewnie zsunęli dwa pojedyncze łóżka i zajęli się jakimiś zboczonymi świństwami, które ich kręciły. Miał tylko nadzieję, że to coś bolesnego.

Puścił się biegiem po koralowym żwirze. Ostre odłamki wgrzyzały mu się w stopy, paprocie smagały go po kostkach, ale on nie zwracał na nie uwagi, koncentrując się na dobiegnięciu do plaży. Mijając klinikę, miał wrażenie, że kątem oka dostrzega jakiś ruch, ale nie obejrzał się, żeby to sprawdzić. Był Carlem Lewisem, Michaellem Johnsonem i Edwinem Mosesem (z tą tylko różnicą, że był biały i powolny) i za zbędny ruch głowy mógł zapłacić zgubieniem rytmu biegu i przegraną w wyścigu. A plaża wydaje się tak cholernie odległa, kiedy człowiek pędzi na złamanie karku... Zupełnie inaczej niż gdyby się skradał.

Omiał się nie przewrócić, gdy wypadł na piasek, udało mu się jednak wykonać na wpół kontrolowane potknięcie, po którym wylądował twarzą w głębokiej na dziesięć centymetrów wodzie. Mały żółwik

dotarł do morza - gdzie czekały go zupełnie nowe niebezpieczeństwa, z których wcale nie najmniejszym były uwieszone u jego szyi i wypchane sprzętem spodnie.

Wbiegł głębiej w wodę, założył płetwy i maskę i zaczął płynąć.

Yamata był wściekły, odkąd usłyszał w klinice głos pilota. Walcząc z szumem w głowie i otępieniem po środkach przeciwbólowych, wstał, żeby go dopaść. Widział, jak pilot, potykając się, wpada do wody. Dopiero wtedy spróbował zaalarmować pozostałych, ale z odrutowanej szczęki zamiast krzyku wydostało się tylko słabe chrząknięcie, a zmiażdżone zatoki nie przepuściły dźwięków przez nos. On zostawił pistolet w baraku, jego kumple pracowali w hangarze, a znenawidzony więzień uciekał.

Yamata postanowił pójść po broń. Inni jeszcze zechcieliby wziąć pilota żywcem.

UCIECZKA

Kimi próbował przywołać grom, ale niezbyt mu to wychodziło. Śpiewał i wymachiwał rękami przez pół godziny, a na niebie nie pojawiła się nawet najmniejsza chmurka.

- Źle trzymasz ręce - stwierdził Sarapul.

Leżał sobie pod palmą, żuł orzeszki betelowe i wspomagał nawigatora konstruktywną krytyką. Sepie leżała obok, obserwując ich obu.

- Akurat - zachnął się Kimi. - Macham nimi dokładnie tak samo jak ty.

- Może u Filipińczyków to nie działa?

- To przez to, że jestem ranny. Gdyby mnie nie postrzelili, dałbym radę.

Sarapul omiótł wzrokiem widnokrąg. Nic, nawet jednego ptaszka.

- Masz rację, to przez to, że jesteś ranny. - Splunął czerwoną śliną. - I źle trzymasz ręce.

Kimi znów zaczął zawodzić i wymachiwać rękoma.

- Hej! - zawołał Sarapul.

-Co jest? Słyszałeś grzmot? Mówiłem, że mi się uda!

- Nie, bądź cicho. Ktoś cię woła.

Kimi nadstawił ucha. Ktoś wołał go po imieniu i się zbliżał. Pokuśtykał w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczył Tuckera Case'a.

- Szefie! Co ty tu robisz w środku dnia? Czarownik się na ciebie wścieknie, bardzo, bardzo.

- To wariat - wydyszał Tuck. - Potrzebna mi twoja łódź, Kimi. I ty, żebyś ją poprowadził.

- To nie jego statek - wtrącił Sarapul. - Tylko mój.

- Jeśli nie wydostanę się z wyspy, doktor mnie zabije. Mogę pożyczyć łódź?

Stary ludożerca zastanawiał się przez chwilę.

- Dokąd płyniesz?

- Nie wiem. Na Guam, na Yap... Gdziekolwiek!

- Mogę płynąć z tobą?

- Tak, oczywiście, jeśli pożyczysz mi łódź, to jak najbardziej.

- Wyruszamy pięć dni. Tak, Kimi? Kimi spojrzał na Tucka.

- Przez pięć dni złe żeglowanie - wyjaśnił.

- Ja muszę odpłynąć teraz, Kimi.

- Możemy wziąć Sepie? Sepie cofnęła się, zaskoczona.

- Chcecie mnie zabrać? Kobiety nie żeglują.

- Płyniesz z nami - zarządził Kimi. - Okej, szefie?

- Jak chcesz. - Tuck skinął głową. - Sepie, idź powiedz Malinkowi, że potrzebuję kokosów z mleczkiem do picia. Dużo kokosów, obranych. Przydadzą się też banany, mango, papaje i suszone ryby, jeśli jakieś ma.

- Mamy mnóstwo mięsa rekinów - zauważyła Sepie.

- Ale ja potrzebuję suszonego, i to teraz. Powiedz Malinkowi, że to prośba Vincenta.

Sarapul zaczął wycinać zielsko porastające obszar między czółnem i brzegiem morza.

- Wyłóż drogę liśćmi palmy - wyjaśnił Tuckowi. - Łódź się będzie ślizgać.

Tuck zaczął zbierać długie palmowe liście i układać je przed łodzią.

- Kimi. Przynieś rzeczy z mojego plecaka. Przydadzą się nam.

- A co z Robertem?

- Możesz go zawołać, ale przede wszystkim przynieś te rzeczy. Pieniądze też.

- Okej, szefie.

Dziesięć minut później zjawił się Malink, prowadząc za sobą sznur ludzi. Wszyscy nieśli kosze z jedzeniem i kokosami w zielonych łupinach.

- Wyjeżdżasz?

- Muszę, wodzu.

- Zabierasz nasz statek i naszego nawigatora.

- I dziewczynę z domu kawalerów - dodał Abo zza pleców Malinka.

- Muszę odpłynąć. Czarownik i Kapłanka Nieba chcą mnie zabić.

- Przecież przysłał cię Vincent. Co ci mogą zrobić?

- Oni tak naprawdę nie wierzą w Vincenta. Powołują się na niego, żebyście oddawali im wybrańców. Twoich ludzi też niedługo zaczną zabijać, Malink.

- Nie zabijają wybrańców. Wybrańcy są dla Vincenta.

- Nie, już ci to mówiłem. Wycinają wasze organy wewnętrzne i sprzedają je innym ludziom, którzy wkładają je sobie do ciała.

- Nie można włożyć nerki z jednego człowieka innemu - prychnął Malink.

- Pisali o tym w „People”. Na pewno widziałeś: Demi Moore, Melanie Griffith, Mariel Hemingway... Mnóstwo ich było. Nie czytałeś o tym?

Twarz Malinka rozjaśniła się w przebłysku zrozumienia.

- Nowe cycki!

- No właśnie. Jak myślisz, skąd one wszystkie biorą nowe cycki?

- Nie... - Tak.

- Ma rację - obwieścił Malink. - Pisali o tym w „People”. Ładujcie jedzenie do łodzi.

Wziął Tucka na stronę.

- Ale wrócisz?

- Spróbuję.

- Z nawigatorem.

- Postaram się, Malink. Naprawdę.

- Postaraj się.

- Przyływ - przypomniał Kimi. - Wypływamy.

Środkowa część łodzi była pełna kokosów, owoców i suszonego mięsa rekinów, owiniętego w liście bananowca. Kimi pokierował ludźmi, rozstawił ich po obu stronach łodzi i kazał spychać ją do wody po dywanie z palmowych liści. Kiedy ją zwodowali, Tuck podsadził Sepie i sam wspiał się za nią. Kimi stanął na platformie i zaczął stawiać żagiel w kształcie wycinka tortilli, postawionego na sztorc, z wygryzionym kawałkiem u góry. Tuck rozpoznał kawałki plecaka wszyte w nylonowy patchwork.

- Gdzie Sarapul? - spytał Kimi.

- Jestem!

Stary ludożerca wybiegł spomiędzy drzew. Wyglądał na silniejszego niż kiedykolwiek przedtem. Przyniósł swoją dzidę: długie mahoniowe drzewce z paskudnym metalowym grotem, opatrzonym zadziornymi. Tuck złapał go za rękę i wciągnął na pokład. Łódź znalazła się tymczasem pięćdziesiąt metrów od brzegu. Sarapul stanął przy wiosle sterowym na rufie i skierował łódź w głąb kanału. Kimi obsługiwał żagiel.

Plemię Rekinów stało na plaży jak wrośnięte w ziemię. Parę osób machało na pożegnanie. Malink miał grobową minę, Abo był niepokieszony.

- Dzięki! - zawołał Tuck, przekrzykując szum fal. - Dziękuję, Malink!

- Wrócisz - powiedział Malink. To nie było pytanie. Tuck obejrzał się na morze, a kiedy znów popatrzył i w stronę lądu, tubylcy brodzili w płytkiej wodzie. Za ich plecami wynurzyła się z dżungli ciemna sylwetka.

Nie było strzałów ostrzegawczych, żadnego „Stój, bo I strzelam!”. Stripe po prostu wybiegł na plażę i otworzył ogień z uzi. Tuck pchnął głowę Sepie w dół, pod osłonę I nadburcia, i sam wcisnął się obok niej na ułamek sekundy przed tym, jak seria rozpruła drewno. Poleciały wióry. Kimi wrzasnął przeraźliwie. Z pleców trysnął mu rząd czerwonych gejzerów. Jeszcze przez sekundę trzymał się kurczowo jednej z lin, a potem wpadł do wody.

Następny krzyk wyrwał się z piersi Sarapula: brzmiał jak wściekły ryk szarżującego rysia. Ludożerca zniknął za burtą. Strzały ucichły. Tuck ostrożnie wystawił głowę - Stripe, po kolana w wodzie, wbijał właśnie nowy magazynek w kolbę uzi. Tubylcy rozpierzchli się, schronili w dżungli albo

kulili na plaży.

Łódź z puszczonego luźno zagłem obróciła się w miejscu i dała się nieść falom w stronę brzegu. Wyglądało na to, że chybi kanału dosłownie o pół metra i nieuchronnie rozbije się na rafie. Tuck złapał wiosło sterowe w tej samej chwili, gdy Stripe znów otworzył ogień. Z odległości stu metrów miał spory rozrzut, ale kilka kul utkwiło z głuchym stukotem w burtach.

Kryształowo czysta woda w pobliżu brzegu była mętna od piasku i łu, który wzbili się z dna podczas ucieczki tubylców. Stripe nie widział poruszającego się w nim ciemnego kształtu, który znajdował się coraz bliżej. Chciał przede wszystkim celnie strzelić. Przełączył pistolet w tryb półautomatyczny i rozłożył składaną kolbę.

Przymierzył dokładnie między łopatki Tucka, na chwilę wstrzymał oddech, wypuścił powietrze z płuc i pociągnął za spust.

Sarapul wyskoczył z wody jak rozjuszony marlin, trzymając dzidę w wyciągniętej ręce. Grot wgrzył się w ciało pod brodą Stripe'a i wyszedł przez czerep, wlokąc uczipione zadziórów odłamki kości i strzępki mózgu. Stripe upadł na wznak, strzelając w niebo.

Czółno wysliznęło się przez kanał na otwarte morze. Na horyzoncie pojawiła się chmurka. Strzeliła z niej błyskawica, a chwilę później nad wodą przetoczył się grzmot Kimiego.

57

Z NIETOPERZEM NA ZACHÓD

Czarownik stał nad leżącym na wznak martwym Yamatą. Dzida sterczała z głowy strażnika jak makabryczny szpikulec na notatki, który tylko czeka, aż kostucha nabije nań unieważniony rachunek. - Jak to się stało? - spytał.

Malink wbił wzrok w swoje stopy. Czarownik sprawiał wrażenie bardziej zaskoczonego niż rozłoszczonego. Upłynął dzień odkąd Sarapul zabił Stripe'a i Malink czekał z lękiem na chwilę, kiedy Czarownik przyjdzie go szukać. Gdy pozostali strażnicy zmiotli wioską z powierzchni ziemi, szukając Tucka, Malink przyznał, że pilot odpłynął z wyspy starą łodzią, ale uparcie twierdził, że nie ma pojęcia, co się stało z Yamatą. Sarapul miał rację: powinni byli zepchnąć ciało daleko do wody, na skraj rafy, żeby mogły je zjeść rekiny. Chociaż, prawdę mówiąc, był to dopiero drugi, a nie pierwszy pomysł starego ludożercy na to, jak się pozbyć zwłok.

- Wygląda na wypadek - stwierdził MaJink. - Może biegnie i przewraca się na swoją dzidę?

- Chcę dostać człowieka, który to zrobił, Malink - zapowiedział Czarownik.

- On nie żyje.

- To robota Filipińczyka?

Malink pokiwał głową. Ochroniarze znaleźli zwłoki Kimiego w wiosce, gdzie plemię Rekinów przygotowywało je do pogrzebu.

- Nie wydaje mi się. Filipińczyk dostał cztery kule w plecy. Ten, kto to zrobił, musiał być bardzo silny. Jeśli nie powiesz mi prawdy, Vincent będzie bardzo zły.

Malink nie bał się gniewu Vincenta. Nagle uświadomił sobie, że złości Vincenta on i jego ludzie zawsze doświadczali tylko za pośrednictwem Czarownika i Kapłanki Nieba.

Kapłanki Nieba się bał.

- Amerykanin robi to, zanim odpływa łodzią. Strażnik zabija mężczyznę-dziewczynę, a potem Amerykanin zabija strażnika.

- Dlaczego od razu tak nie powiedziałaś?

- Bałem się rozzłościć Vincenta.

- Skąd wziął czółno? Plemię Rekinów nie potrafi budować łodzi.

- To mężczyzna-dziewczyna. On umie. Buduje z Sarapulem.

Czarownik zacisnął pięści.

- Sarapul też zniknął. Malink pokiwał głową.

- Odpłynął.

- Wiesz dokąd popłynęli.

- Nie. Sarapul wypędzony. Nie rozmawiamy z nim.

- Gdzie pistolet strażnika?

Malink tylko wzruszył ramionami. Czarownik odwrócił się do niego plecami i ruszył przed siebie po plaży.

- Każ swoim ludziom go pogrzebać, Malink. Nie chcę, żeby inni strażnicy go zobaczyli. I przygotuj się na wizytę Kapłanki Nieba.

Sarapul wyczołgał się spod kępy paproci i odprowadził wzrokiem oddalającego się Czarownika. Kopnął zwłoki Yamaty.

- Trzeba go było zjeść.

- To by było złe.

- Zabił mojego przyjaciela. - Ludożerca znów szturchnął trupa nogą.

- Kapłanka Nieba będzie bardzo zła.

Malink znów zaczynał odczuwać brzemię stanowiska. Sarapul wzruszył ramionami.

- Mogę zabrać dzidę?

Tuck wiedział, że istnieje jakiś sposób, by za pomocą wskazówek zegarka wyznaczyć kierunki świata, ale miał zegarek elektroniczny, więc, nawet gdyby ten sposób znał, niewiele by mu to pomogło. Domyślał się, że Guam leży gdzieś na zachód, więc najpierw kierował się w stronę zachodzącego słońca, potem, nocą, płynął po omacku, a raniem skorygował kurs w taki sposób, aby mieć słońce za plecami.

Umiał żeglować, jak każdy, kto wychował się w zamożnej rodzinie w okolicach San Diego, ale o nawigacji według gwiazd nie miał zielonego pojęcia. Sepie nie mogła mu wiele pomóc; nawet jeśli coś wiedziała, to od śmierci Kimiego nie odezwała się ani słowem. Tuck zmusił ją do wypicia wody z paru orzechów kokosowych, ale poza tym leżała nieruchomo na dziobie przez całe dwadzieścia cztery godziny.

Właśnie oglądał swój drugi zachód słońca na morzu. Znów skorygował kurs i zdał sobie sprawę, że przez większość dnia płynęli na północ. Nie wiedział, jak daleko dotarli. Aby naprawić ten błąd, skręcił na południowy zachód i płynął tak do czasu, aż słońce zaległo na wodzie niczym błyszczący półmisek.

Przydałoby się, żeby Sepie doszła wreszcie do siebie. Chętnie by się przespał albo przynajmniej o czymś pogadał, rozproszył smętne myśli - myśli o Kapłance Nieba, Czarowniku i zabitym przyjacielu Kimim. Nawigator miał może porywczy charakter, ale był dobrym chłopakiem. Wychowany w umiarkowanym luksusie Tuck nawet sobie nie wyobrażał, jak mógłby znieść takie życie. Kimi nigdy się nie poddawał: żył odważnie i umarł jak bohater. A gdyby nie spotkał na swojej drodze Tuckera Case'a, żyłby nadal.

- Kurwa mać... - mruknął.

Otarł oczy rękawem i spod przymrużonych powiek spojrzął na stalowoszary ocean.

Gdzieś pod topem masztu rozległo się trzepotanie. Tucker zmienił kurs, żeby złapać wiatr. Żagiel się wydał, ale jeszcze przez chwilę było słychać trzepotanie.

Roberto zahaczył się o wantę biegnącą od masztu do pływaka i wykonał lądowanie z przewrotką, po którym zawisł do góry nogami, zwrócony w stronę rufy. Tuck ucieszył się bardziej, niż gdyby z liny zwiesił się nagle anioł.

- Roberto?

- Tak - odparł nietoperz.

Mówił własnym głosem, nie głosem Vincenta; miał akcent z Filipin, a nie z Manhattanu.

Niewiele brakowało, żeby Tuck wybuchnął śmiechem. Jego zmiany nastroju były ostatnio tak gwałtowne i tak znaczne, że zaczynał się bać, czy jego zdrowie psychiczne nie leci przypadkiem w przepaść.

-Nie poznałem cię bez okularów - powiedział.

- Nie lubię światła - odparł Roberto. Tuck spojrzał na leżącą na dziobie Sepie.

- Sepie? To jest Roberto. Nie poruszyła się.

- Smucisz się z powodu Kimiego - stwierdził Roberto.

- To prawda. Smucę się.

- On ci mówi, że wielki nawigator, a ty mu wierzysz. Tuck spuścił wzrok. Nietoperze mają w sobie coś, co dziesięciokrotnie zwiększa współczynnik wstydu.

- Źle płyniesz - powiedział nietoperz. - Płyn tam. - Wskazał kierunek pazurkiem. Wiatr dmuchnął mu w rozpostarte skrzydło, zakręcił nim i prawie zrzucił z warty Roberto zaczepił się o linę drugim szponem i jeszcze raz pokazał. - To znaczy tam.

- Jaja sobie robisz. - Tam.

- To jest północ. A ja płynę na Guam, na zachód.

- To jest zachód. Ja się urodziłem na Guam.

- Jesteś nietoperzem.

- Widziałeś kiedyś nietoperza, który zabłądził?

- Nie, ale nie widziałem też nietoperza, który by umiał mówić.

- Sam widzisz - stwierdził Roberto, jakby to potwierdzało jego słowa. - Tam.

Kiedy człowiek zgromadzi już wszystkie informacje, kiedy zweryfikuje wszystkie fakty na wszystkie znane sobie sposoby, a mimo to nadal nie wie, gdzie jest, musi czasem podeprzeć się wiarą. Tuck skierował łódź we wskazanym przez zwierzaka kierunku.

Kiedy chwilę później spojrzał na środek łodzi, ujrzał Vincenta, siedzącego na stercie kokosów.

- To był dobry pomysł, żeby posłuchać nietoperza - powiedział. - Chciałem ci powiedzieć, że plemię Rekinów bierze się za budowanie drabin.

- To bardzo przydatna informacja - zauważył Tuck.
- Jeszcze ci się przyda - stwierdził Vincent i zniknął.

Jutro przywiozą nam nowego pilota - zapowiedział Sebastian Curtis. - Powiedziałem im, że Tucker nie chciał latać, więc trzeba go było wyeliminować. Nie zachwyceni, że stracili obiecane serce i płuca. Beth Curtis siedziała przy toalecie, nakładając makijaż Kapłanki Nieba. Na oparciu krzesła wisiała czerwona chusta.

- Sprawdziłeś w bazie danych, czy nie moglibyśmy wysłać innego kompletu organów? Mogłabym dzisiaj wieczorem wskazać wybrańców, do rana przetrzymałoby się ich w klinice.
- Klient już zmarł.
- Oj, to musiał być naprawdę ciężko chory. - Beth parsknęła śmiechem, dziewczęcym, melodyjnym.

Sebastian uwielbiał jej śmiech. Uśmiechnął się do niej w lustrze, ponad jej ramieniem.

- Cieszę się, że nie przejmujesz się specjalnie losem Tuckera Case'a. Rozumiem cię, Beth. Naprawdę. Po prostu byłem zazdrosny.
- Jakiego Tuckera? Ach, Tuckera Case'a, który zginął na morzu? Bastian, skarbie, wszystko, co robiłam, robiłam dla nas. Myślałam, że w ten sposób łatwiej go będzie kontrolować. Pomyśl o tym jak o jednej z wielu drobnych życiowych pomyłek. Poza tym, jeśli jeszcze nie zginął, został mu dzień, najwyżej dwa dni życia.
- Do nas dotarł, żeglując po oceanie. Przetrwał huragan.
- Wtedy miał nawigatora. Widziałam jak lata. Już jest trupem. A ten stary ludożerca ogryza pewnie jego kości. - Sprawdziła makijaż ust i mrugnęła porozumiewawczo. - Czas zacząć przedstawienie.

Malink brnął przez dżunglę. Plecy miał obolałe od ciężkiego kosza. Codziennie sam zanosił jedzenie mieszkającemu w ukryciu Sarapulowi. Nie dlatego, że nie ufał swoim ludziom - po prostu nie chciał ich obarczać tak ważkim sekretem. Kiedy ostatni raz widzieli ludożercę, leżał na plaży, zdyszany, zakrwawiony i oblepiony piaskiem. Malink powiedział im, że Sarapul zmarł, a jego ciało zostało rzucone rekinom na pożarcie. Wódz miał swoje tajemnice, czasem musiał okłamywać podwładnych, by oszczędzić im cierpienia.

Po trzech dniach był skłonny zgodzić się, by Sarapul wrócił do swojej chaty na drugim krańcu wyspy. Strażnicy przerwali poszukiwania, Czarownik przestał zadawać pytania. Ale może nie powinien tego robić? Wbrew sobie wierzył pilotowi. Kapłanka Nieba i Czarownik chcieli skrzywdzić jego lud.

Był na to za stary. Za stary, żeby walczyć. Poza tym, jak walczyć dzidami i maczetami przeciw uzi?

Przystanął przy olbrzymim mahoniowcu, żeby trochę odsapnąć. Postawił kosz na ziemi. Widząc unoszące się nad paprociami smugi dymu, podążył wzrokiem w tamtym kierunku. Ktoś tam był, w gąszczu taro, zasłonięty liśćmi wielkimi jak słoniowe uszy.

Coś zaszeleściło. Malink przykucnął.

- Chyba się nie boisz, co, szczyłu? Rozpoznał znany z dzieciństwa głos. Nie bał się.

- Nie jestem szczyłem. Jestem dorosłym mężczyzną. Vincent wynurzył się nonszalanckim krokiem z zarośli.

Lotniczy kombinezon i kurtka wyglądały dokładnie tak, jak zapamiętał je Malink.

- Zawsze będziesz szczyłem, synku. Masz jeszcze zapalniczkę, którą ci dałem?

Malink pokiwał głową.

- To zippo. Zawsze przynosiła mi fart. Nie powinienem był się z nią rozstawać. Ale pieprzyć to. Mleko już się rozlało. - Vincent zbył sprawę zapalniczki machnięciem ręki. - Posłuchaj, chcę, żebyście zrobili drabiny. Wiesz, co to jest drabina, prawda?

- Wiem.

- Pewnie, że wiesz. Bystry z ciebie dzieciak. No więc chcę, żebyście zrobili... powiedzmy... sześć drabin: dziesięć metrów długości, mocne, lekkie. Z bambusa. Nadażasz, młody?

Malink skinął głową, uśmiechnięty od ucha do ucha. Vincent znów z nim rozmawiał!

- Aleś ty rozmowny, synek... Ale do rzeczy. Zróbcie drabiny. Będą potrzebne, bo wiązę z wami poważne plany. Z tobą i z plemieniem Rekinów. Wielkie plany. Ogromne. Kurna, po prostu wyjebiecie monumentalne plany. Kapewu?

Malink skinął głową.

- No to git. Zróbcie sobie te drabiny i czekajcie na dalsze rozkazy.

Lotnik ruszył w stronę kępy taro.

- Powiedziałeś, że wrócisz - przypomniał mu Malink. - I przywieziesz cargo.

- Nie wyglądasz, jakbyś głodował, młody. Musicie mieć od pyty cargo.

- Powiedziałeś, że wrócisz.

Vincent rozłożył ręce.

- No, żeż w mordę jeża, a co ja jestem? Western Union? Nie spieprz tego, młody. Jesteś mi potrzebny.

Pilot zaczął się rozwiewać w powietrzu jak dym z jego papierosa. Malink zrobił krok naprzód.

- Kapłanka Nieba przekaze nam rozkazy?

- Kapłanka Nieba związała pięćdziesiąt lat temu, synek. Ta panna, która bzyka się na moim pasie startowym, *to* wydmuszka.

- Wydmuszka?

- Przebieraniec, szczyłu. Warta grzechu, bez dwóch zdań, ale roluje was jak się patrzy.

- Nie jest Kapłanką Nieba?

- Nie, nie jest, ale lepiej jej nie wkurwiać.

Pilot zniknął.

Malink oparł się plecami o mahoniowiec i spojrzał w przeświecające pomiędzy liśćmi niebo. Skóra go mrowiła, oddychał miarowo, głęboko, kolana przestały go boleć. Czuł się lekki, silny, spełniony. Wszystkie ptasie trele, szelest liści i huk fal łączyły się w cudowną, wspaniałą pieśń.

WEZWIJCIE KAWALERIE

Przegapili Guam i Saipan (przeplłynęli obok nich po ciemku) i cały archipelag Północnych Wysp Mariańskich (była mgła), a także Wyspę Johnstona i przepływające w pobliżu statki (bez powodu, po prostu się z nimi rozminęli). Siódmego dnia skończył się krem z filtrem. Czternastego wysączyli ostatniego kokosa.

Zostało im jeszcze trochę suszonego i wędzonego rekiniego mięsa, ale bez wody Tuck nie był w stanie przełknąć ani kęsa. Przez cały dzień nic nie pili.

Żeglowali już trzecią dobę, kiedy Sepie otrząsnęła się wreszcie z katatonii i - po dniu spędzonym na szlochaniu - zaczęła mówić.

- Brakuje mi go - powiedziała. - On mnie słucha. Lubi mnie, nawet kiedy jestem niedobra.

- Mnie też, a czasem źle go traktowałem. Był porządnym facetem. Dobrym przyjacielem.

- On cię bardzo kocha - powiedziała Sepie i znów się rozplakała.

Tuck spuścił wzrok i osłonił twarz dłonią, żeby nie patrzeć jej w oczy.

- Przykro mi, Sepie. Wiem, że go kochałaś. Nie chciałem wystawiać go na niebezpieczeństwo. Ciebie też nie.

Przeczołgała się do niego na rufę i wtuliła mu się w ramiona. Obejmował ją i kołysał tak długo, aż przestała płakać.

-Będzie dobrze - powiedział.

- Kimi mówi, że pewnego dnia zabierze mnie do Ameryki. Ty mnie zabierzesz?

- Pewnie. Spodoba ci się tam.

- Opowiedz.

Przepytala Tucka gruntownie na temat Ameryki, każąc mu tłumaczyć wszystko, od telewizji po tampony. Tuck nauczył się wiele o mężczyznach: jacy są prości, jak łatwo nimi manipulować, jaką frajdę mogą sprawić kobiecie, kiedy są dla niej mili, i jak bardzo mogą ją zranić, umierając. Opowiadanie sobie nawzajem o rzeczach, na których się znali, sprawiło, że oboje poczuli się mądrzy; wspólne żeglowanie dało im poczucie bezpieczeństwa. Łatwiej było żyć w małym światku łodzi niż stawiać czoło bezkresnej pustce oceanu. Sepie polubiła wtulanie się w pierś Tucka i przysypianie w tej pozycji, kiedy sterował. Dwa razy on sam zasnął w jej ramionach i całymi godzinami łódź dryfowała bez sternika. Tuck nie zamierzał się tym martwić. Pogodził się już z myślą, że oboje umrą. Okazało się to tak łatwe, że zastanawiał się, po co zadał sobie tyle trudu, by wydostać się z wyspy.

Po pierwszej nocy Roberto więcej się nie odezwał. Zwisiał z olinowania i wskazywał szponem kierunek, kiedy go o to pytano. Dopóki Tuck zawracał sobie jeszcze głowę rachunkami, szacował, że rozwijają średnią prędkość około pięciu węzłów. Pięć węzłów, dwadzieścia cztery godziny na dobę, czternaście dni - powinni przebyć grubo ponad dwa tysiące mil. A zatem, jego zdaniem, płynęli właśnie przez centrum Sacramento. W szacunkach był równie dobry jak w nawigacji.

Piętnastego dnia Roberto odfrunął. Tuck odprowadził go wzrokiem, aż nietoperz zmniejszył się do rozmiarów kropki na horyzoncie, a potem zniknął zupełnie. Nie miał do niego pretensji. Sam pogodził się ze śmiercią, ale nie chciał patrzeć na śmierć Sepie. O zachodzie słońca umocował wiosło sterowe na stałe, wziął Sepie w ramiona, położył się z nią na dnie łodzi i czekał.

Jakiś czas potem - nie wiedział dokładnie kiedy, ale była jeszcze noc - obudził się z krzykiem dobywającym się ze spierzchniętych ust, kiedy tubka tuszu do rzęs spadła z nieba i uderzyła go w pierś. Sepie usiadła i ją podniosła.

- Żeby cię upiększyć - powiedziała. Przy „upiększyć” głos jej się załamał.

Zdezorientowany Tuck wyjął jej tubkę z rąk i obejrzał, mrużąc oczy.

- To tusz do rzęs.

- Roberto - wyjaśniła Sepie.

Tuck rozejrzył się po niebie, ale nietoperza nie było nigdzie widać. Zaczynało świtać.

- Przyniosłeś nam tusz do rzęs? My tu umieramy z pragnienia, a ty nam przynosisz tusz do rzęs?!

- Kimi go uczy.

Tuck nie sądził, że ma dość energii, aby wybuchnąć gniewem, ale wyglądało na to, że się mylił.

- Ty...

Sepie przytknęła palec do ust.

- Posłuchaj! Tuck posłuchał. Nic. - Co?

- Przybój. Nadstawił ucha - i tym razem usłyszał. Usłyszał też coś, jeszcze: rytmiczny chlupot wody, znacznie bliżej. Kiedy spojrzał w tę stronę, zobaczył zbliżający się kształt.

- AJoha! - dobiegło z półmroku. Chwilę później Tuck ujrzał białego mężczyznę w średnim wieku, wiosłującego w morskim kajaku. - Widzę, że nie tylko ja tu lubię wcześniej wstawać.

W ciągu pierwszej godziny spędzonej w hotelu Waikiki Beach Hyatt Regency Sepie siedemdziesiąt osiem razy spuściła wodę w toalecie i pochłonęła towary z minibaru o łącznej wartości dwustu czterdziestu dolarów (pięć pepsi i pudełko rodzynek w czekoladzie).

- Tu się robi kupę, a potem ona znika? - Tak.

- Do tej dużej muszli? - Sepie pokazała palcem. - Tak.

- Kupę? - Tak.

- Potem naciskasz tutaj? - Tak.

-I kupa znika?

- Otóż to.

- Gdzie?

- W następnym pomieszczeniu.

Instalacja hydrauliczna. O tym nie rozmawiali.

- Oni też naciskają i kupa znika?

- Posłuchaj, Sepie, to jest telewizor. Widzisz? Naciskasz tutaj i obraz się zmienia.

Tuck nie mógł mieć stuprocentowej pewności, ponieważ nigdy się z nią nie kochał, a poza tym twierdziła, że potrafi oszukać mężczyznę, ale wydało mu się całkiem prawdopodobne, że właśnie w tej chwili przeżyła orgazm.

Kazał jej obiecać, że nie ruszy się na krok z pokoju, i zostawił ją zajęta splukiwaniem i przełączaniem kanałów, a sam poszedł na policję.

Sierżant dyżurny w komendzie policji w Honolulu słuchał cierpliwie i ze stosownie zatroskaną miną, do momentu, gdy Tuck powiedział:

- Wiem, że nie najlepiej się prezentuję, ale spędziłem ostatnie dwa tygodnie na łodzi bez kabiny, na morzu.

W tym momencie sierżant uniósł rękę, dając mu do zrozumienia, że teraz jego kolej.

- Dwa tygodnie na morzu?

- Tak. Uciekłem łodzią.

- Czyli ile czasu upłynęło od tych rzekomych morderstw?

- Nie wiem dokładnie. Jedno nastąpiło jakiś miesiąc temu, drugie wcześniej.

- A pan dopiero teraz je zgłasza?

- Przecież tłumaczyłem. Nie mogłem się wydostać z Alualu. Uciekłem stamtąd dopiero na żaglowym czólnie.

- Aha... - mruknął sierżant. - Czyli Alualu to nie jest ulica w Honolulu.

- Nie. To wyspa w Mikronezji.

- Nie mogę panu pomóc. To nie nasz rejon.

- No dobrze, a kto może mi pomóc?

- Proszę spróbować z FBI.

Jadąc taksówką do biura FBI, Tuck postanowił zmienić strategię: poczeka, aż przedrze się przez pierwszą linię obrony, i dopiero wtedy wyłoży kawę na ławę.

Recepcjonistka była drobną, czterdziestoletnią Azjatką, która mówiła po angielsku tak starannie, że z całą pewnością nie był to jej ojczysty język.

- Na pewno będę mogła panu pomóc, jeśli tylko wyjaśni mi pan, co właściwie chce zgłosić.

- Nie mogę. Muszę się spotkać z agentem. Dopóki z nim nie porozmawiam, będę się źle czuł.

Azjatka chyba poczuła się urażona, bo jej angielszczyzna stała się jeszcze bardziej nieskazitelna.

- Może zechce mi pan przybliżyć naturę przestępstwa?

Tuck *się* zamyślił. Czym FBI zajmuje się w telewizji? Al. Capone, Ku-Klux-Klan, napady na banki i...

- Porwanie. Doszło do porwania.

- Kto został uprowadzony? Czy zgłosił pan zaginięcie tej osoby miejscowej policji?

Tuck pokręcił głową. Nie zamierzał ustąpić.

- Powiem agentowi.

Recepcjonistka sięgnęła po telefon i wybrała numer. Odwróciła się *tyłem* do Tucka, przysłoniła mikrofon dłonią i zaczęła coś szeptać. Po chwili rozłączyła się i powiedziała:

- Agent zaraz przyjdzie.

- Dzięki.

Po dłuższej chwili otworzyły się drzwi i do recepcji wszedł ciemnowłosy mężczyzna. Wyglądał jak ruchomy manekin z witryny Brooks Brothers. Podał Tuckowi rękę.

- Pan Case? Agent specjalny Tom Myers. Zapraszam do mojego biura.

Tuck uściśnął wyciągniętą dłoń i w ślad za Myersem przeszedł przez drzwi do korytarza, gdzie znajdowały się identyczne gabinety o wymiarach trzy na trzy i pół metra, z identycznymi metalowymi biurkami, na których w identycznych tanich ramkach stały identyczne zdjęcia identycznych rodzin. Myers wskazał Tuckowi krzesło, a sam usiadł przy biurku.

- Rosę powiedziała mi, że chce pan zgłosić przypadek porwania? - Myers rozpiął górny guzik koszuli.

- Wolno wam tak? - zdziwił się Tuck.

- Luźne piątki.

- Aha... Tak, porwanie, wielokrotne morderstwo oraz kradzież i handel ludzkimi narządami do przeszczepów. Myers nie zareagował.

- Proszę mówić dalej.

Zatem Tuck mówił. Zaczął od propozycji pracy na Alualu, a skończył na przybyciu na Hawaje. Pomiął wypadek samolotu Mary Jean, późniejszą utratę licencji pilota, wiszące nad nim zarzuty kryminalne, kult cargo, ludożerców, transwestytów, duchy lotników, gadające nietoperze i obrażenia genitaliów. Kończąc, doszedł do wniosku, że wersja okrojona brzmi całkiem wiarygodnie.

Przez te pół godziny Myers się nie poruszył, a jego twarz nie zmieniła wyrazu. Tuckowi wydawało się jednak, że raz mrugnął.

Teraz agent specjalny Myers rozparł się wygodnie na krześle (luźny piątek) i zetknął dłonie czubkami palców.

- Pozwoli pan, że o coś zapytam.

- Naturalnie.

- Czy jest pan tym samym Tuckerem Casem, który parę miesięcy temu schlał się i rozbił różowy odrzutowiec w Seattle?

Tuck miał ochotę dać mu w pysk.

- Tak, ale to nie ma nic do rzeczy.

- Przeciwnie, panie Case. Tamta historia podważa i tak już wątpliwą wiarygodność pańskiej opowieści. Chyba powinien pan stąd iść i zająć się porządkowaniem swojego życia.

- Mówię prawdę. - Tuck zmagał się z narastającą paniką, ale udało mu się zachować spokój. - Po co miałbym wymyślać taką bajeczkę? Jak słusznie pan zauważył, mam dość problemów z odbudowywaniem swojego życia z ruin. Nie jestem takim durniem, żeby dorzucić sobie na grzbiet oskarżenie o fałszywe zgłoszenie przestępstwa. Jeżeli chce mnie pan aresztować, proszę bardzo. Ale zróbcie coś, żeby ratować ludzi na tamtej wyspie, zanim zginą następni.

- Gdybym nawet panu uwierzył, co miałbym zrobić?

Tuck nie wytrzymał.

- „Agent specjalny”. To znaczy, że do akademii jeździł pan busikiem dla niepełnosprawnych?

- Byłem najlepszy na roku. - Podniesiony głos.

- No to niech się pan zachowuje jak najlepszy.

- Czego pan chce, panie Case?

Tuck zerwał się z miejsca i dopadł do biurka. Agent specjalny Myers w porę odjechał na krześle do tyłu.

- Chcę, żebyście ich powstrzymali. Chcę tajnej akcji i zabójczej techniki. Chcę komanda Fok, snajperów, szpiegów i naprowadzanych laserem, niewykrywalnych dla radaru gadżetów. Chcę chirurgicznej precyzji uderzeń, zdjęć satelitarnych i kontenerów zabawek, o jakich pisze Tom Clancy. Chcę pieprzonego Jacka Ryana, zasranego Jamesa Bonda i pół tuzina w dupę kopanych van Damme'ów, którzy potrafią wyskoczyć z własnego tyłka i wyrwać wrogowi bijące serce. Chcę, żebyście coś z tym zrobili, agencie specjalny Myers. Bo to, co się tam dzieje, to prawdziwe kurestwo.

- Proszę usiąść, panie Case.

Tuck usiadł. Siły go opuściły.

- Proszę posłuchać: poddam się. Aresztujcie mnie, zamknijcie w więzieniu, bijcie gumowym węzem, zróbcie, co się wam podoba... Ale powstrzymajcie tych drani!

Agent specjalny Myers uśmiechnął się.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo, ale nawet gdybym uwierzył, a pan przedstawił mi jakieś dowody, i tak nie mógłbym nic zrobić. FBI prowadzi dochodzenia tylko na terenie kraju.

- No to powiedzcie o tym komuś od zagranicy.

- CIA prowadzi sprawy, które mogą mieć wpływ na bezpieczeństwo państwa. Na pana miejscu oszczędziłbym sobie wstydu i nie dzwonił do nich.

- Pieprzyć to. Skujcie mnie.

Tuck podstawił ręce do kajdanków.

- Panie Case... Proszę wrócić do hotelu i odpocząć. Nikt nie wydał nakazu aresztowania pana.

- Nie? - Tuck czuł się tak, jakby dostał pięścią w brzuch.

- Nie. Sprawdziłem w komputerze, zanim po pana poszedłem. - Myers wstał. - Odprowadzę pana do wyjścia.

Po następnej przejażdżce taksówką i kolejnej prezentacji ocenzurowanej wersji wydarzeń Tuck został wyproszony także z japońskiej ambasady. Znalazł automat telefoniczny i wkrótce przestali z nim rozmawiać także ludzie z Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarskiego i Rady Misjonarskiej Metodystów. Sepie spała zwinięta w kłębek na olbrzymim łóżku, telewizor w łazience bębnił na cały regulator, na podłodze walały się trzy małe buteleczki po wódce. Tuck doszedł do wniosku, że też zrobi nalot na minibar, ale kiedy go otworzył, zamiast džinu wybrał sok grejpfrutowy. Nawet gdyby się nawalił, nie przyniosłoby mu to wielkiej ulgi, a w tym tempie pieniądze, które zostawił w recepcji hotelu w zastępstwie karty kredytowej (a które Sarapul znalazł w jego plecaku), skończyłyby się po dwóch dniach.

Usiadł na łóżku i pogłaskał Sepie po głowie. Podczas jego nieobecności próbowała nałożyć sobie tusz do rzęs i wyszło jej to fatalnie. Zabawne... Kiedy wchodzili do hotelu i miała na sobie jedną z koszul Tucka (pierwszy raz w życiu była ubrana od pasa w górę), wyglądała jak dziewczynka, a teraz zrobiła sobie makijaż i upiła się do nieprzytomności. Tuck miał przeczucie, że przybycie do Ameryki będzie dla nich obojga ciężkim doświadczeniem. Pocałował Sepie w czoło. Jęknęła i obróciła się na plecy.

- Jutro perfumy - wymamrotała. - Kupisz mi, dobrze?

- W porządku. Kobieta, która dobrze pachnie, to kobieta zadowolona.

To zdanie tłukło mu się przez chwilę po głowie. Sięgnął po telefon i wybrał numer informacji. Zgłosiła się telefonistka.

- Houston, kierunkowy siedemset trzynaście...

TYMCZASEM NA RANCZU...

Mary Jean siedziała przy biurku z różowego kwarcu pociętego żyłami pirytu. Za oknem rozpościerała się panorama Houston. Brunatna mgiełka wzniosła się na wysokość pięćdziesiątego piętra i gabinetu Mary Jean: to spaliny z miliona samochodów tuliły się do stratosfery i łąsiły do miasta jak olbrzymi rudy kocur, który szuka sobie miejsca na drzemkę. Smog działał jej na nerwy jak gacie z drutu kolczastego - ale nie na tyle, rzecz jasna, żeby myślała o sprzedaży udziałów w GM czy Exxonie. Nie ma to jak porządna spółka akcyjna, a wielki i wspaniały stan Teksas ropą stoi.

Zapisał interkom. Mary Jean włączyła zewnętrzny głośnik i mikrofon - nie lubiła, jak słuchawka wplątuje się jej we włosy, a zgrzyt klipsów o plastik przeszkadzał w rozmowie. Kiedyś, jeszcze przed prozakiem, pół roku żyła w przeświadczeniu, że FBI ją podsłuchuje - dopóki nie stwierdziła, że to dwa dwudziestokaratowe rubiny obijają się o słuchawkę.

- Słucham, Melanie?

- Mam na linii Tuckera Case'a. Wydzwania od rana. Próbowałam go spławić, ale powtarza ciągle, że jeśli z nim nie porozmawiasz, umrze wielu ludzi.

- Jest pijany?

- Nie, proszę pani. Chyba mówi poważnie.

Mary Jean westchnęła, patrząc na wiszącego przed nią Moneta. Kosztował dwadzieścia milionów dolarów. Amortyzowany jako wyposażenie biura, oddany do muzeum jako darowizna o dwukrotnie zawyżonej wartości, w całości odpisanej od podatku. Będzie wisiał w tym miejscu do dnia jej śmierci, a potem trafi do muzeum. Na dodatek świetnie pasował do kanapy.

- Połącz go.

- Mary Jean? Tu Tucker.

- Właśnie o tobie myślałam, słodziutki. Co u ciebie?

- Jestem całkowicie trzeźwy i chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała.

- Śmiało, Tucker. Wyteżam słuch bardziej niż nietoperz.

- Posłuchaj, wiem, że nie przedstawiono mi żadnych zarzutów i nie mam do ciebie pretensji, że próbowałaś się mnie pozbyć. Ale naprawdę potrzebuję pomocy.

Mary Jean pobladła.

- Zaczekaj chwilkę. - Przełączyła się na interkom. - Melanie, kochaniutka, przynieś mi ze dwie tabletki valium i szklanekę soku, dobrze? Dzięki. - Wróciła do rozmowy z Tuckiem. - Mów dalej, skarbie.

Tuck w kwadrans opowiedział jej o wszystkim.

- Tak nie może być - stwierdziła, kiedy skończył. - To straszne!

- To prawda, Mary Jean.

- Nie można na to pozwolić. Zostaw Melanie swój numer. Zobaczę, co się da zrobić.

- Byłbym wdzięczny, naprawdę. Gdybym mógł się z tym zwrócić do kogoś innego, wierz mi, zrobiłbym to.

- Żeby mnie zranić? Nie, Tucker, nie zrobiłbyś tego. Od czterdziestu lat sprzedaję ludziom odkupienie. Gdybym nie wierzyła w jego moc, wprowadzałabym klientów w błąd, prawda? Siedź i czekaj na mój telefon. Na razie.

Mary Jean znów włączyła interkom.

- Melanie, połącz mnie z Jakem Skye'em, bardzo cię proszę. Dziękuję, moja droga.

ALOHA SIERPOWYM

Tuck czekał w sali przylotów w tłumie hawajskich licealistek, ubranych w sarongi i spódniczki z trawy i obwieszonych wieńcami kwiatowymi, które zarzucały na szyje pasażerów wychodzących z rękawa podłączonego do jumbo jęta. Tuck wypatrzył Jake'a Skye'a na długo zanim ten wynurzył się z tunelu: był jednym z najwyższych turystów i jednym z nielicznych opalonych. Tuck zamachał do niego. Jake skinął głową na znak, że go zauważył. Wyszczrzył zęby i wyciągnął rękę na powitanie.

Tuck uśmiechnął się i wyrznął go sierpem w podbródek. Jake zatoczył się do tyłu, wpadając w grupkę dziewcząt udających, że tańczą hula. Przeprosił dziewczyny i rozcierając szczękę, spojrzął na Tucka.

- Jesteśmy kwita?

- Tak myślę - powiedział Tucker, wiedząc, że Jake nie przeprosi za zdradę.

Razem ruszyli przez terminal.

- Nie spodziewałem się tego po tobie, brachu. Zmieniłeś się.

- Chyba tak. Dzięki, że przyleciałeś.

- Mam cię odstawić do domu. - Z kieszeni na piersi Jake wyjął dwa bilety lotnicze. - Mary Jean powiedziała, że możesz zabrać swoją nową dziewczynę.

- Nie wracam do domu, Jake.

- Jak to?

- Po prostu. Potrzebuję twojej pomocy, ale nie wracam do Houston.

- Samolot ma międzylądowanie w San Francisco. Mógłbyś tam wsiąść.

- Nie. Mam coś do załatwienia.

- Postaw mi drinka. - Jake skierował się do baru, w którym pięciometrowy wodospad spływał po czarnej wulkanicznej skale, klucząc w gąszczu ananasów i orchidei. - Fajne lotnisko. - Przyciągnął do baru stołek. - Nie myślałeś o tym, żeby zamieszkać w tropikach?

Tuck gwałtownie okręcił się na swoim stołku. Jake uniósł ręce w obronnym geście.

- Żartowałem. Mów, o co chodzi?

Tym razem Tuck nie pominął żadnych szczegółów. Trzeba Jake'owi oddać sprawiedliwość:

wysłuchał historii do końca i nie zwyzywał Tucka od wariatów.

- No i jak ci się wydaje, co można z tym zrobić? - spytał tylko.

- Na początek mógłbyś włamać się do komputera doktora i skasować całą bazę danych. Utrudniłoby mu to życie, gdyby musiał na nowo oznaczać wszystkie typy tkanek.

Jake pokręcił głową.

- Nie da rady, stary. Nawet gdybym chciał. Nie da rady.

- Dlaczego? Znam hasło.

Jake dopił trzeciego mai thai.

- Doktor ma tam łącze satelitarne, które może dowolnie blokować. Nie dam rady wejść. Poza tym nie takie są parametry mojej misji: miałem tu przylecieć, zgarnąć cię i zabrać do domu. Koniec.

Tuck wyjął z kieszeni kawałek papieru, rozwinął go i pokazał Jake'owi.

- Mam coś takiego. Może ci się przyda.

Jake nadal kręcił głową, ale na widok wypisanych na karteczce cyfr znieruchomiał.

- Skąd je masz?

- Spisałem je z dna szuflady w klinice Curtisa.

- To nie są kody komputerowe, Tuck. Widzisz te litery na końcu? BSI. Wiesz, co to znaczy?

Tuck pokręcił głową.

- Banc Suisse Italiano. To numery kont w szwajcarskim banku.

Jake sięgnął po karteluszek, ale Tuck cofnął rękę.

- Co powiesz na zmianę parametrów misji? - zapytał. Jake nie odrywał wzroku od kartki.

- Ile?

- Połowę.

Jake podrapał się po trzydniowym zaroście.

- Jak mówiłeś? Ile dostają za nerkę?

- Pół miliona.

Jake skrzywił się i położył rękę na ramieniu Tucka.

- Co ci chodzi po głowie?
- Chcę zabrać plemię Rekinów z wyspy.
- Ilu to jest ludzi, trzystu z hakiem? Wyczarteruj statek.
- Nie mam aż tyle czasu. Chcę ich ewakuować samolotem.

Jake się uśmiechnął. Trybiki zaczynały się kręcić.

- Będziesz potrzebował czegoś dużego: 747 albo L-1011. Jest tam pas startowy, który pomieści takie bydlę?
- A możesz załatwić takie bydlę?
- Nieoficjalnie.
- Nieoficjalność mi nie przeszkadza. Martwię się raczej logistyką.

Jake wstał.

- Ale ja nim nie polecę. Załatwiam samolot, dostaję połowę. Umowa stoi?
- Jak tylko załatwisz samolot, podam ci jeden z numerów kont. Jest ryzyko, jest zabawa: nie wiemy, czy są tam jakieś pieniądze. Jeśli cała kasa będzie na drugim rachunku, przegrasz.

Jake zastanowił się chwilę i odparł:

- Jakoś to przeżyję. Chodź, pogapimy się na startujące samoloty.

Tuck był zachwycony funkcjonowaniem umysłu Jake'a. Z chwilą, gdy postanowili ukraść samolot, pojawił się konkretny problem, a Jake był mistrzem w rozwiązywaniu problemów. Stali na odsłoniętym tarasie z widokiem na pas startowy i patrzyli, jak jumbo jęty po lądowaniu kołują do terminalu.

- Wiesz, co jest najlepsze w kradzieży jumbo? Nikt się nie spodziewa, że znajdzie się taki wariat, który by to zrobił.
- A mnie się wydawało, że co chwila ktoś próbuje jakiegoś gwizdnąć. Na Bliskim Wschodzie to przecież jak sport narodowy, nie?
- Oni nie kradną samolotów, tylko je porywają. Kiedy porywasz samolot, zabierasz ze sobą pilota, którego w nim znalazłeś. - Jake wskazał rząd maszyn stojących przy terminalu. - Widzisz tamte? Odpadają.

- Dlaczego?

- Bo dopiero co przyleciały i albo nie mają dość paliwa, albo właśnie są tankowane. W dodatku załoga pewnie jest na pokładzie. - Pokazał inne samoloty, zaparkowane przy hangarach po drugiej stronie lotniska. - Oto nasze maluchy. Zatankowane, ale bez załogi i bez pasażerów. Po północy prawie nic się tu nie dzieje, odlatują tylko maszyny FedEksa. Takie są zalety lotniska w kurorcie: nikt nie chce przylatywać ani wylatywać nocą.

Od samolotów dzieliło ich dobre pół mili.

- Kawał drogi, skoro mamy przebiec przez lotnisko tak, żeby nikt z wieży nas nie zobaczył i nie zawiadomił ochrony. A potem trzeba jeszcze podejść do samolotu schodkami, żeby wejść do środka.

- Wcale nie. Można wejść przez właz awaryjny nad głowami pilotów.

- Cztery piętra nad ziemią. Jak zamierzasz tam wejść?

- Zejść.

- Zejść?

- Główny problem to otwarcie włazu. Zamek jest od środka.

- Nadal nie łapię tego „zejścia” - przyznał Tuck. Denerwował się trochę na myśl o tym, że w którymś momencie znajdzie się na kadłubie odrzutowca.

- Tym już ja się zajmę. - Jake pstryknął palcami, jakby doznał nagłego olśnienia. - Oczywiście! Gdzie ja miałem głowę? Przecież pracuję z mistrzem.

Tuck się rozejrzył, przekonany, że Jake ma na myśli kogoś innego.

- Mówisz o mnie? Ja się na niczym nie znam.

- Mylisz się, Tuck. Ogromnie się mylisz. Na tym etapie planu będzie nam potrzebny sprzymierzeniec w osobie stewardesy. Chodź, odbierzemy mój bagaż. Mam tam zapasowe ubranie. Przebierzesz się.

- A co ci się nie podoba w tym ubraniu? - zaniepokoił się Tuck. Miał na sobie za duże i wyraźnie już przechodzone ciuchy Sebastiana Curtisa.

- Jakbyś nie wiedział.

Przez następną godzinę Jake studiował rozkłady lotów i rozmawiał z pracownikami różnych linii lotniczych. Tuck skorzystał z okazji i zadzwonił do hotelu, sprawdzić, co słychać u Sepie. Odebrała po drugim dzwonku.

- Cześć. Ile kosztuje pralko-suszarka?

- Słucham?

- Pralko-suszarka Maytag z minikoszem i wkładką przeciw mięciu tkanin. Ile?

- Nie wiem... Z tysiąka? Dobrze się czujesz?

Sepie położyła słuchawkę na stoliku i Tuck usłyszał, jak krzyczy do telewizora:

- Tysiąka! Tysiąka, debilu! O rany... - Wzięła telefon do ręki. - Źle. Sugerowana cena detaliczna tysiąc sto dziewięćdziesiąt dziewięć?

- Co ty, teleturniej oglądasz?

- Oni tam rozdają różne rzeczy, tylko trzeba znać cenę. Bardzo trudne.

- Potrzebujesz czegoś? Mogę stąd zadzwonić do obsługi hotelowej, żeby przynieśli ci jedzenie do pokoju.

- Perfumy i szminka.

- To musi poczekać. Ale niedługo wrócę, dobrze?

- Okej. Tuck?

- O co chodzi, Sepie?

- Co to jest pralko-suszarka?

- Później ci wytłumaczę. Muszę kończyć.

Rozłączyła się. Najwyraźniej telefon był mniej fascynujący niż hydraulika i telewizja.

Jake rozmawiał z dziewczyną ze stanowiska United, która wyraźnie poddała się urokowi niechlujnego pilota. Widząc Tucka, podziękował jej i się pożegnał.

- Znalazłem samolot i znam obsługę. Mamy teraz dziesięć minut, żeby dostać się do wyjścia numer trzydzieści osiem. Tam pokażesz, co potrafisz.

Plan był taki, że Tuck ma wybrać sobie stewardesę, za gadać do niej i przekonać ją, by wróciła do samolotu i otworzyła włącz, zanim maszyna zostanie wysprzątana i odholowana pod hangar. Czekali przy wejściu do rękawa Pasażerowie dawno już wysiedli, piloci również.

- Pamiętaj, interesuje nas paskuda - przypomniał Tuckowi Jake.

- Wiem.

Włożył ubranie Jake'a, które przynajmniej na niego pasowało, nawet jeśli wyglądał w nim jak gitarzysta grunge'ow, kapeli z Seattle.

- Najlepiej stara.

- Wiem.

- Taka, której nikt by nie chciał puknąć nawet w męskiej kolonii karnej.

- Wiem. Ale już spadaj stąd. Dawno tego nie robiłem.

- To jak jazda na rowerze, stary.

Pierwsza wyszła z tunelu śliczna blondynka, na oko dwudziestopięcioletnia.

- Odpada - mruknął Jake.

Następny szedł mężczyzna, a za nim wysoka Murzynka o wyglądzie modelki.

- Bez szans... A co powiesz na faceta? Z tych dotychczasowych byłby najlepszy.

- Pierdol się, Jake.

- To tylko luźny pomysł.

Odczekali jeszcze pięć minut, zanim z rękawa wynurzyła się zmęczona kobieta po pięćdziesiątce, ciągnąc służbową walizeczkę na kółkach.

- No, ogierze, ruszaj. - Jake szturchnął Tucka pod żebro. Tuck oddał mu kuksańca, nie odrywając oczu od kobiety.

- Nie mogę, Jake.

- Co takiego?!

Jake złapał go za przegub dłoni i udał, że bada mu puls. Tuck mu się wyrwał.

- Nie dam rady.

- Nie kituj, brachu. Ona ci zaraz ucieknie. Jesteś przecież specem.

- Już nie.

- No to ja to zrobię, do cholery. - Jake ściągnął flanelową koszulę, narzuconą na czarnego T-shirta, i rzucił ją Tuckowi. - Wracaj do hotelu i czekaj na telefon. Numer pokoju?

- Tysiąc dwieście trzydzieści.

Jake podwinął rękawy koszulki, odsłaniając bicepsy, i pognął za starszą stewardesą. Tuck wyszedł z lotniska i znalazł mikrobus dla klientów Hyatta. Po drodze do hotelu uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak wyjaśnić ideę pralkosuszarki komuś, kto dopiero od dwóch dni nosi buty i koszule. Postanowił podeprzeć się magią.

62

PRAWDZIWI SZPIEDZY

Malink znalazł starego ludożercę na polance w dżungli - Sarapul właśnie obsikiwał młody bananowiec.

- Przyniosłem ci jedzenie.

Rzucił kosz na ziemię i usiadł pod drzewem. Sarapul się nie śpieszył.

- Czasem jest ciężko - powiedział Malik.

- Czasem w ogóle nie idzie - przytaknął ludożerca. - Boli. - Wzdrygnął się i odwrócił z uśmiechem, przyglądając *thu*. - Ale nie dzisiaj.

Przysiadł się do Malinka i wyłowił z kosza kawał ryby.

- Słyszałem wczoraj muzykę - zagaił. - Biała zdzira przychodzi teraz częściej.

Podał Malinkowi kęs ryby i wódz go wziął.

- Troje wybrańców w dziesięć dni. Czasem myślę, że nie wrócą. Vincent mówi, że ona nie jest Kapłanką Nieba. A pilot powiedział, że ona nas zabije.

- No to musimy walczyć!

- Noże przeciw karabinom? Pamiętasz przecież wojnę.

- Pamiętam. Chodź.

Sarapul wstał i zaprowadził Malinka do dżungli, gdzie zatrzymał się przy wydrążonej kłodzie. Ze środka wyjął podłużny pakunek, zawinięty w nasączoną olejem skórę rekina.

- Mężczyzna powinien odebrać wrogowi siłę. Jeśli nie może go zjeść i w ten sposób przejąć jego mocy, powinien zabrać mu broń.

Sarapul odwinął skóry i z zawiniątka wyłonił się zabytkowy japoński karabin z drugiej wojny światowej. Ludożerca musiał regularnie odwiedzać ten schowek, ponieważ broń była natarta rybim olejem i lśniła jak nowa.

- Obciąłem mu głowę i zabrałem broń.

Malink przypomniał sobie wściekłość Japończyków po zniknięciu żołnierza.

- Ty to zrobiłeś? Naprawdę ty?

- To było dawno. - Sarapul wyjął z zawiniątka trzy błyszczące naboje. - Mam jeszcze to.

- Oni mają karabiny maszynowe - zauważył Malink.

- Ona nie.

Telefon zadzwonił niedługo po północy. Po powrocie do hotelu Tuck zasnął, zatkawszy sobie uszy zwitkami papieru toaletowego, żeby zagłuszyć telewizor i dyskutującą z nim Sepie.

- Pojedź taksówką na lotnisko - powiedział Jake. - Hangar, który nas interesuje, ma na ścianie napis „Island Adventures”. Będę tam czekał.

Tuck wygramolił się z łóżka i zgasił telewizor.

- Hej! - zdziwiła się Sepie.

Siedziała po turecku mniej więcej stopę od ekranu. Tuck przykucnął obok i ujął jej twarz w dłonie.

- Jutro o szóstej weźmiesz bilety i zjedziesz na dół. Powiedz facetowi w recepcji, że chcesz jechać na lotnisko. Pojedziesz mikrobusem.

- Wiem.

- Słuchaj mnie. Będzie tam czekał wysoki, długowłosy mężczyzna.

- Jake. Ja to wszystko wiem.

- Jeżeli go nie zastaniesz, podejź do któregoś z ludzi w niebieskich czapkach i poproś, żeby ci pomógł wsiąść do samolotu. W Houston zadzwoń pod ten numer. Powiedz kobiecie, która odbierze, że to ja kazałem ci zadzwonić. Ona ci pomoże.

- A ty niedługo potem po mnie przylecisz, tak?

- Postaram się.

- Co z Robertem?

Nie widzieli nietoperza, odkąd zbombardował ich tuszem do rżęs.

- Nic mu nie będzie. On tu może zamieszkać, ale ja muszę lecieć.

Pocałował ją w czoło. Zanim zdążył się odsunąć, objęła go i pocałowała w usta z takim zapałem, że się przestraszył, że rozetnie mu wargę.

- Przyjdź po mnie.

- Przyjdę.

Wstał i wyszedł. Już na korytarzu usłyszał, jak Sepie woła:

- Hej?! Odwrócił się.

- Dlaczego nie próbowałaś seksu ze mną?

- Spróbuję.

- Okej - powiedziała Sepie i wróciła do pokoju.

Jake czekał na niego przy hangarze Island Adventures. Przed hangarem stał śmigłowiec, hughes 500, z wymontowanymi drzwiami.

- Wypożyczyłem go na godzinę - wyjaśnił Jake. - Jak coś spieprzę, wisimy Mary Jean pięć kafli kaucji.

Tuck spojrzał na helikopter, który wyglądał jak czarna ważka. Pilot miał złe przeczucia.

- Nie chcesz chyba, żebym zrobił to, co myślę, że chcesz, żebym zrobił?

- Zawisnę nad włazem. Ty po prostu przejdiesz z jednej maszyny do drugiej. Nie będzie to nawet w połowie tak straszne jak to, co ja musiałem zrobić, żeby załatwić otwarcie włazu.

Tuck chciał zaprotestować, ale Jake już ruszył w stronę śmigłowca. Tuck wspiął się na swoje miejsce i założył słuchawki z mikrofonem. Jake pstryknął przełącznikami, turbina ożyła z wizgiem, chwilę później wirnik zaczął się powoli obracać.

Case włączył mikrofon.

- Zauważą cię z wieży.

- To nie jest mój pierwszy raz.

- Nie dostaniesz pozwolenia na start.

- Przecież nie ma żadnego ruchu. A poza tym wyobrażasz sobie, że ty dostaniesz pozwolenie? To będzie jazda na maksa, brachu. Bez trzymanki.

Jake pociągnął umieszczoną z boku fotela dźwignię i śmigłowiec wzbił się w powietrze. Natychmiast w radiu rozległ się jazgot z wieży kontrolnej i ostrzeżenia dla hughesa 500, żeby czekał na pozwolenie na start. Jake poderwał maszynę na tyle, żeby prześliznęła się ponad hangarem, po czym zatoczył nad ziemią niski łuk i sam zaczął nadawać:

- Halo, wieża w Honolulu, tu helikopter jeden. Nadlatuję z zachodu na pas startowy numer dwa. Mam problemy z wirnikiem ogonowym. Proszę o pozwolenie na lądowanie awaryjne.

- Helikopter jeden? - odezwała się wieża. - To nie ty wystartowałeś przed chwilą bez pozwolenia?

- Nie, to nie ja. Lecę z Maui. Proszę o pozwolenie na lądowanie awaryjne.

No jasne, pomyślał Tuck. Zrobili kółko poniżej pułapu radarów i bez świateł. Na wieży nikt nie mógł mieć pewności, że to cały czas jedna i ta sama maszyna.

Jake wprowadził śmigłowiec w obroty wokół własnej osi. Każde kolejne kółko przybliżało maszynę do samolotów przy hangarach, a Tucka do wymiotów. W pewnym momencie Jake ustabilizował lot i ruchem głowy wskazał jumbo jęta United.

- To twój maluch. Wypłacz się z pasów i przygotuj. Nikt się nie zorientuje, że jesteś w środku. Odczekaj dwie godziny, nim zaczniesz kołować, nie chcę, żeby skojarzyli ten śmigłowiec z twoim siedem cztery siedem. Nawiasem mówiąc... Jak chcesz załadować tubylców na pokład?

- Mają drabiny. Taką mam nadzieję.

Tuck powiesił słuchawki nad fotelem i odpiął klamrę pasa. Helikopter znów zaczął obracać się w locie i Tuck musiał się złapać fotela, żeby nie wypaść przez otwarte drzwi. Pozorną utratę kontroli nad śmigłowcem uzyskiwało się w drodze prostego manewru zwanego autorotacją - ale ta wiedza wcale Tucka nie pocieszała, gdy patrzył na wirujący mu pod stopami asfalt.

Jake w ostatniej chwili poderwał hughesa, żeby nie zahaczyć o ogon boeinga, wyrównał i lecąc nad jego kadłubem zaczął się pomalutku przesuwac w stronę dzioba. Ogon powinien zasłonić ich przed obserwatorami na wieży.

- Gotowy?! - zawołał.

Tuck pokręcił głową. Widział już zarysy wjazdu, przez który miał się dostać do odrzutowca. Wyszedł z kabiny i stanął na płozie. Jake obniżył lot. Płozą musnęła kadłub jumbo jęta.

- Teraz!

Tuck zszedł na dach 747 i odruchowo schylił się przed łopatami wirnika. Obejrzał się na Jake'a i wzruszył ramionami.

- To było proste! - stwierdził.

- A nie mówiłem?

Jake wzbił się wyżej i zaczął się oddalać w kierunku hangarów Island Adventures.

Tuck uklęknął, wbił palce pod uszczelkę wjazdu, pociągnął i otworzył wejście. Wśliznął się do ciemnego wnętrza, zamknął za sobą wjazd i siedząc w fotelu pilota, zaczął oglądać zegary. Wprowadził do komputera nawigacyjnego współrzędne Alualu (które znał na pamięć), po czym przepisał z kartki namiary na swój drugi cel lotu. Założył słuchawki i włączył radio, automatycznie nastawione na częstotliwość wieży Jake zbierał właśnie oficjalny megaopieprz, ale nikt nie mówił o gościu, który zeskoczył na dach odrzutowca United. Ledwie Tuck zdjął słuchawki i zaczął się wygodnie sadować w fotelu, żeby odczekać umówione dwie godziny, gdy usłyszał skrobanie do wjazdu. Otworzył go. Do kabiny wpadł Roberto.

BEZ SENTYMENTÓW

Kapłanka Nieba była pijana. Przez ostatnie dziesięć dni zarobili z Czarownikiem dwa miliony dolarów, a ona nie mogła sobie kupić nawet nowej pary butów. Nowy pilot, Nomura, był wytatuowanym, małomównym fiutem, który prawie nie mówił po angielsku i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby zamierzał ją zgwałcić - nie dlatego, że przemoc sprawiłaby mu frajdę, ale żeby pokazać, gdzie jest jej miejsce. Odkąd się pojawił, ninja też zrobili się bardziej bezczelni - kiedy tylko się odwróciła, żartowali z niej po japońsku i śmiali się do rozpuku. Nawet tubylcy jakby przestawali się jej bać - kiedy ostatnio się im objawiła, dzieci zostały w wiosce. Dlatego właśnie siedziała wstawiona przed telewizorem, ubrana w dziurawą koszulkę i w spodnie od dresu. Interkom buczał, ale nie zamierzała odpowiadać. Najchętniej wyłączyłaby go z kontaktu, ale ponieważ był zasilany z baterii, wyrzuciła go przez otwarte przeszklone drzwi na plażę, gdzie popiszczał jeszcze dwie minuty, aż w końcu umilkł. Kiedy znowu go zobaczyła, znajdował się w rękach Sebastiana: doktor trzymał go jak oskarżyciel przedstawiający przysięgłym broń, którą dokonano morderstwa.

- Pewnie uważasz, że to zabawne.

- Niespecjalnie. Co innego, gdybym trafiła cię nim w głowę. Wtedy owszem, byłoby to zabawne.

- Mamy zamówienie, Beth. Nerka.

- Super. Akurat się nadaję do asystowania przy operacji. Mam propozycję: pobierzmy obie nerki. To będzie taka premia dla kupca. Co ty na to?

Beth wypłała następną wódkę.

Sebastian podniósł stojącą na stoliku pustą butelkę po absolicy. Sprawiał wrażenie raczej przestraszonego niż rozzłoszczonego.

- To się nie uda, Beth. Nie możesz się w takim stanie pokazać jako Kapłanka Nieba.

- Masz całkowitą rację, Bastianie. Bogini ma dziś wolne. Chodził w kółko po pokoju, drapiąc się w zadumie po brodzie.

- Moglibyśmy trochę to opóźnić. Amfetamina i tlen w godzinę postawią cię na nogi.

- Miałabym zrezygnować z tego szumu w głowie? - Beth parsknęła śmiechem. - Mowy nie ma. Każ im szukać gdzie indziej.

- Nie da rady. - Sebastian pokręcił głową. - Nomura już z nimi rozmawiał i obiecał dostawę w ciągu sześciu godzin.

- Nomura jest nikim - wysyczała Beth. - Zrobi, co mu każemy. To nasz biznes.

- No, nie wiem... Naprawdę wolałbym mu nie odmawiać. Weź prysznic i zaparz kawę. Przyniosę butlę z tlenem.

- Bastian, nie! - jęknęła rozpaczliwie. - Nie chcę spędzić sześciu godzin w samolocie z tym palantem!

- Nie będzie takiej potrzeby. Prosili, żeby poleciał sam. Beth usiadła prosto. Przetrzeźwiała w mgnieniu oka.

- Sam? A kto go będzie pilnował?

- Nie trzeba go pilnować. On pracuje dla nich, zapomniałaś? Miałaś rację. Nie trzeba było brać od nich pilota.

Godzinę i czterdzieści minut po tym, jak znalazł się na pokładzie, Tuck rozpoczął procedurę uruchamiania jumbo jęta. Nigdy wcześniej nie pilotował tak wielkiej maszyny (ani nawet podobnej), ale w Dallas wylatał dwadzieścia godzin na symulatorze i rozbił się tylko dwa razy. Wszystkie samoloty latają tak samo, powtarzał sobie w duchu, włączając pierwszy silnik. Kiedy turbina rozkręciła się na dobre, dostarczyła mocy do uruchomienia trzech pozostałych. Nałożył słuchawki i wyjrzał przez boczne okno: musiał mieć sporo miejsca, żeby zawrócić i podkołować na pas startowy. Gdy tylko jumbo drgnął, z wieży dobiegł jazgot - najpierw dopominali się, żeby się przedstawił, potem kazali mu się natychmiast zatrzymać. Roberto, zwisający z pasków przy fotelu drugiego pilota, szczechnął dwa razy i wydał przenikliwy, wysoki pisk.

- Dajesz ognia, brachu - dobiegło z radia. Jake musiał być gdzieś blisko, bo najwyraźniej widział ruszający odrzutowiec.

- Gdzie jesteś, Jake?

- Usunąłem ci się z drogi, ale dzięki, że nazywasz mnie przez radio po imieniu. Chciałem ci przypomnieć, że tam, dokąd lecisz, będziesz potrzebował półtora kilometra pasa startowego, żeby znowu wystartować, i to z klapami wysuniętymi na maksa. Więc oszczędzaj paliwo. Poza tym radzę ci powiedzieć wieży, co planujesz. Chyba że twoje OC i AC obejmuje takie maszyny.

Tuck włączył mikrofon na wolancie.

- Halo wieża, tu lot United jeden. Proszę o pozwolenie na start awaryjny z pasa numer dwa.

- Nie ma czegoś takiego jak start awaryjny - odpowiedział mu kontroler. Było słychać, że z trudem zachowuje zimną krew.

- Jak chcecie. Ja w każdym razie startuję z dwójki, więc jeśli macie tam w powietrzu coś, co chciałoby siadać, to chyba można uznać, że sytuacja jest awaryjna?

- Odmowa! Odmowa! - Facet z wieży prawie krzyczał. - Nie ma pozwolenia na start, United. Zawracaj do terminalu. Nie mamy planu lotu dla United jeden.

- Halo wieża, United jeden prosi o spokój i profesjonalizm. Ma być pusto do wysokości trzech tysięcy. Rozpoczynam procedurę startową.

- Odmowa. Odmowa. Podaj swoje dane.

- Kapitan Roberto T. Fruitbat. Bez odbioru.

Tuck wyłączył nadajnik, otworzył przepustnice i obserwował wskaźniki dysz wylotowych. Kiedy wskazały osiemdziesiąt procent ciągu maksymalnego, zwolnił hamulce. Wąż siedemdziesiąt siedem ton maszyna potoczyła się po pasie i poderwała w powietrze. Na wysokości trzech tysięcy metrów wziął kurs na Alualu.

Myśliwce pojawiły się przy nim sto mil na północ od Guam. Najwyraźniej sprawdzili, że United nie zatrudnia żadnego kapitana Fruitbata. Jeden F-18 podleciał bliżej i Tuck pomachał pilotowi. Pilot na migi kazał mu założyć słuchawki.

Czemu nie?

Tuck przypuszczał, że będą nadawali na wszystkich częstotliwościach.

- Witam panów - powiedział. - Dzień dobry.

- United siedem cztery siedem, zmień kurs na Guam i ląduj. W przeciwnym razie zmusimy cię do lądowania.

Tuck znówu wyjrzał przez okno. Pod skrzydłami myśliwców wisiały złowrogie sidewindery, pociski typu powietrze-powietrze.

- Jak dokładnie zamierzają panowie tego dokonać?

- Powtarzam: zmień kurs na Guam, albo zmusimy cię do lądowania.

- Nie mam nic przeciwko temu. Śmiało, zmuszcie mnie do lądowania z moimi stu piętnastoma pasażerami. - Tuck wyłączył mikrofon i spojrzał na Roberto. - Śmigaj do kabiny i udawaj stu piętnastu pasażerów.

Zgodnie z jego oczekiwaniami myśliwce zwiększyły dystans, oczekując dalszych instrukcji. Bez wyraźnego rozkazu nie zamierzały zestrzelić amerykańskiego samolotu pasażerskiego, nawet jeśli był kradziony. Na korzyść Tucka działał zapewne fakt, że FAA i United zgodnie utrzymywali, że jumbo jęta nie da się ukraść. Takie rzeczy się po prostu nie zdarzają. Ale miło, że przydzielili mu eskortę.

Komputer nawigacyjny poinformował go, że znajduje się pół godziny lotu od Alualu. Zaczął obniżać lot.

Sprawdził, gdzie są myśliwce, i wcisnął guzik, włączając mikrofon.

- Tu UFO do F-18.

- Słuchamy, United.

- Obaj?

- Mów.

- Zygu, zygu, nie złapiecie mnie - powiedział Tuck prowokacyjnie, po czym włączył mikrofon na stałe i zaczął śpiewać „Fly Me to the Moon”. Fałszował.

Malink... Obyś miał gotowe drabiny.

X

Malink, obudzony wczesnym rankiem przez huk silników startującego samolotu Czarownika, szedł właśnie na plażę, by pozbyć się skutków porannej perystaltyki jelit, kiedy objawił mu się Vincent.

- Siemanko, szczyłu. Zdyszany Malink przystanął.

- Vincent! Mamy drabiny.

- Świetnie się spisałeś, synku. Zbierz wszystkich, ale naprawdę wszystkich, i każ im iść na pas startowy. Niech wezmą drabiny. Przyślę po was samolot.

Malink pokręcił głową.

- Cargo?

- Nie, młody. - Vincent parsknął śmiechem. - Zabieram plemię Rekinów tam, gdzie jest cargo. Drabiny będą wam potrzebne, żeby wsiąść do samolotu. Nie bój się. Po prostu przyprowadź wszystkich na pas.

- Kapłanka Nieba ma troje wybrańców. Jeden dopiero niedawno wrócił do wioski.

Vincent spuścił wzrok.

- Przykro mi. Będziecie musieli ich zostawić. Idź już, macie mało czasu. Jeszcze się spotkamy.

I zniknął.

WYZWOLENIE

Beth i Sebastian sprząтали salę operacyjną i sterylizowali instrumenty, kiedy usłyszeli samolot. - Nisko leci - stwierdził od niechcienia Sebastian. Poprzedzające jumbo jęta myśliwce przemknęły nad wyspą.

- Co to było, do diabła? - Beth upuściła tackę z instrumentami i ruszyła do drzwi.

- Pewnie manewry! - zawołał za nią Sebastian. - Nie przejmuj się.

Cieszył się, że ma pomocnicę do sprzątania, i nie chciał jej tak łatwo stracić. Zwykle w tym momencie siedziała w samolocie lecącym do Japonii.

- Bastian! - usłyszał. - Chodź tutaj! Coś jest nie tak!

Kiedy wszystkie szesnaście opon uderzyło o asfalt, Tuck wbił do oporu dźwignie odpowiedzialne za odwrócenie ciągu silników. Turbiny zawyły, a on wcisnął hamulce i patrzył, jak wskazanie termometru błyskawicznie wchodzi w czerwony zakres. Samolot sunął z jazgotem w stronę oceanu z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę.

- Widziałeś drabiny? - zapytał Roberto głosem Vincenta. - Mówiłem ci, ćwoku, że zrobią drabiny!

- Musisz iść z nami - upierał się Malink. Przykucnął na skraju dżungli, przy kryjówce starego

ludożercy. – Vincent powiedział, że wszyscy musimy lecieć.

Sarapul patrzył, jak olbrzymi odrzutowiec zawraca powoli na końcu pasa.

- Nie. Jestem za stary. Tu jest mój dom. Tam, gdzie polecicie, nikt mnie nie chce.

- Nie wiadomo, dokąd polecimy.

- Twoi ludzie już tutaj za mną nie przepadali. Dlaczego mieliby mnie polubić tam? Zostanę.

Malink spojrział w stronę lotniska.

- Ja muszę iść.

Sarapul zbył go machnięciem kościstej ręki.

- Idź. Pośpiesz się.

Obrócił się na pięcie i zniknął w dżungli.

Malink wybiegł na odsłonięty teren i zaczął wydawać rozkazy mężczyznom z drabinami. Plemię Rekinów zalało pas startowy, tłocząc się wokół samolotu jak termyty usługujące swojej przerośniętej królowej.

Przednie drzwi jumbo jęta otworzyły się i Beth rozpoznała Tucka. Ktoś oparł drabinę o kadłub i tubylcy zaczęli się po niej wspinać do środka.

- On ich zabiera! - wrzasnęła.

I Sebastiana Curtisa замуrowało. - Idioci! - krzyknęła Beth do ochroniarzy. - Powstrzymajcie ich! Strażnicy stali jak wrośnięci w ziemię na skraju pasa, ale jej przeraźliwy wrzask wybudził ich z odrętwienia. W mgnieniu oka zniknęli w swoich kwaterach, wypadli stamtąd z uzi w rękach i popędzili w stronę odrzutowca. Beth biegła za nimi, wyjąc jak torturowana syrena. Wszystkie sześćdziesiąt drzwi maszyny zostało już otwartych i plemię Rekinów tłoczyło się na drabinach; matki niosły dzieci, najsilniejsi pomagali starszym.

Strażnicy zebrali się za plecami Mato, który miał otworzyć kłódkę na bramie. Chwilę mocował się z kluczem, ale w końcu zdjął łańcuch i odrzucił na bok.

Beth Curtis wczepiła się w ogrodzenie, zakrzywiając palce niczym szpony. Nie była w stanie patrzeć obojętnie na to, jak ulatnia się jej fortuna.

- Strzelajcie! - krzyknęła. - Zastrzelcie skurwysyna!

Strażnicy nie mieli pojęcia, o kogo jej chodzi, ale zrozumieli, że mają strzelać. Pierwszy, który wbiegł za bramę, zatrzymał się i wycelował z uzi do tubylców czekających na swoją kolej przy

drabinie. Jakiś grubas wydawał im rozkazy. Ochroniarz wymierzył w środek jego pleców.

Kula trafiła strażnika w pierś. Runął na ziemię, uzi zaklekotał na betonie. Pozostali stanęli jak wryci i zaczęli się rozglądać, szukając strzelca.

- Zabijcie ich wszystkich, wy cholerni tchórze! – darła się Beth Curtis. - Ognia!

Strażnicy przykucnęli, żeby stanowić trudniejszy cel, i wypatrywali ruchów na skraju dżungli.

Rozległ się ogłuszający ryk - dwa myśliwce nadlatywały nad wyspę na niskim pułapie. Ochroniarze podjęli jednomyślną decyzję: zaczęli uciekać do kliniki, nie zważając na wrzaski Beth.

Podbiegła do zabitego strażnika, podniosła jego broń i wycelowała w jumbo jęta. W dżungli huknął strzał; kula zrykoszetowała na betonie tuż obok niej. Odwróciła się w stronę drzew i pociągnęła za spust. Uzi jazgotało przez trzy sekundy, siła odrzutu szarpała Beth na wszystkie strony, a kule wycięły w listowiu wzorek jak zdalnie sterowany mikser. Kiedy odwróciła się z powrotem w kierunku samolotu i wcisnęła spust, usłyszała tylko szcęk iglicy. Magazynek był pusty.

Cisnęła pistolet na ziemię i patrzyła, roztrzęsiona, jak ostatnie drabiny odpadają od samolotu i pasażerowie zamykają drzwi od środka.

4*«

W DÓŁ NA ZIEMIĘ OBIECANĄ

Malink dołączył do Tucka w kabinie pilotów i walczył z pasami bezpieczeństwa, które nie chciały mu opiąć pękatego brzucha. Tuck zwolnił hamulce i samolot zaczął się toczyć po pasie startowym. Myśliwce przemknęły górą i jeden z pilotów ostrzegł Tucka, żeby nie próbował startować.

- Zmusiliście mnie do lądowania - odparł Tuck. - Czego jeszcze chcecie?

Otworzył przepustnice do oporu. Nie wiedział, czy wystarczy mu pasa - ale nawet jeśli nie, i tak dowie się o tym zbyt późno, żeby zareagować. Albo pofruną, albo wpadną do oceanu. Trzeciego wyjścia nie było.

Wypuścił klapy, żeby maksymalnie zwiększyć siłę nośną. Wiedział, że *zużyje* trzy *razy* więcej paliwa niż podczas normalnego startu, ale ten problem mógł sobie zostawić na później, kiedy już znajdą się w powietrzu. Spojrzał na rozpościerający się przed nim ocean, przeniósł wzrok na prędkościomierz, znowu na ocean, prędkościomierz, ocean, tam i z powrotem... I czekał, czekał, czekał, aż strzałka wskaże wartość, przy której maszyna wzbije się w powietrze. Brakowało

dwudziestu węzłów, kiedy koniec pasa zniknął mu z oczu i Tuck zaczął podrywać jumbo jęta w górę.

Tylne koła prześliznęły się po wodzie. Z kabiny pasażerskiej dobiegł hałas, który w przyływie nadziei Tuck zinterpretował jako triumfalne okrzyki, chociaż nie mógł wykluczyć, że słyszy zbiorowy wrzask przerażenia. Właśnie znalazł się w powietrzu w towarzystwie trzystu trzydziestu dwóch ludzi, którzy nigdy przedtem nie latali. Pomyślał o Sepie, która dwie godziny wcześniej rozpoczęła swoją pierwszą podróż powietrzną.

- Dokąd lecimy? - zainteresował się Malink.

Robił dobrą minę do złej gry, ale kiedy Tuck na niego spojrział, stwierdził, że wódz ma oczy wielkie jak spodki.

- Do miejsca, które nazywa się Kostaryka. Słyszałeś o nim? Malink pokręcił głową.

- Vincent ci kazał.

- Prawdę mówiąc, to był mój pomysł.

- Czy w Kostaryce jest dużo cargo?

- Nie wiem, Malink, ale klimat jest tam miły i nie mają umowy o ekstradycji.

- A to dobrze? - upewnił się Malink, tak jakby miał choć cień pojęcia o tym, czym jest ekstradycja.

Tuck go podziwiał. Wódz wsiadł do samolotu, bo jego bóg kazał mu to zrobić. Podjął decyzję, która zmieni koleje losu całego narodu, i zrobił to, ponieważ wierzył.

Włączył autopilota i wstał z fotela.

- Pójdę do kabiny, zobaczę, czy wszyscy siedzą przypięci. Niczego nie dotykaj.

Malink wybałuszył oczy.

- A kto steruje?

Tuck mrugnął porozumiewawczo.

- Chyba wiesz, co?

Odwrócił się i zszedł po schodach.

Sebastian Curtis - zrozpaczony i mocno przestraszony - podkrał się do żony, która wciąż trzęsła się ze złości, i wstrzyknął jej w udo valium. Zdążyła się jeszcze odwrócić i wyrznąć go solidnie w szczękę, zanim środek uspokajający zaczął działać. Przytrzymał ją za ramiona, pomógł jej przejść do

biura i posadził ją przed komputerem.

- Nie martw się - powiedział. - Nomura już wraca naszym learem. Uciekniemy, zanim ktokolwiek się tu zjawi.

- Jak mu się to udało? - spytała Beth łamiącym się głosem.

- Nie wiem. Dziwię się, że w ogóle żyje. Ale nam nic nie grozi. Mamy mnóstwo pieniędzy, nie tyle, na ile liczyliśmy, ale jeśli będziemy rozsądni...

- Podjudził ich przeciwko mnie. Moich ludzi... – Beth zawiesiła głos.

Sebastian pogłaskał ją po głowie. Drzwi otworzyły się i do kliniki wszedł Mato z uzi w garści.

- Telefon - powiedział.

- Nie - odparł Sebastian. - Dzwoniłem do Japonii. Lear już leci. Zostaw nas samych.

Mato odbezpieczył broń i rzucił coś po japońsku. Sebastian ani drgnął. Mato wbił mu lufę pod żebra.

- Telefon - powtórzył.

Sebastian podał mu słuchawkę zestawu satelitarnego.

- Wychodzić - warknął Mato. Sebastian pomógł Beth wstać.

- Chodź. Musimy go słuchać.

Beth pozwoliła mu się podnieść i wycelowała wyprostowany palec w Mato.

- Ty, ninja... Możesz się pożegnać z premią świąteczną.

Sebastian wywlókł ją za drzwi i pomógł jej doczłapać do bungalowu. Położył ją na łóżku. Ściąganie z niej stroju chirurgicznego przypominało rozbieranie szmacianej lalki; bełkotała coś bez ładu i składu, ale przynajmniej nie próbowała z nim walczyć. Kiedy odwrócił się do wyjścia, w progu stało dwóch strażników. Jeden próbował spławić go gestem, drugi wpatrywał się w Beth wyglodniałym wzrokiem.

- Nie - powiedział Sebastian.

Wszedł między ochroniarzy, roztrzając na boki lufy ich pistoletów. Cofnęli się jednocześnie i wycelowali w niego broń. Sebastian podszedł bliżej, oni znowu się cofnęli. Przerastał ich o głowę.

- Wynocha - powiedział, robiąc następny krok w przód. Cofnęli się. - Już was nie ma. Chcecie stracić resztę palców?

Podziałało jak zaklęcie. Ich pracodawcy słynęli z tego, że nieposłusznym obcinali palce po

kawałku. Strażnicy spojrzeli po sobie i wyszli. Jeden jeszcze na odchodnym zaklął po japońsku.

Mato wyszedł z kliniki. Kierował się prosto do bungalowu Beth, zdecydowanym - krokiem, z zaciętą miną i bronią gotową do strzału. Sebastian zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i pobiegł do sypialni.

- Dalej, Beth, wstawaj. Musimy uciekać.

Była przytomna, ale ciało nie chciało jej słuchać. Podniósł ją, przerzucił sobie przez ramię chwytem strażackim i wyszedł na werandę, skąd po schodkach zbiegł na plażę.

Beth ożywiła się w ciepłej wodzie na tyle, żeby machać nogami, kiedy zaczęli opływać pole minowe.

Po godzinie myśliwce dały mu spokój i przejął go B-52, który prowadził ich do chwili, gdy znaleźli się w zasięgu myśliwców z baz w Ameryce. Wtedy dołączyły dwa F-16. Pewnie z Panamy, domyślił się Tuck. Co oni właściwie chcieli osiągnąć? Jumbo nie jest samolotem, który można porzucić niepostrzeżenie w dżungli i zniknąć bez śladu; Tuck uważał, że takich samolotów w ogóle nie ma, a poza tym nie zamierzał lądować awaryjnie ani w dżungli, ani nawet na wodzie. Mimo jego złych przeczuć wyglądało na to, że paliwa wystarczy im z naddatkiem do samej Kostaryki. Mieli na pokładzie mniej pasażerów niż normalnie zabierał jumbo jet, nie mieli bagażu ani przekąsek. Właściwie martwił się już tylko jedną sprawą: co się stanie, kiedy wylądują. Prawdą było, że Kostaryka nie podpisała ze Stanami umowy o ekstradycji, ale on dopuścił się aktu międzynarodowego terroryzmu. Zaczynał podejrzewać, że lepiej byłoby zawrócić na Hawaje i zaryzykować spotkanie z FBI; nie groziłoby mu przynajmniej, że zgnije w jakimś środkowoamerykańskim więzieniu. Tyle że jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że dobrze zrobił. Nie miał pojęcia, dlaczego wybrał właśnie Kostarykę - tak jak nie do końca wiedział, po co właściwie porwał samolot i wrócił na Alualu.

Kiedy zaczął podejście do lądowania na nadmorskim lotnisku w Palmar, B-52 odbił na północ i wkrótce zniknął mu z oczu. Tuck już dawno wyłączył radio, znudzony powtarzanymi w kółko groźbami i rozkazami wojskowych pilotów. Teraz też wolałby nie informować o swoich zamiarach, ale uruchomił nadajnik i powiadomił kontrolę lotów w Palmar, że się zbliża. Zderzenie w powietrzu z innym samolotem byłoby chyba jeszcze gorsze niż odsiadka w kostarykańskim pierdłu. Zwłaszcza że trzysta trzydzieści dwie ofiary pognałyby jego duszę prosto do piekła.

Zdjął słuchawki, usiadł spokojnie i odprężył się, przekonany, że choć raz w życiu zrobił to co należało. Dopilnuje, żeby Sepie dostała połowę kasy ze szwajcarskiego banku.

Oczyrna wyobraźni widział ją w ogromnym domu z jedną sypialnią i siedemdziesięcioma dwiema łazienkami, z których każda była wyposażona w telewizor. Będzie szczęśliwa. Malink, który poszedł uspokoić swoich ludzi, wrócił teraz do kabiny i usiadł w fotelu drugiego pilota.

- Lecimy na dół?

- Spodoba ci się. Pogoda jest tu taka sama jak na Alualu. Są plaże, jest dżungla... Jak w domu.

Widać już było wybrzeże, które na południu i północy ginęło w oddali. Od plaż po góry ciągnął się tropikalny las.

- Ta wyspa jest dużo większa niż Alualu.

- To nie wyspa. - Tuck uświadomił sobie, że dokądkolwiek Malink szedł w swoim dotychczasowym życiu, przechodził najwyżej półtora kilometra, po czym musiał zawrócić lub przynajmniej zakręcić. - Będzie wam tu dobrze.

- A są tu rekiny?

- Mnóstwo.

Malink skinął głową.

- Poradzimy sobie. - Przez dłuższą chwilę milczał, zanim zapytał: - Zamieszkaś z nami?

- Raczej nie, wodzu. Po wylądowaniu będę miał spore kłopoty.

- To nie Vincent kazał ci po nas przylecieć.

- W pewnym sensie... A co? Malink uśmiechnął się z satysfakcją.

- Nic ci nie będzie.

Zahuczał brzęczyk alarmowy. Tuck spojrział na przyrządy: świeciły się czerwone lampki ostrzegające o kolizji.

W zasięgu wzroku nie było żadnego *samolotu*, włożył więc słuchawki. Może obsługa wieży w Palmar mu to wyjaśni. Zanim *zdażył włączyć* mikrofon, usłyszał:

- Skarbie, niech mnie diabli, jeśli smród nie ciągnie się za tobą jak za wozem gnoju w środku lata.

Znajomy, śpiewny akcent z Teksasu, chyba najśłodsza melodia, jaką w życiu słyszał.

- Mary Jean! Gdzie jesteś?

- Wyjrzyj przez okno. Na jedenastej.

Tuck podniósł wzrok. Nowiutki, różowy gulfstream leciał równoległym kursem.

- Gdybyś miał słuchawki na uszach, wiedziałbyś o mnie od kwadransa.

- Co ty tu robisz?

- Jake zadzwonił z Hawajów i powiedział, co kombinujesz. Obmyśliliśmy pewien planik. Ostatni raz ratuję ci tyłek, Tuckerze Case. Masz u mnie dług.

- Który już raz to słyszę...

- Pamiętasz adres firmy w Houston? I numer telefonu?

- Pewnie.

- Przełącz się na taką częstotliwość, jak ten numer, to cię wprowadzę w temat. Damie nie wypada rozmawiać o sprawach osobistych na kanale używanym przez kontrolę lotów.

Leżeli w dżungli nieopodal pasa startowego, kiedy wylądował learjet. Sebastian zostawił Beth śpiącą pod liśćmi bananowca, i przeczołgał się na skraj lasu, skąd widział lotnisko. Samolot podkołował do bramy i tam się zatrzymał, ale pilot nie wyłączył silników. Strażnicy wybiegli z zabudowań i ruszyli w stronę maszyny. Zrzucili przy bramie stos toreb z bagażem.

- Co się dzieje? - Beth podpełzła do niego z tyłu. Valium powoli przestawało działać.

- Chyba uciekają.

- Bez nas nigdzie nie polecą. Jestem Kapłanką Nieba i nie pozwolę na to.

Próbowała wstać, ale Sebastian pociągnął ją na ziemię.

- Chcieli nas zabić. Byłaś półprzytomna.

- To pamiętam. Jeśli jeszcze kiedyś spróbujesz mnie czymś szprycować...

- Zwariowałaś!

Zamachnęła się, żeby go spoliczkować, ale złapał ją za rękę.

- Uspokój się, Beth. Tłumaczę ci, że jeśli nas złapią, to nas zabiją. Rozumiesz?

- To zwykli ochroniarze. Nie pozwolę...

Z drugiej strony pasa startowego rozległa się eksplozja. Kiedy spojrzeli w tamtym kierunku, w miejscu, w którym znajdowała się klinika, pod niebo wznosił się ognisty grzyb.

Japończycy wsiedli tymczasem do samolotu i Nomura zaczął kołować na koniec pasa.

Następny eksplodował barak strażników, potem hangar. Słup ognia z płonącego paliwa lotniczego sięgał sto pięćdziesiąt metrów w górę.

- Skąd wytrzasnęli ładunki? - zdziwiła się Beth. - Wiedziałaś, że mają materiały wybuchowe?

- Niszczą dowody. Pewnie *dostali rozkaz* z Japonii.

Learjet zaczynał się rozpędzać, kiedy bungalow Sebastiana rozprysnął się na kawałki jak granat odłamkowy. Zaraz po nim eksplozje zmiotły z powierzchni ziemi bungalowy Tucka i Beth. Ognisty deszcz spadł na wyspę.

- Moje buty! Tam były wszystkie moje buty. Dranie!

Beth odepchnęła Sebastiana i wybiegła na pas tuż obok startującego odrzutowca.

- Wy skończone łajdaki!

Kapłanka Nieba stała na środku pasa i zdierała sobie gardło do żywego, *gdy* lear zniknął w chmurach.

SZKODA, ŻE NIE BYŁO JEJ W ALAMO

Mary Jean posadziła swojego różowego gulfstreama tuż za jumbo jetem, prawie siedząc mu na ogonie. Tuck kołował osiemdziesiątką, oddalając się od terminalu, przy którym czekali policjanci w dżipach i ekwipunku bojowym. Towarzystwy im telewizyjne wozy transmisyjne.

- Panie i panowie, witajcie w Kostaryce, nowej ojczyźnie plemienia Rekinów. Temperatura na zewnątrz wynosi trzydzieści stopni Celsjusza i jest oczywiste, że nasza sytuacja wygląda kiepsko. Mam nadzieję, że jesteście na to przygotowani.

Dzipy pędziły już w stronę dwóch odrzutowców. Mary Jean ustawiła gulfstreama dziobem do początku pasa.

- Gdzie Roberto? – spytał Tuck, zwracając się do Malinka.

Malink pokazał do góry: Roberto uczepił się uchwytu wjazdu. Obok do sufitu był przymocowany zwój sprężynującej stalowej linki.

- Mary Jean? Jesteś gotowa?

- Kochaniutki, ruszaj, póki jeszcze możesz. Szturchnęliśmy gniazdo szerszeni.

Tuck złapał Roberta i wepchnął go sobie za pazuchę.

- Zostań - powiedział. Otworzył wjazd i odwrócił się do Malinka. - Na mnie już czas.

Malink wziął Tucka w swoje potężne ramiona i ścisnął tak mocno, że nietoperz zakwilił.

- Wrócisz.

- Skoro tak mówisz, wodzu... - Tuck włączył interkom. - Teraz! - zawołał i wspiął się do włazu.

Sześcioro drzwi boeinga otworzyło się w jednej chwili. Żółte trapy ratunkowe rozwinęły się, nadęły i opadły na ziemię; samolot wyglądał jak gigantyczny owad, któremu nagle wyrosły odnóża. Plemię Rekinów wysypało się na płytę lotniska. Mary Jean podkręciła obroty silników gulfstreama.

Tuck wyszedł na dach i sięgnął do kabiny po nylonową uprząż, umocowaną na końcu zwiniętej linki. Wozy policyjne podjeżdżały do stojących obok siebie samolotów; strzelcy przy karabinach próbowali się zorientować, do czego właściwie powinni strzelać, a członkowie plemienia kłębili się na ziemi między odrzutowcami, tworząc łączący je żywy szpaler.

Wziął głęboki wdech i skoczył. Asekurująca go sprężynowa linka zadziałała zgodnie z przewidywaniami inżynierów boeinga: pozwoliła mu bezpiecznie wylądować po skoku z wysokości czwartego piętra. Natychmiast schronił się w szpalerze pasażerów i przemknął do gulfstreama.

- Jazda! - zawołał.

Plemię Rekinów poszło w rozsypkę, a Mary Jean zwolniła hamulce. Samolot skoczył naprzód. Tuck zamknął za sobą drzwi i przeszedł do kokpitu. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak jeden z dżipów rozpaczliwie skręca, żeby uniknąć zderzenia z samolotem, i przewraca się na pasie.

- Nie próbuj mnie przetrzymać, smarkaczu - mruknęła ponuro Mary Jean. - Znałam osobiście Jamesa Deana.

- Myślisz, że pozwolą ci wystartować?

- Chciałabym zobaczyć, jak próbują mi przeszkodzić.

Dzipy rozstępowały się przed gulfstreamem, kiedy kołował na start. Mimo że policjanci byli uzbrojeni po zęby, nie śpieszyło im się do strzelania.

Tuck obejrzał się przez ramię: całe plemię Rekinów machało mu na pożegnanie.

Kiedy już znaleźli się w powietrzu, Mary Jean się odezwała:

- Tuckerze Case, kiedy robisz taką woltę, nie wycofuj się w połowie, dobrze?

Tuck parsknął śmiechem.

- Naprawdę znałaś Jamesa Deana?

- Niezły tekst, co?

Spojrzała na Tucka. Nie zdziwił się specjalnie, widząc jej perfekcyjny makijaż, idealnie pasujący do stroju i słuchawek pilota. Jęknęła cicho.

- Tucker! Masz za koszulą jakieś zwierzę!

- To Roberto. Nie lubi światła.

- Rety, jakbym miała taką gębę, sama kryłabym się przed światłem. Przypomnij mi, to dam twojemu przyjacielowi próbkę naszego nowego kremu depilującego.

- O co chodziło tam na dole?

- To się nazywa heroizm, synu. Mówiłam ci przez telefon, że wierzę w odkupienie i że nadszedł czas, aby wiarę przekuć w czyn. Oni naprawdę handlowali organami tych nieszczęśników?

- Wybacz, Mary Jean. Jestem ci wdzięczny, że mnie uratowałaś, ale *nie* wstawiaj mi kitu. Pierwszy lepszy z tych gliniarzy mógł ci przestrzelić opony, a wtedy dalej stalibyśmy na pasie.

Mary Jean uśmiechnęła się - znacząco i figlarnie, jak Mona Lisa w ogromnej blond peruce.

- Chodziło o media, synu. Zdziwiłbyś się, jak niewielkiego nakładu środków potrzeba, by coś działać w Trzecim Świecie. Widzisz, tyle czasu antenowego nie kupiłabym nawet za roczne dochody mojej firmy. A to, co wydałam na łapówki, i tak mógłbyś mi zwrócić. Jake mówi, że masz z czego. Chłopaki ze skarbówki krzywo patrzą na ludzi, którzy odpisują sobie łapówki od podatków... Chociaż moglibyśmy je wrzucić w koszty reklamy. Mniejsza z tym, nic mi nie jesteś winien.

-Tylko po to to zrobiłaś? Żeby być w telewizji?

- Brzydko cię potraktowałam, Tucker. Co prawda, zasłużyłeś sobie na to, ale źle się z tym czułam. Zawsze uważałam cię za swoją zbłąkaną owieczkę. Chociaż, jak wiesz, pochodzę z kowbojskiej rodziny.

Tuck się uśmiechnął.

- Jak chcesz. Dokąd lecimy?

- Do mojego domku na Kajmanach. Jake ma tam na nas czekać z twoją przyjaciółką.

Czarownikiem w opustoszałej wiosce. Ostatnim, co zapamiętała, był widok Czarownika wychodzącego po drewno do ogniska, a potem tępy łomot. Wołała go, a kiedy nie wracał, poszła go szukać.

Otworzyła oczy i zamrugła. Świat wirował i przez chwilę widziała tylko zieloną plamę dżungli. Potem obraz zaczął się wyostrzać. Wisiała dwa metry nad ziemią, na końcu sznura splecionego z kokosowego włókna, i obracała się powoli wokół własnej osi. Uprząż wrzynała jej się między piersi i tamowała dopływ krwi do kończyn. Uniosła głowę i zobaczyła wiekowego tubylca, dokładającego do podłużnego glinianego pieca, który dymił z obu stron. Obok leżały rzucone na stos ubrania Czarownika.

Tubylec podniósł wzrok i podszedł bliżej na swoich pałakowatych nogach. We włosach miał resztki kurzego pierza. Oczy zasnuwała mu żółtawa, ropna mgiełka.

Uśmiechnął się do niej, szczerząc spiłowane ostro zęby, wyciągnął rękę i uszczypnął ją w policzek.

- Mniam, mniam - powiedział.

Epilog

Dzięki wpływom Mary Jean Dobbins, która otworzyła w stolicy fabrykę, oraz zakupowi okazałego kawałka ziemi przez anonimowego nabywcę, przybysze z Alualu uzyskali kostarykańskie obywatelstwo, a na darowanym im terenie utworzono rezerwat. Malink jeszcze przez wiele lat był wodzem, a kiedy zbyt się zestarzał, by dźwigać ciężar tej odpowiedzialności, na swojego następcę wyznaczył (wobec braku rodzonych synów) Abo. Abo nauczył się odprawiać obrzędy ku czci Vincenta i przewodził modłom o jego powrót, ponieważ plemię Rekinów zgodnie wierzyło, że lotnik wróci. Ale z biegiem czasu historia pomału przeobrażała się w legendę, w której Vincent miał przylecieć różowym odrzutowcem, mając u swego boku proroka Tucka (który ocalił ich przed złą Kapłanką Nieba) i wielkiego nawigatora Kimiego, bez którego, jak powiadano, prorok Tuck nie znalazłby nawet własnego tyłka, choćby go szukał obiema rękami.

Codziennie przed śniadaniem Tucker Case wychodził z nietoperzem na spacer po plażach Little Cay. Oczywiście nietoperz latał, a tylko Tuck spacerował - bo Tuck latał zwykle po południu. Był właścicielem pięcioosobowej cenny, zaparkowanej zwykle na pasie startowym obok domku, w którym zamieszkał z Sepie. Za pozostałą część połowy pieniędzy ze szwajcarskich kont (po kupnie domu, samolotu i czterech tysięcy hektarów kostarykańskiej dżungli, które podarował plemieniu Rekinów) kupił Sepie antenę satelitarną i trzydziestodwucalowy telewizor Sony. Nie chciała od niego nic więcej, poza tym, żeby ją kochał, był jej wierny i nie trzymał nietoperza w domu. Dał jej to wszystko, a w zamian poprosił, aby go kochała, szanowała i ściszała „Koło Fortuny”, kiedy musiał się zająć rachunkami.

Wynajmował samolot wędkarzom i nurkom, którzy chcieli pohasać po okolicznych wyspach. Zarabiał dość, by wystarczało im na jedzenie, a Sepie także na perfumy, szminki i staniki Wonder Bra - te ostatnie były jej najnowszą obsesją, a najczęściej także jedynym noszonym przez nią kawałkiem garderoby.

Mieszkali na Little Cay już od roku, gdy pewnego dnia, tuż przed świtem, Tuck dostrzegł na plaży samotną postać. Zanim jeszcze podszedł bliżej, wiedział, kogo zobaczy. Czuł to.

Z bliska zobaczył śniadą twarz o ostrych rysach i wykrochmalony mundur lotniczy bez jednej zmarszczki.

- Jak na trupa, świetnie się trzymasz - stwierdził.

Vincent wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wystukał jednego na dłoń i zapalił.

- Świetnie się spisałeś, młody. Muszę przyznać, że jesteście kwita.

- Chociaż tyle mogłem dla nich zrobić. Mogę cię o coś zapytać?

- Wal.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Ja nic nie zrobiłem. Niczego nie przesunąłem, nie dotknąłem, nie zmieniłem. To wszystko robota wyznawców.

- Daj spokój. Zaslługuję na uczciwą odpowiedź.

Vincent odwrócił się od Tucka, zapatrzony w poświatę nad morzem, gdzie za chwilę miało wzejść słońce.

- Coś w tym jest, młody. Zaslługujesz. Pamiętasz, jak tamta dama mówiła ci o frajerach? Że rządzą na wyspach, bo nie mają konkurencji?

- Pamiętam.

- Nie miała racji. Wyspy są jak inkubatory, rozumiesz. Trzeba puścić sprawy w ruch i zostawić je w spokoju, żeby się rozwijały. Odizolować je. To dlatego wszyscy wasi szurnięci przywódcy kultów wywożą swoich wiernych na zadupie, gdzie nikt nie będzie im mógł przemówić do rozsądku. Kapujesz, młody? Kiwnij głową... Dobra. Założyłem się z chłopakami, z którymi grywam w karty, że mój mały kult urośnie w siłę, jeśli tylko będę miał odpowiednio dużo wyznawców. Powiedziałem im tak: „Dwa tysiące lat temu wy też mieliście tylko swoje lokalne kultury. Przerzućcie mnie na kontynent i dajcie mi tysiąc lat, a moja religia wykurzy waszą”. Warunki były odpowiednie. Potrzebna jest sytuacja kryzysowa - ja miałem wojnę. Potrzebna jest jakaś obietnica - obiecałem, że wrócę z cargo. Byłem ustawiony. Potem zjawiała się ta wariatka z doktorkiem i próbowali mi robić koło pióra. Pomyślałem, że to może być moje pięć minut. Żli ludzie też są potrzebni, żeby twoi poddani mogli rozpoznać tych dobrych, nie? Więc mówię sobie tak: „Vincent, teraz potrzebujesz Mojżesza. Znajdź faceta, który wyciągnie twoich ludzi z kłopotów i zostawi po sobie historię, na której ty zbudujesz swoją reputację”. -1 padło

na mnie?

- Padło na ciebie.

- Ale dlaczego? Dlaczego mnie wybrałeś?

- Bo byłeś wolny.

- Tylko tyle? Byłem wolny?

- Posłuchaj, młody. Znasz to powiedzenie „Jak się człowiek nudzi, diabeł znajdzie mu zajęcie”?

- Znam.

- Jest w nim trochę prawdy, ale diabeł się tobą nie zainteresował. Więc ja wskoczyłem na jego miejsce.

- I co, zamierzasz mi spieprzyć resztę życia?

- Nie było tak źle, nie wygoniłem cię przecież na czterdzieści lat na pustynię. Czym się tak martwisz?

- Teraz niczym, ale nie wiem, czy to koniec.

Vincent wdeptał niedopałek w piach.

- To trochę zależy od tego, w co wierzysz, prawda, młody? - Zaczął się oddalać i rozpląwać w powietrzu. - Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Na oczach Tucka na plaży zmaterializowało się czółno z żaglem. Siedzący przy sterze Kimi pomachał ręką. Vincent wszedł do łodzi. Tuck w odpowiedzi pomachał Kimiemu, zanim łódź rozwiała się jak mgła i mógł wrócić do domu, by zjeść śniadanie z Sepie.

Zatrzymał się przed drzwiami, by otrzepać stopy z piasku. Roberto z głuchym łomotem wylądował na drzwiach z drobnej siatki i wczepił się w nią pazurkami.

- Rany, ale się cieszę, że mamy wreszcie z głowy te wszystkie cuda - powiedział.

Kiedy, pisząc książkę, zgłębiam jakieś zagadnienie, zawsze zadaję sobie pytanie: „Dobrze to przedstawiłem czy powinienem pójść w większe ogólniki?”. Z pobieżnej analizy jednej z moich książek wynika, że używam określenia „tak jakby” i pokrewnych najczęściej ze wszystkich żyjących pisarzy. Moi czytelnicy, najuprzejmiejsi i najbardziej inteligentni ludzie na świecie, rozumieją to. Wiedzą, że traktowanie moich książek jako wiarygodnych źródeł wiedzy jest równie sensowne, jak używanie pączków z lukrem zamiast cegieł przy budowie domu. Zdają sobie sprawę, że te stronicie słyną raczej z nedorzecznosci niż rzetelności. Wobec tego... Niektóre z miejsc opisanych w *Wyspie wypacykowanej kapłanki miłości* są prawdziwe, ale dla własnej wygody nieco je zmieniłem. Wyspa Alualu nie istnieje, nie ma również plemienia Rekinów - takiego, jak go opisałem. W Mikronezji nie istnieją żadne aktywne kultury cargo, nie mieszkają tam również ludożercy. Stanowisko dziewczyny z domu kawalerów naprawdę istniało w kulturze mieszkańców Yap, ale ostatnia z nich zmarła blisko sto lat temu. Na Yap i okolicznych wyspach funkcjonuje ściśle przestrzegany system kastowy. Na własne oczy widziałem również, jak traktuje się tam kobiety - i tak to przedstawiłem. Decyzja o tym, aby organy do przeszczepów znajdowały odbiorców w Japonii, była podyktowana wyłącznie względami geograficznymi, bez oglądania się na rasę i kulturę.

Większość informacji na temat kultów cargo zaczerpnąłem (z drugiej ręki) z wyników badań antropologicznych prowadzonych na wyspach Melanezji. Już po ukończeniu *Wyspy* stwierdziłem, że teorię o kanibalach i mielonce sformułował Paul Theroux w *The Happy Isles od Oceania*. Z zazdrością muszę mu oddać sprawiedliwość, że pierwszy przedstawił tak pokretny sposób myślenia. Informacje o mikronezyjskiej nawigacji i nawigatorach pochodzą z cudnej książki Stephena Thomasa *The Last Navigator*. Opis polowania na rekiny oparłem na relacji nauczyciela szkoły średniej na Yap, który opowiadał w ten sposób o mieszkańcach wyspy Fais. Nie mam pojęcia, czy odpowiada to prawdzie. Życie codzienne mieszkańców Alualu opisywałem w oparciu o własne doświadczenia (które nie obejmowały oczywistych głupstw i ceremonii religijnych) z pobytu na Mog Mog, wyspie w atolu Ulithi, gdzie miałem zaszczyt mieszkać w domu wodza Antonio Taithau. Wielkie dzięki dla wodza, jego żony Concepcion i dwóch córek, Kathy i Pameli, które dbały o to, abym miał co jeść, i wyciągnęły mnie ze studni, do której wpadłem po wypiciu nadmiaru *tuby* w kręgu pijących. Dziękuję również Alonzo, małemu Indianie Jonesowi, który chodził za mną krok w krok i pilnował, żebym nie zabił się na rafie i nie dał się pożreć rekinom. Wybaczam mu, że pozwolił mi wpaść do studni. Dziękuję również Frankowi (nauczycielowi), Favo starszemu, Hillary'emu (pilotowi łodzi) i wszystkim dzieciakom, które ścinały dla mnie orzechy kokosowe, żebym miał co pić.

Mam również dług wdzięczności wobec wszystkich, którzy pomogli mi dotrzeć na zewnętrzne wyspy: Mercy i innym ochotnikom z Korpusu Pokoju na Yap, wodzowi Ignatho Haptheyowi i Radzie Tamińskiej, oraz Johnowi Lingmarowi z Biura Spraw Wysp Zewnętrznych na Yap, który objaśniał mi miejscowe zwyczaje, wydawał pozwolenia i załatwiał wiele spraw. Podziękowania kieruję także do personelu Pacific Missionary Air, który przewiózł mnie na wyspy i z powrotem i odpowiadał na moje pytania związane z lataniem w tym rejonie.

Dziękuję Amerykanom poznanym na Truk: Ronowi Smithowi, który pożyczył mi swój nóż pletwonurka, i Markowi Kampfowi, za to, że oddał mi swój krem z filtrem, neosporin i taśmę izolacyjną, które ocaliły mi życie. Reguła nr 1: nigdy nie jedź na dziką wyspę bez taśmy izolacyjnej i noża.

Tutaj, w Stanach, dziękuję kolejno:

Bobby'emu Bensonowi - za to, że w ogóle powiedział mi o Mikronezji.

Gary'emu Kravitzowi - za ogrom informacji na temat samolotów i latania.

Mike'owi Molnarowi - za dalszą edukację lotniczą, a także cierpliwe wyjaśnienia kwestii związanych z komputerami i techniką łączności.

Donnie Ortiz - za zwrot „jesteś lamusem uwięzionym w ciele fajnego faceta” (choć nie mam pojęcia, kogo miała wtedy na myśli).

Doktorowi Alanowi Petersowi - za informacje natury medycznej.

Shelly Lowenkopf - za dostarczenie mi trudno dostępnych książek o kultach cargo.

łanowi Corsanowi - za porady dotyczące ekwipunku i przetrwania w tropikach.

Charlee Rodgers, Dee Dee Leichtfuss, Liz Ziemska i Christinie Harcar - za uważną lekturę i pomocne sugestie.

Nickowi Ellisonowi, mojemu agentowi i przyjacielowi - za to, że nie dopuszczał wilka do moich drzwi, kiedy pisałem.

Rachel Klayman i Chrisowi Condry'emu, moim redaktorom w Avon Books - za wsparcie i wiarę we mnie.

Nade wszystko zaś dziękuję powieściopisarce Jean Brody, która oderwała się od własnej pracy, by zrobić korektę *Wyspy*.

Wszyscy ci ludzie przyczynili się do powstania tej książki, nikt z nich nie ponosi jednak odpowiedzialności za to, jak swobodnie potraktowałem uzyskane od nich informacje. W razie jakichkolwiek wątpliwości, proszę założyć, że wszystko zmyśliłem.

Christopher Moore

Spis treści

Część pierwsza: Feniks 5

- Rozdział 1: Drzewo ludożerców 7
- Rozdział 2: Myślałem, że to lot dla niepalących 15
- Rozdział 3: Straciłeś swoje mile w programie
częstych lotów 19
- Rozdział 4: Wierzchołek różowej piramidy 25
- Rozdział 5: Najświętsza Panienska od
siatkowych pończoch 31
- Rozdział 6: Kto pilotuje to życie? 33
- Rozdział 7: Rady przed podróżą 41
- Rozdział 8: Upokorzenie pilota jako pasażera 50
- Rozdział 9: Kult autopilota: lekcja historii 56
- Rozdział 10: Kokosowy telegraf 69
- Rozdział 11: Pager do bogini 75
- Rozdział 12: Przyjacielska rada 78
- Rozdział 13: Ucieczka z patelni 87
- Rozdział 14: Szpiedzy i intrygi 90
- Rozdział 15: Nawigator 102
- Rozdział 16: A teraz prognoza pogody 110
- Rozdział 17: Pogoda pod psem 114
- Rozdział 18: Ziemia na horyzoncie 120